

A woman in a vibrant red dress and matching hat is walking through a classic, ornate room. She is wearing red high-heeled shoes. The room features a patterned rug, a yellow upholstered chair, and a wooden door. The lighting is warm and dramatic, highlighting the woman's silhouette and the rich colors of her attire.

KATHLEEN  
TESSARO

*Kolekcjonerka*  
*Perfum*

KATHLEEN TESSARO  
Kolekcjonerka  
perfum

*Dla mego syna Eddiego,  
zawsze, wiecznie...  
i jeszcze dłużej*

---

## Paryż zima 1954

---

Eva d'Orsey siedziała przy kuchennym stole z gazetą „Le Figaro” przed sobą. Słysząc było tykanie zegara, jakby wyznaczającego czas, który dla niej dochodził już kresu.

Zaciągnęła się papierosem i spojrzała na zimny mglisty poranek za oknem. Paryż budził się ze snu. Szaro-pomarańczowy świt powoli wsączał się w granat nieba. Nie spała już od dawna, wstała o czwartej. Od kilku lat cierpiała na coraz większą bezsenność, gdyż dręczący ból ulokowany po prawej stronie ciała nie pozwalał na długi sen.

Lekarz poddał się już wiele miesięcy temu. W jego opinii była arogancką pacjentką, nieprzestrzegającą lekarskich zaleceń. Marskość postępowała teraz bardzo szybko, zamieniając wątrobę w podziurawioną gąbczastą masę. Lekarz radził jedno: przestać pić.

– Nawet pani nie próbuje – zganił ją w czasie ostatniej wizyty.

Leżąc na lekarskiej kozetce, Eva zapinała guziki bluzki.

– Bardzo źle sypiam.

– Wcale się temu nie dziwię – westchnął. – Ma pani zapalenie wątroby.

– Proszę mi coś na to dać – poprosiła, patrząc mu prosto w oczy.

Lekarz pokręcił głową i wypisał receptę.

– Prawdę powiedziawszy, nie powinienem tego pani przepisywać. Proszę brać po jednej tabletkę, to bardzo silny środek – ostrzegł ją.

– Dziękuję.

Nie mógł sobie odmówić ostatniej rady.

– Czemu nie ograniczy pani chociaż papierosów?

Właśnie, czemu?

Eva wypuściła dym z ust i zgmiotła niedopałek gitane'a w popielniczce. Gitanes to pospolite i mocne papierosy. Nie dla dam. Lubiła je jednak, bo były mocne, słabszych już nie czuła. Podobnie rzecz się miała z innymi smakami: czekoladą – lubiła tanią i słodką – pikantnym pasztetem, mocną czarną kawą. Poza tym czy to ważne, co je? Nie miała apetytu na nic.

Przekonanie lekarza, że każdy chce żyć wiecznie, trąciło naiwną, a nawet zuchwałą pewnością siebie.

Rozważając w myślach ostatnie sprawy do załatwienia, kreśliła piórem rząd

regularnych kółek na marginesie gazety. Z prawnikiem widziała się kilka tygodni temu. Młody człowiek wydał się jej nieco wyniosły, choć solidny. Pudło zostawiła na przechowanie u dozorczyńni, madame Assange o ciągle kwaśnej minie. Ostatniej bezsennej nocy przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. Chodziło o podróż z Londynu do Paryża. Dlaczego by nie samolotem? Choć to drogie i na dobrą sprawę zbyteczne, taka podróż stanowi jedno z tych doświadczeń, których powinno się doznać.

Uśmiechnęła się na samo wyobrażenie lotu nad zimnym niebieskim morzem i pierwszego widoku miasta rozściełającego się w dole. Zaraz potem poczuła ostry kłujący ból przechodzący w martwienie całego boku ciała.

Przyszło jej na myśl, że ma butelkę koniaku. Nie chciała jednak pić przed szóstą wieczorem, taką sobie ostatnio wyznaczyła zasadę. Czy wytrzyma, to inna rzecz. Ręce zaczęły się jej trząść, poczuła ucisk w żołądku.

Nie. Zrobi sobie kąpiel. Ubierze się. Pójdzie na wieczorną mszę do Eglise de la Madeleine, jej ulubionego paryskiego kościoła. Maria Magdalena, ta nieposłuszna, trudna córka Kościoła, wznosi się tam codziennie w niebiosa, unoszona na skrzydłach aniołów.

Msza w kościele podobna jest wspaniałemu przedstawieniu operowemu, podczas którego za pomocą najdroższych rekwizytów wywołuje się magiczne sztuczki w otoczeniu najwystawniejszych dekoracji. Wiara to taka właśnie magiczna sztuczka – magik i widownia poddają się tej samej iluzji. Któż jednak może się oprzeć dobrej sztuczce?

Eva złożyła gazetę i wstała od stołu.

Ubierze się w najlepszy granatowy kostium i usiądzie w pierwszej ławce wraz z wiernymi. Będą słuchali młodego inteligentnego księdza o imieniu Paul, jak stara się wydobyć sens ze świętych tekstów w taki sposób, żeby miały jakieś odniesienie do współczesności. Nie zawsze mu się to udaje. Nie wie, jak wytłumaczyć brak spójności w owych tekstach, bo nie rozumiał jeszcze, że one same w sobie stanowią tajemnicę. Mimo to jego bystry umysł podobał się Evie, tak samo zresztą jak i jemu samemu. Często zmuszony był do żmudnego przedzierania się przez warstwy różnorodnych tłumaczeń z hebrajskiego, by znaleźć jakąś nieoczekiwaną formę czasownika, która rzuciłaby światło na kolejną ogromną sprzeczność świętych tekstów. Doceniała jego wysiłki, gdyż zawsze szanowała ludzi starających się przewyciężyć trudności, szczególnie gdy czynili to publicznie i jawnie.

Ksiądz, rzecz jasna, postrzegał to inaczej. Dopiero niedawno ukończył seminarium duchowne i wydawało mu się, że jest dla swych owieczek podporą tudzież źródłem pociechy i rady. Nie rozumiał, że jego parafianie, w przeważającej mierze starsze kobiety, istniały dla niego, a nie odwrotnie. To on był u progu życia, to jego górne przekonania wymagały ochrony. Parafianki czekały cierpliwie na chwilę,

kiedy i on ukorzy się przed nieubłaganą kapryśnością boskiej woli i łaski oraz boskiego zmiłowania.

Uspokoiła się. Poczęła znowu rozmyślać o znanych sobie paradoksach wiary i zwątpienia. Myśli te były jak stara szmatka, która po długotrwałym używaniu robi się miękka i przyjemna w dotyku.

Tak, najpierw msza, a potem pójdzie do biura podróży.

Wyrzuciła niedopałki i zaczęła myć popielniczkę. W zaułku pod oknami coś się poruszyło... jakby ruchomy cień bijący czarnymi skrzydłami i zasłaniający nikłe promyki zimowego słońca padające na mur naprzeciwno.

Nagle pamięć przywołała wspomnienie ogromnego lęku i powiązanego z nim zapachu zielonych pól i wilgotnego lasu – ponad którymi przetaczał się z krzykiem po szerokim niebie wielki klucz ostrodziobych kruków połyskujących czarnymi jak heban skrzydłami.

Eva chwyciła krawędź blatu i przymknęła oczy. Popielniczka wypadła jej z rąk i uderzając o porcelanowy zlew, rozbiła się na kilka kawałków.

– Niech to diabli!

Wyjrzała ostrożnie przez okno, serce wciąż jej waliło. Cień zniknął. Zapewne było to tylko stado zwyczajnych miejskich gołębi.

Zebrała skorupy i położyła je na blacie. Popielniczka była stara i tania, lecz przypominała jej dawne czasy, gdy życie niesło jeszcze wiele obietnic.

Zegar tykał głośno.

Wahanie nie trwało długo.

Zdjęła z półki butelkę koniaku i napełniła drżącymi rękoma kieliszek. Wychyliła go jednym haustem, co natychmiast ją ogrzało. Poczowała rozlewające się po ciele ciepło, ból trochę stępsiał.

Lekarz niczego nie rozumiał.

Nie wiedział, co to jest życie między pamięcią a żalem, bez szansy ukojenia.

Znowu napełniła kieliszek i powiodła palcem po nierównej krawędzi stłuczonego kawałka porcelany.

Sklei popielniczkę.

Wziąć kąpiel.

Włożyć granatowy kostium.

Wypiła następny łyk.

Pęknięcia nie mają już znaczenia.

---

## Londyn wiosna 1955

---

Grace Munroe przebudziła się, łapiąc gwałtownie oddech.

Biegła właśnie przez gęsty las, potykając się o nierówne podłoże i krzycząc, bo czegoś lub kogoś szukała. Im szybciej biegła, tym bardziej gęstniał las; pnącza okręcały stopy, gałęzie smagały po twarzy i kończynach. Czuła narastający lęk, że zostało już niewiele czasu, że cel poszukiwania coraz bardziej się oddala. Nagle potknęła się i spadła na łeb na szyję w głęboką kamienistą przepaść.

Dopiero po chwili zorientowała się, że leży na własnym łóżku. Serce wciąż jej waliło, w sypialni panował półmrok.

To był sen.

Tylko sen.

Zapaliła nocną lampkę i opadła z powrotem na poduszki. Serce galopowało dalej, ręce jej drżały. Wrócił koszmarny sen z dzieciństwa. Sądziła, że już z niego wyrosła, a oto znów ją dręczy.

Jak długo spała? Budzik pokazywał prawie szóstą trzydzieści. Niech to diabli.

Zamierzała się zdrzemnąć tylko kwadrans, a spała prawie godzinę.

Zaraz się zjawi Mallory, a ona jeszcze nieubrana. Grace nie miała ochoty wychodzić wieczorem, obiecała jednak przyjaciółce pójść razem z nią na przyjęcie.

Wstała i odsunęła zasłony w oknie wychodzącym na Woburn Square.

Było późne kwietniowe popołudnie. O tej porze roku godziny dnia wydłużają się, wyglądając tęsknie lata, a wczesne wieczorne światło barwi się delikatnym błękitem jak z porcelany Wedgwooda, zapowiadającym rychłe letnie ciepło. Na platanach okalających Woburn Square widniały już zalążki delikatnych zielonych pąków, które w lecie rozwiną się i utworzą gruby szmaragdowy baldachim. Na razie prawie nagie gałązki chwiały się w podmuchach lodowatego wiatru.

Ogród znajdujący się pośrodku placu w czasie wojny skopano i zamieniono na warzywnik, a żelazne ogrodzenie przetopiono na potrzeby wojenne. Nowego ogrodzenia jeszcze nie było, okoliczne domy ocalałe z bombardowań nosiły ślady po pożarach i szrapnelach.

W powietrzu czuć było zapowiedź czegoś nowego, zmianę pory roku i jakby powiew nadziei, tłumiony wprawdzie przez nadchodzący wieczór. Ćwierkały ptaki, z ziemi wychodziły hiacynty, narcyzy kołysały się na wietrze. O tej porze roku słoneczne ciepło mieszało się z chłodem zalegającym gdzieś w cieniach miasta.

Grace lubiła te wiosenne skrajności pogody; lubiła grę światła, które coraz łudziło oczy, lubiła tajemnicze, dramatyczne przemiany, gdy w jednej chwili grzmiało i lało, a zaraz potem triumfalnie wykwiwały całe pola barwnych żonkili.

Dotknęła palcami zimnej szyby. To nie był ich, jak to określał jej mąż Roger, prawdziwy dom. On planował zamieszkać w eleganckim miejscu, gdzieś bliżej Belgravii, Grace natomiast podobało się tu, w środku Bloomsbury, niedaleko uniwersytetu i King's College. Atmosfera przypominała tu trochę Oksford, gdzie mieszkała do niedawna w domu wuja. Było tu gwarno, pełno studentów spieszących na zajęcia i ludzi zmierzających do biur i urzędów. Na chodniku pod oknami widać było przechodniów owiniętych w płaszcze przeciwdeszczowe, jak skuleni, zziębnięci od wiatru tłumnie zmierzali po pracy do stacji metra.

Grace oparła głowę o framugę okna.

Musi być przyjemnie mieć jakąś posadę. Porządek na biurku. Świetnie zorganizowany segregator. A przede wszystkim – cel.

Teraz, gdy była mężatką, dzień nigdy nie miał określonego początku ani końca; przefruwała po prostu jak balon od jednej okazji towarzyskiej do drugiej.

Roger traktował obowiązki towarzyskie z wielką powagą. Omawiał szczegółowo każde spotkanie.

– Rozmawiałaś z kimś na obiedzie Klubu Konserwatystek? Koło kogo siedziałaś? Opowiedz mi, kto tam był.

Miał wyjątkowy talent odkrywania znaczeń kryjących się w każdej rozmowie i każdym ruchu.

– Posadzono cię przy pierwszym stole, z przodu. Doskonale. Nie zapomnij napisać do Mony Riley z podziękowaniem za zaproszenie. A może ty wydasz jakąś kolacyjkę? Albo jeszcze lepiej zaproś ją na podwieczorek i przy okazji może ci się uda wyłudzić zaproszenie na dużą kolację. Lepiej, aby nas zaprosili pierwsi. Żeby nie wyglądało, że się narzucamy.

Liczył na żonę, że będzie przecierała im szlaki w towarzystwie, podczas gdy Grace nie bardzo się do tej roli nadawała. Nie znajdowała w tych machinacjach towarzyskich żadnej przyjemności.

Teraz musi się pospieszyć, jeśli nie chce kazać Mallory na siebie czekać.

– Pani Deller! – zawołała przez otwarte drzwi sypialni na gosposię, która sprzątała na dole.

– Tak? – doszło z kuchni.

– Czy byłaby pani tak dobra i przyniosła mi filiżankę herbaty?

– Oczywiście, proszę pani.

Grace przeszła pospiesznie do łazienki i odświeżyła twarz zimną wodą. Spojrzała na swe odbicie w lustrze. Powinna doprawdy trochę się wysilić: kupić niebieski cień do powiek i czarny tusz, kredkę do brwi, zacząć malować modnie oczy.



Przypudrowała nos i policzki, pociągnęła usta czerwoną szminką. Długie do ramion włosy z wprawą upięła spinkami w koczek, nawet ich nie rozczesując. Zadzwoił dzwonek do drzwi wejściowych.

– Ach, do diabła!

Że też Mallory musiała akurat przyjść punktualnie!

Grace wyciągnęła z szafy koktajlową suknię z niebieskiego jedwabnego szantungu i rzuciła ją na łóżko. Zdjęła tweedową spódnicę i ściągnęła bluzkę przez głowę, nie odpinając nawet guzików.

Gdzie są granatowe pantofle?

Omiotła wzrokiem dół szafy. Poczowała, że przy schylaniu poszło jej oczko w pończosze.

– Co za przekleństwo!

Zaczęła odpinać podwiązki, gdy tymczasem z dołu dobiegały głosy; pani Deller otworzyła drzwi Mallory i pomagała jej zdjąć palto. Wkrótce przyjaciółka wbiegła po skrzypiących schodach na górę. Grace, siedząc na brzegu łóżka, wkładała nową parę pończoch.

– To tylko ja. Jesteś ubrana? – Mallory zapukała do drzwi.

– W halce. Prawie ubrana.

Mallory uchyliła drzwi i zajrzała do pokoju. Głowę miała całą w kasztanowych lokach, a na szyi perły harmonizujące z jej jasną karnacją.

– Jeszcze się nie przebrałaś? Przyjęcie już się zaczęło!

Grace zapięła podwiązki i podniosła się z brzegu łóżka.

– Czy nie jest teraz w modzie się spóźnić?

– Od kiedy zaczęłaś zwracać uwagę na modę?

Grace obróciła się wokół własnej osi.

– Mam równe szwy?

– Tak. Proszę. – Mallory wręczyła jej filiżankę, którą przyniosła z dołu. – Gosposia zrobiła ci herbatę.

– Dziękuję.

Grace upiła łyk. Mallory kręciła się po pokoju i w końcu przysiadła na poręczu fotela, uważając, by nie pognieść spódnicy szerokiej wieczorowej sukni.

– Co porabiałaś całe popołudnie? – spytała karcącym tonem.

– Och, nic takiego.

Grace wołała nie przyznawać się do tego, że ucięła sobie drzemkę w środku dnia, bo to mogłoby być uznane za początek końca.

– A ty? Co ty porabiałaś? – spytała.

– Dopiero przed godziną wyszłam od fryzjera – tu Mallory obróciła głowę, pokazując uroczy profil oraz dzieło fryzjera. – Pan Hugo to naprawdę jedyna osoba w całym Londynie, której mogę pozwolić dotykać moich włosów. Też powinnaś się do

niego wybrać. To cudotwórca. Masz może papierosa?

– Tam leżą. – Grace wskazała ruchem głowy na srebrną kasetkę stojącą na stole. Upiła łyk herbaty i odstawiła filiżankę na toaletkę.

Mallory wyjęła papierosa z kasetki.

– Co dziś wkładasz?

– Tę niebieską.

– Swoją starą wierną towarzyszkę! – zaśmiała się Mallory, kręcąc głową. – Musimy koniecznie wybrać się na zakupy, moja droga. Tyle jest teraz w sklepach pięknych rzeczy.

Mallory była tylko trzy lata starsza od Grace, miała trzydzieści lat, znana była w londyńskim towarzystwie jako modna młoda dama. Wyszła za mąż za kuzyna Grace, Geoffreya. Usiłowała wziąć przyjaciółkę pod swe skrzydła, lecz Grace okazała się odporna na jej pouczenia.

– Nie podoba ci się? – spytała Grace.

Mallory wzruszyła ramionami.

– Jest w porządku.

Grace uniosła sukienkę.

– Czegóż takiego jej brakuje?

– Och, sama nie wiem. Tylko, pamiętaj, u Vanessy wszystko jest zawsze ostatnim krzykiem mody. Najnowszy trend na pięćdziesiąty szósty rok...

– To niesłychane, skoro mamy dopiero pięćdziesiąty piąty.

– To właśnie mam na myśli! Ona zawsze wyprzedza czas.

– Dobrze, ale ja nie muszę się z nią ścigać, prawda? Nie wszyscy mogą wyznaczać kierunki mody. Ona ma po prostu za dużo wolnego czasu i za dużo pieniędzy.

– Być może, ale wszyscy się pchają na jej przyjęcia. Ty też powinnaś zacząć przyjmować gości. Dzisiaj będzie świetna okazja, żebyś przechwyciła kilka nazwisk z jej listy zaproszonych. Mam w torebce notesik i ołówki w razie potrzeby.

– Dobry Boże! – wstrząsnęła się Grace. – Na samą myśl robi mi się słabo!

– Och, doprawdy! – przewróciła oczyma Mallory. – A kogo przyjmowałaś w Oksfordzie?

– Wuj jest profesorem. Zapraszaliśmy na brydża, a na kolację podawało się zapiekanekę z kalafiora pod beszamelem.

– Koszmar! – zaśmiała się Mallory. – Będziesz musiała się nauczyć, jak się obracać w towarzystwie, jeśli chcesz się przydać mężowi. Nie zajdzie wysoko tylko z tej racji, że jest przystojny. Nie masz ognia? Jak ci się podoba?

Mallory wstała i okręciła się. Obszerna marszczona spódnica ciemnoczerwonej sukni bez ramiączek zawirowała.

– Nowa. Od Simpsona.

– Bardzo twarzowa – odparła Grace, zakładając niebieską suknię. – Zapalniczka powinna tam leżeć.

Mallory grzebała w kasetce.

– Nie widzę. Pozwól, że cię zapnę – powiedziała, wkładając papierosa w kącik idealnie uszminekowanych na czerwono ust.

Grace stanęła przed nią, Mallory zaciągnęła z tyłu suwak.

– Roger musiał ją zabrać. Bez przerwy gubimy zapalniczki. Ta jest moja ulubiona, zabiję go, jeśli ją zgubi.

Mallory zebrała w rękę co najmniej dwa cale luźnego materiału wokół talii Grace.

– Za duża na ciebie. Znowu schudłaś – powiedziała z naganą w głosie.

Grace przeszła do toaletki i wyjęła z szufladki pudełko zapalek. Rzuciła je w stronę przyjaciółki, ta zaś złapała je zrecznie.

– Przypal też dla mnie, bądź tak dobra.

– Z przyjemnością. Przecież idę dziś z tobą na randkę.

– Bardzo ci za to dziękuję. – Mówiąc to, uchwyciła spojrzenie Mallory w lustrze i mrugnęła do niej. Doceniała fakt, że przyjaciółka stara się jakoś jej pomóc.

– Miło z twojej strony, że mnie zaprosiłaś.

– Nie możemy pozwolić, byś nam więdła, kiedy Rogera nie ma w Londynie.

Zapaliła dwa papierosy i podała jeden przyjaciółce.

– Poza tym nieczęsto mam okazję zamienić męża na kogoś, kto mnie uważnie słucha. On zresztą nie znosi Vanessy, uważa, że wywiera na mnie zły wpływ.

– A wywiera?

– Naturalnie.

Mallory podniosła leżącą na stosie książek broszurę.

– Co to takiego?

– Nic – odrzekła Grace, żałując, że przezornie nie usunęła jej w niewidoczne miejsce. – Grafiki zajęć.

– Oksfordzkiej Szkoły dla Sekretarek? – Mallory przerzuciła kartki broszurki, która otworzyła się oczywiście na stronie zaznaczonej uprzednio przez Grace. – Kurs maszynopisania wyższego stopnia i zarządzania biurowego? Księgowości? Co to ma być? – spytała, krzywiąc twarz.

– Nigdy nie wiadomo – odparła Grace, wsuwając stopy w granatowe pantofle. – Może się przydać. Może Roger otworzy kiedyś własne biuro, wtedy będę mu mogła pomagać, pisać listy...

– Grace, przecież ty masz już zajęcie – powiedziała z naciskiem Mallory. – Jesteś jego żoną.

– To nie jest praca, Mal.

Mallory rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Jak to nie? Ciekawa jestem, czy przeczytałaś dokładnie wszystkie załączniki

swego dokumentu ślubnego. Twoim zadaniem jest stworzyć dom, rodzinę, wizję wspólnego życia, pozycji w świecie. Pomyśl tylko, wszystko zależy od ciebie: gdzie posyłacie dzieci do szkoły, dokąd jeździcie na weekendy, w jakich kręgach się obracacie. – Przybrała charakterystyczny sztuczny akcent z wyższych sfer. – Och, państwo Munroe? Znam ich, oczywiście. Czyż ona nie jest wspaniała? Ich syn jest w Harrow razem z naszym najstarszym. A jak wspaniale urządziła dom, nie uważasz? – Mallory zaciągnęła się papierosem i szurnęła broszurę z powrotem na stół. – A więc uwierz mi, skarbie, masz już zajęcie. Poza tym te kursy są w Oksfordzie. Ile razy mam ci przypominać, że mieszkasz teraz w Londynie?

– To krótki kurs, trwa tylko kilka miesięcy.

– Kilka miesięcy? Oszalałaś? Zostawisz Rogera samego na tyle czasu? Co on będzie wtedy robił? Możesz uczyć się czegoś pożytecznego w Londynie w wolnych chwilach.

– Czego na przykład?

– Och, nie wiem... – Mallory nigdy się nie zastanawiała nad zdobywaniem kwalifikacji. – Układania kwiatów. Albo gry na harfie.

– Gry na harfie? Co w tym jest pożytecznego?

Mallory się zastanowiła.

– Harfa działa bardzo kojąco. No i siedzi się w takiej prowokującej pozycji!

– Boże drogi, ale ty jesteś zdeprawowana! – zaśmiała się Grace. – Powiem ci, co naprawdę działa kojąco: uporządkować segregatory, zamówić nowe materiały biurowe, wyprowadzić księgowość na prostą.

– Grace... – Mallory wyrzuciła w górę ręce w dramatycznym geście. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nie mieszkasz już w Oksfordzie. Wyznam ci coś w sekrecie. – Zniżyła głos do scenicznego szeptu. – Mężczyźni nie przepadają za inteligentnymi żonami, wolą mieć żony pełne wdzięku!

– Nie! – Grace udała przerażenie. – Uważasz więc, że jestem pozbawiona wdzięku?

Mallory przewróciła oczami.

– Skąd, jesteś zachwycająca. Mówię tylko, że...

– Rozumiem – przerwała jej Grace. Nie ma sensu spierać się z Mallory, bo i tak nie sposób jej przekonać. Wciąż wysuwa nowe pomysły, jak by tu poprawić talenty Grace jako pani domu, najwyraźniej przeświadczona, że przyjaciółka ich nie posiada. Dlaczego dzisiaj miałyby być inaczej?

Mallory sprawdzała teraz w lusterku puderniczki, czy ma dobrze umalowane usta.

– Kiedy Roger wraca?

– Za tydzień. Może trochę wcześniej.

– Tyle czasu poświęca interesom. Pewnie ci go brak.

Grace milczała.

– Zapomnisz o tych wszystkich głupstwach, gdy wróci. Masz jakiś pasek? – Mallory podniosła się z fotela. – Och, doprawdy! Czy nikt cię nie uświadomił, że w pierwszych latach po ślubie powinnaś przybrać na wadze? Jak mam rozpieszczać maleństwa w roli matki chrzestnej, jeśli ty nie zabierasz się do roboty?

Grace zmieniła się na twarzy.

– Chyba nie mam żadnego paska – powiedziała spokojnie, przeglądając suknie wiszące w szafie.

Mallory uznała, że dotknęła czułego punktu.

– Proszę. – Wyciągnęła czarną aksamitną szarfę z innej wieczorowej sukienki i okręciła nią talię Grace. – Ta świetnie pasuje.

Tego wieczoru Grace wydała się jej drobniejsza i młodsza niż zwykle, jakby była dziewczynką przebierającą się dla zabawy w matczyne stroje. Staroświecka fryzura, bardziej odpowiednia dla starszej kobiety, jeszcze mocniej podkreślała młodzieńczy wygląd przyjaciółki, a jej szeroko osadzone zielonoszare oczy wydawały się jeszcze większe.

– Jak myślisz, dobrze wyglądam? – Grace przeglądała się w lustrze z niepewną miną.

Zazwyczaj Grace nie zwracała uwagi na to, co kto myśli o jej wyglądzie. Mallory nagle uświadomiła sobie, że zawsze skrycie podziwiała ten jej brak troski o opinię otoczenia, mimo że bez przerwy obie się przekomarzały.

– Wyglądasz wspaniale. – Mallory wydała werdykt. – Pospieszmy się, bo wkrótce będzie po przyjęciu.

Zeszły ze schodów. Grace rzuciła okiem na listy, które doręczono w drugiej poczcie.

– Spójrz! – Podniosła kopertę leżącą na stoliku w holu. – Lotniczy! Z Francji. A to ci niespodzianka! Kogóż ja znam we Francji? – Grace rozdarła kopertę.

– Może od wuja? – spytała Mallory, wkładając płaszcz.

– Nie, on ma wykłady w Ameryce. – Grace rozłożyła list i zaczęła go czytać.

Mallory niecierpliwie tupnęła lekko stopą.

– Chodźmy już. – Wyjęła z kieszeni kluczyki do auta. – Więc co to za list?

– Nic z niego nie rozumiem – odparła Grace.

– Napisany po francusku?

– Nie, po angielsku. – Grace przysiadła na krześle. – Jest też bilet lotniczy.

– Bilet? Dokąd?

– Do Paryża. – Grace wręczyła list przyjaciółce. – To jakaś pomyłka. Bardzo dziwaczna pomyłka.

List był napisany na maszynie, na grubym i eleganckim papierze używanym zazwyczaj do korespondencji w ważnych formalnych sprawach. W rogu widniały nazwa i adres firmy adwokackiej: Frank, Levin et Beaumont.

*Szanowna Pani,  
prosimy przyjąć nasze najszczerze kondolencje. Sprawy spadkowe zmarłej  
Madame Evy d'Orsey znajdują się w rękach naszej firmy, pragniemy zatem  
panią poinformować, że zgodnie z testamentem jest Pani jej główną  
spadkobierczynią. Spodziewamy się wizyty Pani w naszym biurze przy  
najbliższej sposobności w celu omówienia wszystkich szczegółów spadku.*

*Prosimy wybaczyć, że zakłócamy Pani żałobę. Mamy nadzieję, że będzie  
Pani rada z naszych usług i pomocy.*

*Z poważaniem,  
Edouard A. Tissot*

– Och! – Mallory podniosła głowę znad listu. – Bardzo mi przykro, nie miałam pojęcia, że niedawno straciłaś kogoś bliskiego.

– Ja też nie miałam o tym pojęcia.

– Słucham?

– Nigdy w życiu nie spotkałam tej Evy d'Orsey. Nie wiem, kto to jest.

Vanessa Maxwell umiała wydawać przyjęcia. Był to jej największy talent, który niewątpliwie zostanie w pamięci wszystkich przyjaciół i znajomych, nawet gdy ona sama zejdzie już z tego świata.

Naczelną zasadą owych rautów było to, że prawie zawsze wydarzały się spontanicznie. W odróżnieniu od innych dam z towarzystwa, które rozsyłały zaproszenia na miesiąc z góry, Vanessa rozumiała doskonale, że sukces przyjęcia zależy od delikatnej równowagi między oczekiwaniem a spełnieniem; gdy czas między jednym a drugim niepotrzebnie się wydłużał, można było się spodziewać jedynie znużenia i zubożenia. Poza tym tylko przyjęcia, które wymagały gorączkowego przetasowania uprzednich zobowiązań, wykrętów i prób lojalności, były coś warte.

Oprócz tego Vanessa miała bezwzględne zasady przy tworzeniu listy gości. Prawie nigdy nie zapraszała tych, u których kiedyś była. Słyszała z tego, że bywali u niej ludzie dopiero co gdzieś poznani, z reguły w ogóle do siebie niepasujący, a wręcz potencjalnie skonfliktowani. Starszych jegomościów ze świata polityki sadzała obok aktoreczek, członków rodziny królewskiej naprzeciwko proletariackich autorów sztuk teatralnych; kiedyś posłała szofera do klubu Floryda, skąd ten przywiózł cały zespół jazzowy porwany prosto ze sceny oraz na dodatek sześciu tancerzy z męskiego kabaretu z Soho, by „trochę przyjęcie ożywić”.

Do tego gromadziła gości w zbyt małych i zbyt jaskrawo oświetlonych wnętrzach, co powodowało, że panował tłok i ścisk, wszyscy ocierali się o siebie nawzajem, a czasami kończyli na czyichś kolanach. Każda inna gospodyni przyjęcia dbała o miękkie światła i wygodne kanapy, co oczywiście gości rozleniwiła, Vanessa

natomiast zgarniała ludzi do ciasnego pubu w Shepherd Market, kazała się im tłoczyć wokół jakiegoś komunalnego basenu albo na balkonie prywatnego klubu. Goście musieli się przekrzykiwać, polować na kieliszki szybko znikające ze srebrnych tac oraz w żaden sposób nie mogli uniknąć bezpośredniego sąsiedztwa obcych rąk, nóg i intymnych rozmów.

Panował na tych zgromadzeniach nastrój pewnego podniecającego niebezpieczeństwa i balansowania na krawędzi. Sławne się stało jedno z jej przyjęć, na którym wynajęci aktorzy odgrywali role kelnerów, a jeden z nich rolę gościa fatalnie zatrutego przystawką. Pozostali goście zostali wciągnięci w dochodzenie, a zanim zjawiała się policja, oni sami padali ofiarą kolejnych przestępstw.

Za pomocą tego rodzaju aranżacji pani Maxwell wywindowała się na sam szczyt modnego londyńskiego towarzystwa, pociągając za sobą męża, przedsiębiorcę w branży tytoniowej.

Grace szła do Vanessy po raz pierwszy; z całą pewnością nie poruszała się w tych samych kręgach co Maxwellowie, choć Roger znał Phillipa Maxwella z kontaktów w interesach, a Vanessę jeszcze z jej czasów przedmażeńskich, gdy sam był kawalerem. Wychowana na prowincji Grace była kimś z zewnątrz.

Mallory natomiast już dwukrotnie gościła u Vanessy i bardzo cieszyło ją to wyróżnienie, choć nie dawała tego po sobie poznać. To ona pierwsza wpadła do wody na sławnym przyjęciu na basenie i oczarowała wszystkich, gdy ze spokojną nonszalancją, jak gdyby nigdy nic, do końca wieczoru przechadzała się w ociekającej wodą sukni.

Tym razem przyjęcie miało być względnie spokojne, gdyż jego celem była zbiórka funduszków na kampanię wyborczą Anthony'ego Edena, którego Maxwellowie, lojalni torysi, popierali. Churchill wyznaczył Edena niejako na swego naturalnego następcę, a ten ogłosił wybory powszechne na dwudziestego szóstego maja pod hasłem „Pokój przede wszystkim”, co współgrało z odczuciem narodu, wciąż jeszcze zmęczonego po stratach i zmaganiach wojennych.

By podkreślić nadchodzący nowy etap rozwoju kraju, Vanessa zorganizowała naprędce letni kiermasz w oranżerii Pałacu Kensington, z tradycyjnymi gramami i rozrywkami w postaci strącania orzechów kokosowych, zanurzania w kadzi, rzutów podkową, biegów z jajkiem na łyżce, popisów zonglerskich i przejażdżek na kucyku ze szklankami Pimm's, z salaterkami lodów truskawkowych, kanapek z kawiozem i z kieliszkami szampana. Jedynie ceny nie wyrażały się w pensach, jak to bywa na takich festynach, lecz w funtach, a stragany obsługiwały sławne osobistości, znane z ekranu i teatru.

Przyjaciółki zorientowały się od razu, że wśród obecnych znajduje się większa część londyńskiej śmietanki towarzyskiej. Nad wejściem wisiał wielki transparent z napisem „Zjednoczeni w pokoju i postępie”. Wszyscy się wzajemnie nawoływali i

pozdrawiali, tłum falował jak morze, ciężka chmura dymu z papierosów wisiała nad zgromadzeniem, a rytmiczne dźwięki orkiestry dętej pulsowały niczym bicie zespołowego serca.

Grace i Mallory ujęły się za ręce i wkroczyły w tłum.

– Widzisz ją? – Grace omiotła wzrokiem balkon oranżerii.

– Tam! – odpowiedziała Mallory, machając jednocześnie ręką do niewysokiej ciemnowłosej kobiety stojącej w grupie ludzi w drugim końcu pomieszczenia.

Pociągnęła Grace za sobą.

– Vanessa!

Pani Maxwell zwróciła ku nim głowę. Była to osoba o regularnych, dość ostrych rysach i niewielkich, głęboko osadzonych oczach, ubrana w zwiewną wieczorową suknię z czarnych szyfonowych falban. Mimo niskiego wzrostu odznaczała się świetną figurą, która nadawała jej wyjątkowy wdzięk. W porównaniu z nią inne kobiety wyglądały topornie. Witaała gości swobodnie i jakby od niechcienia, lustrując ich pobieżnie jak przy wyborze statystów do filmu. Wszystko w jej wyglądzie było idealne w najmniejszym szczególe, od prostego przedziałka we włosach, wspaniałych szmaragdów w uszach i długich szczupłych palców zakończonych bladokremowymi lakierowanymi paznokciami po bukietek różyczek przy pasku w dokładnie takim samym kolorze. Uśmiechnęła się na przywitanie, zaciągając się niespiesznie papierosem.

– Witam, drogie panie! Mam nadzieję, że szczęście będzie wam sprzyjać. Na loterii wystawiony jest złoty zegarek od Aspreya, bilety idą jak woda. Ten nowy komik Benny Hill będzie prowadził loterię.

– Ten z telewizji? – spytała Mallory.

– We własnej osobie. Muszę wam powiedzieć, że na żywo wygląda zupełnie inaczej!

– Jak go zdobyłaś?

– Jak zawsze, czyli czystą bezczelnością. – Tu zwróciła się do Grace, patrząc na nią uważnie spod ciężkich powiek. – Chyba się nie znamy.

– Och, poznaj moją przyjaciółkę: Grace Munroe, żona Rogera.

– Dzień dobry. – Grace wyciągnęła rękę. – Dziękuję za zaproszenie. Co za wydarzenie... po prostu niesłychane!

Vanessa uścisnęła podaną jej dłoń i przechyliła głowę.

– Więc to pani jest żoną Rogera. Wszyscyśmy się zastanawiali, gdzie on nam umknął. – Znowu zaciągnąwszy się głęboko papierosem, przyglądała się badawczo Grace, jakby ta była jakimś rzadkim obiektem muzealnym. – Pani jest spokrewniona z lordem Royce'em, prawda?

– To mój kuzyn ze strony matki. Odziedziczył tytuł po moim dziadku.

– Ach tak. – Vanessa wypuściła wielki kłęb dymu przez nos. – Pani jest naprawdę



bardzo ładna.

Grace zarumieniała się lekko, czując się jak nieśmiałe dziecko przyprowadzone przed pójściem do łóżka do salonu, żeby popisało się przed krewnymi dobrym wychowaniem.

– Dziękuję.

– A gdzie to pani mąż przebywa?

– W Szkocji. W interesach.

– To musi być dla pani okropne. A może – tu uniosła brew – bardzo fortunne. Jeśli o mnie chodzi, Phillip może sobie wyjeżdżać, ile chce, im częściej, tym lepiej.

– Wspaniale to pani zorganizowała. – Grace zmieniła temat. – Na pewno zbierze się mnóstwo pieniędzy.

– Staram się, jak mogę. Proszę, rozglądajcie się, panie, dalej – rzuciła Vanessa, zegnając je gestem i zwracając się ku nowym gościom. – I kupcie masę biletów na wszystkie atrakcje, moje drogie. Chodzi o dobro kraju. – Uśmiechnęła się do Grace. – Bardzo miło było panią poznać. Naprawdę.

– Napijmy się czegoś – zaproponowała Mallory, kierując się ku bufetowi. – Muszę ci powiedzieć, że mam ochotę na ten złoty zegarek.

– Skąd Vanessa wie tyle o mojej rodzinie? – zdziwiła się Grace.

– Nie wiem. Być może wszyscy to wiedzą. Czemu pytasz?

– Och, bez powodu. – Grace zmarszczyła czoło. – W rodzinie chodzą słuchy, że mój kuzyn będzie zmuszony wkrótce sprzedać tę posiadłość. Roger jest tym zmartwiony, ale cóż, te stare dobra pochłaniają ogromne pieniądze, wszystko tonie w długach.

Mallory uścisnęła przyjaźnie jej dłoń.

– Nie trap się tym dzisiaj, kochanie. Vanessa pewnie tylko przypadkiem wspomniała o twojej rodzinie.

Grace nie sądziła, że będzie się dobrze bawić, lecz niespodziewanie wieczór okazał się bardzo przyjemny. Metoda Vanessy, żeby spraszać mnóstwo gości, skutkowałą nawiązywaniem łatwych i bezpośrednich rozmów, a gry wywoływały u gości dziecianną chęć rywalizacji. Mallory straciła prawie pięć funtów w rzutach do orzechów kokosowych, aż w końcu wygrała w grze przytapiania w kadzi, gdy jej ofiarą została wschodząca gwiazdeczka filmowa z wytwórni Ranka, co wywołało niesłychaną radość wśród panów. Grace natomiast okazała wielki talent w rzutach podkową, choć musiała ustąpić pola księżnej Kentu. Ani jedna, ani druga przyjaciółka nie wygrała złotego zegarka, za to obie objadły się kanapkami z kawiozem i wypily po kilka kieliszków szampana. Grace dojrzała nawet w tłumie kilka znajomych osób.

W pewnym momencie Mallory dostrzegła Phillipa Maxwella, we fraku i w cylindrze, obsługującego stoisko z grą pod nazwą „Zagadki pamięci”.

– Spójrz! – krzyknęła w podnieceniu. – Graliśmy w to w dzieciństwie. Jestem w

tym świetna. Chodź, zagramy przeciwko sobie. – Pociągnęła Grace za rękę.

– Nigdy w to nie grałam, o co tu chodzi? – Grace patrzyła na rząd różnej wielkości tac stojących na ladzie. Każda była przykryta ściereczką.

– Najłatwiejsza gra pod słońcem, drogie panie! – Phillip Maxwell uchylił kapelusza i skłonił się z teatralną przesadą. – Na każdej tacy leżą różne przedmioty, w liczbie od piętnastu wzwyż. Odkryję tacę, a po minucie zasłonę znowu. Grający ma minutę na zapisanie wszystkiego, co zapamiętał. Wygrywa ten, kto zapamięta najwięcej przedmiotów.

– To wszystko? – Wyglądało to na prostą grę. – Świetnie, Mallory, gramy.

Każda dostała od Phillipa ołówek i kartkę.

– Tylko proszę nie pisać, dopóki z powrotem nie przykryję tacy. Raz, dwa, start!

Podniósł ściereczkę i odmierzył minutę na stoperze, po czym znowu nakrył tacę.

Mallory zaczęła pospiesznie gryzmolić na papierze, Grace natomiast stała bez ruchu.

– Koniec! – zawołał Maxwell. – Proszę o kartki!

Mallory wręczyła mu swoją.

– Nie napisałaś ani słowa – zwróciła się do przyjaciółki.

– Bo nie musiałam – odpowiedziała z uśmiechem Grace.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Pamiętam i tak.

Mallory i Maxwell spojrzeli na siebie.

– W takim razie proszę! Kawa na ławę!

Grace odetchnęła głęboko.

– Naparstek, cztery igły różnej wielkości wpięte w poduszeczkę w kształcie zielonego pomidora, czerwona gumowa piłeczka, pudełko Bromo, dwa szylingi, jeden orzeł, drugi reszka, pierścionek ze szmaragdowym szkiełkiem, nóż do otwierania listów z rączką z masy perłowej, zaklejona koperta zaadresowana do przywódcy laburzystów, szylkretowy grzebień, piersiówka w skórzanym futerale, kwitek z księgarni Ogdena w Bloomsbury na dwie książki na łączną sumę jednego funta i dwóch szylingów, złożona mapa drogowa hrabstwa Dorset, pusta paczka po chesterfieldach, żeton na karuzelę, porcelanowa solniczka w kształcie kaczki, pilnik do paznokci i łyżeczka do herbaty z monogramem VM wygrawerowanym na trzonku.

Mallory zatrzepotała rzęsami, a Maxwell wlepił oczy w zawartość tacy.

– Wielkie nieba, to jakiś cud! – wykrzyknął.

– Jak ty to robisz? – spytała Mallory.

Grace oblała się rumieńcem i potrząsnęła głową.

– Nie wiem. To zupełnie nieprzydatny talent, prawdę mówiąc.

– Spróbuj jeszcze jedną. – Mallory wskazała na większą tacę. – Tę.

Maxwell odkrył tacę na minutę i potem zasłonił ją ściereczką.

– A dostanę za to jeszcze jeden kieliszek? – zażartowała Grace.

– Jak najbardziej!

– Czarny skórkowy notesik ze złotym ołówkiem, kłębek sznurka, dwa rogowe guziki, chyba od swetra... – Grace wyrecytowała listę dwudziestu przedmiotów ze szczegółami, wszystko w zgodzie z zawartością tacy.

Wokół nich zebrał się tłumek gości.

– Jak ona to robi?

– Nie musi nawet nic zapisywać!

– Oszukuje! – krzyknął ktoś z obecnych.

– Nic z tych rzeczy! – zaprotestowała Mallory. – Gra w to po raz pierwszy w życiu.

– Nie wierzę – odezwał się ktoś inny. – Wszystko to zostało ukartowane.

– Specjalnie ją wynająłeś, panie Maxwell? Dla żartu?

– Skądże znowu – zapewnił widzów Phillip. – Wszystko jest absolutnie zgodne z przepisami.

– Tak jak wasi kandydaci w wyborach?

Rozległ się gromki śmiech.

Tłum gęstniał.

– Niech zrobi to jeszcze raz!

– Teraz naprawdę ją przyciśnij!

Grace chwyciła dłoń Mallory.

– Chodźmy stąd – szepnęła.

– Nie możemy teraz odejść. Oskarżono cię o oszukiwanie, jeśli pójdziemy, to będzie wyglądało, że przyznajesz się do winy. Poza tym wygrywasz – uśmiechnęła się Mallory.

Phillip Maxwell też się świetnie bawił.

– Doskonale – oznajmił, wysypując zawartość jednej z tac na ladę. – Teraz damy tej młodej damie prawdziwe wyzwanie!

Szepnął coś na ucho jednemu z kelnerów, ten oddalił się pospiesznie, by za niedługą chwilę wrócić z czarną wieczorową torebką nabijaną dżetami.

Maxwell podniósł ją w górę teatralnym gestem.

– Panie i panowie, oto torebka mojej żony! Kto wie, jakie skrywa tajemnice!

Znowu śmiech.

– Nasza młoda dama żadną miarą nie może wiedzieć, co się w tej torbie znajduje – nawet ja nie mam o tym pojęcia i prawdę mówiąc, nie bardzo chcę wiedzieć!

Zgromadzeni zaśmiali się, a niektórzy nawet zaklaskali.

– Żeby utrudnić zadanie, tym razem odkryję tacę tylko na pół minuty! Proszę się odwrócić – wydał polecenie Grace, która wykonała je bez protestu. Stała teraz twarzą do widzów, słyszała, jak za jej plecami Maxwell wysypał zawartość torebki i ułożył

rzeczy na tacy.

Wszystko było gotowe.

Mallory ujęła Grace za ramię.

– Zaczynamy?

Grace skinęła głową.

Odwróciła się z powrotem do Phillipa, który zdjął nakrycie z tacy i po trzydziestu odmierzonych stoperem sekundach położył je z powrotem.

– Mierzę pani czas – teraz! – powiedział, włączając znowu stoper.

Grace się skupiła.

– Chusteczka do nosa z monogramem VM wyhaftowanym białą jedwabną nicią w rogu, puderniczka z emalii w zielonym i złotym kolorze, szminka marki Hiver, portmonetka z krokodylej skóry, blaszane pudełeczko z proszkami od bólu głowy Wilsona, srebrna papierośnica, połowa batonika Cadbury w rozdartym papierku, puste pudełko po zapałkach z hotelu Carlisle, zużyty bilet do kina Regent w Edynburgu na siódmą dwadzieścia, płaski kluczyk do drzwi, złota zapalniczka inkrustowana masą perłową...

Tu Grace nagle zbladła i urwała.

– Złota zapalniczka inkrustowana masą perłową – powtórzyła powoli – z napisem „Zawsze i na wieki” wygrawerowanym z boku.

Rozległy się entuzjastyczne oklaski.

– Niesłychane! – zawołał podekscytowany Maxwell. – Jak mogła pani dostrzec ten grawerunek?

Grace jakby go nie słyszała.

– Przepraszam, czy nie powiedział pan, że to zawartość torebki pańskiej żony?

– Jak najbardziej – uśmiechnął się do niej szeroko. – Proszę państwa, proszę o gorętsze oklaski dla naszej zwyciężczyni! Zmieniam nazwę stoiska na „Pani Pamięć”!

Tłumek szalał z radości.

Grace ruszyła do wyjścia, poklepywana po plecach przez widzów.

– Gratulacje!

– Co za pokaz!

– Co za talent!

Czuła się jak we śnie. W głowie jej dudniło, dłonie miała mokre od potu, myślała tylko o jednej okropnej rzeczy.

To nie może być prawda.

Nie może.

Zostało jej tylko kilka kroków do drzwi wyjściowych.

– Ależ im pokazałaś! – Mallory dogoniła ją. – Dokąd idziesz? Zaczekaj, chcę cię zabrać na wino... Co się dzieje, Grace?

– Zostaw mnie. – Grace wyrwała się przyjaciółce, wyszła na zewnątrz i

zwymiotowała w krzaki.

– Wielkie nieba! Co ci jest? Jakiś nagły atak nerwów? – Mallory wyciągnęła z torebki chusteczkę i podała ją przyjaciółce. – Tylko spokojnie, wszystko będzie dobrze. Uważaj na buty. Na moje też.

Mallory cofnęła się trochę.

Grace wytarła usta i przysiadła na stopniu.

– Może to z powodu jakiegoś jedzenia? – Mallory usiadła obok.

– Nie.

– Może wypiałś za dużo szampana? A może to ten kawior. Ojej, ja też go jadłam.

– Mal... – Grace ledwie zdołała wydobyć z siebie głos – to była moja zapalniczka.

– Co takiego?

– Mam tę zapalniczkę po ojcu. To moja jedyna pamiątka po nim.

– Jaką zapalniczkę? O czym ty mówisz?

– O zapalniczce na tacy.

Mallory w końcu pojęła, o co przyjaciółce chodzi.

– Naprawdę? Skąd się wzięła w torebce Vanessy?

Grace spojrzała jej prosto w oczy.

– Było tam też pudełko zapalek. Z hotelu Carlisle.

Mallory wyraźnie nie rozumiała, o co chodzi.

– Hotel Carlisle jest w Szkocji. Kino Regent również – powiedziała Grace napiętym głosem. – Mój mąż też.

– Masz na myśli... och. – Mallory w końcu pojęła, o czym przyjaciółka mówi.

Grace oparła głowę na kolanach.

Wieczór był piękny i świeży. Dochodziły do nich dźwięki orkiestry i salwy śmiechu, przyjęcie najwyraźniej toczyło się bardzo wesoło.

Przyjaciółki siedziały w milczeniu.

W końcu Mallory wstała.

– Idziemy, kochanie, robi się chłodno. Zawiozę cię do domu.

Grace też się podniosła.

– Chcę ją dostać z powrotem.

– Co takiego?

– Zapalniczkę.

Mallory spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Grace, opanuj się. Daj sobie spokój.

– To zapalniczka mojego ojca – powiedziała Grace z nagłą siłą. Nigdy przedtem Mallory nie widziała jej tak zdeterminowanej. – To jedyna rzecz, jaką po nim mam. Muszę ją odzyskać. – Z tymi słowami skierowała się z powrotem ku wejściu.

Mallory stanęła jej na drodze.

– W takim razie ja ją wydostanę. Rozumiesz? Pozwól mi się tym zająć. Przeżyłaś szok i teraz możesz tylko sprawę pogorszyć. Zabieram cię do domu. – Objęła Grace stanowczym gestem.

– Szkoda, że nie chcesz, żebym ci towarzyszyła.

Trzy dni po festynie Mallory znowu znalazła się w holu domu przy Woburn Square, tym razem asystując w przygotowaniach przyjaciółki do wyjazdu. Grace zapięła guziki prochowca i poprawiła w lustrze kapelusz.

– Dam sobie radę – odparła, naciągając rękawiczki.

– Nie jestem pewna. Mówię po francusku lepiej niż ty.

– To nie taka sztuka – uśmiechnęła się Grace. – Jestem ci wdzięczna, że podwozisz mnie na lotnisko.

Przyjaciółki wyszły z domu w poranną mgłę. Mallory ulokowała walizkę Grace w bagażniku. Usadowały się obie w błękitnym aucie marki Aston Martin DB2.

– Rozmawiałaś z nim? – spytała Mallory.

– Zamieniliśmy tylko kilka słów. Powiedziałam mu, że muszę nagle jechać do Francji w pewnej sprawie.

– To wszystko, co mu powiedziałaś?

– Tak. Nie wdawałam się w szczegóły. – Po czym dodała cicho: – Zresztą on nie pytał.

– Hm... – Mallory pomyślała, że sprawy mają się gorzej, niż podejrzewała. Zapuściła silnik. – Nie bardzo mi się podoba, że jedziesz sama. – Włączyła się energicznie w ruch na jezdni, wyprzedzając platformę mleczarza. – Wszystko to stało się tak nagle. Ale cóż, przyznaję, że przeżyłaś okropny szok. Powtórz dokładnie jeszcze raz, co powiedzieli ci prawnicy w Paryżu, gdy do nich zadzwoniłaś.

Grace westchnęła. Opowiadała to już kilka razy.

– Odebrał człowiek o nazwisku Tissot. Powiedziałam mu, że z pewnością się omylili, że wysłali list do niewłaściwej osoby. On jednak upierał się, że nie ma mowy o pomyłce, że muszę przeczytać testament i przekonać się o wszystkim osobiście.

– To wszystko?

– Tak.

– Może cię nie zrozumiał.

– Zrozumiał. Mówi całkiem nieźle po angielsku. Ale żeby zmienić temat – powiedziała Grace niby od niechcienia – udało ci się ją wydostać?

– Mam w torebce.

– Mogę?

– Jasne.

Grace otworzyła torebkę przyjaciółki i wyjęła z niej zapalniczkę z masy perłowej. Nie zamierzała dociekać niczego, lecz nie mogła się powstrzymać.

– Co Vanessa powiedziała, kiedy poprosiłaś o jej zwrot?

Mallory nie odrywała wzroku od jezdni.

– Nic. Po prostu mi ją dała.

– Nic? – zdziwiła się Grace. – A co ty jej powiedziałaś?

Mallory skrzyła nagle, unikając w ostatniej chwili zderzenia z autobusem numer 19. Odetchnęła z ulgą.

– Powiedziałam jej, że o ile wiem, ma w swym posiadaniu coś, co nie jest jej własnością, i że byłabym wdzięczna, gdyby mi to oddała, jako pośrednicze prawowitej właścicielki.

– Ach tak.

Grace wyobrażała sobie, że incydent ten rozegrał się bardziej dramatycznie, spodziewała się obrazy i protestów, odebrała więc ten beznamiętny finał jak policzek.

Mallory wyczuła emocje przyjaciółki, toteż nie powiedziała jej całej prawdy, a mianowicie tego, że Vanessa odniosła się do sprawy z absolutną nonszalancją.

– Tak? A co takiego? – rzuciła od niechcienia, podczas gdy Mallory zmieszała się całkiem niespodziewanie.

– Zapalniczkę – wykrztusiła. – Inkrustowaną masą perłową.

Vanessa przejrzała zawartość torebki i wyjęła zapalniczkę, podając ją Mallory z uprzejmym uśmiechem na ustach.

– Cóż to się człowiekowi bezwiednie nawija pod rękę!

I na tym koniec. Żadnego widocznego poczucia winy ani udawanego zaskoczenia. W rezultacie to Mallory poczuła się winna, że zawracała jej głowę.

Dopiero później uderzyło ją, że Vanessa nawet nie spytała, czyją własnością była owa zapalniczka.

Najwyraźniej doskonale wiedziała.

Mallory nie dała po sobie poznać, że w gruncie rzeczy jest z siebie niezadowolona, bo zachowała się trochę jak tchórz, co więcej, była pod wrażeniem całkowitego opanowania i bezczelności Vanessy.

– Czego się spodziewałaś? – spytała chłodno.

Grace spojrzała przez okno.

– Sama nie wiem.

Zdawała sobie sprawę, że jest w stosunku do przyjaciółki niesprawiedliwa. Przecież dostała zapalniczkę z powrotem.

Wsunęła ją do kieszeni płaszcza, gdzie często ją trzymała i gdzie nawet zaczynała się w podszewce robić dziura.

– Muszę ci powiedzieć, że znalazłam się w niezręcznej sytuacji. Byłyśmy akurat na wiosennym obiedzie Królewskiego Stowarzyszenia Ogrodników – dodała Mallory, jakby ten fakt wskazywał na jeszcze większe poświęcenie z jej strony. – Możesz mi przypalić papierosa?

Grace przypaliła też sobie. Ćmiły jakiś czas w milczeniu.

Potem Mallory nastawiła radio, kręcąc gałką w tę i z powrotem, by po chwili je jednak wyłączyć.

W aucie panowała ciężka atmosfera.

Znowu wróciła do tematu, który najwyraźniej ją intrygował.

– A więc co zamierzasz począć z Rogerem?

– Nie wiem.

– Cóż to za idiota! – wybuchnęła Mallory. Było jej łatwiej krytykować Rogera aniżeli Vanesę. – Mężczyźni są strasznie głupi, miałyby się ochotę ich udusić.

Grace milczała.

– Co mu przyszło do głowy? – ciągnęła Mallory. – Kompletna bezmyślność, prawda? Jak mógł tak wobec ciebie postąpić?

Grace obracała w palcach zapalniczkę. Dotyk znajomego przedmiotu przynosił jej niewielkie ukojenie.

– To chyba nie jest wyłącznie jego wina – powiedziała cicho.

– Nie jego wina? – Mallory oderwała wzrok od kierownicy. – O czym ty mówisz?

– Nie znasz wszystkich okoliczności – odrzekła niepewnie Grace

– Jakich znowu okoliczności? Chyba nie chcesz go usprawiedliwiać?

– Nie, niezupełnie.

– Wygląda na to, że chcesz.

– Chodzi o to, że... – Grace przerwała. Bardzo chciała się komuś zwierzyć. Może właśnie Mallory, tu, w aucie, gdzie siedzą bokiem do siebie i ona nie musi patrzeć przyjaciółce prosto w oczy... może po prostu wyrzucić to z siebie. – Od jakiegoś już czasu w naszym małżeństwie nie jest najlepiej.

Mallory spojrzała na nią z ukosa.

– O czym ty mówisz?

Grace odwróciła oczy.

– Chodzi o to, że Roger jest mną rozczarowany.

– Rozczarowany? – Mallory podniosła głos. – To ty powinnaś być nim rozczarowana! Kiedyś cię po prostu wielbił!

Czas przeszły w tym zdaniu zadźwięczał wyraźnie w uszach Grace – tak, kiedyś mnie wielbił.

Postanowiła brnąć do końca.

– Zaszłam w ciążę. Na samym początku.

– Co? Nigdy mi o tym nie wspominałaś.

– Nikomu nie wspominałam, bo to się zdarzyło jeszcze przed ślubem.

– Och! – Mallory jakby ujrziała przyjaciółkę pierwszy raz w życiu. Coś takiego, Grace zawsze wydawała się jej taka naiwna i cnotliwa.

– A potem straciłam to dziecko – dodała beznamiętnie Grace.

– Czemu mi nic nie powiedziałaś? Byłabym ci pomogła.



– Bo to się stało tak szybko, w czwartym miesiącu. Pewnej nocy obudziłam się w strasznym bólu, dostałam krwotoku... coś okropnego.

– Och, jak mi przykro. Ale wiesz, kochanie, to się zdarza, zwłaszcza z pierwszą ciążą. Czasami trzeba próbować kilka razy.

– Tak, wiem, ale w tym przypadku nie ma co próbować – opowiadała dalej Grace.

– Przyplątała się infekcja i w rezultacie okazało się, że nie mogę mieć dzieci.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Konsultowałaś to z lekarzem?

– Z trzema.

Zapadła cisza.

Grace zapragnęła świeżego powietrza; opuściła szybę auta.

– Jakiś czas potem – ciągnęła – poszliśmy na kolację do restauracji, tej samej, w której mi się oświadczył. Kelnerzy nas pamiętali, witali serdecznie. Maître dał nam ten sam stolik, gdzie siedzieliśmy dwa lata temu, kiedy Roger padł przede mną na kolana. Pamiętasz?

Mallory skinęła głową.

– Pamiętam, zwłaszcza ten pierścionek z brylantem, nigdy przedtem ani potem nie widziałam czegoś równie wspaniałego.

– Właśnie. Siedliśmy, zamówiliśmy koktajle z szampanem i pieczeń. Dawno już nie byliśmy sami na kolacji, tylko we dwoje. Podnieśliśmy kieliszki do toastu i wtedy Roger dziwnie na mnie spojrzał, takim pustym wzrokiem. „Już nie będziesz taka jak kiedyś, prawda? – powiedział. – Taka urocza i dziewczęca”. Nie wiedziałam, co ma na myśli, sądziłam, że żartuje, i to niezbyt dowcipnie. Ale wcale nie żartował. „Co teraz zrobimy?”, zapytał.

Mallory nie posiadała się ze zdziwienia.

– I chyba wtedy zdecydował, że z nami koniec. Od tamtego wieczoru przestaliśmy spać razem.

– Przecież w niczym nie zawiniłaś!

Grace otarła rękawiczką łzę.

– To bez znaczenia. Mam feler, rozumiesz, czegoś mi brak. Nie spełniam oczekiwań. On teraz żałuje, że w ogóle się ze mną ożenił.

Zaczął padać lekki deszczyk. Mallory włączyła wycieraczki. Samochód przesuwiał się wśród porannego londyńskiego ruchu.

Mallory była w kropce. W jej własnym małżeństwie wszelkie problemy dawało się rozwiązać za pomocą jeszcze jednego kieliszka szampana czy też kolejnej wyprawy do jubilera.

Romans Grace i Rogera natomiast od początku wydawał się wyjątkowy, jak gdyby utrwalany na kolorowej, a nie na czarno-białej kliszy. Spotkali się na balu przy

Grosvenor Square, gdzie Roger natychmiast szaleńczo się w Grace zakochał. Ona nie należała do londyńskiego towarzystwa, wydała mu się naturalna i czarująca. Adorował ją niemal obsesyjnie, obdarowując drogimi prezentami i wydając przyjęcia na jej cześć. Na jej urodziny wydał bal niespodziankę, mimo że znali się dopiero kilka miesięcy, zaprosił wszystkich swoich najbliższych przyjaciół i znajomych i podarował Grace naszyjnik z pereł. Mallory czuła się nawet trochę zazdrosna, gdyż jej Geoffrey nigdy się tak nie starał.

Grace oczywiście dała się oszołomić i wkrótce ogłoszono ich zaręczyny.

Teraz Mallory nie mogła uwierzyć, że ta szalona namiętność Rogera tak błyskawicznie przemieniła się w całkowitą obojętność.

– Może to tylko przejściowa faza. Może musi się przyzwyczaić do zaistniałej sytuacji, przystosować – odezwała się pocieszającym tonem, jakby przemawiała do dziecka albo do chorego.

– Chyba się już przystosował. Do życia beze mnie. Wygląda na to, że świetnie sobie radzi.

Grace nagle poczuła się bardzo zmęczona. Oparła głowę o szybę.

– Mam takie sny... wręcz koszmary – powiedziała po chwili. – Biegnę przez las, szukam czegoś lub kogoś. Biegnę i biegnę, ale niczego nie znajduję. Wydaje mi się, że już jestem blisko, gdy znowu wszystko znika. Wpadam w jakąś czarną czeluść, lecę... budzę się. Miałam te sny jako dziecko, a teraz one wracają. Gdy dzieje się coś złego. Tej nocy po festynie znowu miałam taki sen.

– Grace...

– Nie ma o czym mówić, Mallory, to beznadziejne – przerwała jej, najwyraźniej nie chcąc służyć pocieszeń. – Miałam nadzieję, że wszystko wróci do normy, że on jeszcze mnie kocha, że potrzebuje trochę czasu. Byłam w błędzie, bo jest jeszcze gorzej. – Grace patrzyła przez okno. Szare welony mgły kładły się na Hyde Park. – To, co się stało, było tylko kwestią czasu – dodała.

Mallory nie wiedziała, co powiedzieć. Przypomniała się jej broszura z ogłoszeniem o kursach dla sekretarek w Oksfordzie. Grace najwidoczniej robiła plany na przyszłość, a ona, Mallory, ją wyśmiała.

Przejechały obok stacji metra Holland Park i wjechały do Shepherd's Bush. Tego ranka Londyn wyglądał jakby wyjęty z akwareli Turnera; widmowe rozmyte błękity mieszały się z wyblakłymi zieleniami, sprawiając wrażenie, że miasto, tak jak obraz malarza, rozplywa się gdzieś w swej niedokończonej formie.

Mallory wyrzuciła niedopałek przez okno i spojrzała na przyjaciółkę. Grace siedziała nieruchomo, ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami. Mallory miała ochotę wziąć ją za rękę, pocieszyć, dodać otuchy. Ale nie wiedziała jak. Żałowała, że nie zbiła Vanessy na kwaśne jabłko.

Wyjęła z kieszeni świeżą chusteczkę do nosa, lekko skropioną wodą konwaliową

Yardleya, i podała ją przyjaciółce. Powtarzała gest własnej matki.

– Weź to, kochanie, może się przyda.

Grace złożyła chusteczkę i schowała ją do torebki.

– Dziękuję.

– Kto wie – zaczęła znowu Mallory, starając się odzyskać pogodny ton – może zmiana klimatu dobrze ci zrobi.

– Czy mogę pani pomóc?

Stewardesa o figurze modelki, w małym toczku na głowie i ze szminką na ustach idealnie dobraną do czerwieni eleganckiego kostiumu, uśmiechnęła się uprzejmie do Grace.

– Tak, nie wiem, gdzie mam miejsce. – Grace rozglądała się niepewnie po wnętrzu kabiny, gdzie pozostali pasażerowie, usadowieni już wygodnie, przerzucali pisma ilustrowane bądź rozmawiali.

Stewardesa spojrzała na bilet.

– Tu jest pani miejsce, po lewej stronie. Powieszę pani płaszcz.

– Dziękuję.

Grace usiadła i wyjrzała przez małe okienko samolotu. Personel naziemny pakował bagaże do wnętrza maszyny, nieopodal widać było rząd innych błyszczących srebrnych aeroplanów wyglądających jak ogromne auta. Grace nagle zrobiło się trochę słabo z podniecenia i zdenerwowania.

Stewardesa znowu stanęła koło niej.

– Pierwszy raz leci pani do Paryża?

– Tak. W ogóle pierwszy raz lecę samolotem.

– To bardzo bezpieczny sposób podróżowania. Może przyniosę pani kieliszek szampana dla rozluźnienia?

– A nie rozleje się?

Stewardesa się roześmiała.

– Ależ skąd. Przekona się pani, że wszystko pójdzie jak z płatka. Proszę usiąść wygodnie i zapomnieć o wszystkim. To krótka podróż.

Zniknęła w końcu korytarza, w malutkim pomieszczeniu składającym się głównie z metalowych pudeł i szuflad. Rozległ się znajomy dźwięk korka wyskakującego z butelki szampana i po chwili stewardesa z tacą w ręku zaczęła rozdawać pasażerom kieliszki całkiem jak na prywatnym przyjęciu.

Wkrótce atmosfera w samolocie rzeczywiście zrobiła się wesoła i swobodna. Pasażerowie popijali szampana, śmiali się i rozmawiali. Przystojny pilot powitał ich osobiście na pokładzie, zażartował nawet, że to dziwne uczucie lecieć nad Kanałem i nie spodziewać się ostrzeliwania, co zostało przyjęte gromkimi oklaskami.

Zamknięto drzwi, zapuszczono silniki, samolot zaczął drzeć, wreszcie ruszył pasem startowym, nabierając prędkości.

Grace wyglądała przez okno, starając się uchwycić moment, gdy koła oderwą się od ziemi. Nie zdołała jednak tego zauważyć. Maszyna wzbijała się coraz wyżej. Londyn został daleko w dole. Wijące się szeregi identycznych ceglanych domków, tworzące paletę dobrych kilku tysięcy odmian szarości, zniknęły błyskawicznie z pola widzenia. Samolot przebił się przez ciemne chmury i dotknął błyszczącej błękitnej wstęgi ogromnego horyzontu.

Grace oparła się wygodnie w fotelu i upiła łyk zimnego szampana. Wyjęła z torebki list.

Czytała go już wiele razy, nie mogła się jednak powstrzymać od ponownej lektury słowo po słowie, jakby w nadziei, że w końcu rozwiąże zagadkę.

Madame Eva d'Orsey.

Eva d'Orsey.

To nazwisko nic jej nie mówiło.

Tylko brzmiało poetycznie, miało jakiś niepokojący rytm.

Może ta osoba była przyjaciółką jej rodziców? Pisarką, jak jej matka? Znajomą ojca?

Może się okaże, że przyleciała do Paryża w wyniku jakiegoś nieporozumienia, to wszystko.

Tak czy owak, Anglii nie było już widać. Otaczała ją wielka płachta nieba.

---

## Nowy Jork 1927

---

Pani Ronald, sprawująca w hotelu funkcję ochmistrzyni, oparła się o tył krzesła i westchnęła.

– To nie są nasze metody, panie Dorsey. Polegamy zazwyczaj na pośredniku z odpowiedniej agencji. Nie, to nie nasze metody.

Starszy kucharz hotelowy o nazwisku Antoine d’Orsey grzecznie słuchał przełożonej, utkwivszy wzrok w podłodze. Zdawał sobie sprawę, że prosi o dość niecodzienną przysługę, a z doświadczenia wiedział, że najlepiej dochodzi się do celu wytrwałością i cierpliwością. Nauczyły go tego lata spędzone w małżeńskim stanie. Powiedz, co masz powiedzieć, i czekaj. Poza tym pracował w hotelu Warwick od samego jego otwarcia i znał dobrze panią Ronald. Wiedział, że pod surową maską kryje się natura sentymentalna, aczkolwiek pragmatyczna, i że akurat teraz, na początku letniego sezonu, ochmistrzyni potrzebuje dodatkowego personelu. Może się więc jej przysłużyć.

Oczywiście pani Ronald nie zamierzała przyznać tego otwarcie.

– Mówi chociaż po angielsku? – spytała.

– Naturalnie. – Kucharz przestąpił z nogi na nogę. – Widzi pani, moja żona zatrudniła się niedawno u pewnej rodziny w Westchester, więc nie mamy gdzie jej ulokować.

Pani Ronald rozważała jego słowa. Ogólnie rzecz biorąc, była mu przychylna, gdyż uważała go za dobrego i niekłopotliwego pracownika, choć trochę upartego i może odrobinę zbyt drobiazgowego. Reszta zespołu nadała mu przydomek Ślimak, ponieważ główny kucharz twierdził, że Antoine jest powolny. Za to zjawiał się w pracy jako jeden z pierwszych i wychodził jako jeden z ostatnich, co było nie do przecenienia.

Pani Ronald westchnęła i jeszcze raz spojrzała uważnie na młodą dziewczynę.

Niewielkiego wzrostu, szczupła, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Nie można jej było nazwać ładną, choć twarz miała ciekawą, z szeroko osadzonymi, trochę kocimi zielonymi oczami i z cienkim długim nosem. Pani Ronald uznała jej usta za cokolwiek lubieżne, o wiele za duże w takiej drobnej twarzy. Ubrana była bardzo skromnie w prostą granatową spódnicę z taniego materiału i w białą bluzkę; wszystko dosyć znoszone, lecz porządnie odprasowane. Stała ze spuszczoneymi oczami.

– Wygląda bardzo młodo – zwróciła się pani Ronald do kucharza.

– Ma czternaście lat – odparł. – Tylko jest drobna i wygląda młodziej. Już od dwóch lat pracuje, ma referencje od pewnych państwa z Brooklynu.

– A czemu przestała tam pracować?

– Bo pracodawcy wrócili do Austrii, byli tu tylko czasowo.

Skinął na dziewczynę, ta wyjęła z kieszeni kopertę i podała ją ochmistrzyni.

– Eva – przeczytała pani Ronald, wydymając usta. – Dziwne imię. Eva Dorsey. Zabrzmiało to niezgrabnie.

Antoine miał ochotę poprawić jej wymowę, lecz dał spokój, bo wiedział, że to nic nie da. Dawno przyzwyczał się do zniekształconej amerykańskiej wymowy ich nazwiska, choć dzisiaj w ustach pani Ronald zabrzmiało ono wyjątkowo irytująco.

– To córka siostry mojej żony. Jej rodzice nie żyją. Dałem jej nasze nazwisko, jak przyjechaliśmy do Ameryki.

Mówił to wszystko dość ostrym tonem, bo tak naprawdę wstydził się historii siostrzenicy i nie miał zamiaru opowiadać jej zbyt szczegółowo. Zależało mu jednak na tym, by nie wzięto Ewy za jego córkę.

Mimo że dziewczyna była spokojna i posłuszna, instynktownie nie darzył jej zaufaniem, gdyż uważał, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, a Eva urodziła się jako nieślubne dziecko. W dodatku jej matka zmarła na gruźlicę.

– Widzę z referencji, że pracowałaś jako osobista pokojówka pani domu. To się tu przyda – powiedziała ochmistrzyni, marszcząc czoło. Oddała dziewczynie list. – Mamy tu kilka pań, które uważają się za wielkie damy, choć to więcej niż wątpliwe. Podejdź tu do mnie i pokaż mi włosy.

Eva schyliła głowę. Pani Ronald przebadła stan włosów.

– Ani śladu wszy. Doskonale. Teraz ręce.

Eva wypełniła polecenie.

– To czysta dziewczyna – odezwał się Antoine. – Żona bardzo o to dba. Zdrowie też ma w porządku.

Pani Ronald skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie będzie ci łatwo. Nie jestem do końca przekonana, że sobie poradzisz.

Ochmistrzyni nie chciała pokazać, że tak łatwo zgadza się zatrudnić Ewę.

– Co ty na to?

Eva powiodła wzrokiem od pani Ronald do wuja.

– Pani zapewne wie najlepiej. Będę wdzięczna, jeśli pozwoli mi pani spróbować.

Bystra i grzeczna dziewczyna. Wie, jak się zwracać do przełożonych.

– Cieszę się, że masz zaufanie do moich ocen. – Pani Ronald skinęła głową.

Antoine odetchnął z ulgą.

– Zatrudnię ją na okres próbny – zdecydowała ochmistrzyni. – Więcej nie mogę dzisiaj obiecać. A teraz wprowadzę cię pobieżnie w sprawę naszego hotelu. Musisz

wiedzieć, panno Dorsey, że hotel Warwick to coś innego niż reszta hoteli w Nowym Jorku. Pan Hearst zbudował go jednocześnie z teatrem Zeigfeld. Gwiazdy tego teatru potrzebują nas jak drugiego domu, ufają, że zapewnimy im wygodę i dyskrecję. Nic nie może się wydostać poza te mury. Czy zostałam dobrze zrozumiana?

Eva skinęła głową.

– Mamy tu między innymi tancerki, aktorów i innych artystów. Trzeba ci wiedzieć, że nie zawsze zachowują się nienagannie, ale musisz pamiętać, że są gośćmi pana Hearsta i że naszą rolą jest spełniać ich życzenia. Wyznajemy tu staroświecką zasadę, że służba zachowuje się tak, jakby jej nie było. Ma nie rzucać się w oczy, wtapia się w tło. Żadnego makijażu, żadnej szminki, żadnej biżuterii, włosy zawsze pod czepkiem. Jeśli gość, zwłaszcza mężczyzna, cię dostrzeże, to znaczy, że źle wypełniłaś swoje obowiązki.

Wyciągnęła z kieszeni pęk kluczy i otworzyła szafę stojącą w drugim kącie pokoju. Ukazał się rząd jednakowych ubrań służbowych.

– Oczekuję punktualności, dobrych manier i uczciwości. Nie tolerujemy kradzieży i zawsze oddajemy podejrzanego w ręce policji. Musisz też zawsze zgadywać potrzeby gości, zanim cię jeszcze zawołają.

Przesuwała ubrania w szafie, szukając odpowiedniego rozmiaru.

– Niestety, trochę za duże. Będziesz musiała przerobić. Umiesz szyć?

– Tak, proszę pani.

– Doskonale. Tylko żeby nie było za obcisłe. – Zamknęła szafę. – Jeśli usłyszę, że rozmawiałaś z prasą albo z jakimś reporterem z rubryk towarzyskich, z miejsca możesz pakować manatki. Czy to jasne?

Eva potaknęła.

– Do każdej pokojówki należy opieka nad piętnastoma pokojami. Sprzątanie, pościel i cała reszta. I wszystko inne, czego gość sobie zażyczy. Niczego w miarę możliwości nie odmawiamy. Standard naszych usług jest o wiele wyższy niż gdzie indziej.

Spojrzała na kucharza.

– Pewnie potrzebuje zakwaterowania?

– Jeśli to możliwe...

– Będzie dzielić pokój – przerwała mu pani Ronald. – Zaznaczam też, proszę to zapamiętać, że personelowi nie wolno przyjmować żadnych odwiedzin, ani ze strony mężczyzn, ani kobiet. Czy wyrażam się jasno?

Eva znów skinęła głową.

– Możesz zacząć od dzisiejszego popołudnia, jak tylko przyniesiesz swoje rzeczy.

– Mam wszystko ze sobą, proszę pani.

Pani Ronald spojrzała na niewielką paczuszkę owiniętą brązowym pakowym papierem, która leżała u stóp dziewczyny.

– Ach tak. W takim razie zadzwonię po jedną z dziewczyn, żeby pokazała ci pokój. Pani Crane wyjaśni ci wszystkie obowiązki. To na razie tyle.

– Dziękuję pani. – powiedziała Eva i skierowała się ku drzwiom.

Antoine został trochę z tyłu.

– Jestem pani bardzo wdzięczny.

– No cóż, proszę dopilnować, żeby siostrzenica pana nie zawiodła, panie Dorsey. Nie chciałabym jej zwalniać, lecz proszę pamiętać, że w razie czego uczynię to bez wahania.

Eva czekała na wuja na korytarzu. Antoine przypalił skręta własnej roboty, którego wydobył z kieszeni koszuli. Spojrzał na siostrzenicę bez sympatii, jakby o coś ją obwiniał.

Dziewczyna patrzyła na posadzkę. Tam, gdzie inni widzieli tylko czarne i białe kafle, ona od razu dostrzegła, że na osiemdziesiąt siedem białych kafelków przypada dwadzieścia dziewięć czarnych układających się pospołu z białymi w symetryczne wzory, w świat porządku i symetrii.

– Jeśli wpadniesz w tarapaty, to będziesz musiała radzić sobie sama, rozumiesz? Jesteś na tyle dorosła, żeby za siebie odpowiadać.

– Tak, rozumiem.

Antoine udał się korytarzami do kuchni, Eva została sama. Odetchnęła z ulgą, po tylu godzinach nareszcie mogła sobie na to pozwolić.

Poczuła, że ciężar uciskający klatkę piersiową w końcu zaczyna ustępować. Złożyła robocze ubranie w kostkę i położyła je na paczce. Oparła się plecami o ścianę.

Była bez śniadania, tylko po mocnej czarnej kawie. W mieszkaniu wujostwa nie znalazła niczego do jedzenia, gdyż Antoine po wyjeździe żony nie zawracał sobie głowy zakupami ani w ogóle nie dbał o dom. Eva była głodna, burczało jej w brzuchu.

Wcale nie paliła się do dzielenia pokoju z obcą osobą, nie była też pewna, czy chce pracować jako pokojówka w hotelu. Nie miała jednak wielkiego wyboru.

Przymknęła oczy.

Posadzka w pokoju pani Ronald zawierała 778 kafelków, z czego 426 szarych i 352 białe. Liczby te pomnożone przez siebie dają sumę 149952, a jeśli od 426 odjąć 352, to zostaje 74, a potem jeśli dodać cztery plus dwa plus sześć, to razem dwanaście, a trzy plus pięć plus dwa to dziesięć, a jeśli podzielić 778 przez dwanaście, to...

– Już śpisz?

Eva otworzyła oczy i ujrzała przed sobą młodą blondynkę w ubraniu pokojówki. Czepek na głowie miała filuternie przekrzywiony, wystawały spod niego dwa jasne loczki. Wyglądała zgrabnie i szykownie.



– Jestem Sis, to zdrobnienie od Cecily – powiedziała, wyciągając rękę na powitanie. – Pochodzę z Wirginii. Podobno mamy dzielić pokój. Wiedziałam, że szczęście nie potrwa długo, że w końcu mi kogoś dołożą. No nic, trudno – westchnęła – mam ci pokazać, co i jak. Idź za mną, poprowadzę.

Doszły długim korytarzem do klatki schodowej znajdującej się na tyłach hotelu. Na podeście pierwszego piętra przewodniczka zatrzymała się.

– Byłaś kiedyś w holu od frontu?

Eva bez słowa potrząsnęła przecząco głową. Sis, z jej południowym akcentem i swobodnym sposobem bycia, onieśmiała ją. Ona zaś, z obawy przed drwinami ze swojego akcentu, nie miała ochoty się odzywać. W domu ostatnich pracodawców w Brooklynie kucharka Szkotka nazywała ją kimś „z zagranicy”, mimo że sami państwo rozmawiali po niemiecku, a jej własnego akcentu z Glasgow prawie nikt nie rozumiał.

– Nawet nie rzuciłaś okiem?

Eva znów zaprzeczyła.

– To by się zgadzało. Wyglądasz mi na taką, co całe życie wchodzi tylko wejściem dla służby. Chodź. – Z tymi słowami Sis pchnęła drzwi na podeście.

Ich oczom ukazał się hol wejściowy.

Nie był duży, lecz bardzo wygodny i luksusowo urządzonej. Niewątpliwie jeden z najelegantszych w całym Nowym Jorku.

Na marmurowych posadzkach leżały rozesłane wschodnie dywany, na kanapach piętrzyły się aksamitne i jedwabne poduszki, a weneckie lustra odbijały twarze pięknych aktoreczek i tancerek przechadzających się po wnętrzu.

Były to osóbkę o doskonałych figurach i długich, zgrabnych nogach, wszystkie tego samego wzrostu. Słyszeć było ich śmiechy, stukot obcasików i szelest sukien. Ktoś śpiewał przy dźwiękach fortepianu.

Chłopiec hotelowy krążył wśród gości, dzierżąc przed sobą srebrną tacę i poszukując gromkim głosem niejakiej pani Arpeggio. „Madame Arpeggio! Madame Arpeggio!” Pachniało wypolerowanym mosiądzem, dymem z cygar i słodką duszącą wonią świeżych lilii.

Do holu właśnie weszła niskiego wzrostu kobieta cała w czerni, z głową owiniętą aksamitnym turbanem spiętym wielką broszą z rubinów. U jej boku człapały dwa ogromne kudłate wilczarze irlandzkie z czarnymi obrożami wysadzany perłami.

Jak na zawołanie jeden z odźwiernych przyniósł im miski z wodą, którą zwierzaki poczęły hałaśliwie chleptać, tworząc kałuże na marmurowej posadzce. Dama tymczasem zapaliła papierosa, recepcja zaś sprawdzała, czy są dla niej jakieś wiadomości.

– Kto to taki? – spytała Eva. Zapomniała, że miała się nie odzywać, ale ciekawość i fascynacja wzięły górę.

– Nikt specjalny – odparła wzgardliwie Sis. – Jakaś flejtuchowata pruska hrabina,

co to boi się wody. Nigdy się nie kąpie i za rzadko wyprowadza te swoje psy. Śmierdzi u niej jak w zoo. Już raz wymieniano tam cały dywan.

Dama z psami przeszła królewskim krokiem do windy.

– W tym hotelu naprawdę ważni ludzie wyglądają zwyczajnie, a ci, co robią wrażenie wyglądem, są zazwyczaj bez grosza albo dopiero windują się w górę. Znalazłaś się w świecie przewróconym do góry nogami, to ci powiem – mówiła Sis z przekonaniem. – Ale przyzwyczaisz się po jakimś czasie.

Pokój Sis i Evy znajdował się na poddaszu. Umebłowany był nader skromnie: umywalka w kącie, niewielka szafa i dwa wąskie łóżka. Okno wychodziło na budynek naprzeciwko i na wąski przesmyk ulicy w dole. Nieba nie było widać.

Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż obie dziewczyny wstawały wcześniej i już o szóstej trzydzieści były po śniadaniu. Potem pani Ronald przeprowadzała inspekcję wyglądu personelu.

Eva zdołała przerobić ubranie na mniejsze, choć biały gazowy fartuszek i czepek wciąż były dla niej za duże. Została przydzielona do obsługi pokoiów na niższych piętrach, uchodzących za gorsze. Pani Ronald miała nadzieję, że dziewczyna przez lato trochę podrośnie i stanie się bardziej reprezentacyjna, choć oczywiście nie do tego stopnia, by zwracała na siebie uwagę mieszkańców hotelu.

Po sprawdzeniu włosów i paznokci pokojówek pani Ronald przekazywała im informacje o oczekiwanych przyjazdach i wyjazdach gości oraz o ewentualnych nowych obowiązkach.

Pewna aktorka żądała czarnych aksamitnych zasłon, bo chciała spać w dzień. Sprzątać u niej miano jedynie w nocy, ponieważ wtedy ona występowała na scenie sąsiedniego teatru Ziegfeld Follies. Z kolei pewien producent filmowy cierpiał na awersję do rzeczy już kiedyś używanych, więc za każdą jego kolejną wizytą w hotelu dostarczano mu nowe łóżko z nowym materacem i pościelą, a prześcieradła i powłoczki prano mu osobno, by nie mieszały się z bielizną reszty gości. Wymagał, by pani Ronald osobiście zajmowała się jego praniem, czego ona oczywiście nie robiła, tylko zlecała to komuś z personelu.

Inne wymagania były bardziej zwyczajne: dostarczyć więcej kubełków z lodem, zmienić prześcieradła na jedwabne, ustawić w pokojach cieplarniane róże czy gardenie. Niektórzy z gości kazali zdejmować ze ścian obrazy, gdyż nie mogli ich ścierpieć, inni żądali, by nie wstawiano im niczego w określonych kolorach. Zaspokajano przeróżne zachcianki i sprowadzano, oczywiście wielkim kosztem, czekoladki z Paryża, ananasy z Meksyku, herbatę z Indii, cygara z Kuby. Codziennie zjawiały się a to dodatkowe fortepiany, a to egzotyczne zwierzęta, a to auta czy też strzelby do polowań. Policjanci eskortowali przewóz biżuterii składowanej w hotelowym sejfie.

Gwiazdy estrady miały do swojej dyspozycji parkiet taneczny, gdzie mogły

ćwiczyć, a także salę gimnastyczną i stoły do masażu. Kiedyś nawet cała sala balowa przemieniona została w ring boksinowy, gdy w mieście przebywali Jack Dempsey i Jack Sharkey.

Często goście zjeżdżali z własną służbą. Służący i panny służące nie bardzo wiedzieli, jak mają się uplasować wśród stałego personelu hotelowego i co począć z wolnym czasem, co kończyło się niekiedy tym, że tracili głowę w zamęcie wielkiego miasta, a nierzadko i posadę. Znana była historia pewnego służącego księcia Walii, który podawał się za swego pracodawcę i zaciągnął ogromne długi w kasynach Harlemu, po czym przyłapano go in flagranti z czarnoskórą prostytutką w łóżku księcia. Plotkowano też o pannie służącej, która będąc nowicjuszka w picu alkoholu, ocknęła się pewnego ranka u boku włoskiego dokera, a ten oznajmił łamaną angielszczyzną, że jest jej małżonkiem i że właśnie ma zamiar dochodzić swych praw.

Rita Crane, kobieta w dość nieokreślonym wieku, nieudolnie skrywająca swą przemożną skłonność do kieliszka, została wyznaczona do wdrożenia Ewy w obowiązki. Rita chowała butelkę z dżinem na dnie wózka z pościelą, jeszcze jedną w szafce, a w torebce miała fiolkę morfiny przepisanej jej przez lekarza „na nerwy”. Każdego ranka pojawiała się z nowymi siniakami na ramionach, nie mogąc opanować drżenia rąk. Eva sądziła, że ktoś ją w nocy bije, lecz oczywiście nie ośmieliła się o to pytać.

Rita musiała być kiedyś piękną kobietą, lecz alkohol, kilku mężów oraz zbyt duża słabość do tradycyjnej angielskiej kuchni doprowadziły ją do utraty figury i urody. Wielki biust niczym dziób okrętu schodził stożkowato ku potężnym, poznaczonym żyłkami nogom. Poruszała się jak ameba w głębinie morza, prawie nie otwierając oczu i nie prostując pleców. W pracy wykazywała się maniakalną sprawnością graniczącą z patologią. Straciwszy ostatniego męża kilkanaście lat temu, poświęcała się teraz obowiązkom służącej hotelowej, mimo że nienawidziła tej pracy i nie ustawała w rzucaniu na nią przekleństw, wiecznie obecnych w jej ustach niczym zdrowaśki w ustach zakonnic.

Przez całe dwa tygodnie Rita uczyła Ewę rutynowych czynności: jak czyścić klozet, jak odkurzać dywan, jak składać ręczniki. Nie omieszkała przy tym krytykować na każdym kroku jej wyglądu, młodego wieku i europejskiego pochodzenia.

Eva wkrótce się przekonała, że Rita jest o wiele sympatyczniejsza, gdy sobie popije. Zdobywała się wtedy nawet na żarty.

W Lille, gdzie Eva kiedyś mieszkała, jej dziadek też pił ponad miarę. Gdy babka chciała, by wytrzeźwiał, raczyła go czekoladkami. Twierdziła, że cukier go uspokaja.

Eva nie miała pieniędzy na czekoladki, więc zaczęła parzyć Ricie kilka razy dziennie bardzo słodką herbatę, co też do pewnego stopnia łagodziło jej wybuchy.

Pod koniec okresu próbnego Eva opanowała doskonale arkana służby hotelowej,

łącznie z prawidłowym składaniem ręczników, Ricie natomiast przybyło siedem funtów wagi.

Eva szybko przyzwyczała się do rytmu hotelowego życia. Wieczorem dziewczęta prały, prasowały i reperowały swoją odzież oraz oddawały się plotkom. Słuchały też radia, a w nim orkiestry Silvertown Cord oraz programów komików Amos 'n' Andy. Alkohol był zakazany, pani Ronald była w tym względzie nieprzejednana. Tańczyły też ze sobą czasami. Wysoka czarnoskóra dziewczyna o imieniu Wallace uczyła je tańczyć charlestona w zamian za coca-colę, choć niewielkie miały szanse na wyjście na dancing. W sobotę wieczorem szły do spowiedzi do kościoła Świętego Bonifacego. Wczesnym rankiem w niedzielę udawały się na mszę.

Od czasu do czasu zdarzały się im drobne przyjemności – bilety na popołudniówkę w teatrze Strand, potem kanapka u Rikera, innym razem może wyprawa na Times Square, by pogapić się na światła i na wychodzące z teatrów tłumy oraz obgadać toalety modnych dam.

Chadzały też spacerem przez park do Piątej Alei i oglądały wystawy wielkich domów towarowych. Do środka nie śmiały wchodzić, zakupy robiły gdzie indziej, w sklepikach na East Endzie. Tam można było dostać tanio materiał na sukienkę, pantofle, a także w razie potrzeby zastawić w lombardzie płaszcz czy biżuterię.

Sis zaprowadziła Evę do wypożyczalni książek i pomogła jej wyrobić kartę. Co tydzień Eva wносиła stamtąd do czytania powieści Charlesa Dickensa, Jane Austen, Anthony'ego Trollope'a, Henry'ego Jamesa czy Elizabeth Gaskell, a potem snuła marzenia o skromnych dziewczynach, które niespodziewanie wkraczały w wielki świat, zdobywały miłość i majątek. Na kartach powieści wszystko było możliwe, nawet dla takich osób jak ona.

– Twój problem polega na tym, że masz romantyczne usposobienie – orzekła któregoś niedzielnego popołudnia Sis, gdy siedziały z robótkami na drutach przy radiu w kuchni. – To ci się w życiu nie za bardzo przyda. Powinnaś być bardziej praktyczna. Romantykom łatwo złamać serce.

– To prawda – zgodziła się Rita, opierając spuchnięte stopy na skrzynce po warzywach. – Szukaj kogoś niepijącego i bez skłonności do hazardu, a do tego z dobrą posadą. Takiego, co to nie będzie ciebie ani dzieciaków za bardzo bił. No i żeby chodził do kościoła. Żaden z moich nie chodził na mszę, bo zawsze mieli kaca w niedzielę rano. Mówię to po to, żebyś uważała.

– Może mój Charlie zna kogoś, co by ci pasował – zastanawiała się Sis.

Charlie był sprytnym odźwiernym w hotelu Iroquois i narzeczonym Sis, która za cel małżeństwa uważała poskromienie naturalnych instynktów mężczyzny. Kobieta w jej pojęciu powinna cały czas uważać, żeby mąż nie wymknął się spod jej kontroli, i w tym celu rozwijać iście wojskowe strategie i manewry.

Już jako siedemnastolatka wybierała i przebierała w mężczyznach. Za pierwszą

wypłatę kupiła zwój prawdziwej irlandzkiej koronki z przeznaczeniem na swą przyszłą ślubną suknię, wiedziała też dokładnie, w jakiej dzielnicy chce mieszkać i w jakim domu, oraz wybrała imiona dla swych przyszłych synów. Mimo że nie zarabiała dużo, zdołała zgromadzić sporo naczyń kuchennych, porcelany stołowej i bielizny pościelowej, które to rzeczy trzymała w kufierku pod łóżkiem. Nazywała go swą „skrzynią nadziei”.

Charlie był kilka lat starszy od Sis i choć na razie nie dostał od niej nawet całusa, ona już rozporządzała jego pieniędzmi i dyrygowała jego karierą – kazała mu brać więcej nadgodzin i zapisać się na wieczorowe kursy księgowości.

Chłopak się jej bał. Spotykali się czasem we trójkę w parku po kinie (gdzie Sis nie siedziała obok narzeczonego, żeby jemu czegoś się w ciemności przypadkiem nie zachciało) i Eva widziała wtedy w jego zachowaniu mieszankę dumy z narzeczonej i jednocześnie lęku przed nią.

– Powinnaś wybrać kogoś, kto ma dominującą matkę – doradzała Evie Sis. – Matka Charliego to wdowa z siedmiorgiem dzieci do wykarmienia i tylko z Biblią do towarzystwa w łóżku. Charlie ma wieczne poczucie winy, a co więcej, jest przyzwyczajony, że kobieta mu rozkazuje.

Eva kiwała zgodnie głową. Nigdy się nie sprzeczała z Sis, gdyż nie chciała psuć sobie wieczoru.

– Dobry Boże! – podśmiewała się Rita, wskazując głową Evę. – Aleś sobie wybrała zadanie, Sis! Tak łatwo jej nie wyswatasz.

Oczy kobiet zwróciły się ku Evie, która się spłoniła.

– Po prostu jest jeszcze za młoda, i tyle! – odparowała Sis. – Ty też nie wyglądasz na królową z bajki, a mimo to złapałaś paru mężów!

Eva poczekała, aż rozmowa przejdzie na co innego, i wyszła z kuchni.

To prawda, nie była ładna: chuda, o długiej twarzy, ostrych rysach i cudzoziemskim wyglądem, poza tym ciemnowłosa i niska, nie to co Sis, która przypominała roześmianą wysoką blondynkę z afisza reklamowego firmy Gibson.

Przysiadła na stopniu hotelowego wejścia od podwórza. Nawet w nocy nie było wytchnienia od letniego parnego powietrza Nowego Jorku. Żadnej ulgi. A jednak Eva czuła, że to miasto ma jej coś do zaoferowania, że jej chwila jeszcze nadejdzie.

W powieściach, które czytywała, bohaterka zawsze najpierw nie wierzy w siebie, wszyscy ją krytykują, i to niesprawiedliwie, lecz te przeciwności tylko ją hartują. Co taka Rita może wiedzieć? Ona, Eva, nie zamierza spędzić życia na szorowaniu ubikacji, o nie. Chce czegoś więcej.

Jeszcze nie była pewna, co to mogłoby być i jak ma to osiągnąć. Nie będzie teraz o tym myśleć. Posiedzi tu sobie po prostu, wyglądając skrytych za ciężkimi chmurami gwiazd.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Biuro firmy Frank, Levin et Beaumont mieściło się przy rue de Rivoli, nad arkadą. Grace stawiała się na umówione spotkanie, ostatnie tego popołudnia, i po krótkiej wymianie zdań z sekretarką została wprowadzona do gabinetu monsieur Tissota, narożnego pokoju o dwóch oknach wychodzących na północne skrzydło Luwru.

Usiadła na krześle, nie zdejmując płaszcza. Torebkę trzymała blisko siebie na kolanach. Czuła się jak we śnie, wyraźnym, acz nierzeczywistym.

Nie była przyzwyczajona do podróżowania w pojedynkę. Za radą Mallory zatrzymała się w hotelu Raphael, znanym Mallory i jej matce z wizyty jeszcze przed wojną. Był to dyskretny i elegancki hotel ulokowany w pobliżu Champs Élysées, znacznie szykowniejszy od tego, który ona sama by wybrała. Dostała pokój niezbyt duży, ale pięknie urządzone w barwach lekkiego różu i wyjątkowo bladego seledynu, z kotarami z tafty i mięsistą haftowaną narzutą na łóżko. Nad łóżkiem zwisał kryształowy żyrandol, co dosyć ją zdziwiło – najwyraźniej francuskie oczekiwania sypialniane różniły się od angielskich.

Był też maleńki balkonik, szerokości zaledwie kilku stóp. Grace otworzyła drzwi i wyszła na powietrze. Na dole rozciągała się szeroka, wysadzana drzewami ulica. Miasto wydawało się nadzwyczajnie, wręcz bezwstydnie piękne. W Londynie całe ciągi ulic zniknęły w wyniku bombardowań i do tej pory straszyły tam gruzowiska i puste miejsca po zburzonych budynkach, tu natomiast wszystko było nienaruszone, chodniki gładkie i równe, linia dachów nietknięta. Żadnych śladów po latach okupacji.

Nawet powietrze pachniało szykowniej, bardziej wyrafinowanie niż w Londynie, gdzie snuły się ciężkie oleiste wonie wilgotnego węgla. Tu czuło się czyste słoneczne ciepło.

Kawa podana do śniadania zaszokowała ją mocą, a rogalik maślaną rozrzutnością.

A tu ludzie jedzą coś takiego codziennie! Cóż za dekadencja! Grace z trudem powstrzymała się, by ukradkiem nie schować dodatkowego rogalika do torebki.

W drodze na spotkanie z prawnikami szła właśnie przez ogród Tuileries – poczuła lekki zawrót głowy na myśl, że nikt jej tu nie zna, że jest całkowicie anonimowa, co podeksycowało ją i zaniepokoiło zarazem.

Dostała z recepcji hotelu plan miasta, lecz nie potrafiła nic z niego odczytać; pełna życia, rozciągająca się wokół stolica rozpraszała jej uwagę. Oczywiście zawsze

wiedziała ze słyszenia, że Paryż to nadzwyczaj eleganckie miasto, nie miała jednak pojęcia, na czym ten szyk mógł polegać. Przypuszczała, że zastanie tu sztywną perfekcję, tymczasem okazało się, że króluje w nim naturalność. Światło przenikało wysokie delikatne drzewa szumiące listowiem, budynki o klasycznych proporcjach wzniesiono wszędzie z tego samego jasnego kamienia, nawet żwir chrzęszczący pod stopami był jasny, kredowy; a całe miasto spowijał miękki świetlisty welon.

Słyszała zawsze, że dla Francuzów przewodnim kryterium w życiu jest piękno. Mogła się o tym naocznie przekonać, chociażby obserwując architekturę. Dlaczego tworzyć ostre kandy na styku ścian, jeśli można je łagodnie zaokrąglić? Albo czemu nie użyć w całym mieście dachówek w tym samym niebieskoszarym kolorze, by harmonijnie współgrały z terakotą kominów? Inne rozwiązanie wywołałoby zapewne wrażenie niedbałości.

Podobnie rzecz miała się z wyglądem paryżan. Choć Francuzi i Francuzki nie odznaczeni się bynajmniej większą urodą aniżeli mieszkańcy Anglii, ubierali się dużo bardziej wyszukanie i starannie. W Anglii tego rodzaju styl uchodziłby za przesadny, tu natomiast najwyraźniej każdy uznawał za swój poniekąd obywatelski obowiązek, by utrzymywać odpowiedni szyk.

W pomieszczeniach biura firmy prawniczej również panowała pełna symetrii elegancja, jakby dopiero przed chwilą ktoś te wnętrza zaaranżował.

Drzwi się otworzyły, do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Najpierw ukazał się starszy jegomość o sztywnej sylwetce i krótko przystrzyżonym białym wąsiku. Drugi, młodszy, podążał z tyłu.

– Madame Munroe? – przywitał ją starszy bez uśmiechu, jedynie z uprzejmym ukłonem. – Nazywam się Henri Levin – ciągnął. – Jestem właścicielem tej firmy, a to mój pracownik, Edouard Tissot. On się panią zajmie. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona – wygłosił po angielsku, acz z silnym francuskim akcentem, po czym skłonił się lekko i opuścił gabinet.

Grace trochę się tym wstępem speszyła.

– Proszę mu wybaczyć. – Monsieur Tissot podszedł teraz bliżej.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat, był wysoki i szczupły, co podkreślał jeszcze bardziej tradycyjny garnitur w prążki. Brunet o ciemnych oczach i o inteligentnym wyrazie twarzy.

– Rzadko zdarza mi się używać angielskiego, stąd obawiał się, że nie zrozumie, gdy pani zechce zadawać mu pytania.

– Ach tak. – Grace skinęła głową.

Tissot wyciągnął do niej rękę.

– Pani pozwoli, że ją powitam w Paryżu.

– Dziękuję – odpowiedziała, sama też wyciągając do niego rękę na powitanie.

Spodziewała się, że ją uściśnie, on natomiast ujął podaną mu dłoń delikatnie i

prawie musnął ją ustami tuż koło nadgarstka.

Gest ten wydał się jej jednocześnie formalny i intymny. Choć naprawdę nie pocałował jej ręki, czuła na skórze jakby lekkie swędzenie.

– Chciałbym zacząć od złożenia pani najszczerzych kondolencji – odezwał się znowu mężczyzna. – Mam nadzieję służyć pani pomocą w każdej sprawie w czasie jej tu pobytu.

– Bardzo panu dziękuję – wyszeptała Grace, nie patrząc mu prosto w oczy. Już przedtem postanowiła, że do czasu, gdy sprawa się nie wyjaśni, najlepszym wyjściem będzie mówić jak najmniej. – Znakomicie pan włada angielskim, monsieur Tissot – zmieniła bezpiecznie temat.

– Dziękuję – skinął lekko głową. – Dlatego została mi powierzona pani sprawa.

Zasiadł za biurkiem i zaczął przerzucać stos teczek.

– Przepraszam, że musiała się pani do nas fatygować, madame Munroe, lecz wymagały tego warunki testamentu. Potrzebne nam będą pani podpisy, będziemy musieli też omówić różne szczegóły.

Wyjął tę teczkę, której szukał, i przeglądał kryjące się w niej papiery.

– Otóż i to. Spadek składa się głównie z sumy pieniędzy, którą otrzymamy ze sprzedaży nieruchomości, oraz z pakietu akcji, którym zarządza obecnie firma Lancelot et Delp.

Chyba się przesłyszała.

– Pan wybaczy, czy powiedział pan coś o nieruchomości?

– Tak. Chodzi o apartament. Mieszkanie. Nieboszczka mieszkała w nim aż do śmierci, więc naturalnie nie mogła go spieniężyć. Sporządziliśmy wycenę posiadłości i mogę panią zapewnić, że jest warta sporo pieniędzy.

Wyjął z teczki kolejne papiery i rozłożył je na biurku.

– Madame d’Orsey zawczasu przygotowała dla nas pełnomocnictwo, abyśmy mogli zająć się sprzedażą. Potrzebuję jedynie pani podpisu. – To mówiąc, podniósł wzrok na Grace. – Zakładam, choć może się mylę, że wolałaby pani, abyśmy my się tym zajęli.

Grace spojrzała na dokumenty.

– Wszystko jest po francusku, prawda?

– Tak, niestety – przyznał Tissot. – Przykro mi. Oczywiście przejrzę je razem z panią i wyjaśnię. Chyba że woli pani, by jej własny angielski prawnik to zrobił, wtedy dam je do przetłumaczenia.

– Przepraszam – wtrąciła Grace – nie jestem jednak pewna, czy do końca pana rozumiem. Czy mógłby pan wytłumaczyć mi wszystko po kolei? Powoli?

– Oczywiście. Zapewne nie wyrażam się dostatecznie jasno. Otóż zgodnie z testamentem w pani ręce przechodzą wszystkie zyski ze sprzedaży posiadłości madame d’Orsey, po odliczeniu kosztów administracyjnych. Zamierzamy przedstawić



apartament kilku największym agencjom nieruchomości, po czym, z pani zgodą oczywiście, polecimy go sprzedać. Pakiet akcji również przechodzi w pani ręce, z tym że zajmuje się nimi kto inny, nie my.

Grace oniemiała.

– Odziedziczyłam akcje i... apartament? W Paryżu? – wyjąkała w końcu.

– Niezupełnie. Zgodnie z testamentem dziedziczy pani sumę uzyskaną ze sprzedaży apartamentu. Taka była wola madame d’Orsey – by weszła pani w posiadanie pieniędzy, a nie samego mieszkania. Chodziło jej o to, by miała pani fundusze do własnej dyspozycji.

– Fundusze? Do mojej własnej dyspozycji?

Było coś niesłychanego w fakcie, że jakaś kompletnie obca osoba zaplanowała dla niej przyszłość. Z korzyścią, trzeba przyznać, ale mimo wszystko...

– Tak, i to spore.

– I te pieniądze mają przyjść bezpośrednio do mnie?

– Tak, właśnie to nieboszeczka miała na myśli. Chodziło jej o zapewnienie pani niezależności finansowej. Innymi słowy, jak się wyraziła, chciała dać pani *le droit de choisir*. Prawo wyboru.

Grace zakreśliło się w głowie, w dłoniach poczuła nagłe drętwienie.

– Ale chyba nie mnie osobiście. Pewnie ten spadek przechodzi na mnie z racji jakiejś niespodziewanej konieczności, że się tak wyrażę?

– Konieczności? – Tissot zmarszczył czoło.

– Tak, najpierw przeznaczony był dla kogoś innego, czyż nie?

– Madame, jest pani jedyną osobą wymienioną w testamencie.

– Jest pan pewien?

Monsieur Tissot zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

Grace czuła suchość w ustach, jak gdyby język miała z filcu. Niezależność finansowa. Fundusze.

– Czy mogę poprosić o szklankę wody?

– Oczywiście. – Tissot otworzył drzwi i wydał polecenie sekretarce, która po chwili zjawiała się ze szklanką wody. – Dobrze się pani czuje? – spytał prawnik. – Bardzo pani raptownie zbladła. Może chce się pani położyć?

Grace upiła łyk wody.

– Jestem trochę zmęczona, to wszystko. Nie przywykłam do podróżowania w pojedynkę, no i ta... ta sprawa to jednak dla mnie szok.

– Naturalnie.

– Czy pan...? – zaczęła Grace, lecz przerwała. – Przepraszam, że wypytuję, czy pan ją znał? Madame d’Orsey? – dokończyła niby to obojętnym tonem.

– Tak, spisywałem testament pod jej osobiste dyktando. To wszystko. Miała bardzo silną osobowość. Szkoda, że zmarła tak młodo – odrzekł Tissot z wyrazem

troski. – Może chciałyby pani odpocząć? Mogę wyjść.

– Nie, dziękuję panu. Już mi lepiej. – Grace odstawiła szklanę i zmusiła się, by spojrzeć prawnikowi prosto w oczy. – Czy jest pan całkowicie pewny... może jednak skontaktował się pan nie z tą Grace Munroe, o którą naprawdę chodzi?

– Czemu pani pyta? – Tissot spojrział na nią z niejakim znużeniem.

– Czy jest pan pewien, że rozmawia pan z właściwą osobą? – powtórzyła Grace.

Tissot wyjął z teczki dokumentów kopertę i wręczył ją Grace.

– Czy to pani?

Grace otworzyła kopertę i wyjęła z niej wycinek z kolumny towarzyskiej starego numeru „Timesa”. Wycinek był fotografią, na której widniała Grace w towarzystwie dwóch innych debiutantek w białych balowych sukniach z odsłoniętymi ramionami. Cała trójka stała na podeście ogromnych marmurowych schodów Grosvenor House. Podpis pod zdjęciem głosił: „Panna Grace Maudley, Lady Sophia Hapswood i panna Daphne Sherbourne na balu Grosvenor House”. Oprócz gazetowego zdjęcia Grace wyjęła z koperty złożoną kartkę. Rozłożyła ją. Skreślony kobiecym, pochyłym charakterem pisma widniał na niej następujący zapisek:

*Grace Jane Munroe (z domu Maudley)*

*39 Woburn Square*

*Londyn NW1*

*Urodzona 30 maja 1928,*

*jedyne dziecko Jonathana i Catherine Maudley,*

*ostatnio zamieszkałych w Great Hall, West Challow, Oxfordshire, Anglia*

Grace wbiła oczy w kartkę. Litery jakby płynęły, zlewając się w jedną plamę.

– Madame Munroe?

Poczuła gorąco i duszność. Papiery wypadły jej z ręki.

– Może mógłby pan zawołać mi taksówkę? – spytała obcym dla siebie samej głosem. – Chyba jednak nie najlepiej się czuję.

Monsieur Tissot odwiózł ją swoim autem do hotelu. Jechali w ciszy. Grace wyglądała przez okno, obserwując ruch uliczny. Przechodnie zdawali się jej barwniejsi i wytworniejsi niż londyńczycy, aczkolwiek obcy i tajemniczy. Może dlatego, że nie rozumiała dobrze ich języka?

Gdy podjechali pod hotel, Grace natychmiast położyła dłoń na klamce i rzuciła Tissotowi tylko krótkie dziękuję, on jednak wyłączył silnik i gestem zaprosił ją do pozostania w samochodzie.

– Nie chciałbym się wtrącać w pani życie, ale proszę zaspokoić moją ciekawość. Co panią łączy z madame d’Orsey?

– No cóż, monsieur Tissot... – Grace przybrała swój najbardziej wyniosły ton. –

Ja... nie jestem pewna, czy to z pana strony właściwe pytanie.

Tissot wcale się nie spieszył.

– Z całą pewnością ma pani rację – odparł swobodnym, nawet nieco rozbawionym głosem.

Grace znowu chwyciła za klamkę.

– Nigdy jej pani nie spotkała – rzucił.

– To niesłychane, co pan mówi! – powiedziała Grace ostrym tonem.

– W rzeczy samej, to naprawdę niesłychane – zgodził się. – Mam jednak rację, prawda?

Grace ściągnęła usta. Powinna była wziąć taksówkę.

Tissot oparł się wygodniej w fotelu.

– Byłem w swojej karierze świadkiem wielu spraw spadkowych. Nigdy przedtem nie widziałem spadkobiercy tak zaskoczonego jak pani. Jest pani zaskoczona, prawda?

– Można by tak to ująć – odrzekła ostrożnie Grace.

– A więc – tu Tissot skrzyżował ramiona na piersi – odziedziczyła pani spadek po kimś całkowicie pani nieznanym. Czy tak?

– Tak.

– Po kobiecie, o której nigdy pani nie słyszała?

– Skąd pan to wie?

– Czy mam rację? – zapytał znowu, ignorując jej pytanie.

– Tak.

– Czemu od razu pani tego nie powiedziała?

– Ja... nie wiem. Nie byłam pewna, co się może stać – odparła Grace, nie przyznając się, że przychodziły jej do głowy różne dramatyczne następstwa, może nawet wezwanie na policję albo do ambasady brytyjskiej.

– Nic się nie może stać. Spadek należy do pani, niezależnie od tego, czy ją pani znała, czy nie. Nie można pani zarzucić niczego niewłaściwego.

– Mam poczucie, jakbym coś kradła – przyznała Grace, puszczając klamkę.

– To niezwykła sprawa – powiedział Tissot.

– Właśnie. Miała moje nazwisko i adres, no i tę fotografię z gazety.

– Może przyjaźniła się z pani rodziną?

– Możliwe, że znała moich rodziców, tego nie wiem. Kto jednak zapisuje majątek komuś obcemu? A ten obcy tak po prostu go przyjmuje?

– Nie mam pojęcia – powiedział Tissot, jakby ten aspekt sprawy w ogóle go nie interesował.

– Wyjaśniła to kiedyś panu?

– Nie. Tylko raz w życiu ją widziałem, wtedy, gdy spisywaliśmy testament. Przyszła do nas z polecenia naszego starego klienta nazwiskiem Jacques Hiver.

– Hiver? – powtórzyła Grace, usiłując umiejscowić usłyszane nazwisko. – Czy ja nie widziałam gdzieś tego nazwiska?

– Na każdej wystawie drogerii. To właściciel jednej z największych firm kosmetycznych we Francji.

– Tak, oczywiście!

Pomadki Hivera – na reklamie piękna brunetka z zawiązanymi czarną chustką oczyma, z ustami pomalowanymi najgłębszym z możliwych odcieniem czerwieni. *Embrasse moi* – pocałuj mnie, widniało pod spodem. Grace zwróciła uwagę na ten afisz, tak wyzywający i tak odmienny od angielskiego stylu.

– Więc była jego żoną? – usiłowała połączyć jedno z drugim.

– Niezupełnie... – Tissot spojrzał na nią z ukosa. – On też już nie żyje, zmarł kilka miesięcy temu. Jego żona żyje. Widzi pani, nie zajmowaliśmy się, jak by to ująć, oficjalnymi interesami monsieur Hivera, zatrudniał do tego o wiele większą firmę prawniczą. My opiekowaliśmy się tymi sprawami, które wymagały dyskrecji.

– Dyskrecji w czym?

– Była jego kochanką, tak mi się wydaje.

– Och!

Grace zwróciła wzrok na ulicę. Jej pierwszym odczuciem było zgorzzenie. W jej sytuacji jednak, gdy to ona miała odnieść poważne korzyści, dochodziły do głosu też inne myśli.

Milczeli przez chwilę.

– Czy przekazała panu jakiegokolwiek informacje... może nawet do końca niejasne, dlaczego to mnie wybrała na swą spadkobierczynię?

Tissot pokręcił przecząco głową.

– Nie było w ogóle o tym mowy. Wręczyła mi kartkę z informacją o pani, tę samą, którą pani pokazałem, i przeszliśmy do rzeczy. Była doskonale przygotowana, wiedziała dokładnie, czego sobie życzy. Nie było żadnych komplikacji. Chodziło jej głównie o to, by wszystko jak najszybciej spieniężyć. I żeby pani stawiła się po odbiór spadku osobiście, bez osób trzecich.

– Co za dziwny wymóg, prawda?

Skinął głową.

– W przypadku gdyby ktoś pani towarzyszył, miałem polecenie wyprosić go z gabinetu.

– Ach tak. – Grace przeszedł dreszcz na myśl, że ta obca osoba tak drobiazgowo wszystko obmyśliła.

Zaczął kropić deszcz, szyba auta zaszła mgiełką.

– Jak ona wyglądała? – spytała cicho Grace.

– Ciemnowłosa, o aparycji przyciągającej uwagę. W wieku trochę ponad czterdziestkę, dosyć atrakcyjna. Widać jednak było na jej twarzy ślad przejść, może

choroby.

Grace siedziała z oczyma wbitymi w wilgotny bruk ulicy, błyszczący w świetle zapalonych reflektorów samochodu. Zapadał zmierzch.

– Nie wiem, co mam zrobić – powiedziała.

– Ależ nie musi pani nic robić. Zapewniam panią, że testament jest całkowicie legalny i zobowiązujący. Podpisze pani dokumenty, zabierze pieniądze i może pani wracać do Londynu.

– Tak po prostu? Czy nie widzi pan, że nie mogę spokojnie przejść do porządku nad tym, że nie znam tej kobiety i nie wiem, dlaczego daje mi swój majątek? Chybabym oszalała!

– Może pani udawać, że wygrała pani na loterii – podsunął Tissot.

– Nie uznaję hazardu, monsieur Tissot. Nie wierzę w przypadki ani w ślepy los. Wszystko na tym świecie jest powiązane niewidzialną nicią. Wystarczy trochę ją rozplątać, by zobaczyć logiczny wzór. Naprawdę jest pan pewien, że nie zaszła żadna pomyłka?

Tissot zeszywniał, najwyraźniej poirytowany.

– Zapewniam panią, że nie popełniam błędów tak łatwo. Evy d’Orsey też bym o to nie posądzał. Wszelkie informacje, których nam udzieliła, okazały się w pełni poprawne.

Grace westchnęła ciężko i w znużeniu przesunęła dłonią po oczach. Widziała przed sobą tylko dalsze pytania, żadnych odpowiedzi. Zaczynała boleć ją głowa.

– Czuję się całkowicie zagubiona. Nie wiem, co mam z tym począć.

Tissot na chwilę się zamyślił.

Szef polecił mu załatwić sprawę jak najszybciej i jak najdyskretniej. Firmie zależało na tym, by nie dopuścić do skandalu, który mógłby się niekorzystnie odbić na rodzinie Hiverów. Tissot nie spodziewał się, że madame Munroe będzie aż tak zaskoczona. Zdziwił się, że młoda kobieta ma tyle zastrzeżeń i że upiera się, by dowiedzieć się czegoś więcej. Wskazywało to w jego pojęciu na szlachetność charakteru, co było w obecnych czasach rzadkością. Toteż wbrew zaleceniom szefa postanowił pójść młodej Angielce na rękę.

– No cóż – odezwał się, włączając silnik – spróbuję pani pomóc.

– Dokąd jedziemy?

– Madame, naprawdę chcę pani pomóc, ale najpierw muszę zjeść kolację. Znam tu niedaleko miłe bistro.

Cofnął auto sprzed wejścia do hotelu.

– Mam iść z panem? – spytała zdziwiona.

– A ma pani inne plany na wieczór?

– Ja... nie.

– Więc proszę mi pozwolić zrobić dobry uczynek – uśmiechnął się do niej po raz

pierwszy. W policzkach ukazały mu się dołeczki. – Może nie rozwiążę tajemnicy pani spadku, ale mogę chociaż panią nakarmić.

Po jednej stronie lokalu mieściło się bistro, po drugiej – bardziej elegancka restauracja. Okazało się, że personel dobrze zna Tissota, dostali więc od razu stolik w rogu, skąd mieli widok na całą salkę. Pierwszy raz od zamążpójścia Grace siedziała sama z mężczyzną w restauracji. Wcale jednak nie odczuła tego jako coś nienormalnego, być może z racji niezwykłych okoliczności, w których się znalazła. Poza tym była za granicą. Tissot zachowywał się bardzo swobodnie, nie oczekując żadnej specjalnej konwersacji. Siedzieli po prostu, obserwując innych gości, co zawsze jest interesującym zajęciem.

Grace przejrzała menu.

– Wezmę chyba *ragoût de cou d'agneau* – zdecydowała, zamykając kartę.

– Potrawkę z jagnięciny? Doskonały wybór.

– Potrawkę z...? – Znowu zerknęła do karty.

Tissot się uśmiechnął.

– Woli pani, abym ja zamówił dla nas obojga?

– Może... – Znowu powiodła wzrokiem po menu, szukając czegoś znajomego. – Obawiam się, że mam dość niewyszukane podniebienie. W porównaniu z Francuzami.

– A więc proszę mi powiedzieć, co lubi pani jeść w domu, może wtedy będę mógł pani coś doradzić.

– W domu? Lubię jeść... grzanki.

– Grzanki? – Przechylił głowę, jakby nie dosłyszał. – Chce pani powiedzieć, że je pani grzanki z wyboru?

– Nie jestem przyzwyczajona do... do francuskich rzeczy.

– Ale jesteśmy w Paryżu, madame.

– Och, chyba pan wie, co mam na myśli? Potrawy o zbyt wyraźnym smaku?

– Jak to możliwe, aby potrawa miała za dużo smaku?

– Wszystkie te mocne akcenty... cebula... czosnek...

Najwyraźniej dzieliła ich przepaść kulturowa, a przynajmniej kulinarna.

Grace dała za wygraną i odłożyła kartę.

– Wobec tego muszę panu zaufać.

Gdy zjawił się kelner, Tissot zamówił dla nich obojga sałatę, *poule au pot* i butelkę czerwonego wina.

Nalał jej kieliszek i podsunął koszyk z pieczywem. Grace poczuła nagle wielki głód. Nie jadła przecież obiadu, zupełnie o nim zapomniała. Bagietka była chrupiąca, z miękkim środkiem, jeszcze ciepła. Coś tak prostego, a jednocześnie tak pysznego. Zupełnie co innego niż w powojennej Anglii.

– Zastanawia mnie, kim jest ta kobieta. Dlaczego obdarza mnie swoim

majątkiem?

– Naturalnie rozumiem pani ciekawość. Mnie natomiast interesują pani zamiary wobec tego majątku. Co pani z nim pocnie?

Wcale jeszcze o tym nie myślała, może dlatego, że nie wierzyła, iż pieniądze rzeczywiście do niej należą.

– Nie wiem. – Upiła łyk wina.

– Może pani kupić nowy dom, podróżować, zacząć zbierać obrazy, inwestować...

Grace nie miała żadnego doświadczenia z pieniędzmi.

– Wszystko to możliwe. Musiałabym jednak zasięgnąć porady prawnika.

Tissot złożył razem dłonie.

– Ja jestem prawnikiem.

– Oczywiście, ale ja potrzebowałabym kogoś znającego się na prawie angielskim.

– Tak, naturalnie, lecz i tak uzyska pani tylko poradę prawną. Ja natomiast jestem ciekaw, co chciałaby pani robić w życiu?

Grace milczała przez chwilę.

– Otóż chciałabym żyć. Bardzo wygodnie żyć. W spokoju. Żeby nikt mi nie mówił, co mam robić i jak – dodała, sama się dziwiąc własnym słowom.

Tissot wzniósł w górę kieliszek.

– Ambicja godna podziwu!

– Żartuje pan ze mnie?

– Skąd, mówię poważnie. Ludziom wydaje się, że wygodne i dobre życie przychodzi samo, a przecież to niemała sztuka osiągnąć taki standard, jaki się sobie wyznaczyło. Potrzebny jest do tego pewien stopień dojrzałości, siła charakteru, prawdziwie dobry gust oraz...

– Oraz pieniądze – weszła mu w słowo Grace, znów biorąc do ręki kawałek bagietki.

– Tak, pieniądze się przydają.

Spojrzała na niego z ukosa. Być może to Paryż albo cała ta dziwaczna sytuacja sprawiły, że zadała mu pytanie, którego zazwyczaj nie ośmieliłaby się zadać.

– A pan, czy pan osiągnął standard, który sobie wyznaczył?

Nie odpowiedział od razu.

– Uważam to za przywilej. Osiąga się go odwagą i pokonywaniem przeciwności losu.

Grace się roześmiała.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Czasami. Czasami go osiągam, ale niekiedy robię to, czego inni ode mnie oczekują.

To szczere wyznanie wywarło na Grace wrażenie, nigdy jeszcze nie słyszała, by ktoś głośno przyznał się do tego rodzaju lawirowania. Wiedziała oczywiście, co Tissot

miał na myśli. Prawnik zmienił temat rozmowy.

– A gdzie miałyby pani ochotę wieść to wygodne życie?

– Nie wiem. Może gdzieś na wybrzeżu. W każdym razie tam, gdzie pieką taki chleb.

– A pani mąż? Co on na to wszystko?

Tym ją zaskoczył. W ogóle od jakiegoś czasu nie myślała o Rogerze. Nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć.

– Mój mąż?

– Właśnie. Co on na to?

Grace strzepnęła kilka okruchów z obrusa.

– Nie wiem. Tak naprawdę nie miałam okazji, żeby to z nim omówić.

– Ach tak – w jego głosie zabrzmiało niedowierzanie. – No cóż, zapewne będzie miał coś do powiedzenia.

– Niewątpliwie.

Zapadła cisza.

– Na południu Francji mamy przepiękne wybrzeża – odezwał się Tissot po chwili.

– Tak – zgodziła się Grace, wdzięczna za to, że nie drąży tematu Rogera. – Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że to wyjątkowe okolice.

Pojawiła się potrawka z kurczęcia. Podano ją w grubym kamionkowym kociołku, w którym oprócz mięsa dusiły się różne jarzyny i młode kartofelki. Było to danie proste, acz smakowite, Grace uznała je za jakąś egzotyczną wspaniałość, choć ku jej zdumieniu Tissot wyjaśnił, że potrawa pochodzi z tradycyjnej kuchni chłopskiej.

– Po prostu kura z garnka – skwitował, wzruszając ramionami. – Powiedziała pani, że ma ochotę na coś niewyszukanego.

– Jest pyszna.

W restauracji było tłoczno i gwarno, jedni goście przychodzili tu na kolację, inni wpadali na kawę i sądząc z rozmów między stolikami, niemal wszyscy się znali. Przerzucano się opiniami i radami, Tissot od czasu do czasu wyjaśniał Grace, o czym jest mowa. Jeden ze stolików zajęła cała rodzina, przy innych siedziało kilka par małżeńskich, dwie elegancko ubrane starsze panie, grupka młodych mężczyzn w drodze do klubu, samotny jegomość pochylony nad gazetą, jakieś przyjaciółki w średnim wieku...

– Właśnie wyszły z kina – powiedział ściszym głosem Tissot i wskazał gestem na dwie kobiety. – Jedna twierdzi, że nie podobała się jej postać matki i że główny bohater był za gruby, choć miał miłą twarz.

– Co to za film?

– Hm. – Tissot nadstawił bardziej ucha. – *Marty*? Obie się pod koniec popłakały. Przyszły tu na kieliszeczek dla poprawienia sobie humoru.

– Och, tak! Słyszałam, że to dobry film, chciałabym go zobaczyć.



– A tam – teraz wskazał na parę małżonków w starszym wieku najwyraźniej sprzecających się o coś – on twierdzi, że cielęcina jest dobra, a ona, że w sosie jest za dużo kaparów i za mało cytryny.

Istotnie, mężczyzna potrząsał głową, a kobieta już składała serwetę, jak gdyby zamierzała zaraz wyjść.

Grace nie wierzyła własnym oczom.

– Kłóć się tak na temat jedzenia?

Tissot potwierdził.

– W Anglii byłoby to nie do pomyślenia.

– Wiem – uśmiechnął się Tissot.

Po kolacji odprowadził ją do hotelu. Nie było daleko, deszcz ustał.

Zanim się pożegnali, Grace zadała prawnikowi pytanie.

– Z tego, co pan mówił, zrozumiałam, że ma pan klucze do mieszkania madame d’Orsey?

– Owszem.

– Nie zostało jeszcze sprzedane, prawda?

– Nie.

– Czy mogłabym w takim razie je obejrzeć?

Tissot nie odpowiedział od razu.

– Mam za zadanie dostarczyć pani pieniądze ze sprzedaży. Nie wydaje mi się, żeby madame d’Orsey życzyła sobie, by pani do niego wchodziła.

– Być może, ale bez mojego podpisu nie może ono być sprzedane, prawda?

– Taaak... to prawda.

– Czy nie powiedział pan, że to delikatna sytuacja, wymagająca dyskrecji?

– Jest pani uparta – powiedział.

– A pan niezbyt skłonny do współpracy.

Tissot wcisnął ręce głęboko w kieszenie płaszcza i przechylił się lekko do tyłu. Grace była sprytniejsza, niż przypuszczał, w dodatku wykazywała się inteligencją i specyficznym poczuciem humoru. Nic się nie stanie, jeśli pokaże jej apartament, a później szybko zakończy całą sprawę.

– A więc dobrze. O której jutro mam po panią przyjść?

---

# Nowy Jork 1927

---

Prawie każdego wieczoru w hotelu odbywało się jakieś przyjęcie. Z reguły zaczynano zabawę przy barze i potem przenoszono się do pokoi, czasem jednak po wielu kieliszkach goście tańczyli we wszystkich korytarzach, drzwi się otwierały, nawet obcy sobie ludzie włączali się w ogólną wesołość, grała muzyka, snuł się dym z papierosów, przekrzykiwano się i zaśmiewano. Pojawiał się nielegalny alkohol, butelki krążyły z rąk do rąk, domagano się kieliszków i lodu. Ni stąd, ni zowąd przed hotel zajeżdżały auta z nowymi gośćmi, młodymi pannami w szampańskich nastrojach i chłopcami w wieczorowych garniturach, jak gdyby czekających w gotowości akurat na ten moment. Wpadali do holu niczym łowcy za zwierzyną, nie chcąc przegapić „najlepszych kasków”.

Dziewczęta z rewii znane były z tych wiecznych imprez. Przerzywały je tylko na krótko, żeby nieco wytrzeźwieć i trochę się przespać. Jak w Syzyfowym losie powtarzały wędrówkę z pokoju do pokoju, z piętra na piętro, w wiecznym poszukiwaniu kolejnego koktajlu, kolejnego partnera do tańca, kolejnego podniecenia. Rankiem, choć częściej dopiero popołudniem, wczorajsi imprezowicze snuli się z czerwonymi od niewyspania oczami po korytarzach, szukając zgubionych pantofli i torebek. Młodzieńcy z kluczykami w ręku usiłowali przypomnieć sobie, gdzie zaparkowali auta i w ogóle gdzie się znajdują. Potem ruszali dalej.

Sprzątać po tych przyjęciach nie było przyjemnie. Na balkonach, w donicach z palmami oraz w kubełkach do lodu często można było znaleźć ślady niedyspozycji żołądkowej, w sypialniach pończochy i inne części bielizny ukazywały się oczom personelu w niespodziewanych miejscach, między poduszkami kanapy albo na tacach. Dywany trzeba było czyścić z plam po krwi, wymiotach i szmince, i prawie co tydzień odkrywano albo trupa, albo prawie trupa, którego policja odwoziła do najbliższego szpitala.

Mimo tych ekscesów hotel był miejscem częstych wizyt gwiazd filmu i teatru.

Zjawiskowe sławy w postaci Douglasa Fairbanka, Willa Rogersa, Johna Gilberta czy W.C. Fieldsa czarowały młode panny przy barze, a nierzadko także owinięte w futra gwiazdy w osobach Ruth Etting, Marion Davies i Fanny Brice przemykały przez westybul do czekających na nie przed wejściem limuzyn.

W hotelu panowała atmosfera podniecenia, podsycana sławą gości, łatwymi podbojami seksualnymi, czy to celowymi, czy przypadkowymi, i wszelkimi

potencjalnymi zdarzeniami. Klimat równie nieprzewidywalny jak pogoda. W lecie było jeszcze gorzej.

– Pan Waxman znowu usiłował się zabić – westchnęła Sis, gdy pewnego dusznego i upalnego poranka składała wraz z Evą bieliznę pościelową.

– Co to znaczy „znowu”?

– Robi to od czasu do czasu. Wypija za dużo, zaczyna się awanturować, a potem staje na parapecie w otwartym oknie. Powinni go wyprosić z hotelu raz na zawsze. Już kiedyś próbowali, ale teraz mają zamiar zwrócić się do policji o pomoc.

– Dlaczego on to robi?

– Dlaczego tego nie robi, oto jest pytanie! Jak chcesz skoczyć, to skacz! Najbardziej denerwujące są te jego próby. Niby pisze jakiś scenariusz do filmu, ale co pewien czas widać musi zrobić wokół siebie zamieszanie. „Nie ma po co żyć! Otóż to! Nie ma Boga! Nie ma zbawienia!” W zeszłym roku wszyscy się przerazili, ale teraz nikt się już nie przejął. A on postał trochę w oknie, no a potem zszedł i zrobił sobie kąpiel.

– Nie wie, że samobójstwo to grzech?

– Nie mówiąc już o tym, jak to jego stanie na parapecie wprawia wszystkich w popłoch. Ale pan Waxman to Żyd. Oni mogą robić, co chcą.

– A może on ma rację – powiedziała Eva, wyrównując stos świeżych prześcieradeł.

– Co ty opowiadasz? – Sis spojrzała na nią z irytacją, tym silniejszą, że było jej bardzo gorąco.

– Tak tylko mówię... Sama nie wiem.

– Och, naprawdę! – Sis strzepnęła energicznie ręcznik. – Bóg ma lepsze rzeczy do roboty, niż martwić się o pana Waxmana na jedenastym piętrze. A poglądy tego wariata nic mnie nie obchodzą. Halo, halo, skąd wytrzasnęłaś te pantofle?

– Podobają ci się? – Eva okręciła się jak baletnica na obcasiku zgrabnego pantofelka. Pantofle miały z przodu pasek, były trochę na Evę za obszerne.

– Tak, ładne, ale skąd je wzięłaś?

– Dostałam od Gina. Po jego siostrze.

– Gino Garnek i Patelnia?

Eva skinęła głową. Gino był pomywaczem w hotelowej kuchni.

Sis położyła dłonie na biodrach.

– Podarował ci buty? A skąd jego siostra ma takie pantofle?

– Tego nie wiem. – Eva wzruszyła ramionami. Czemu Sis tak się dopytuje? – To chyba miło z jego strony.

– Hm... – mruknęła Sis.

– O co ci chodzi?

– Nikt nie daje prezentów tak bez powodu.

– Ale z ciebie cyniczna osoba.

– A ty jesteś za młoda na pantofle na obcasach. On ma jakieś zamiary.

Eva zmarszczyła nos.

– To stary facet! A te pantofle są prawie nowe.

Sis przesunęła stos ręczników w drugi kąt szafy.

– Stary czy niestary, to mężczyzna. Oddaj mu te buty, jeśli nie chcesz skończyć w dwóch pokojach w Brooklynie z całą jego rodziną.

– Nie mam zamiaru oddawać.

– Złotko, o ile wiem, Gino nie ma siostry.

– Naprawdę? – spytała Eva niepewnie.

– Powiedz mu, że nie pasują na ciebie, i oddaj je z powrotem. Powiedz, że ciotka ma ci kupić nowe buty. Musisz być ostrożna w tych sprawach.

Sis zamknęła szafę i zgasiła światło.

– Nie tylko pan Waxman jest pomyłony.

Eva spojrzała z żalem na swoje stopy. Były to najpiękniejsze pantofle, jakie kiedykolwiek nosiła. Jednak Garnek i Patelnia miał łysą głowę i ślinił się przy mówieniu.

– Chyba masz rację.

– Jasne, że mam rację. – Sis ruszyła korytarzem. – Jeszcze jedno, nie rozmawiaj z panem Lambertem z numeru trzysta trzystaście.

– Dlaczego nie? – spytała Eva, spiesząc za nią niepewnie na obcasach nowych pantofli.

– To Niebezpieczny Człowiek. Otto, ten z recepcji, znasz go?

– Ten z rudymi wąsami?

– Tak. On jest pewien, że pan Lambert to komunista. Wiesz, co to znaczy?

– Nie bardzo.

– Och, to najgorsze typy! Są na przykład za wspólną własnością. Wiesz, na czym to polega? Że wszystko, co moje, należy też do ciebie, i na odwrót. Czy to nie barbarzyństwo?

Evie przyszedł na myśl zwój irlandzkiej koronki na ślubną suknię Sis.

– Chyba tak.

– Otto mówi, że ten Lambert jest za tym, żeby Murzyni żenili się z białymi, żeby biali w ogóle się nie żenili i żeby wszyscy mieszkali wspólnie, i żeby obalić demokrację.

Eva usiłowała sobie wyobrazić Murzyna poślubionego białej kobiecie. Ciekawe, jakiego koloru byłyby ich dzieci?

– A prawdziwi komuniści, ci w Rosji, w ogóle nie mają żadnej religii. Jest zakazana. Tam nie ma w ogóle żadnych kościołów!

– Co w takim razie robią w niedzielę rano?

– Nic. Nie ma dla nich Boga, nie ma nieba ani piekła. Wyobrażasz sobie? – Sis westchnęła głęboko. – To Upadły Człowiek, moja droga. Zatrzymuje się u nas, bo w Continentalu nie chcą go widzieć po tym wypadku z ostrygami.

– Co to było, ten wypadek z ostrygami? – spytała Eva z zaciekawieniem.

– O, tego ci nie powiem! – Sis pokiwała palcem. – Możesz mi jednak wierzyć, że młoda dama w to zamieszana nie była zbyt zadowolona!

Doszły do końca korytarza, gdzie trzymano wózki z rzeczami do sprzątanania.

– Przypada ci jego pokój – ciągnęła Sis – ale nie odzywaj się do niego. I nie słuchaj jego gadania.

– Dobrze. – Eva wyciągnęła wózek i poprawiła czepek, który wciąż opadał jej na uszy.

W pokoju numer 1129 Samobójca, a w 313 Wróg Państwowy.

Przyda się więcej ręczników.

Eva sprzątała pokój numer 313 codziennie, lecz dopiero po tygodniu natknęła się na pana Lamberta. Właśnie przekręcał klucz w zamku.

Spieszył się chyba i był pogrążony w myślach. Z wyglądu nic nadzwyczajnego, przeciętniak: szatyn w średnim wieku, średniego wzrostu i średniej tuszy, trochę jakby utykający na jedną nogę.

Nie wydał się Evie postacią ani upadłą, ani demoniczną.

– Dzień dobry panu – odezwała się cichym głosem, nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi.

Nie usłyszał jej, toteż powtórzyła głośniejsze.

– Dzień dobry panu.

Sis ją chyba zabije.

Lambert zatrzymał się i spojrzał na pokojówkę. Nie odpowiedział od razu.

– Dzień dobry. – Po krótkim wahaniu uchylił lekko kapelusza i ruszył dalej.

Eva wiodła za nim wzrokiem, aż zniknął za zakrętem korytarza. Była zafascynowana.

Zauważyła ciemnoniebieskie, prawie granatowe oczy Lamberta i cienki wąsik, prawie taki sam jak u Johna Gilberta. Sis nie wspomniała nic o tym, że Lambert jest przystojnym mężczyzną.

Weszła do pokoju 313.

Czuło się tu jeszcze niedawny ruch, jakby dopiero pokój się uspokajał. W łazience unosiła się wilgoć zmieszana z zapachem mydła i wody kolońskiej.

Ewa podniosła z posadzki mokre ręczniki, spłukała i wytarła umywalkę, uporządkowała przybory do golenia i mycia zębów. Potem pozbierała ubrania i skarpetki oraz wygładziła prześcieradło na łóżku. Leżał tam niedawno, czytając gazetę i popijając kawę. Czuła jeszcze ciepło jego ciała na pościeli, a może tylko się jej zdawało?

Ogarnęło ją nieznanne w stosunku do innych gości uczucie dziwnej bliskości z tym człowiekiem.

Na stoliku stały dwa brudne kieliszki, jeden ze śladami szminki w wyzywającym jaskraworóżowym odcieniu. Jakiemu mężczyźnie może się podobać coś takiego na kobiecej twarzy?

Przeniosła kieliszki na swój wózek, na tacy postawiła czyste. Zajęła się sprzątaniami, rozglądając się za innymi dowodami podejrzanego działania, nie znalazła jednak ani broszur agitujących za obaleniem zachodniej demokracji, ani gazet czy telegramów w obcych językach, nawet ani jednej publikacji po rosyjsku.

Na koniec otworzyła okno, by przewietrzyć wysprzątaną pokój.

Nie wyszła jednak stamtąd od razu, stała jeszcze przez moment i rozmyślała.

Według Sis wszyscy mężczyźni są zarazem głupi i niebezpieczni, omyłkowo stworzeni przez Boga, podobni jakimś trującym roślinom. Czyż jednak nie ma różnicy między Garnkiem i Patelnią z jego pantoflami na wysokich obcasach a wyrafinowanym w swym zepsuciu panem Lambertem?

Upadłe kobiety można liczyć na pięć, wystarczy tylko przespać się z kimś bez ślubu i już się dostaje taką etykietkę, mężczyzna natomiast musi dokonać czegoś bardziej przemyślanego, jakiegoś czynu wpływającego z przekonań, czy to moralnych, czy intelektualnych. Musi świadomie odwrócić się od Boga.

Eva doszła do wniosku, że pan Lambert należy do takiej właśnie kategorii i że jest człowiekiem godnym szacunku. Jego ciemnoniebieskie oczy i dobre maniery też się liczą.

---

# Paryż

## wiosna 1955

---

Wysiedli z czerwonego Citroëna monsieur Tissota przy place des Vosges. W powietrzu czuło się chłód. Przeszli przez ogród zajmujący środek najstarszego paryskiego placu, którego harmonijnie zaplanowaną przestrzeń zamykały ze wszystkich stron piękne eleganckie budynki. Pod ich arkadami mieściły się sklepy i restauracje.

Ogród był wspaniale utrzymany, znajdowały się w nim fontanny i równe żwirowe alejki wysadzone wiązami.

– Bardzo tu wytwornie – odezwała się Grace.

– Tak, bardzo. To zabudowa z początku siedemnastego wieku.

– Nie sądziłam, że będzie to aż takie wspaniałe miejsce. Musi tu być bardzo drogo.

– Madame d’Orsey dostała apartament w prezencie.

– Od kogo?

– To stara posiadłość rodziny Hiverów.

– Czy to normalne? Mam na myśli, czy daje się kochance w prezencie coś, co jest własnością rodzinną?

– Ludzie majątni mają swoje własne reguły.

– Nie spodziewałam się czegoś tak kosztownego. – Grace przygryzła usta.

– Myślała pani, że to będzie jakieś biedne poddasze?

– Nie wiem... chyba tak.

– Nie musimy tam wchodzić, jeśli nie ma pani ochoty.

– Wiem. – Grace poczuła w kieszeni płaszcz starą ojcowską zapalniczkę i ścisnęła ją w dłoni, dodając sobie otuchy. – Jednak chcę zobaczyć to mieszkanie.

Tissot poprowadził ją do wąskiego przejścia zamkniętego kutą żelazną bramą. Weszli przez nią na wewnętrzny prostokątny dziedziniec, wyłożony drobnymi brukowymi kamieniami, z fontanną pośrodku. Mury budynku, w którym znajdował się apartament, wzniesione z czerwonej cegły i jasnego kamienia, porastał grubą warstwą ciemnozielony bluszcz. Na pierwszym i drugim piętrze wysokie okna wychodziły na balkony, na wyższych piętrach okna zasłaniały zamknięte okiennice. Do masywnych dębowych drzwi prowadziło kilka wytartych przez stulecia kamiennych stopni z żeliwną balustradą.

– Pójdę do dozorkownicy po klucze. – Tissot podszedł do mniejszych bocznych

drzwi i zapukał. Powrócił po chwili. – Mamy szczęście. Mieszkanie zostało już opróżnione z mebli, jest puste. Wyjaśniłem, że jest pani spadkobierczynią madame d’Orsey, dozorczyńni doskonale to zrozumią.

Tissot przekręcił klucz w zamku i powiódł Grace krętymi schodami na piętro. Grace otuliła się szczerzej płaszczem. Czuła się niezręcznie, jakby przychodziła gdzieś nieproszona. Było jednak za późno na odwrót. Tissot otwierał już drzwi do mieszkania.

– Proszę, pani przodem.

– Dziękuję. – Grace się wyprostowała, chcąc wyglądać na bardziej pewną siebie.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym wejść sama.

– Naturalnie. Poczekam na dole.

Gdy Tissot zszedł na parter, Grace wzięła głęboki oddech i wkroczyła do apartamentu madame d’Orsey.

Stukot jej obcasów na parkiecie odbijał się echem w pustym wnętrzu. Z holu weszła do salonu, którego trzy balkonowe okna wychodziły na place des Vosges. Salon był ogromny, długości co najmniej trzydziestu pięciu stóp, z wysokim sufitem i biegnącymi wokół niego ozdobnymi sztukateriami oraz z wielkim kominkiem z czarnego marmuru. Z sufitu zwisał kryształowy żyrandol. Na tapecie widać było ciemniejsze ślady po obrazach i meblach.

Nie, nie spodziewała się czegoś takiego. Jeśli nawet nie oczekiwała uboższego mieszkania na poddaszu, to z pewnością wyobrażała sobie coś skromniejszego.

Przestronny salon nadawał się wręcz na bale. Czy to nie ostentacja robić tego rodzaju prezenty kochance?

Weszła do następnego pokoju. Była to sypialnia, mniejsza niż salon, lecz równie wystawna. Natychmiast poczuła silny zapach perfum. Nie żadnej delikatnej wody kwiatowej, lecz czegoś niezwykłego, metalicznego, zniewalającego zmysły.

Przeszył ją dreszcz. Kobieta, która tu mieszkała, to nie jakaś dobra wróżka z bajki, lecz osoba silna i nietuzinkowa. Wciąż czuło się jej obecność.

Na środku pokoju stało duże drewniane łóżko w stylu *lit bateau*, o rzeźbionej ramie, jedyny mebel w całym mieszkaniu.

Na bladoniebieskim suficie skrzyły się jak na letnim niebie złote światełka.

A więc to tu madame d’Orsey zabawiała swego kochanka.

Grace się wzdrygnęła. Przyszła jej na myśl Vanessa; jakby ją widziała w tym mieszkaniu, biegnącą lekko po parkiecie bosymi stopami, ze sznurami pereł na szyi.

Tak, to wnętrze nadawało się do odgrywania miłosnych scen i gier, jak w teatrze. Tylko że Grace nie znała reguł takich zabaw.

Zajrzała do łazienki. Stała tam wielka żeliwna wanna, niski bidet, otwarte szafki ukazywały opróżnione półki, rury wydawały głośnie dźwięki.

Kuchnia okazała się mała. Niewielkie, zwyczajne pomieszczenie, z blatem z



zielonej sztucznej masy i z głębokim porcelanowym zlewem. Na małym stole stała popielniczka, obok leżała złożona gazeta.

Grace usiadła na krześle. Nad piecykiem tykał plastikowy zegar. Spojrzała na „Le Figaro”. Data sprzed miesiąca. Na marginesie ktoś nabazgrał serię regularnych kółeczek, najwyraźniej w chwili, gdy myślał o czymś innym. Powiodła palcem po krawędzi popielniczki. Był to tani przedmiot masowej produkcji w stylu lat dwudziestych, prosty kwadrat z grubej porcelany. Widać było ślad po sklejeniu. Grace odwróciła popielniczkę do góry dnem. W prawym dolnym rogu można było przeczytać wytarty napis: „Drogeria Rikera, Nowy Jork”.

W odróżnieniu od reszty mieszkania kuchnia miała w sobie życie. Pokoje wyglądały jak dekoracje teatralne, tu natomiast tajemnicza madame d’Orsey najwyraźniej przesiadywała z papierosem nad gazetą, przysłuchując się tykaniu zegara i szumowi lodówki. Kobieta w średnim wieku, naznaczona cierpieniem. Tak to monsieur Tissot ujął.

Grace nie odrywała oczu od popielniczki.

*Le droit de choisir.*

Wciąż to słyszała w głowie. Jak dotąd nikt nie radził jej być kobietą niezależną. Przeciwnie, miała odnieść sukces życiowy jako kobieta zależna – najpierw od rodziny, potem od męża. Ta obca osoba natomiast rzucała jej wyzwanie: ma dokonać wyboru, wziąć odpowiedzialność za siebie.

Dlaczego madame d’Orsey rzuca jej wyzwanie? Przecież nigdy się nie znały, w dodatku Grace ma zastrzeżenia co do moralności tej kobiety.

Wyjęła z torebki zgniecioną paczkę chesterfieldów. Zapaliła jednego.

Czyżby Eva d’Orsey nie wiedziała, że dziewczęta obdarzone urodą nie muszą wieść niezależnego życia? Po co im to, jeśli zawsze mogą wpaść w kolejne opiekuńcze ramiona mężczyzny? Tylko „mądre” czy „rozsądne” muszą same się o siebie troszczyć. Przecież gdy się mówi o dziewczynie „inteligentna”, to z reguły z politowaniem. „Mądre” mają przed sobą beznadziejne życie.

Grace wydmuchiwała powoli dym z papierosa. Czyż jednak te obciążenia nie przynosiły im wolności? Ta nieznana kobieta też chciała, żeby ona, Grace, osiągnęła wolność i niezależność.

A jednak czemu odnosi wrażenie, że madame raczej coś jej odbiera, aniżeli daje?

Rozłożyła gazetę i zaczęła ją przeglądać. Rozumiała co nieco: wyprzedaż w Galeries Lafayette, nowe modele gorsetów i staników... zdjęcie wypadku jakiegoś sportowego auta prowadzonego przez młodego człowieka... nekrologi... ogłoszenia... coś obwiedzonego kółkiem nakreślonym czarnym atramentem...

*Avis de saisie vente de boutique, 23 rue Christine, Saint-Germain, Paris.*

*Boutique...* to sklep, tak. A reszta? *Avais de saisie vente...* tego nie rozumiała.

Na ścianie domu naprzeciwko słońce tworzyło cienie i odbłaski, zegar tykał w

przytulnej kuchni, miasta za oknem się nie czuło.

Co ja tu robię, przeszło Grace przez myśl, jestem w tym wszystkim zagubiona. Zaciągnęła się kolejny raz papierosem, przysunawszy bliżej popielniczkę.

*Le droit de choisir.*

Prawo wyboru czego?

Nie jest przyzwyczajona do wybierania czegokolwiek samodzielnie i nie bardzo ma ochotę zaczynać. Skąd będzie wiedzieć, że dokonała dobrego wyboru?

Strzepnęła popiół.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Zaskoczona Grace szybko zgasiła niedopałek w popielniczce.

– Monsieur Tissot? To pan? – Wstała z krzesła. – Czy to pan?

Żadnej odpowiedzi.

Znowu pukanie.

Grace przeszła do holu i przystanęła, mając nadzieję, że osoba po drugiej stronie drzwi odejdzie.

Pukanie nie ustawało.

Grace otworzyła drzwi.

– O, dzień dobry – uśmiechnęła się z ulgą.

W progu stała dziewczynka, najwyżej trzynasto-, czternastoletnia, z ciemnymi włosami zaplecionymi w warkocze i z poważnym wyrazem twarzy. Pod pachą trzymała kartonowe pudełko.

– Mogę w czymś pomóc?

– *Bonjour, madame. Parlez-vous français?* – zapytała dziewczynka, starając się mówić jak najwyraźniej.

– Och, no cóż, *oui... un peu... mais je ne parle pas très bien...*

– Ja mówię trochę po angielsku – powiedziała nowo przybyła, rozumiejąc widocznie, że Grace nie będzie konwersować po francusku. – Ten pan na dole powiedział, że pani jest... spadkobiercą? Czy to prawda?

– Tak, chyba tak.

– Aha, więc mama to pani daje. – Dziewczynka wyciągnęła karton spod pachy.

– Przepraszam, ale kim jest mama?

– *Pardon.* – Dziewczynka spuściła oczy. – Mama to madame Assange, jest tu dozorczynią. To dla pani.

– Na pewno?

– Pani jest z Anglii, prawda?

– Tak.

– A to pani nazwisko czy nie?

W rogu kartonu widniał napis: „Grace Munroe”.

Grace przeszedł dreszcz. Jej nazwisko było skreślone tą samą ręką co testament w

biurze Tissota.

– Tak, to ja – przyznała.

Podniosła wieczko kartonu.

W środku leżało sześć zawiniątek z gazety, okazało się, że każde z nich kryło porcelanową figurynkę pastereczki w innej wzorzystej sukience. Należały ewidentnie do czyjejś kolekcji. Grace nie cierpiała tego rodzaju tanich sentymentalnych bibelotów.

– Madame d’Orsey dała to *maman* na przechowanie. Nie chciała, żeby monsieur Migret je wziął.

– Kto to jest monsieur Migret?

– On jest właścicielem... *l’antiquaire... Il vend... on sprzedaje les bibelots... les deuxième main...* – dziewczynka wskazała na swoją rękę.

– Sklep z rzeczami z drugiej ręki, używanymi? – zgadła Grace, która zawsze lubiła szarady.

– Tak. Z drugiej ręki. Opróżnia mieszkania, jak ktoś umiera.

– To mieszkanie też on opróżnił?

– Tak – potwierdziła mała, zbierając się do odwrotu.

– Zaczekaj – zatrzymała ją Grace. – Ten monsieur Migret, czy wiesz, gdzie go znaleźć?

– Ma sklep... mmm... przy rue Saint-Claude.

– Rue Saint-Claude – powtórzyła Grace, starając się zapamiętać nazwę. – Czy to daleko?

– Kilka ulic stąd.

– Dziękuję. Jak ci się wydaje, czy mogłabym zobaczyć się z twoją mamą? Chciałabym jej podziękować i zadać kilka pytań o madame d’Orsey.

Dziewczynka jakby się zaniepokoiła.

– Ale mama nie zna angielskiego.

– Może ty byś mi pomogła? – zaproponowała Grace z uśmiechem. – Albo monsieur Tissot, ten, którego spotkałaś na dole?

Dziewczynka zmarszczyła czoło.

– Mama nie lubi plotkować.

– Nie chodzi mi o plotki. Chciałabym tylko ją zapytać o madame d’Orsey, to wszystko.

Dziewczynka odeszła od drzwi.

– Powiem mamie, ale ona jest bardzo zajęta.

Zaczęła zbiegać po schodach.

– A ty ją znałaś?! – zawołała za nią Grace.

Dziewczynka się odwróciła.

– Madame d’Orsey?

– Tak.

Mała jakby się zastanowiła.

– Dostałam od niej kiedyś lalkę na urodziny. Jak skończyłam pięć lat. Bardzo ładną lalkę, z prawdziwymi lokami i buzią z porcelany. Najładniejsza lalka w moim życiu.

– To znaczy, że przyjaźniła się z waszą rodziną?

– O, nie, madame. Mama nie pozwoliła mi jej zatrzymać.

– Dlaczego?

Dziewczynka przestąpiła z nogi na nogę.

– Może ją pani sama zapytać.

Zeszła szybko na dół. Grace usłyszała jeszcze stłumione głosy, a potem dźwięk zatraskiwanych drzwi. Nastąpiła cisza.

---

# Nowy Jork 1927

---

Przed wejściem do pokoju gościa hotelowego należy zapukać trzy razy. Najpierw jedno zwykłe puknięcie, potem drugie głośniejsze i jednocześnie wołanie: „Tu pokojówka”. Następnie otwiera się drzwi i czeka. „Tu pokojówka”, woła się powtórnie i puka po raz trzeci. Nawet po tej długiej procedurze można natrafić na niespodziewaną sytuację. Na przykład gość wychodzi właśnie z kąpieli, choć to należy zaliczyć do mniej kłopotliwych momentów.

Eva zauważyła, że bardzo często goście słyszą jej pukanie i wołanie, lecz nie chce się im odpowiedzieć. Doszła do wniosku, że po prostu nie zwracają uwagi na personel. Osoba w służbowym hotelowym ubraniu staje się dla nich niewidoczna.

Teraz przyniosła świeże ręczniki do pokoju numer 313. Zapukała i zawołała jak zawsze.

Brak jakiegokolwiek odpowiedzi.

Drzwi od łazienki były trochę uchylone, słyszała szum lejącej się wody.

– Tu pokojówka! – zawołała jeszcze raz. – Zostawię dodatkowe ręczniki na łóżku.

– Dziękuję.

Kładąc ręczniki, zauważyła na stole karty do gry, ułożone w rzędy. Rozpoznawała pasjansa, goście często je kładli, takiej gry jednak nie pamiętała. Ale od razu wydało się jej, że dostrzega jakiś klucz.

Podeszła bliżej do stołu.

Co to może być?

– A więc? – Pan Lambert stał w drzwiach łazienki owinięty tylko w ręcznik. Wycierał twarz z resztek mydła do golenia. – Jaki wykonałabyś teraz ruch?

Zaskoczona Eva chwyciła z powrotem ręczniki.

– Przepraszam. – Ruszyła do wyjścia.

Lambert opierał się o framugę drzwi do łazienki.

– Masz coś dla mnie?

Mężczyzna był dobrze zbudowany, na opalonej klatce piersiowej widniały ciemne kręcone włosy.

Uśmiechał się.

– Och! – Zaczerwieniła się i podała mu ręczniki. – Przepraszam.

– To ty powiedziałaś mi dzień dobry w korytarzu, prawda?

– Ja... tak.

Lambert wskazał ruchem głowy na stół.

– Odniosłem wrażenie, że starasz się zrozumieć układ kart. Niewielu by to potrafiło.

W jego głosie słychać było zachętę.

– Spróbuj więc – uśmiechnął się – i powiedz, co tam widzisz.

Eva spojrzała znowu na rozłożone karty.

– To są liczby pierwsze, prawda? Albo wyższe kolory, zależy, co przyjdzie najpierw.

– Tak jest – potwierdził. – Chyba już w to grałaś?

– Nie. Karty to niedobre zajęcie.

– Tak jak wiele innych rzeczy. Ale jeśli nigdy w to nie grałaś, to skąd wiesz, o co tu chodzi?

– Znam się na liczbach.

– Ach tak? – Mężczyzna przymrużył oczy. – Tak uważasz?

Eva poczuła się niepewnie.

– Przepraszam pana, chyba nie mam racji.

Lambert podszedł do toaletki i zapalił papierosa.

– Może myślisz, że nabawisz się jakichś kłopotów przeze mnie?

– Zadaje pan tyle pytań.

– Bo się nudzę – uśmiechnął się. – Ale to chyba nie jest przestępstwo, prawda?

Potrząsnęła głową.

– A więc, doczekam się odpowiedzi? – Lambert usiadł na brzegu łóżka.

– Pracowałam kiedyś u pewnej rodziny w Brooklynie, pan domu był profesorem. Całe dni siedział w gabinecie i rozwiązywał jakieś problemy. Czasami zostawiał różne zagadki na tablicy.

– Co za zagadki?

– Nie wiem, jak by je nazwać. Problemy związane z liczbami. Z ciągami liczb. Niektóre z liczb były już wypisane na tablicy, ale były też puste miejsca. Próbowałam je wypełnić.

– I profesor to akceptował? Bo jeśli o mnie chodzi, to większość służby domowej, z jaką miałem do czynienia, nie potrafiła zliczyć do trzech.

– Ależ skąd! Nie wpisywałam niczego na tablicy – poprawiła go Eva. – Tylko w głowie. Któregoś dnia starłam coś z tablicy przez nieuwagę, gdy sprzątałam, całe zadanie, nad którym pracował. Jego żona bardzo się zdenerwowała, ale on o niczym nie wiedział, a ja zdołałam wpisać wszystko z powrotem, tak jak było. Profesor nigdy niczego się nie domyślił, żona mu nic nie powiedziała, a ja uratowałam posadę.

– Coś podobnego! – wykrzyknął Lambert. – Pamiętasz, co to był za problem?

– Mmm... możliwe.

Lambert wziął z biurka kartkę i pióro.

– Spróbuj – wręczył je pokojówce.

Eva zaczęła w skupieniu pisać, wypełniając wkrótce całą stronę.

Lambert wpatrzył się w papier.

– Jak możesz pamiętać coś tak skomplikowanego? Studiowałaś matematykę?

– Nie muszę pamiętać. Widzę to po prostu w głowie, jak obrazek. Muszę tylko przywołać ten obraz i potem zapisać to, co widzę.

– Czemu odeszłaś? – spytał Lambert po chwili.

– Przepraszam?

– Od tych pracodawców.

– Przeprowadzili się. Wrócili do Austrii. Żona profesora zresztą nie bardzo mnie lubiła.

– Nie dziwię się. A jednak to bardzo pożyteczny talent.

– Nie dla dziewczyny.

– A jak ci szło z tymi zagadkami, które zostawiał na tablicy?

– Raczej dobrze. Czasami rozwiązywałam je wcześniej niż on.

Lambert wskazał na karty na stole.

– Którą byś teraz zagrała?

Eva poczuła walenie serca. Wskazała na kartę pikową.

– Tę.

– Świetnie. A potem?

– Przełożyłabym dziewiątkę.

– Dlaczego?

– To najwyższa karta, która jeszcze została.

– Skąd to wiesz?

Evie wydało się to oczywiste.

– Bo widzę, co leży na stole. W talii są pięćdziesiąt dwie karty, prawda?

– Jak długo byłaś tu w pokoju?

– Niedługo.

– Nie dotykałaś niczego?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mimo to wiesz, ile kart już zeszło i ile zostało, choć nie znasz reguł tej gry?

– Tak.

– A więc zobaczmy... – Usiadł przy stole i zaczął odwracać karty. Gdy skończył, spojrzał na Evę i uśmiechnął się. – Wygląda na to, że masz rację. Mimo że nie grasz w karciane gry.

– Nie, nie gram. Mój wuj grał i bardzo się zadłużył, dlatego karty były w domu zabronione.

– Tak, to się zdarza. Więc nie grasz?

– Pyta mnie pan już kilka razy.

– Tak, to prawda. Masz niezwykłą umiejętność. – Mężczyzna skrzyżował ramiona na piersiach.

Zapadła cisza.

Lambert przechylił głowę, nie bardzo było wiadomo, czy się uśmiecha, czy nie. Oczy miał zimne.

– Czy jest pan komunistą? – wyrzuciła nagle z siebie Eva.

– Czemu pytasz? Ty jesteś?

– Ja? Nie, ja w nic nie wierzę.

– To tak jak ja.

Eva czuła, że Lambert jej nie zrozumiał.

– Czy jest pan... mam na myśli – nagle się zmieszała – czy ma pan tytuł szlachecki?

Lambert się skrzywił.

– Gdzieś to usłyszała?

– Od koleżanki. Ona twierdzi, że w Anglii jest pan lordem, tylko że pan nie używa tego tytułu.

– To prawda. Wolę być zwykłym Lambertem. Poza tym, mówiąc między nami, nie bardzo mam środki, żeby prowadzić życie na stosownym dla lorda poziomie – uśmiechnęła się. – Czasami mam ochotę w ogóle zmienić nazwisko... co ty na to? Może Lamb? Albo Mutton?[1]

Eva stłumiła chichot.

– Jeśli się chce przybrać inne nazwisko, trzeba je dobrze wybrać – ciągnął Lambert.

– Dlaczego miałyby pan przybrać inne nazwisko?

Lambert wzruszył ramionami.

– Wprawdzie mało mnie obchodzi, co ludzie o mnie myślą, jednak nie chciałbym przynosić wstydu rodzinie. Kilka osób z rodziny bardzo lubię. Czy wiesz, kim jestem? Otóż jestem łajdakiem, tak to zwą, moja droga. Niechlubnym synem niechlubnej matki.

– Och, nie powinien pan mówić źle o własnej matce.

Lambert strzepnął popiół z papierosa.

– Gdybyś ją tylko znała! To ona mnie wydziedziczyła. Ale to zupełnie inna historia. Sam sobie przynoszę pecha. – Wyciągnął dłoń z papierosem w stronę Ewy. – Miałem wszelkie życiowe możliwości i co? Wszystkie zmarnowałem. Przez brak samokontroli, poczucia moralności, charakteru... *Haniebnym marnotrawstwem sił ducha i ciała jest żądza...*[2]

Eva wpatrywała się w Lamberta, nie rozumiejąc.

– Szekspir, moje dziecko. Jeśli chce się nudzić innych, to tylko w pentametrze jambicznym. Co ci jest?



– Proszę nie mówić takich rzeczy o sobie... – powiedziała nieśmiało Eva, wiedząc, że za dużo sobie pozwala.

– Jak masz na imię? – spytał Lambert łagodniejszym głosem.

– Eva.

Lambert skłonił lekko głowę.

– Miło cię poznać, Evo.

Wyjął z szuflady biurka nową talię kart.

– Proszę, to dla ciebie.

Przyjmowanie prezentów przez personel było zabronione.

– Jest pan pewien?

– Jak najbardziej.

– Dziękuję panu.

Oszołomiona Eva wyszła z pokoju Lamberta. Serce jej waliło, dłonie miała wilgotne i z trudem łapała oddech. Wydawać by się mogło, że dopiero zatrzymała się po biegu.

Zza rogu korytarza wyłoniła się Sis z tacą śniadaniową w rękach.

– Co ci jest? – spytała.

Eva wcisnęła karty do kieszeni fartucha.

– Co masz na myśli?

– Jesteś cała czerwona na twarzy.

Eva dotknęła rękami policzków. Poczowała rozpaloną skórę.

– Nic mi nie jest.

– Napij się, wyglądasz mi na chorą. – Sis podała jej szklankę wody z tacy.

– Nie, dziękuję, nic mi nie jest – powtórzyła Eva.

– Tylko nie zwymiotuj na dywan.

– Czuję się całkiem zdrowa.

– Niech ci będzie, ale jesteś czerwona jak burak – podsumowała Sis, wzruszając ramionami.

Eva przysiadła na stopniu schodów przeciwpożarowych na tyłach hotelu. W dłoni trzymała talię kart. Wzór na pudełku, przedstawiający pszczoły, bardzo się jej podobał.

Nigdy się nikomu nie zwierzała, że lubi bawić się liczbami i zagadkami matematycznymi. Oddawała się im, gdy chciała uspokoić nerwy albo kiedy się nudziła. Gdy pracowała w rodzinie profesora w ponurym domu w Brooklynie, zabawy liczbami i cyframi były jej jedyną rozrywką, choć już od wczesnego dzieciństwa fascynował ją świat liczb. Wnosił harmonię do chaotycznego świata jej myśli.

Jakie to dziwne, że akurat pan Lambert zna teraz jej sekret. Wcale się z niej nie wyśmiewał ani nie drwił. Nawet dał jej prezent.

Nie może go zatrzymać, to wbrew przepisom. Co by to było, gdyby Sis się dowiedziała?

Prawdopodobnie orzekłaby, że to początek upadku, że Eva dała się omamić.

W domu profesora w Brooklynie pani domu zawsze miała ją na oku, zawsze sprawdzała, czy nie zaniedbała jakiegoś szczegółu w sprzątanii, nigdy nie dawała jej spokoju. Patrzyła na nią nienawistnym wzrokiem, przynajmniej takie Eva odnosiła wrażenie. Była zgorzkniała i niemiała, być może po śmierci dziecka na skutek zapalenia płuc wkrótce po przyjeździe do Ameryki.

Praca w hotelu była nieporównywalnie lepsza. Należy być wdzięcznym za wszystko i nie prowokować kłopotów.

Ale przecież pan Lambert obdarował ją z dobrego serca. Co w tym złego? Co jest złego w talii kart?

Otworzyła pudełko i wyjęła nowiutkie karty.

Prawie natychmiast zobaczyła w wyobraźni, jak układają się w różne skomplikowane wzory. Poczowała ciepło i zadowolenie.

Nie odda ich nikomu.

Przez kilka następnych dni nie miała okazji zobaczyć się z Lambertem. Karty trzymała cały czas w kieszeni fartucha. Kryła je przed Sis, z którą dzieliła pokój, a poza tym chciała mieć je blisko siebie. Dostała je od niego.

Kiedy w końcu znów go ujrzała, był w towarzystwie chichoczącej blondynki. Zmierzali do jego pokoju, Lambert szeptał blondynce coś na ucho.

W drugim końcu korytarza Eva zamarła z kubłem i szczotką w rękach. Oboje byli najwyraźniej w znakomitych humorach; on ją obejmował i razem zaśmiewali się z jakiegoś żartu.

Lambert otworzył drzwi, wprowadził blondynkę do środka, cały czas obejmując jej talię. Ta zarzuciła mu ręce na szyję. Drzwi się zatrzasnęły.

Chichotliwa blondynka miała na ustach ten sam niefortunny kolor szminki, który Eva widziała uprzednio na kieliszku.

Eva wyczuła palcami talię kart w kieszeni fartucha. Patrzyła na zamknięte drzwi pokoju 313.

Mężczyźni tacy są. Podobają się im takie wulgarne panny, które zaśmiewają się głośno z byle czego.

Pewnie nawet nie zauważył, jakie ona ma obrzydliwie pomalowane usta. Z drugiej strony, czy dał jej jakiś prezent?

Następnego ranka po blondynce nie było śladu. Gdy Eva zjawiła się w pokoju 313, Lambert siedział sam przy śniadaniu, czytał gazetę i popijał kawę.

– Dzień dobry panu – powiedziała Eva rześkim głosem.

Przewrócił stronę gazety.

– Dzień dobry.

Nastąpiła niewygodna cisza.

– Chciałam... chciałam panu podziękować za karty.

– Nie ma o czym mówić.

Stała za krzesłem Lamberta.

– Bardzo to było miłe z pana strony – dodała.

Mężczyzna upił łyk kawy.

– Bo miły ze mnie człowiek, miłszego nie spotkasz. Papier toaletowy się kończy.

– Tak, naturalnie.

Eva czuła się niepewnie, nie wiedziała, jaki powinien być jej następny krok. Bardzo chciała, by z nią porozmawiał, tak jak poprzednio, lecz trudno jej było zainicjować rozmowę.

– Ale czy nie twierdziłaś, że karty to źródło wszelkiego zła? Dziwię się, że chcesz je mieć.

– Ja... dlaczego w takim razie pan mi je podarował? Jeśli nie powinnam ich mieć?

Lambert wzruszył ramionami i zapalił papierosa.

– Bo z niewinnością jest tak jak z dziewictwem: przyjemniej stracić, niż zachować.

– Ale takie straty kosztują.

– Ha! – zaśmiał się Lambert. – Widzę, że jesteś dowcipna. I cóż, grałaś w te karty?

– Tylko sama ze sobą.

Wypuścił dym nosem.

– To ci nic nie da. Siadaj tu.

Przesunął papierosa w kąt ust, wyjął talię kart z kieszeni marynarki i zaczął tasować.

– Nauczę cię gry w dwadzieścia jeden.

Karty śmigły mu w rękach. Eva była zafascynowana, nigdy przedtem nie zetknęła się z kimś, kto by zawsze nosił karty przy sobie.

Oprócz niej samej, uświadomiła sobie nagle. Co za ekscytująca myśl.

– To dobra gra?

– Co masz na myśli?

– Czy gra się w to na pieniądze?

– Dobre pytanie. Zakład można zrobić o wszystko, nawet o to, czy jutro będzie padał deszcz, czy nie. Na tym polega hazard. Wszystko może być przedmiotem hazardu. Stawiasz na szansę, i to jest istota hazardu. W twoim przypadku, jeśli się nie mylę co do twojego talentu matematycznego, ryzyko przegranej nie jest wielkie, co znaczy, że tak naprawdę nie uprawiasz hazardu. Po prostu stawiasz na coś pewnego – w twoim przekonaniu. Jest to oczywiście rodzaj wiary. Porozmawiamy kiedyś na ten temat.

– Na pewno?

– Nie przerywaj. A więc możesz się włączyć do tej samej gry, w której ja uczestniczę, aczkolwiek ja rzeczywiście ryzykuję, gdyż stawiam na szansę. Teoretycznie, rzecz jasna. Jestem bardzo dobry w tym, co robię...

– Czyli w czym?

– Jestem koneserem szansy, znawcą prawdopodobieństwa, moje dziecko. Mimo to ryzykuję, gdyż nie mogę wiedzieć wszystkiego. Ty natomiast, obdarzona wyjątkowym talentem, rozgrywasz grę, którą widzisz od początku do końca. A więc odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak i nie, oraz czasami.

Rozdał karty.

– A teraz wyjaśnię ci zasady. Zagramy na razie jedną talią, żebyś łatwiej zrozumiała reguły, ale zazwyczaj gra się sześcioma. Tylko powoli, nie ma potrzeby się spieszyć.

Eva spojrzała mu w oczy.

– Czemu pan mi to pokazuje?

– Bo któregoś dnia może ci się przydać. Pamiętaj, co ci powiedziałem: ryzykujesz tylko wtedy, jeśli grasz w ciemno – odpowiedział Lambert tonem, który jakby sugerował, że to przecież oczywiste, dlaczego ją uczy grać w karty.

Od instrukcji w „oczko” zaczęła się edukacja Ewy w sztuce hazardu. Następnego dnia Lambert wyjaśnił jej podstawy pokera. Okazała się uczennicą niesłuchanie pojętną. Wręcz niepokojąco pojętną. Potrafiła zachować całkowity spokój. Najpierw pobrała od niego nauki, a potem bez żadnego zdenerwowania pobiła go w każdej rozgrywce.

Nie musiała się wysilać, po prostu wiedziała, jak gra się potoczy.

Pierwszy raz w swoim życiu odniosła sukces, tym słodszy, że chciała swymi postęпами sprawić przyjemność Lambertowi.

Obserwowała uważnie odrzucane przez niego karty, ile ich było i jakie, zapamiętując je od razu. Mogła natychmiast zobaczyć w głowie wszystkie możliwe kombinacje i układy kart. Po wyrzuceniu kolejnej karty ubywało kolejnej możliwości, i tak dochodziło do ostatniego etapu, gdy już wiedziała z absolutną pewnością, co ma zrobić, żeby wygrać. W tym momencie Lambert niesłuchanie się podniecał i spoglądał na nią jak na jakieś чудо.

Eva nigdy dotąd nie widziała, by ktokolwiek na nią tak patrzył, ale z tego, co czytała w książkach i co słyszała, wywnioskowała, że ten wyraz twarzy oznacza miłość.

Pewnego dnia Chichotliwa Blondynka znowu pojawiła się na scenie.

Tym razem jednak nie bardzo jej było do śmiechu.

Gdy tego ranka Eva wkroczyła do pokoju 313, Blondynka pojedła resztki wystygłej grzanki, paląc jednocześnie papierosa. Miała wyraźnego kaca.

Co więcej, w kącie pokoju stała jej walizka. Blondynka z walizką stanowiła większe zagrożenie niż sama Blondynka, bez walizki.

Spojrzała na Evę przekrwionymi oczyma.

– Tak? – odezwała się.

W świetle dnia nie wyglądała zachwycająco. Czoło miała w zmarszczkach, policzki zapadnięte, oczy podkrążone.

– Przepraszam panią – powiedziała Eva zimnym głosem, starając się nie zdradzić swych prawdziwych uczuć. – Przyszłam posprzątać. Ale mogę przyjść później, jeśli to pani bardziej odpowiada.

Blondynka wzruszyła ramionami. Skubnęła znowu kawałek grzanki, rzucając resztę na talerz.

– Aha. Chyba muszę się ubrać – oznajmiła z westchnieniem – jeśli mamy zdążyć na pociąg w południe.

– Na pociąg? – wymknęło się Evie.

Blondynka wstała i związała mocniej szlafrok. Była tak chuda, że pasek niemalże przeciął ją na pół.

– A tak. Zobaczyć wodospad Niagara.

Uśmiechnęła się do samej siebie, strzepując popiół do filiżanki z resztką kawy.

– Romantyczna wyprawa, co?

Evę ogarnęło nagłe poczucie, że wszystko dla niej stracone.

– Przepraszam, że przeszkodziłam. Przyjdę później.

Gdy domykała za sobą drzwi, usłyszała, jak Blondynka podśpiewuje słowa modnego szlagieru *To musiałeś być ty...*

Eva rozplakała się mimo woli.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Sklep przy rue Saint-Claude zapchany był od podłogi po sufit najprzeróżniejszymi gratami. Lampy, poduszki, firanki, wazony, obrazy, książki oraz inne przedmioty domowego użytku stłoczono razem bez ładu i składu, jak to zwykle w podobnych sklepikach. Krzesła zwisały z haków wbitych w sufit, obok kiwały się żyrandole i suszarki do naczyń, każdy kawałek powierzchni zajmowały rzeczy normalnie niepasujące do siebie. Pachniało pleśnią, wilgocią i kurzem.

Grace weszła pierwsza, Tissot za nią. Rozległ się dźwięk dzwonka uruchomionego przez otwarcie drzwi od ulicy. Tissot nie był zadowolony z przebiegu dnia. Powinni teraz być w biurze, a nie grzebać w starych rupieciach.

– A więc co ma pani nadzieję tu znaleźć?

– Córka dozorczyńi powiedziała mi, że właściciel tego sklepu wywiózł rzeczy Evy d’Orsey.

– Tak, ale co to ma wspólnego z naszą sprawą? – spytał kwaśno Tissot, starając się nie wejść w skrzynkę wypełnioną starymi klamkami. – Czego pani jeszcze poszukuje?

– Nie wiem. Może coś nagle zobaczę. Przydałby się kalendarzyk z adresami oraz pełny zestaw codziennych zapisków.

– Kalendarzyk z adresami? – Tissot spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Żartuję. Chodzi mi o to, że może znajdę tu coś, co by powiedziało mi cokolwiek o madame d’Orsey. Kim ona była?

Tissot rozejrzył się po zagraconym sklepiku.

– Tutaj?

– Nigdy nie wiadomo – odpowiedziała Grace, przeciskając się między stłoczonymi rzeczami. Podniosła coś na kształt zardzewiałej puszki na cukier puder, co po bliższych oględzinach okazało się bardzo starą lupą ze zbitym szkiełkiem.

– Zresztą nie musiał mi pan towarzyszyć. Na pewno ma pan inne, ważniejsze sprawy.

– Pani sprawa jest moją najważniejszą sprawą, madame Munroe – oznajmił Tissot, strzepując z rękawa marynarki kurz, który uniósł się przy poruszeniu stosu zjedzonych przez mole aksamitnych zasłon. – Jestem pani prawnikiem.

– Moim prawnikiem? – zdziwiła się Grace, odkładając lupę. – Myślałam, że jest pan prawnikiem madame d’Orsey.

– Owszem, z tym że jej sprawy są teraz pani sprawami. Dopóki nie zakończy się procedura sprzedaży nieruchomości, dopóty nie mogę się usunąć. Chyba że nie życzy sobie pani mojej asysty.

– Rozumiem – odpowiedziała zdziwiona tym wyjaśnieniem Grace. – Ale czy nie robi pan więcej niż to, co panu zlecono?

– Nigdy nie miałem klienta, który miałby takie podejście do spraw spadkowych jak pani. To naprawdę dziwna sytuacja. – Tissot spojrzął jej prosto w oczy. – Pani też robi więcej, aniżeli można by oczekiwać.

– Być może, mimo to nie chciałabym nadużywać pańskiej uprzejmości. Nie musi pan ze mną wszędzie chodzić.

– Wolałbym, aby nie była pani sama w tym mieście. Pani francuski mógłby zaprowadzić panią do więzienia.

– Ach tak? – Grace zeszywniała. – Sądziłam, że robię postępy.

– Myli się pani.

– Co w takim razie pan mi proponuje? – Grace skrzyżowała ramiona, naśladując gest Tissota. – Rozumie pan chyba, że nie mogę ot tak, po prostu, przyjąć wielkiej sumy pieniędzy, nie dowiedziawszy się przedtem, skąd i dlaczego właśnie mnie mają przypaść. Należą mi się chyba jakieś wyjaśnienia.

– A co, jeśli takowe nie istnieją?

– Muszę co najmniej spróbować je znaleźć – odparła stanowczo Grace.

Tissot westchnął i przesunął dłonią po przymkniętych powiekach, jakby odsuwając zmęczenie.

Co za uparta osoba. Rzadko doświadcza sprzeczek z klientami. Nie jest przyzwyczajony do ustępstw. Ale niech będzie, pozwoli jej postawić na swoim – przez najbliższą godzinę. Prawdę mówiąc, był pod wrażeniem jej uporu i pryncypialności.

– Doskonale. Chcę pani pomóc. Jak już mówiłem, pani sprawy są moimi sprawami.

Nagle skrzywił twarz i kichnął głośno trzy razy z rzędu.

– *Mon Dieu!* Tyle tu kurzu. *Allô! Bonjour!* – zawołał nagle.

Zza kilku spiętrzonych kanap wysunęła się głowa jegomościa w średnim wieku, w okularach osadzonych na ostrym nosie.

– *Oui? Qu'est-ce que vous cherchez?*

– Proszę mu powiedzieć, że szukam rzeczy związanych z madame d'Orsey.

Tissot zaczął wyjaśniać, lecz zanim skończył, właściciel sklepu mu przerwał.

– On mówi, że prawie wszystkie meble poszły bardzo szybko. Miał mnóstwo chętnych, przebijali się cenami – przetłumaczył Tissot.

– Nic nie zostało? – spytała Grace.

Tissot spojrzął pytająco na właściciela. Ten zaprzeczył ruchem głowy i machnął

lekceważąco ręką.

– Twierdzi, że nie zdążył nawet wyładować mebli z ciężarówki.

Grace nie mogła w to uwierzyć.

– Czy to możliwe?

Zanim Tissot zdążył otworzyć usta, właściciel sklepiku zaczął mówić coś niesłychanie szybko, machając jednocześnie rękami. Widać było, że jest przejęty.

– Podobno madame cieszyła się pewną reputacją – zdołał wyłapać Tissot.

– Doprawdy? Jaką to reputacją? – spytała Grace.

– Wszyscy ją znali. To znaczy, słyszeli o niej – wyjaśnił Tissot.

Grace poczuła się nagle w obowiązku bronić tej nieznannej sobie kobiety.

– Co to ma niby znaczyć?

Migret nie odpowiedział, splunął jedynie na ziemię i zmrużył oczy.

– A łóżko? – spytała Grace. – Czemu zostało w mieszkaniu?

Tissot przekazał Migretowi jej pytanie. Migret potrząsnął głową.

– Łóżko to antyk, jest własnością rodziny Hiverów – przetłumaczył znowu Tissot.

– Arnaud Hiver – zaśmiał się drwiąco Migret. – *Le souvenir de son père!*

– Pamiątka od ojca – znów wyjaśnił Tissot, tym razem cichym głosem.

Grace od początku czuła niechęć do Migreta.

– Czy to zwyczaj panujący we Francji? Zostawiać taki prezent synowi?

Tissot wzruszył ramionami.

– Nie znam się na obyczajach związanych z posiadaniem kochanki czy też syna oraz antycznego łóżka.

Migret wskazał na stół zastawiony różnymi rupieciami.

– *Ja’i quelques plaques, des bagages, quelques lampes...*

– Zostało trochę drobiazgów, tam, na stole.

Grace ruszyła we wskazaną stronę, Tissot za nią.

Na stole stały dwie jednakowe lampy z czarnej laki w chińskim stylu, stos biało-niebieskich porcelanowych talerzy, dwie skórzane walizy... pudło z książkami, pudło z serwetami i obrusami...

Tissot, bez wielkiego entuzjazmu, zajął się obrusami, a Grace książkami. Wszystkie po francusku, jakieś popularne romanse, żadnych osobistych papierów czy notatek.

Tissot podniósł starą skórzaną teczkę.

– To nawet ładne. Przypomina mi moją studencką teczkę.

Grace zajrzała do skrzynki z kuchennymi rzeczami. Łyżki stołowe, widelce i noże nie do pary... nic ciekawego.

Przejrzała inne pudła – z katalogami wystaw, ze starymi butami, z damskimi torebkami. W dalszym ciągu nic. Obejrzeliby wszystko, co zostało z rzeczy po madame, i nie znaleźli niczego, co skierowałoby ich na jakiegokolwiek osobiste tory.



Tissot wciąż oglądał teczkę, Grace tymczasem czuła narastającą frustrację. Wyprawa do rupieciarni, z którą wiązała początkowo wielkie nadzieje, przyniosła tylko rozczarowanie.

– Chodźmy stąd, niczego tu nie znajdziemy.

– Ciekaw jestem, ile on za to chce – zastanawiał się Tissot, obracając teczkę w rękach.

Grace się zniecierpliwiła. Najpierw musiała go tu przyciągnąć siłą, a teraz nie sposób go stąd wydostać.

– Naderwana rączka. Poza tym nie podoba mi się ten człowiek. Brak mu manier. Miał pan rację, to strata czasu. Idźmy już.

Z otwartej teczki coś się wysunęło.

– Coś tu jest.

Tissot wyjął coś delikatnego, jakby bluzkę. Okazało się, że to nie bluzka.

– Co to? – spytała Grace.

– Wygląda na sukienkę. – Tissot podniósł przedmiot do góry. – Na sukieneczkę.

W istocie była to dziecięca sukienka na ramiączkach, z białego, trochę pożółkłego ze starości lnu, ze zmarszczeniami na karczku i wyhaftowanymi żółtymi kwiatuszkami. Tissot rozłożył ją na stole.

– Dziwna rzecz.

– Może wcale nie była własnością madame – zasugerował Tissot, zaglądając jeszcze raz do teczki. – Nic więcej tu nie ma.

Grace przesunęła palcami po hafcie. Sukieneczka była ręcznej roboty, haft z delikatnej jedwabnej nici, listki w różnych odcieniach zieleni, wszystko wykonane z wielką pieczołowitością.

– Miałam chusteczkę do nosa z takim samym haftem, gdy byłam mała – powiedziała Grace.

– Dziewczynki z reguły lubią mieć wszystko w kwiatki, prawda?

– To narcyzy. Kwitną na wiosnę. Ta odmiana nazywa się po angielsku pergaminki.

Grace poczuła nagle, że policzki jej pałają, jakby z zażenowania.

– Co za zbieg okoliczności, bo to moje ulubione kwiaty. Ktoś musiał się bardzo napracować nad tym haftem, to wyjątkowo delikatna robota. Rzadko się to widzi.

– Proszę spojrzeć. – Tissot trzymał w ręku zniszczoną skórzaną pochewkę na adres. – Może to adres właściciela.

Na pożółkłym kartoniku ujrzeli napis: *M.A. Valmont, 23 rue Christine, Paris.*

Grace zmarszczyła czoło.

– Pamiętam ten adres. Z mieszkania Evy.

– Tak...?

– Wie pan może, gdzie to jest? Rue Christine? Daleko stąd?

Od razu zauważyła, że Tissot zeszywniał.

– Oczywiście nie spodziewam się, że pan mnie tam zawiezie, skądże znowu...

Tissot winił siebie za cały ten kram. Nie powinien był się zgodzić na jej wizytę w mieszkaniu madame d'Orsey, zaoszczędziłoby to kłopotów.

– No cóż... – Tissot odłożył teczkę na stół i otrzepał ręce z kurzu. – Zobaczmy, czy to daleko stąd.

Rue Christine okazała się niewielką krętą uliczką po lewej stronie Sekwany. Tissot zatrzymał auto i zgasił silnik.

– Jesteśmy. Numer dwadzieścia trzy.

Grace nie ukrywała rozczarowania.

– Jest pan pewien?

– Jak najbardziej.

Dom wyglądał na opuszczony, drzwi i okna zabite były deskami. Podarta czarna markiza powiewała na wietrze.

– Och, chyba miał pan rację – powiedziała Grace z nutą zawodu w głosie, omiatając wzrokiem ponurą fasadę budynku. – Przyznaję, to pogoń za niczym.

Jeszcze niedawno miała nadzieję na odkrycie jakichś śladów, teraz czuła, że jej poszukiwania nie przyniosą żadnego rezultatu. Tissot nie mógł nie zauważyć jej rozczarowania.

Po raz drugi w ciągu tych dwóch dni Tissot dał się ponieść impulsowi. Zdarzało mu się to niesłychanie rzadko.

– Zobaczmy, co się tu kryje – z tymi słowami wysiadł z auta.

Grace poszła w jego ślady.

– Co pan zamierza zrobić?

– Czyż nie chciała pani zdobyć jakichś wiadomości o madame d'Orsey? – odparł, kierując się ku drzwiom domu.

– Tak, i wciąż chcę, ale tu nikogo nie ma!

Tissot zajrzał w szparę między deskami.

– Wygląda mi to na sklep.

– Sklep? – Grace podeszła bliżej i przytknęła oko do szpary, przez którą widać było niewyraźnie brudną szybę. – Co znowu za sklep?

– Zobaczmy. – Tissot cofnął się i chwycił za deskę przybitą do ramy drzwi.

– Co pan wyprawia? – syknęła przestraszona Grace.

– Prowadzę dochodzenie w pani sprawie. – Odrzucił oderwaną deskę i pchnął drzwi ramieniem.

– Niech pan przestanie! – krzyknęła Grace, rozglądając się wokół. – To bezprawne!

– Ważne są zamiary. Przecież nie planuje pani niczego ukraść, prawda?

Znowu rzucił się na drzwi. Nadpróchniałe drewno puściło, drzwi otworzyły się ze zgrzytem.

– *Voilà!*

– Chyba pan zwariował!

– Niech i tak będzie.

Przeszli ostrożnie przez próg.

W chłodnym i ciemnym wnętrzu ledwie było widać zarys sklepowej lady i ścian wyłożonych półkami. Pachniało wilgocią, stęchlizną i pleśnią. Przez pękniętą szybę w jednym z okien wpadał wiatr.

Tissot przekreślił kontakt elektryczny, lecz nic to nie dało.

– Prąd odcięty.

Rozsunął ciężkie zasłony w oknie, do wnętrza wlało się światło.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Grace.

Chociaż sklep był w fatalnym stanie, światło dnia sprawiło, że szkło i lustra rozbłysły. Grace musiała zamknąć na chwilę oczy. Gdy znowu je otworzyła i powiodła wzrokiem wokół siebie, mogła się przekonać, jak wspaniale ktoś kiedyś zaprojektował to wnętrze. Lada z pięknego ciepłego mahoni, posadzka z białych i czarnych marmurowych kafli, ogromny kryształowy żyrandol na ciężkim czarnym sznurze z jedwabiu zwisał z sufitu. Na półkach niezliczone szklane flakony pokryte grubą warstwą kurzu.

W wykuszu okiennym stały dwa salonowe fotele obite czarnym aksamitem, rozsypującym się i spłoniałym, oraz kanapa okryta lamparcią skórą. Grace dotknęła futra. Prawdziwe.

Na ścianach zamiast tapet był srebrnobiały jedwab, teraz w strzępach, pokryty zaciekami. Na suficie ogromna tafla lustra w jednym kawałku, choć teraz gdzieniegdzie strzaskana, z ostrymi kawałkami szkła zwisającymi jak sople. Gdzieś z tyłu dochodził plusk kropli wody wpadających do wiadra, które już dawno się przelało.

Kilka flakonów różnych kształtów i rozmiarów, z kryształowymi korkami, stało na ladzie.

– Pierwszy raz widzę taki sklep – odezwała się Grace. – Wygląda jak jakiś nocny klub, tylko że w okropnym stanie, jakby ktoś go splądrował.

– Najwyraźniej od wielu lat nieczynny. Może był splądrowany przez Niemców w czasie wojny, kto wie. Z drugiej strony, może to robota lokalnych rabusiów. Ostatnio takich nie brakuje.

Grace uchyliła kotary zawieszanej między głównym wnętrzem a pokojem z tyłu.

– Jak pan myśli, co tu mogło być? Jakaś drogeria?

– Nie wiem. – Tissot podniósł z półki jedną z butelek i wyciągnął korek. Poczuli silny kwiatowy zapach.

– Jesteśmy chyba w perfumerii – powiedział Tissot.

Grace wodziła oczami po ścianach, gdzie na półkach stały setki, może nawet

tysiące flakoników.

– Myśli pan, że to butelki z perfumami? Aż tyle?

– Muszę przyznać, że nigdy nie widziałem takiej perfumerii. – Tissot odstawił flakonik z powrotem na półkę. – Tradycyjna perfumeria ma oczywiście kilka kategorii zapachów, kwiatowe, orientalne, cytrusowe, inne roślinne... po tuzinie w każdej...

– Skąd się pan na tym zna?

– Wszyscy to wiedzą, to żadna specjalistyczna wiedza. Każdy mężczyzna kupuje czasami perfumy.

– Mój mąż nigdy nie kupił mi perfum.

– Bo nie jest Francuzem. A każda kobieta lubi perfumy.

– Oprócz mnie.

– Madame Munroe – westchnął Tissot, kręcąc głową. – Pani jest wyjątkowa w swojej perwersyjnej odmienności!

– To nie brzmi jak komplement – zauważyła Grace.

– A co ma pani przeciwko perfumom?

– Nie jestem pewna. Po prostu wszystkie są dla mnie za... za krzykliwe.

– Ma pani na myśli za silne.

– Nie, za krzykliwe. Nie lubię, jak się mnie poprawia.

– Ja też nie.

– Lubię szept, nie krzyk. Niczego takiego nigdy nie znalazłam.

– No cóż, to miejsce z pewnością spodobałoby się koneserowi perfum, jestem o tym przekonany. Przetłumaczę pani, co tu jest napisane, bo z tym fatalnym francuskim pani nie zdoła niczego zrozumieć. Tu są zapachy podzielone na sekcje według słońca, morza, powietrza i ziemi... mają jeszcze podsekcje... ułożone są dodatkowo według wieku. Na tej półce perfumy dla kobiet w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, a na tamtej – od czterdziestu siedmiu do czterdziestu dziewięciu.

Grace podeszła bliżej. Była zafascynowana. Pod każdą fiolką leżała kartka z jakimiś notatkami. Wskazała na jedną z nich.

– Co tu jest napisane?

– „Znika” – przeczytał Tissot. – „Dobrze się nosi” – to na następnej. – A tu, proszę zobaczyć! „Uwaga! Zalega zbyt długo”! Chyba siedziałem kiedyś w teatrze obok kobiety noszącej te perfumy. Mamy tu więcej uwag. „Romantyczka”, „Realistka”, „Próżna”, „Wyrafinowana”, „Zmysłowa”, „Ostrożna”, „Przesadna”, „Opanowana”, „Nerwowa”, „Gadatliwa”, „Bystra”, „Delikatna”... a tutaj z kolei mamy bogów i boginie: „Afrodyta”, „Artemida”, „Narcyz”, „Hera”.

– Kto to wymyślił? – Grace nie mogła wyjść z podziwu. – Wygląda jak laboratorium albo wręcz pracownia jakiegoś czarodzieja.

Zdjęła flakonik z półki. *Jasmin de la Mer*, głosił napis na etykietce. Wyjęła korek. Perfumy dawno wywietrzały z flakonika, tylko na dnie widać było kilka zbitych grudek o barwie bursztynu, a jednak w powietrzu czuło się jakby ducha intensywnej woni białego kwiatu zmieszanej z czymś chłodnym i metalicznym.

Zapach przeniósł Grace niemal natychmiast w inny świat, ogromny świat gdzieś w innej przestrzeni. Przez chwilę czuła euforię. Czy to jakaś czarodziejska sztuczka? To z pewnością nie był zapach wody toaletowej albo talku firmy Penhaligon, z tym swojskim rysunczkiem niebieskiego leśnego hiacynta na etykietce.

Tissot też powąchał korek.

– Co za niezwykły zapach!

Grace zakorkowała flakonik.

– Co to za kolekcja? Nie poznaję żadnej z tych nazw. Nie znam się oczywiście, ale od razu widać, że nie ma tu produktów znanych firm perfumierskich. Ale... ale to chyba niemożliwe, żeby zgromadzić coś takiego! To dzieło jakiegoś maniaka!

Rozglądali się po wnętrzu.

Pod ścianą stała czarna chińska szafa z laki. Grace udało się otworzyć drzwiczki. W środku znowu setki ozdobnych flakonów. Na każdym przyklejona była kartka z nazwiskiem, najwyraźniej zleceniodawcy. Pod spodem każdego leżał kartonik z jakimiś notatkami, choć niektóre miały tylko numer, być może oznaczający określony etap pracy nad zapachem. Na najwyższej półce Grace dostrzegła rzędy oprawnych w skórę notatników. Otworzywszy jeden, ujrzała kolumny nazwisk, obok nich daty i spisy składników, najwyraźniej dobranych do kompozycji zapachowych.

– Niech pan spojrzy! – wykrzyknęła w podnieceniu. Tissot zajrzał przez jej ramię do otwartego zeszytu.

Niektórzy klienci mieli całe osobne strony. Niejaka mademoiselle Dallois zamówiła perfumy w 1932 roku; pod jej nazwiskiem widniała długa lista składników, niektóre brzmiały dość dziwnie.

– „Różowe płatki różane”, „Świeżo umyte włosy”... a to co? – Grace nie mogła odczytać.

– „Fajka taty”. „Ciasto”! – przeczytał Tissot. – To chyba perfumy dla dziecka!

Grace przebiegła wzrokiem po setkach flakoników.

– Myśli pan, że tu są?

– Co takiego?

– Perfumy panny Dallois.

Grace wspięła się na palce i sięgnęła do tylnego rzędu flakonów na półce.

Ciekawe, czy rzeczywiście udało się komuś stworzyć perfumy zawierające zapach ciasta i różanych płatków jednocześnie?

– Pomogę pani – zaoferował Tissot.

Coś spadło na podłogę. Pożółkła kartonowa fiszka.

Grace schyliła się, by ją podnieść, gdy nagle coś huknęło o ladę.

Oboje odwrócili się jak oparzeni.

– *Dehors! Sortez!*

Słowa te wykrzyknęła wysoka koścista kobieta w starszym wieku, ubrana w czarną staroświecką suknię, która nagle pojawiła się w sklepie. Trzymała w ręku uniesioną laskę.

– *Sortez!*

– Przepraszam... bardzo przepraszam – wymamrotała Grace, cofając się i wpadając na Tissota, który ją uratował przed upadkiem.

Teraz do wnętrza wpadł niewielki terier, szczekając jak opętany.

– *Je ne crois pas!* – nie ustawała staruszka, machając złowieszczo laską.

– *Doucement! Doucement!* – włączył się Tissot. – *C'est ma faute! Ne vous en faites pas!*

– *Qu'est-ce que vous faites?* – domagała się kobieta. – *Allez-vous en! C'est mon accueil! Balayeur de rue!*

– Wzięła nas za złodziei – wyjaśnił Tissot, zajmując strategiczną pozycję między Grace a staruszką.

– Zachowujemy się trochę jak złodzieje. *Pardon, madame* – zwróciła się do staruszki. – *Nous cherchons l'information à madame d'Orsey!*

– *Pardon? Que voulez-vous?*

– *Nous... nous cherchons...* – jej francuski nie pozwalał na szybkie wyjaśnienie sytuacji. – Potrzebujemy pani pomocy! – wyrzuciła z siebie po angielsku.

– W jakiej sprawie? Czego tu szukacie? – Stara spojrzała na nią podejrzliwie.

– Pani mówi po angielsku! – wykrzyknęła Grace z niejaką ulgą.

– *Pardon* – włączył się Tissot. – Jestem Edouard Tissot, a to madame Munroe, która przyjechała z Londynu. Zajmuję się jako prawnik spuścizną po zmarłej Evie d'Orsey.

– Co takiego? – Kobieta zmieniła się na twarzy.

Grace podeszła bliżej.

– Pani ją znała?

Kobieta jakby jej nie słyszała.

– Eva... Eva d'Orsey nie żyje?

– *Oui, madame* – odparł cicho Tissot.

– Eva...

Wiadomość najwyraźniej nią wstrząsnęła. Przez chwilę wydawało się, że straci równowagę.

– Proszę stąd wyjść.

Wypowiedziała te słowa tak cicho, że Grace nie dosłyszała.

– Przepraszam?

– Proszę wyjść! – Tym razem kobieta krzyknęła głośno, znowu unosząc laskę. – Proszę wyjść! Nie jesteście pierwsi! Tu były już włamania i kradzieże!

– Kto tu był? O kim pani mówi? – spytał Tissot.

– Widziałam ich! W czarnych limuzynach! Kłamcy, wszyscy kłamcy! Proszę się wynosić! – Uderzyła laską w kontuar. – Proszę zniknąć mi z oczu!

Grace i Tissot wyszli pospiesznie ze sklepu. Na dworze uderzyło ich światło dnia.

Grace waliło serce. Obejrzała się jeszcze raz za siebie. Pies w dalszym ciągu ujadał. Zza szyby zatrzaśniętych za nimi drzwi niewyraźnie dostrzegła suchą twarz staruszki i jej czarne nieruchome oczy.

Podarta markiza łomotała na wietrze, ukazując spłowiałe złote litery tworzące nazwę sklepu: *Recherchez-moi*.

Odszukaj mnie.

---

# Nowy Jork 1927

---

Kobieta zamieszkująca pokój numer 512 nazywała się madame Zed i była Rosjanką. Francuz określiliby ją jako *jolie laide*; miała podłużną twarz i ciemne oczy pod ciężkimi powiekami. Uśmiechała się, i to nieczęsto, tylko jednym kącikiem małych ust. Przesiadywała nad kieliszkiem, paląc długie czarne cygaretki i konwersując po rosyjsku lub francusku ze swymi zwykłymi gośćmi, którzy codziennie odwiedzali ją w hotelu. Sis twierdziła, że kilkoro z nich należało do rosyjskiej arystokracji wysadzonej z siodła przez rewolucję. Przemieszczali się z kraju do kraju, szukając znajomych z dawnych lat.

Madame Zed posiadała własny specyficzny wewnętrzny stan nieważkości. Przyciągała słuchaczy niskim głębokim głosem, a obserwatorów płynnością ruchów, podkreślanych dodatkowo prostym krojem sukien. Emanowała z niej jakaś dwuznaczna niecodzienna zmysłowość. Potrafiła wpatrywać się w innych długo i nieruchomo, bez żadnej widocznej emocji w czarnych oczach, co ludzi jednocześnie szokowało i przyciągało.

Do Nowego Jorku przyjechała z Paryża. Towarzyszył jej młody człowiek nazwiskiem Valmont, pełniący funkcję jej sekretarza. Był to mężczyzna o poważnych piwnych oczach i melancholijnym usposobieniu, dość drobnej budowy. Skrupulatnie wypełniał powierzone mu obowiązki, nie narzucał się swoją osobą, był zawsze obecny i posłuszny oraz śmiał się wtedy, gdy należało. Drzwi między ich pokojami stały zawsze otwarte.

Do licznych jego powinności należało przypilnowanie, by okna pokoju madame były zaciągnięte kotarami i wiatrak odświeżający powietrze włączony. Madame Zed odznaczała się wyjątkową wrażliwością na zapachy, co przy sprzątaniu jej pokoju stwarzało niemałą trudność, gdyż nie tolerowała chemicznych środków czyszczących. Valmont powąchał płyn, którym Eva zamierzała wyczyścić wannę, i wykrzywił teatralnie usta.

– To dla madame niesłychanie delikatna sprawa. To ona musiałaby przebywać całą noc w otoczeniu tych smrodów, nie ty!

Eva uważała to za nonsens.

– A czym innym da się idealnie wyczyścić osad z wanny? Czy ona naprawdę nie chce mieć pewności, że wszystko jest porządnie wyczyszczone? Jeśli poczuje ten zapach, to będzie wiedziała, że jest tu czysto.



Valmont spojrział na nią z odrazą.

– Nie pytam o zdanie. I proszę zmienić ton.

Eva nie znosiła, gdy ktoś tylko kilka lat starszy jej rozkazywał.

– *Je peux dire ce que je veux* – wycedziła pod nosem.

– Co takiego?

– Powiedziała, że nikt inny z gości się nie skarży.

– Bo nikt inny nie jest mistrzem perfumiarstwa! A poza tym ciekawe, kto cię nauczył francuskiego, bo masz akcent jak chłopka.

Co za bezczelność.

– Jestem Francuzką! – odparowała Eva. – Moja rodzina pochodzi z południa.

– Z południa? Pewnie z południa New Jersey! Nie wolno ci tu wchodzić z tym cuchnącym płynem.

– Co w takim razie pan proponuje?

– Proponuję, byś sama rozwiązała ten problem.

– Zamień się ze mną – błagała Eva swą współlokatorkę, gdy już były wieczorem w łóżkach. – Powiedz, co chcesz w zamian, tylko przejmij ode mnie ten pokój.

– Oszalałaś? – parsknęła Sis. – Mam dosyć kłopotów z własnymi pokojami. Na przykład ze zwariowaną starą hrabiną, która życzy sobie, żebym ją otulała do snu każdego wieczoru. Ma chyba ponad dziewięćdziesiąt lat i nazywa mnie swoją nianią. Chce też, żebym jej śpiewała kołysanki. Wyglądam na nianię?

– Dobrze, wezmę ją. Proszę cię, Sis!

– Nie ma mowy. Przestań mnie prosić. Zresztą i tak byłoby to niemożliwe, moja droga. Musisz wytrzymać. Wszystkim się zdarzają okropne przypadki co najmniej kilka razy w roku. A poza tym dziękuj Bogu, że to nic gorszego.

Sis przewróciła się na bok plecami do Evy.

– Bo zawsze może być coś gorszego.

Zdesperowana Eva próbowała nawet poradzić się wuja. Poszła szukać go w kuchni, ale akurat była pora kolacji dla personelu i go nie zastała. Jediną osobą przy pracy był jeden z cukierników, zajęty wyciskaniem soku z cytryn do *tarte au citron*. Cała kuchnia pięknie pachniała świeżymi cytrynami.

– Przepraszam – zagadnęła cukiernika Eva, gdy ten wrzucał wyciśnięte cytryny do wiadra. – Czy będzie ich pan używał?

– Co takiego? – zdziwił się cukiernik.

– Co pasuje do soku z cytryny? – ciągnęła niezrażona.

– Do soku z cytryny? Cukier, i to w dużej ilości! – odparł ze śmiechem.

– Nie, nie żeby zjeść, ale żeby powąchać – wyjaśniła Eva, wyjmując pęczek świeżej mięty ze skrzynki z zieleniną i podnosząc go do nosa.

W końcu stworzyła mieszankę soku z cytryny, kilku kropel olejku z rozmarynu i sporej ilości sody oczyszczonej, co dało w rezultacie gęstą gruzłowatą pastę, i tym

środkiem czyszczącym szorowała łazienkę hrabiny. Zapach był wspaniały.

– Całkiem niezły.

Za nią stał Valmont. Opierał się o futrynę, ręce trzymał w kieszeniach.

– Przydałaby się wprawdzie odrobina lawendy.

Eva podniosła się z kolan.

– Nie ma pan racji.

– Co powiedziałaś? – Valmont spojrzał na nią z irytacją.

– Lawenda tu nie pasuje. – Eva nie dała się zbić z tropu.

– Sprzeczasz się ze mną? – zaśmiał się Valmont. – Co cię do tego upoważnia?

– Nic – odparła Eva, podnosząc z podłogi kubek. – Po prostu wiem to.

– Muszę cię poinformować, że madame Zed jest światowej sławy perfumiarką, a ja jej jedynym uczniem.

– Być może, ale wszyscy mają nosy – odpowiedziała Eva.

Nagle za ich plecami rozległ się szorstki śmiech.

– Brawo! – Madame Zed wyszła ze swojej sypialni i zbliżyła się do nich, klaszcząc w ręce. – Ta mała pokojóweczka cię przejrzała! Odgadła twoją słabą stronę, to, że zawsze chcesz przedobrzyć i dodać jakąś zbędną nutę. Ona ma rację. Prostota to elegancja i subtelność.

Valmont się skrzywił.

– Tak, madame – powiedział pod nosem.

– Osiągnąć prostotę jest bardzo trudno – dodała madame. – Tak jak wyrefinowanie.

Od tego momentu Valmont przestał się zniecać nad Evą. Następnego ranka przy umywalce ujrzała białą różyczkę wsadzoną w szklanek wody.

Odebrała to jako pochwałę ze strony madame Zed.

Z biegiem czasu Eva nabrała szacunku, a nawet podziwu dla różnych ekscentrycznych zachowań madame. Zamiast przystosowywać się do otoczenia, kobieta wolała je przekształcać. Anonimowe hotelowe pokoje pod jej ręką wyglądały po paru tygodniach, jakby mieszkała w nich od lat; kilka specjalnie dobranych przedmiotów rozmieszczonych to tu, to tam stwarzało tajemniczy i egzotyczny nastrój. Haftowane szale przewieszane przez oparcia foteli, brokatowe i aksamitne poduszki spiętrzone na podłodze, białe storczyki o słodkim duszącym zapachu, francuskie drażetki i pastelowe migdały w cukrze rozstawione na srebrnych tackach przywodziły na myśl wschodni harem. Z okrętowych kufrów oblepionych hotelowymi nalepkami z całego świata wylewały się barwne jedwabne suknie i tuniki. Kotary na oknach wpuszczały jedynie wąziutkie smużki dziennego światła, co stwarzało atmosferę wiecznej nocy.

Pewnego popołudnia Eva kończyła już sprzątać pokój madame, gdy jej uwagę przyciągnął stojący na toalecie okrągły czarny flakonik ze złotą zatyczką. Było coś

przyjemnego i zarazem solidnego w obłym kształcie buteleczki, toteż nie mogła się powstrzymać, by nie wziąć flakonika do ręki.

Wiedziała doskonale, że nie powinna ruszać rzeczy gości, lecz czarne szkło szalenie ją zaintrygowało.

Trzymała flakon w ręku.

„Mój grzech”, głosiła nazwa perfum wypisana złotymi literami.

Wyjęła ostrożnie złotą zatyczkę i powąchała. Poczowała intensywną kwiatową woń narcyzów i frezji, przechodzącą po chwili w ciężki, niemal zwierzęcy szypr. Był to zapach oszłamiająco piękny, choć w jakiś sposób niebezpieczny, kryjący w sobie mroczne głębie.

Mimo tajemniczej aury, w którą wydawał się spowity, nie był to dla Ewy zapach całkiem nowy – rozpoznawała w nim zmysłowe nuty, którymi przesiąknięte były ubrania, a czasem nawet prześcieradła tancerek, aktorek i gwiazd odwiedzających hotel.

Przymknęła oczy i powąchała znowu.

– Czy to ma znaczyć, że ci się podoba?

W drzwiach stała otulona ciemnym koronkowym szalem madame Zed, z twarzą na pół w cieniu. W ręku trzymała zapalonego papierosa tkwiącego w długiej fifice z masy perłowej.

Eva odstawiła perfumy na miejsce.

– Przepraszam, madame. Moja wina.

– Uważaj! To moja jedyna butelka. Gdybyś ją zbiła, musiałabym kupować, a to rzecz nie do pomyślenia! Kupować coś, co się samemu stworzyło? – zaśmiała się madame w drodze do toaletki, by upewnić się, że flakon został zakorkowany.

– Naprawdę bardzo przepraszam.

Madame prawie niezauważalnie wzruszyła ramionami.

– Nie ma o czym mówić. Ja też nigdy nie potrafię się powstrzymać, żeby nie powąchać perfum, których używają inni ludzie. W pięć minut mogę potem odgadnąć, jakie w ogóle mają gusta. A więc – tu madame wskazała na czarny flakon – te ci się podobają?

Eva czuła wypływające na jej twarz rumieńce.

– Nigdy czegoś takiego nie wahałam. To... – zażenowana szukała właściwych słów – to ma w sobie tyle różnych...

Madame Zed nie spuszczała z niej oka. Wciągnęła powietrze.

– Złożone – powiedziała. – To są złożone perfumy.

– Właśnie. Najpierw śliczne i kwiatowe, a potem nagle pełne ciężkich ostrych przypraw i... nie wiem nawet, jak to nazwać...

– I seksu – weszła jej w słowo madame. – Zawsze chodzi o seks.

– Ach tak? – Eva otworzyła szerzej oczy.

– Oczywiście. Wszyscy tego szukają – to mówiąc, madame Zed usadowiła się w fotelu. – Dlatego te perfumy cieszą się taką popularnością. Wbrew moim początkowym intencjom przydałam im większej intensywności.

– To pani stworzyła ten zapach?

Madame potwierdziła skinieniem głowy.

– To mój zawód. Jestem tak zwanym nosem, tak to się zwie fachowo. Robię to od lat, zaczęłam, gdy byłam w twoim wieku. Chociaż teraz nic nie tworzę.

– Dlaczego?

– Bo jeśli mam być szczerą – tu madame strzepnęła popiół z papierosa – nie znoszę, gdy wszyscy zlewają się tymi samymi perfumami. To takie wulgarne. Teraz na przykład cały Paryż pachnie tym „Moim grzechem”, Nowy Jork też zaczyna. Czy to nie okropne, gdy wszystkie kobiety w jednym miejscu pachną tak samo?

– Ale stworzyć coś takiego to jak... jak być artystą albo czarodziejem!

Madame Zed się roześmiała.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda.

– Ja bym chciała tak pachnieć jak te perfumy.

– Och, cóż ty opowiadasz! – zaprotestowała madame. – Wyobraź sobie, że mężczyzna tańczy z jakąś piękną młodą kobietą na balu. Z jej włosów dochodzi do jego nozdrzy zapach perfum. Za kilka minut tańczy z inną, a ta pachnie identycznie. Jaki w tym sens? Przecież rolą perfum jest opowiedzieć coś o osobie, która ich używa – kim jest, kim mogłaby być, nawet kim obawia się być... wszystko to można wyrazić zapachem. Zapach kobiety to wszak część jej istoty, podobnie jak charakter pisma czy dźwięk głosu. Zawierają się w nim emocje i nastroje, które trudno oddać słowami. Choć ulotny, to jednak może być prawdziwszy niż słowa, gdyż mniej jest podatny na zafałszowanie lub niewłaściwe zrozumienie. Te akurat perfumy nie są niczemu winne, są jedyne w swoim rodzaju, należą do najlepszych perfum ostatniej dekady, ale zmęczyłam się dostarczaniem marzeń w butelce na zawołanie. Mam ochotę zmierzyć się z zadaniem godnym mego kunsztu.

– A ta nazwa, madame... – wykrztusiła Eva z rumieńcem na twarzy.

– „Mój grzech” – powiedziała powoli madame Zed. – Co chcesz wiedzieć?

Eva się zawahała.

– To jest chyba... co ta nazwa właściwie znaczy? Co za grzech?

Madame milczała przez chwilę, patrząc gdzieś w przestrzeń i jakby nie widząc Ewy.

– Czy znasz znaczenie słowa „grzech”? – spytała w końcu.

– Gdy zrobi się coś złego?

Madame kiwnęła głową.

– Owszem, to jedno ze znaczeń. Jest jednak jeszcze inne, które pochodzi od greckiego *hamartia*, co w tłumaczeniu znaczy „nie trafić”. Wolę to właśnie znaczenie.

– Nie trafić – powtórzyła Eva, jakby starając się zachować te słowa w pamięci.

– Tak – ciągnęła madame. – Staramy się, a jednak nie trafiamy, podobnie jak łucznik, który mierzy do konkretnego punktu na tarczy, lecz chybia celu.

Madame zdjęła koronkowy szal z ramion.

– Gdy dorosisz i zaznasz trochę życia, przekonasz się, moja mała, że nie istnieją „dobrzy” ludzie. Wszyscy się staramy, lecz nie trafiamy, nawet zbyt usilnie się staramy i zbyt często się nam nie udaje. Zapamiętaj to sobie. Nie powinniśmy więc sądzić surowo innych za ich grzechy.

– Nie. Oczywiście, że nie – powiedziała Eva, choć nie była pewna, czy zrozumiała intencję madame.

Madame usiadła głębiej w fotelu i oparła stopy na podnóżku. Znowu zaciągnęła się papierosem.

– Wydaje mi się czasem, że ludzi łączą jedynie ich wady i słabości – powiedziała prawie szeptem.

Eva stała zasłuchana.

Madame wypuściła z ust długą smugę dymu. Głowa opadła jej na ramię.

Eva oczekiwała dalszych słów.

Dłoń madame się rozluźniła, papieros wysunął się jej z palców.

Eva czym prędzej zgasiła niedopałek, zanim zdążył wypalić dziurę w dywanie.

Madame zaczęła chrapać, co przywołało Valmonta.

– Och, to ty – powiedział wyraźnie nadąsany, wsadzając ręce do kieszeni. – Mogłem się być domyślić.

Eva położyła ręce na biodrach.

– Co to niby ma znaczyć?

Valmont zignorował jej słowa.

– Dobry Jezu! Znowu była w chińskiej dzielnicy. Pomóż mi przenieść ją na łóżko – zarządził, ujmując madame pod pachy.

Eva niechętnie ujęła nogi perfumiarki.

– Ależ ona ciężka! A taka chuda!

Wspólnym wysiłkiem przetransportowali madame na łóżko. Kobieta ani na moment nie zaprzestała miarowego pochrapywania, przewróciła się tylko ciężko na bok we śnie.

– Nigdy nie słyszałam takiego chrapania.

– Owszem, niezły hałas – przyznał Valmont. – Słyszę ją przez drzwi, więc śpię z czterema poduszkami na głowie. Nie obudzi się teraz do wieczora.

– Nie wygląda wcale na pijaną.

Valmont przewrócił oczyma.

– To ty nic nie rozumiesz? Opium – wyjaśnił. – Paliła opium.

– Och! – Eva wlepiła wzrok w śpiącą postać. Palarnia opium. Co za okropność i

upadek, a jednocześnie jakie to ekscytujące!

– Wkrótce jedziemy do Maroka, to dopiero będzie zabawa.

– Do Maroka? Po co?

– Kupować składniki. Mają tam między innymi najlepsze zbiory jaśminu na świecie. Zazwyczaj kupujemy od pośrednika, ale jestem pewien, że jeśli pojedziemy osobiście, to dostaniemy czystsze woski za lepszą cenę, a poza tym mam przeczucie, że natrafimy na jakieś rzadkie składniki, jeszcze nieznanne w Europie. A o to nam chodzi, żeby stworzyć zupełnie nową paletę woni, coś niepowtarzalnego.

Eva uśmiechnęła się do siebie i podniosła ścierkę do kurzu z toaletki.

– Czemu się tak drwiąco uśmiechasz?

– Wcale nie drwiąco.

– Owszem, drwiąco.

– Pan uważa, że wszystkim pan tu rządzi – odważyła się powiedzieć.

– Bo mam posłuch. Madame ceni moje opinie. Ona jest jednym z największych autorytetów perfumiarstwa na świecie, a ja jej jedynym uczniem i asystentem.

– Wciąż pan to powtarza. Sądziłam, że jest pan jej sekretarzem.

– Jestem kimś więcej. Trzeba ci wiedzieć – z tymi słowami podążył za Evą do łazienki – sztuki perfumiarstwa nie uczą w szkołach. Potrzebny jest wrodzony talent, dar niebios, tylko wtedy można się czegoś nauczyć od mistrza w tej profesji. Zostałem uczniem madame w wieku dziewięciu lat.

– Dziewięciu? A teraz ma pan ile?

– Osiemnaście.

Eva prychnęła.

– Tyle czasu i wciąż się pan uczy?

– Chodzi o sztukę! – Valmont wbił w nią wzrok. – Lata całe nie wystarczą, żeby zapamiętać wszystkie składniki, jakich można użyć do stworzenia perfum. Perfumiarstwo to nie tylko mieszanie zapachów, ale wyrobienie sobie całej palety woni i zrozumienie, jak one ze sobą współgrają. Czy masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak trudno jest stworzyć zapach, który rozwinie się prawidłowo w zetknięciu z ludzką skórą i nie wywietrzeje od razu?

Eva skrzyżowała ramiona na piersiach.

– A skąd madame wiedziała, że ma pan talent?

– Widocznie od razu to zobaczyła.

Doprawdy, co za aroganckie pytania ze strony tej dziewczyny.

– Od małego potrafiłem rozpoznawać zapachy i umiałem zgadnąć, jakie zawierają w sobie elementy. Podobno madame zobaczyła mnie pierwszy raz, jak stałem pochylony nad krzakiem rozmarynu w sąsiednim ogrodzie. Tak byłem skupiony, że nie słyszałem, gdy mnie wołano. To był najpiękniejszy zapach w całej wiosce.

– I rodzice tak po prostu oddali pana madame?

– Skądże znowu! – oburzył się Valmont.

– Pytam tylko. Zapłacili jej?

– Nie mieli pieniędzy. Moja rodzina pochodzi z Rosji, uciekli stamtąd w czasie rewolucji tylko z tym, co mogli unieść w rękach. Mój ojciec był kantorem.

– Kim?

– Kantorem – powtórzył Valmont, trochę tym razem zmieszany. – To ktoś, kto śpiewa pieśni religijne w synagodze.

– Aha – skonstatowała Eva, która nigdy przedtem nie rozmawiała z kimś żydowskiego pochodzenia.

– To jest uświęcony zawód, a raczej powołanie, które przechodzi z pokolenia na pokolenie. Być może rodzice myśleli, że to ja przejmę pałeczkę po ojcu, ale miałem dużo rodzeństwa i rodzicom trudno było nas wszystkich utrzymać. Kantor dużo nie zarabia. Jakiś czas mieszkałem u sąsiadów z tej samej ulicy trudniących się krawiectwem. Dość mili ludzie. W zamian za utrzymanie prasowałem, odnosiłem zamówienia i sprzątałem pracownię.

– Ile miał pan lat?

– Jakieś sześć czy siedem... nie pamiętam dokładnie. I wtedy zjawiła się madame. Szukała czeladnika, kogoś, kogo mogłaby wyuczyć perfumiarstwa. To była niesłychana oferta.

– Ale zaczynać w tak młodym wieku? – głos Ewy złagodniał. – I nigdy już nie zobaczył pan rodziców?

Valmont pokręcił przecząco głową.

– Pewnie pan za nimi tęskni.

– Och, sam nie wiem. Raczej o tym nie myślę.

Eva nie bardzo mu wierzyła.

– Moja matka zmarła przy moim porodzie, w Lille. Ciotka i wuj tu mnie przywieźli, ale tak naprawdę wcale im się nie uśmiechało, żeby się mną opiekować. Czy to nie dziwne, że się tęskni za kimś, kogo się nigdy nie widziało?

– Chyba tak.

Eva załadowała wiadro i szczotkę na wózek.

– Czasem zastanawiam się, jak by to się wszystko potoczyło, gdyby matka nie zmarła. Czyby mnie kochała?

Słowa Ewy go wzruszyły, choć nie dał tego po sobie poznać.

On też zastanawiał się niekiedy, czy rodzice go wspominają, czy o nim myślą, czy łatwo im było się z nim rozstać? Nigdy się z nim od tamtego czasu nie kontaktowali. Nie miał pojęcia, czy to dlatego, że uznali to za lepsze wyjście, czy też dlatego, że się wstydzili swego postępuku. Wolał wierzyć w to drugie.

– Chyba lepiej nie wiedzieć, jak to wszystko było – dodała Eva. – Wtedy można sobie wyobrazić to, co się chce. Musimy się pocieszać, jak możemy, prawda?

Valmont skinął głową.

Przypomniały mu się okropne chwile, gdy opuszczał rodzinną wioskę, rodziców i rodzeństwo, choć to z ich niejako powodu wysłano go do obcych. I tajemniczą postać madame Zed, która wzięła go za rękę i powiodła na stację.

– Coś nas łączy – oznajmiła, gdy usiedli w zimnym przedziale drugiej klasy.

– Co takiego? – zdołał wykrztusić.

– Oboje jesteśmy uchodźcami – powiedziała, świdrując go czarnymi oczami.

W czasie długiej podróży opowiedziała mu, co się stało z jej rodziną, jak ich zaaresztowano w majątku na wsi, gdy szalał „czerwony terror”, a później rozstrzelano. Jak niania wywiozła ją potajemnie, ukrytą na wozie z sianem, ubraną w odzienie po pomywacze.

Połowa całej podróży do Paryża zeszła na opowieściach madame Zed o tym, jak przedzierała się głodna i bez grosza przy duszy z Sankt Petersburga do Odessy, jak niespodziewanie przyjęto ją na pokład angielskiego statku płynącego do Konstantynopola i jak podróżowała z Malty do Marsylii. W przedziale zrobiło się przytulniej i cieplej, podano im herbatę i ciastka, a madame okryła go własnym podróżnym pledem.

– Zobaczysz, odniesiemy razem, ty i ja, wielki sukces, i wtedy nikt nie będzie mógł nam dyktować, gdzie i jak mamy żyć. Albo umrzeć.

Był to pierwszy i ostatni raz, gdy madame i on rozmawiali o przeszłości.

Eva zebrała swoje rzeczy.

Dziwna dziewczyna.

Przypomniały mu się świeże cytryny, których użyła do sporządzenia czyszczącej pasty. Mniej rozmarynu, więcej bergamotu – woń ostra, lecz z miękką nutą.

Otworzył jej drzwi i przytrzymał, by mogła łatwiej przejść z wózkiem. Nic jednak nie powiedział.



---

## Paryż wiosna 1955

---

– No cóż, być może nie wszystko poszło po naszej myśli – zauważył filozoficznie Tissot.

Przeszli przez ulicę w stronę nabrzeża Sekwany, mijając po drodze niewielki wysypany żwirem plac zabaw, gdzie między drzewami dzieci grały w piłkę.

Oboje byli pod wrażeniem wizyty w opuszczonym sklepie. Tissot czuł się winny; nie powinien był się zgodzić na tę eskapadę.

– Kim była ta kobieta? – spytała Grace, której serce wciąż jeszcze waliło. – Zjawiała się tak nagle, nie wiadomo skąd!

– Pewnie mieszka nad sklepem. Może to właścicielka? Zachowywała się, jakby sklep do niej należał.

– Jedno, co wiemy: znała Evę d’Orsey. Zrozumiał pan, o czym jeszcze mówiła? O tych ludziach w czarnej limuzynie, co się włamali do środka?

– Nie, nie bardzo. Prawdopodobnie jest trochę pomyłona. Może z powodu sklerozy.

– Tak pan sądzi?

Kobieta nie wydała się jej pomyłona, raczej bardzo czymś przestraszona. I ta jej dziwna reakcja, gdy usłyszała, że Eva d’Orsey nie żyje. Co to było? Gniew? Żal? Bo nie tylko zaskoczenie, to pewne.

Szli teraz przez park bez konkretnego celu, po to głównie, by uspokoić nerwy.

Wiał wiatr, Tissot podniósł do góry kołnierz marynarki. On, poważny i szanowany przedstawiciel swojej profesji, został właśnie przepędzony przez jakąś emerytkę z opuszczonej rudery. Nie ma się czym chwalić, lecz, o dziwo, czuł się przyjemnie podniecony wypadkami tego popołudnia.

– Chyba nie nadajemy się na detektywów – powiedział.

– To był pański pomysł – przypomniała mu Grace. – Czy to może pana hobby, żeby włamywać się do sklepów?

– Mężczyźni są czasami zmuszeni do niecodziennych wyczynów, zwłaszcza w obecności kobiet – odrzekł.

– Więc to moja wina?

Grace stanęła i skrzyżowała ramiona na piersiach. Kosmyk włosów wysunął się z koczka, igrał z nim wiatr. Spojrzała mu w oczy.

– Bez wątpienia.

– Bo jestem kobietą?

W jej determinacji, by Tissot nie miał ostatniego słowa, było coś wspaniałego. Prawnik wcisnął ręce w kieszenie i wzruszył lekko ramionami.

– Nie tylko, madame Munroe. Mężczyzna musiałby się rzeczywiście wysilić, by zrobić na pani wrażenie.

To ją wyraźnie zaskoczyło.

Poczuła, że się czerwieni, więc szybko się odwróciła i zaczęła znowu iść.

– To było coś niesłychanego, prawda? – zmieniała temat. – Nie mogę wprost uwierzyć, ile tam było perfum. Myśli pan, że wszystkie są dziełem jednej osoby? A może to jakaś kolekcja?

– Trudno powiedzieć. Myślałem, że pani nie znosi perfum.

– Tego nie mówiłam. Po prostu nie lubię pachnieć jak kram z kwiatami.

– No cóż, nie chcemy być krzykliwi, prawda?

– Chyba się pan ze mnie naigrawa, monsieur Tissot.

– Bardzo przepraszam. – Tissot skłonił się teatralnie. – Tylko że Anglicy są zabawni. Zapachy są dla nich za krzykliwe, jedzenie za bardzo wyraziste...

– Zapewniam pana, że nie jestem w tych kwestiach przedstawicielką mego kraju... jeśli mam jakieś dziwactwa, to swoje własne!

– Nie chciałem pani obrazić – odparł trochę poważniej Tissot.

Grace potrząsnęła głową. Nagle poczuła zażenowanie.

– Znajomi w Anglii mają mnie za kaczkę dziwaczkę.

– Doprawdy? – spojrzał na nią zdziwiony. – Dziwaczkę...?

– Osobę trochę odstającą od innych – usiłowała wytłumaczyć Grace. – Ale to bez znaczenia. Nie obraził mnie pan wcale. Jestem przyzwyczajona.

Tissot przystanął.

– W jakim sensie odstającą? – spytał.

– Och, nie wiem.

Grace spojrzała na Sekwanę, na kołyszące się na falach turystyczne stateczki. Znowu dotknęła zapalniczki w kieszeni płaszcza i zaczęła ją obracać w dłoni.

– Chyba zawsze byłam dziwna. Obchodzą mnie rzeczy, które powinnam ignorować, a na ważne sprawy nie zwracam uwagi.

– Co to są te ważne sprawy?

Grace nie zwykła zwierzać się mężczyznom, zwłaszcza tak dociekliwym jak monsieur Tissot. On jednak przestał się dopytywać, spoglądał tylko na nią z prawdziwym zainteresowaniem.

– Na przykład – zaczęła z rozmysłem – nie dbam specjalnie o stroje ani o to, co podam gościom na kolację, za to zdarza mi się zaprzatnąć bez reszty kalkulacją dotyczącą punktualnego przybycia pociągu.

– I te kalkulacje się sprawdzają?

– Z reguły tak.

– Dlaczego to panią interesuje?

– Nie jestem pewna – przyznała. – Po prostu lubię rozwiązywać problemy. Nie typu kogo gdzie najlepiej posadzić przy stole, ale rzeczy bardziej abstrakcyjnej natury. Tylko że dla mnie nie są one abstrakcyjne, wręcz przeciwnie, widzę w nich różne problemy praktyczne.

– Jakie?

– Och, nie wiem – rzuciła Grace trochę od niechcienia. Nigdy nie rozmawiała z nikim na te tematy. – Na przykład w czasie wojny zastanawiałam się często nad tym, jak padają niemieckie bomby, dlaczego bomba spada akurat na ten konkretny dom, a nie na inny? Moja matka zginęła w bombardowaniu Londynu, może dlatego tak mnie to niezdrowo intryguje. Chodzi o to, że gdyby znać ciężar bomby oraz prędkość samolotu, wysokość lotu i siłę wiatru, to przestałoby to być tajemnicą, wiedziałoby się od razu po prostym wyliczeniu. Przypadkowość wydarzeń by zniknęła.

– Bo nie wierzy pani w przypadki? – przypomniał jej Tissot.

– Nie wierzę.

– A gdzie, proszę mi powiedzieć, jest rola Boga w tym wszystkim?

– Tam, gdzie zawsze, między ciężarem bomby a domem.

Tissot się roześmiał.

– Wcale nie jest pani kaczką dziwaczką! Raczej sową w okularach, intelektualistką!

– Och, wątpię – powiedziała Grace z nieśmiałym uśmiechem. – A pan wierzy w Boga? – spytała spontanicznie.

Od dzieciństwa wpajano jej, że nie należy w grzecznych towarzyskich rozmowach poruszać tematów politycznych i religijnych. Teraz jednak czuła potrzebę porozmawiania o rzeczach istotnych, o których nie mogła dyskutować z Rogerem, z Mallory czy też z kimkolwiek innym z jej otoczenia.

Tissot rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Tak – odrzekł po chwili. – Co nie znaczy, że Go rozumiem i w pełni się z Nim zgadzam. Jeśli ma być tą siłą między samolotem a bombą.

Spacerowali dalej.

– Podoba mi się ten sklep – odezwał się Tissot.

– Mnie też.

– Podoba mi się ta nazwa, zauważyła ją pani?

– *Recherchez-moi?*

– Tak, ale też to, co było napisane pod spodem. *L'apothicaire des Sens.*

– Skład...

– Zmysłów.

– Ach tak, rozumiem. To bardzo wymowne, prawda?

– Wy, Anglicy, macie takie wyrażenie, żeby „dojść do zmysłów”[3].

– Owszem.

– Co to naprawdę znaczy pani zdaniem?

– To znaczy być rozsądnym, zdrowo myślącym – odpowiedziała Grace, spoglądając na niego z ukosa. – Czyż nie?

– Może.

W oczach Tissota odbiły się promyki popołudniowego słońca i zatańczyły na wpół bursztynowo, na wpół zielono.

– Co innego mogłoby to znaczyć?

– Może zaproszenie. Może w dosłownym znaczeniu powinniśmy dojść do naszych zmysłów, wrócić do zmysłu dotyku, smaku, wzroku i zapachu i w nich znaleźć inspirację i oparcie. Życie to jest przecież doświadczanie przez zmysły. To nasze zmysły potrafią przenieść nas w inne rejony, ale też sprowadzić na ziemię. Uczynić nas prawdziwymi ludźmi.

– Widzę, że jest pan filozofem. I zmysłowcem. – Grace nie ukrywała zdziwienia.

Tissot kopnął lekko grudki żwiru końcem buta.

– Zapewniam panią, że jestem od tego jak najdalej.

– W takim razie jest pan chodzącą sprzecznością. Raz jest pan prawnikiem o bardzo ścisłym umyśle, a kiedy indziej wdrapuje się pan przez okna i radzi, by porzucić zdrowy rozsądek.

– Przeceniamy zalety zdrowego rozsądku. Oczywiście nie wtedy, gdy to akurat ja robię coś zdroworozsądkowego. Poza tym weszliśmy przez drzwi, nie przez okno. Usiądziemy? – Tissot wskazał na pobliską ławeczkę. Usiedli obok siebie.

– Chyba doszliśmy w naszych poszukiwaniach do martwego punktu – powiedziała Grace, opierając łokcie na kolanach.

– Być może. Zostaje nam jeszcze pójść do firmy Lancelot et Delp. Bardzo jestem ciekaw, co to są za portfolia.

– Tak, ale co mamy robić teraz?

Powinien jej powiedzieć, że oni teraz nie mają nic do roboty, a na niego czekają w biurze różne dokumenty do podpisu. A jednak ta młoda Angielka go ciekawiła; zauważył, że czeka na jej słowa, że chce wiedzieć, co myśli. Musiał się też przy niej trochę wysilić umysłowo, co również mu się podobało.

– Chyba powinniśmy poczekać – powiedział.

– Na co?

– Nie wiem. – To mówiąc, Tissot oparł się wygodniej o tył ławki i wyciągnął przed siebie długie nogi. Wiosenne chmury goniły się po niebie, w popołudniowym powietrzu czuło się rześką słodycz. – Ale w sytuacji, gdy nie wiadomo, co robić, najlepiej jest nic nie robić.

– Mówi to pan z profesjonalnego punktu widzenia? To mi pan radzi?

Tissot przymknął oczy i obrócił twarz ku słońcu.

– Jak najbardziej.

Grace też usiadła wygodniej. Na placu zabaw dokazywały roześmiane dzieci, które pozdejmowały płaszczyki i biegały jak szalone. Obserwując je, Grace usiłowała sobie przypomnieć, kiedy to ostatni raz tak po dziecinnemu cieszyła się beztrosko z życia, ale nie zdołała przywołać żadnego takiego momentu. Tylko ciągle się martwi, krytykuje samą siebie, wini się za jakieś braki.

– Madame Munroe...

Grace spojrzała na Tissota.

– Tak?

– Pani wie doskonale, co jest naprawdę ważne.

– Czyżby?

– Bo przecież punktualność pociągów jest niesłychanie istotna. Oraz to, co między samolotem a bombą.

Grace uśmiechnęła się do samej siebie. Zamknęła oczy i też wystawiła twarz do słońca.

– No właśnie – przyznała.

---

# Nowy Jork

## 1927

---

Fala upałów objęła Nowy Jork. W połowie lipca bijący z nieba żar i zawieszona w powietrzu wilgoć sprawiały, że po kilku krokach ludzie byli mokrzy od potu. Goście hotelowi nie ruszali się ze swoich zaciemnionych pokoi, gdzie polegiwali w bieliźnie na łóżkach, domagając się lodu na okłady, dodatkowych wiatraków i mrożonej herbaty, albo brali długie kąpiele w zimnej wodzie, popijając lemoniadę zaprawioną nielegalnym dżinem.

Eva i reszta pokojówek musiały sprzątać w obecności tkwiących w pokojach gości, co nie było przyjemne.

Dla pani Ronald upały nie stanowiły żadnego usprawiedliwienia, by porzucić zwyczajowe standardy; pokojówki musiały nosić te same co zawsze ubrania i czepki, łącznie z grubymi czarnymi pończochami.

– Mamy swoje zasady, dziewczęta! – przypominała im co rano. – Wasz wygląd to podstawa porządku.

Gdyby chociaż mogły zabrać się do sprzątnięcia z samego rana, ale ponieważ nikt z gości nie wstawał przed południem, biedne dziewczyny musiały się zmagać z brudną bielizną i z szorowaniem podłóg w najgorętszej porze dnia.

– Jeśli któraś z was zasłabnie, to niech przeprosi i wycofa się do korytarza służbowego – upominała pani Ronald. – Tam sobie może mdleć, w pokojach gości to nie uchodzi. I proszę trzymać wzrok spuszczone. Gość nie musi wam patrzeć prosto w oczy, czy to jasne? Macie być tylko parą niewidzialnych rąk do pracy, reszta się nie liczy.

Zaleceń tych w praktyce wcale nie było łatwo spełnić.

Pewnego popołudnia madame Zed odpoczywała właśnie u siebie, odziana w jedną ze swych luźnych przezroczywych kreacji, popijając chłodzoną herbatę i paląc jednego papierosa za drugim. Wtulona w fotel, oczy miała przymknięte, być może dochodziła do siebie po wyczerpującej nocy, a być może próbowała wysiłkiem woli obniżyć temperaturę.

Oblana potem Eva zmieniała pościel, starając się robić to jak najciszej. Upał ją obezwładniał.

Madame podniosła powieki.

– Jak masz na imię? – spytała.

– Eva, proszę pani.

– Czy zechciałbyś zawołać Valmonta, Evo? Nie mogę się ruszyć. Czuję się jak sparaliżowana.

– Oczywiście, proszę pani.

Podeszła ciężkim krokiem do zamkniętych drzwi między pokojami. Nacisnęła klamkę.

– Zamknięte, proszę pani.

– Więc otwórz! – Madame wzniosła oczy do nieba w przesadnie rozpaczliwym geście. – Głowa mi pęka! Znajdź mi Valmonta!

Eva przekręciła w zamku służbowy klucz i zapukała kilka razy w drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnęła je delikatnie.

Na jedynym oknie w pokoju zaciągnięta była zasłona, tworząc we wnętrzu głęboką ciemność. Gdy jej oczy przywykły do braku światła, Eva dojrzała zwiniętą na łóżku postać Valmonta. Spał nagi, okryty jedynie od pasa w dół prześcieradłem.

Eva podeszła ostrożnie bliżej. Czowała się nieswojo, ciężkie powietrze zaciemnionego pokoju stwarzało atmosferę nierealnego snu.

Nachyliła się nad bladym kształtem.

– Niech się pan obudzi!

Valmont przewrócił się z boku na plecy.

Eva spróbowała znowu. Pochyliła się bardziej i potrząsnęła go lekko za ramię.

– Proszę pana!

Valmont otworzył oczy. Zamrugał.

– Przepraszam, ale madame chce, by pan przyszedł – wyjaśniła szeptem. – Mówi, że...

Nagle Valmont chwycił ją za nadgarstek.

– Cicho! – Pociągnął ją ku sobie.

Eva upadła na łóżko prosto w jego ramiona.

Valmont wciągnął powietrze.

Poczuł jej zapach, zwyczajny z początku, jak zapach wilgotnej skóry dziecka, lecz zaraz potem doszła do jego nozdrzy nuta piżma, rozwijająca się stopniowo w głęboko prymitywną, niemal zwierzęcą esencję. Nigdy przedtem Valmont nie doświadczył takiego zapachu wydzielanego przez kobiece ciało. Przeszyło go niezwykle podniecenie.

Przerażona Eva odepchnęła go od siebie z całej siły.

– Co pan wyprawia?

– Pachniesz... – wyszeptał.

– Owszem, dziękuję bardzo! – Eva stanęła w końcu na nogi. – Nie musi mi pan tego mówić! – syknęła. – Madame chce pana widzieć!

– Źle mnie zrozumiałaś. – Valmont znowu usiłował przysunąć ją do siebie, pociągając jednocześnie nosem. – Niezwykła woń. Absolutnie niezwykła.

– Proszę mnie puścić!

Nagle w łóżku poruszyło się jeszcze czyjeś ciało. Ktoś wynurzył się spod pościeli, przeciągnął się i przewrócił na brzuch.

Mężczyzna.

Eva cofnęła się ze wstrętem i wróciła do pokoju madame, potykając się po drodze.

– A to co? – Madame Zed otworzyła oczy. – Sama?

– On śpi, proszę pani.

– Więc go obudź! – Znużona, madame przesunęła dłonią po oczach. – Potrzebuję go!

Niemożliwa, wprost okropna sytuacja.

Eva usiłowała ją uspokoić.

– Śpi nieubrany. Może ja się pani przydam? Mam pójść do drogerii?

Madame podniosła się z ciężkim westchnieniem z fotela i wkroczyła do pokoju Valmonta. Eva stanęła w progu i zerknęła w głąb, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Madame postąpiła chwilę w ciemnym wnętrzu bez słowa. Następnie wróciła do swojej sypialni i zaczęła grzebać w torebce, wzdychając przy tym ciężko. Wcisnęła Evie monety w rękę.

– Kup mi aspirynę. I proszki Woolcotta. Nikt chyba jeszcze nie cierpiał takiego bólu głowy jak ja.

Czy madame widziała to samo co ona? Czy madame wie, że to grzech śmiertelny?

Madame Zed jakby zgadła, co Eva właśnie pomyślała.

– Trzeba ci wiedzieć – zaczęła – że mężczyźni przechodzą w życiu przez wiele faz. Młodzi mężczyźni są szczególnie podatni na wrażenia. Potrzeba im czegoś więcej niż kobietom, więcej rozmaitych doświadczeń. Rozumiesz?

– Tak, proszę pani – skłamała Eva.

– Tego rodzaju przygody to tylko wstęp do prawdziwych związków. Przelotne historie. Co nie znaczy, że się nie martwię. André może się stać obiektem nieprzyjemnych plotek. Liczę tu na twoją dyskrecję.

– Naturalnie, proszę pani.

– A więc poprzestańmy na tym. Zamknij, proszę, drzwi. Nie powinnyśmy były ich w ogóle otwierać.

Madame zapadła znowu w fotel i przymknęła oczy.

André Valmont, teraz już całkowicie przebudzony, leżał na łóżku. Chłopak obok pochrapywał cicho. André poznał go sprzedniej nocy w klubie w Harlemlu.

Uczeń madame zamknął oczy.

W głowie miał obraz zapachu Evy. Był tuż-tuż pod powiekami, świecił się blaskiem złota przechodzącego w głębię bursztynu. Czuł jego smak rozlewający się powoli na podniebieniu, tę szokującą kombinację kontrastowych wrażeń, a pod nimi



gęsty, cielesny rdzeń nagiego seksu. Pragnął zatopić się w jej ciało, zasmakować każdej jej cząsteczki w serii pojedynczych oddechów.

To było coś nowego – jak dotąd płeć żeńska zupełnie go nie obchodziła.

Odrzucił prześcieradło, podniecenie sięgnęło szczytu. Gdy minęło, znowu zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak ją powoli rozbiera, zdejmując każdą część garderoby przesyconej jej słodkim potem, wreszcie nic ich nie dzieli, skóra dotyka skóry, jej niesamowity zapach otula ich oboje... Valmont drżał w ekstazie.

W końcu zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. O rytm młodości, o dojrzewanie zmysłów, o niespełnienie i o tęsknotę... o nimfę i o kobietę zdradziecką, obie naraz tkwiące w ciele niezgrabnej dziewczyny... o przypowieść, którą da się uchwycić jedynie w zapachu perfum.

Naturalny zapach tej dziewczyny przenikał wszystko. Valmont przejrzał na oczy. Teraz dopiero, za jej sprawą, będzie mógł zrealizować swój geniusz.

Podniósł się z łóżka, wziął kąpiel, zapalił papierosa. Obudził chłopaka z Harlemu i posłał go do domu.

Wiedział, co ma robić.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Dwa dni później Grace i Tissot przybyli do biura firmy Lancelot et Delp mieszczącego się niedaleko Hal w nowoczesnym betonowym budynku o rzucającej się w oczy architekturze. W recepcji wyłożonej marmurowymi taflami siedziała za kontuarem młoda kobieta ze słuchawkami na uszach. Tissot podszedł do niej i za chwilę jedną z wind zjechał młody człowiek, by ich powitać.

Miał na sobie obcisły garniturek, wąski jaskrawożółty krawacik, na nosie okulary w grubych czarnych oprawkach, a na głowie masę zmierzwionych ciemnych kędziorów. Już w drodze od windy wyciągnął do nich rękę, co nadało mu wygląd, pomyślała Grace, jakby szalenie energetycznego, żywego wykrzyknika.

– Dzień dobry! Witam państwa! Jestem Albert Dubois. – Uścisnął im dłonie z wielką siłą. – Miło mi państwa poznać! Kawy? Albo herbaty? Czy państwo pierwszy raz w naszym biurze?

Nie czekając na odpowiedź, skierował ich do windy.

– Cieszę się, że zna pan angielski – zauważyła Grace, gdy drzwi windy już się za nimi zamknęły.

– Och, znam też niemiecki, hiszpański, portugalski i japoński – trochę. Na amerykańskim się wprawdzie zacinam! – zaśmiał się Dubois, poprawiając sobie okulary na nosie.

– Japoński? – zdziwił się Tissot. – Po cóż to?

– Bo oni wydobędą się z zapaści gospodarczej, zapewniam pana, i wkrótce osiągną jedną z czołowych pozycji na świecie.

– Bardzo wątpię. – Tissot był jak widać innego zdania.

Winda stanęła u celu. Wyszli i ruszyli dalej przez szklane wahadłowe drzwi.

Do uszu Grace wdarł się natychmiast harmider setki głosów. W wielkiej biurowej sali ciągnęły się rzędy biurka, na każdym stały co najmniej dwa telefony, a za biurkami młodzi mężczyźni w koszulach z podwiniętymi rękawami, bez marynarek, przekrzykiwali się nawzajem. Na ścianie wisiała wielka tablica, na której bez ustanku kilku młodzieńców dokonywało zmian w zapisanych liczbach.

– Przepraszam za hałas. – Dubois skierował ich do oddzielnego pokoju i poprosił o zajęcie miejsc. – Giełda nowojorska właśnie ruszyła, stąd ten nagły rwetes. A więc – usiadł za biurkiem i wydobył teczkę – przyszli państwo w sprawie akcji pani d’Orsey, prawda? Och, przykro mi z powodu pani żałoby – dodał, rzucając okiem na

Grace.

– Dziękuję panu – szepnęła Grace, usiłując nie patrzeć na Tissota.

– Muszę przyznać, że Eva d’Orsey była jedną z moich ulubionych klientek. Jakiego ona miała nosa!

– Co pan przez to rozumie? – zainteresował się Tissot, przesuając się lekko do przodu.

Dubois zaczął przerzucać papiery w teczce.

– Poznałem ją pięć czy sześć lat temu, gdy przyszła się poradzić w sprawie niewielkiego pliku akcji Hivera. Powiedziała mi, że dostała je w prezencie i że nie zna się na giełdzie, więc potrzebuje porady. Świetnie, czemu nie. Poddałem jej kilka sugestii, raczej zachowawczych, co do lokat w złocie, w papierach wartościowych, w dobrach trwałych. A tu ona zaczyna do mnie dzwonić ze swoimi własnymi sugestiami! Czy wiem, że Citroën pracuje nad nowym typem hamulców? Czy doszło do mnie, że Goodyear zaczyna inwestycje w Meksyku? A co sądzę o nowej amerykańskiej pasji do rock and rolla?

– Naprawdę? – Tissot roześmiał się.

– Była niezwykłą osobą. Znała się na liczbach, zagłębiała się w różne zagadnienia.

Podał Grace plik papierów z teczki.

– Z tej garstki akcji firmy kosmetycznej stworzyła cenne portfolio długoterminowych inwestycji.

Oczom Grace ukazała się długa lista nazw przedsiębiorstw – United States Steel, EMI, Standard Oil, Firestone, Citroën, Le Monde, Amoco... gdzieś w dole spisu dostrzegła firmę Hiver. Przy każdej pozycji znajdowała się wartość akcji podana we frankach. Grace poczuła zawrót głowy.

– Co to wszystko oznacza, monsieur Dubois?

Mężczyzna skinął głową w stronę teczki.

– To portfolio było jedynym źródłem dochodu madame d’Orsey. Wiedziała, co robi. Każdą nadwyżkę z dochodu przeznacziała na zakup nowych akcji. A to oznacza, że jest pani bardzo zamożną kobietą, pani Munroe – wyjaśnił z błyskiem w oku finansista.

– To jakieś szaleństwo! Dziwaczna pomyłka – odezwała się Grace, gdy wraz z Tissotem opuścili biuro. Czuła się niewyraźnie, jakby na krawędzi omdlenia. – Za chwilę się przebudzę, bo przyjedzie prawdziwa Grace Munroe, z Australii albo skądś indziej, a ja jak niepyszna wrócę do Londynu.

– Pani jest prawdziwą Grace Munroe. Doznała pani szoku, i tyle.

Tissot ujął ją pod ramię, przeszli na drugą stronę ulicy, gdzie zaparkował auto.

– Musi pani coś przegryźć.

Grace z uśmiechem pokręciła głową.

– Nie wszystko da się rozwiązać, idąc na kolację czy na obiad.

– Oto słowa prawdziwej Angielki. Znam jedno idealne miejsce na dzisiejszą okazję.

Tissot otworzył jej drzwiczki auta.

– Nie może mnie pan bez przerwy zapraszać do restauracji – zaprotestowała. – To zbyt... zbyt rozrzutność.

– Proszę się uspokoić, nie sugeruję, byśmy poszli do Maxima. Ale mamy dzisiaj powód do celebracji. A skoro jestem jedyną znaną pani osobą w Paryżu, niestety, jest pani skazana na moje towarzystwo.

Wrócili autem do centrum, Tissot zaparkował przed restauracją Fouqueta przy Champs Élysées.

Grace spojrzała na niebo. Chmury wisiały ciężkie i ciemne, robiło się chłodno.

– Możemy usiąść na zewnątrz?

– Jak najbardziej.

Posadzono ich pod czerwoną markizą. Bez żadnej z nią konsultacji Tissot zamówił szampana i ostrygi dla nich obojga.

– Jadła pani kiedyś ostrygi?

Grace przygryzła usta.

– Nie.

Ostrygi były mokre i surowe, bardziej nawet, niż się spodziewała. Niezbyt miła propozycja, z całą pewnością inna niż jej zwyczajowa herbata z grzankami.

– Proszę się nie obawiać. To łatwiejsze danie, niżby się z pozoru wydawało.

– Wcale się nie obawiam.

– Jest pani przerażona.

Tissot nalał szampana do kieliszków.

– Krzywi pani usta.

– Ostrygi wyglądają na coś leżącego na chodniku, na co trzeba uważać, żeby nie wdepnąć.

– To mieszczańskie nastawienie.

– Mieszczańskie! – oburzyła się Grace, mrużąc oczy. – Niby jak można to jeść, żeby nie wyglądać na głupka?

– Bardzo prosto – odrzekł Tissot, ujmując w rękę muszlę z ostrygą. – Sama spływa do gardła.

Grace była przerażona.

– Bez gryzienia?

– Bez. Tylko z odrobiną cytryny, jeśli ktoś lubi. – Wycisnął trochę soku z plasterka cytryny.

– A jeśli się zakrztuszę?

– Wtedy ja się przesiądę do innego stolika. Proszę, zachęcam! Głowa odchylona

do tyłu, krtań zrelaksowana!

Grace ściągnęła rękawiczki i ostrożnie podniosła ostrygę z półmiska.

– Robi to pan celowo, prawda? Bawi się pan w grę pod tytułem „zamęczyć Angielkę”.

– Niech mi pani wierzy, że gdybym chciał panią zamęczyć, wybrałbym jakiś tańszy sposób.

– Doskonale.

Grace zebrała się w sobie, zamknęła oczy i przełknęła ostrygę.

– Dobry Boże! – Prawie się zachłysnęła.

– A teraz proszę szybko popić szampanem. – Tissot wręczył jej kieliszek.

Lodowato świeże bąbelki wybuchły jej w ustach.

– Och! – zaśmiała się zdziwiona. – Jakie to pyszne!

– Bravo! Wypijmy za angielską dziedziczkę!

– Za uzurpatorkę! – sprostowała Grace. – Ile sztuk wolno mi zjeść?

– Ile pani sobie życzy. Tylko nie wolno pani ruszyć tych sześciu, one są moje.

– Psuje pan zabawę.

Rozsiadłszy się wygodnie na krześle, Tissot zapalił papierosa i spoglądał spod oka, jak Grace pochłania jedna za drugą ostrygi z cytryną.

– Lepiej się już pani czuje?

– Tak, dziękuję.

Tissot z uśmiechem wypuścił dym z papierosa.

– Prawdę mówiąc, czuję się jak kawałeczki porwanej kartki unoszone przez wiatr. Ale paryski wiatr nie jest zły.

Połknęła następną ostrygę. Były przepyszne, musiała to przyznać.

– Widzi pan, już chyba nie może mnie pan nazwać mieszczką.

– Owszem, mógłbym, choć byłoby to błędne.

– *Mon Dieu!* Czy pan zawsze jest taki pedantyczny?

– Zawsze. Proszę nie rozmawiać po francusku, to brzmi w pani ustach jak dźwięk kredy ciągniętej po tablicy.

– Taka drobiazgowość jest zapewne bardzo przydatna w pańskiej profesji – zauważyła Grace, wyjmując z torebki paczkę chesterfieldów. Tissot podał jej ogień. Dym z papierosów zmieszany ze słoną morską wonią ostryg i chłodnym wilgotnym powietrzem stworzył niespodzianie interesującą, zmysłową atmosferę. Upiła łyk szampana.

– A więc prawo to całe pańskie życie, monsieur Tissot?

– Niezupełnie.

– Ma pan czas dla rodziny?

Tissot zaprzeczył ruchem głowy.

– Jestem kawalerem.

– Och! – wykrzyknęła zdziwiona. Była pewna, że jest żonaty.

Tissot dostrzegł jej reakcję i uśmiechnął się.

– Nie wszyscy się nadają do ustabilizowanego rodzinnego trybu życia – nadmieniał.

– Oczywiście, że nie wszyscy – zgodziła się od razu. – Sama się często zastanawiam, czy ja też nie należę do tej kategorii.

– Poza tym jakoś nie miałem szczęścia spotkać kogoś, kto by tolerował moją błyskotliwą osobowość.

Grace się zaśmiała.

– Najwyraźniej olśniewa pan kobiety tym blaskiem, może potrzebują okularów przeciwsłonecznych.

– Wyjawię pani, że lubię reperować różne rzeczy w wolnym czasie – Tissot strzepnął popiół do popielniczki.

– Doprawdy? Jakie to są rzeczy, mianowicie? – Grace ucieszyła się ze zmiany tematu.

– Rowery, zabawki, zegary. Kiedyś zreperowałem nawet rewolwer, choć nieomal postrzeliłem się przy tym w ucho. – Tissot wydał świst naśladujący lot pocisku. – Nabój przeleciał mi tuż koło głowy. Prawdziwy szok. Mam za domem garaż i trzymam tam narzędzia, taki warsztat do pracy, różne części zapasowe zwisają z sufitu. Dzieci z sąsiedztwa bardzo mnie lubią – uśmiechnął się Tissot. – Gram też na gitarze.

– Dobrze?

Podniósł ostrygę z półmiska.

– Wyjątkowy ze mnie artysta. Tylko że ukryty w ciele człowieka pozbawionego talentu muzycznego. – Połknął ostrygę. – Ale to wcale mi nie przeszkadza.

– Nie zazdroszczę pańskim sąsiadom.

– Ja również. Pani ma dzieci?

– Nie, nie mam.

Ledwie zauważalny cień padł na jej oczy. Zaciągnęła się papierosem i odwróciła wzrok. Patrzyła teraz na ruch uliczny, na przechodniów, Tissot wyczuł, że jego towarzyszka nie chce rozmawiać o dzieciach.

– Przypomniał mi się ojciec, gdy opisywał pan swój warsztat w garażu – odezwała się po chwili. – On też lubił tworzyć coś własnymi rękami.

– Tworzyć to co innego, twórczość wymaga wyobraźni. Ja tylko naprawiam. Widzę skazę i ją usuwam, to mnie podnieca.

Napełnił znowu kieliszki.

– Pani ojciec żyje?

– Nie, zmarł na zawał, gdy byłem jeszcze mała.

– Przykro mi bardzo.

Na niebie ukazały się błyskawice, potem rozległ się niski pomruk odległych grzmotów i nagle runęła ulewa. Przechodnie zniknęli z ulic, chowali się w bramach i przedsionkach, goście restauracji siedzący na dworze też przenieśli się do środka. Jedynie Grace i Tissot zostali na zewnątrz.

Grace oparła głowę w zagłębieniu łokcia, wpatrzona w przezroczyste strugi deszczu spływające z czerwonej markizy. Deszczowy welon jakby odgrodził ich od reszty Paryża.

– To miło z pana strony, że mnie pan tu zaprosił. Jestem naprawdę wdzięczna, że poświęca mi pan tyle czasu.

Tissot rzadko otrzymywał podziękowania za jakiegokolwiek swe poświęcenia.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Prawie dobiegamy końca. A pani powinna się cieszyć z rezultatów.

– Tak, chyba ma pan rację – przyznała Grace.

– Gdy tylko podpisze pani wszystkie dokumenty, zajmiemy się sprzedażą mieszkania. Potem może pani wracać do Anglii.

– Tak.

Grace przymknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Powietrze pachniało mieszaniną obcych i znajomych woni, wilgotnej zieleni, lekkiej stęchlizny, ostryg i szampana. Zaciągnęła się znowu papierosem.

– Nie przeszkadza panu, że jeszcze chwilę tu posiedzimy?

– Skądże znowu.

– Nie wiem czemu, ale zawsze bardzo lubiłam zapach deszczu – zwierzyła się Grace.

– *Bonjour, madame.*

– *Bonjour* – odpowiedziała Grace na powitanie odzwiernego. Po chwili stanęła przy kontuarze recepcji. – Przepraszam, czy jest coś dla madame Munroe?

– Zaraz zobaczę. – Recepcjonista zaczął przerzucać spoczywający przed nim plik papierów. – Jest! – Uniósł triumfalnym gestem telegram. – Dla pani!

Grace poczuła nerwową suchość w ustach. Nareszcie.

– Dziękuję.

W drodze do windy rozerwała pospiesznie kopertę: KOCHANIE STOP JAKIE WIEŚCI STOP MALLORY.

Co za rozczarowanie.

Mallory zachowała się lepiej niż jej własny mąż, od którego nie dostała żadnej wiadomości – ani listu, ani telefonu od momentu wyjazdu z Londynu. Przecież wiedział doskonale, że ona jest w Paryżu, sama go o tym poinformowała.

Zgniotła telegram i wcisnęła go do kieszeni płaszcza. Ręką wyczuła coś na jej dnie. Był to kartonik, który znalazła na podłodze opuszczonego sklepu, gdy akurat wtargnęła tam staruszka. Najwyraźniej włożyła go do kieszeni i całkiem o tym

zapomniała.

Spojrzała teraz na niego po raz pierwszy z uwagą. Na pożółkłym i poplamionym papierze ktoś dawno temu wypisał coś gęstym, staroświeckim pismem. *Ma chérie, quelle idée merveilleuse pour un parfum!*, to zdołała zrozumieć, ale na dalszą część jej francuski był za ubogi.

W pokoju czekał na nią słownik francusko-angielski; trochę wysiłku umysłowego nad tłumaczeniem pomoże jej zapomnieć o głuchej ciszy panującej nad Kanałem Angielskim.

Weszła do windy.



---

## Nowy Jork 1927

---

– André, podaj mi, proszę, tę książkę. Powinniśmy odwiedzić dziś księgarnię, bo w przeciwnym razie będziemy zmuszeni czytać książki z biblioteki okrętowej, co byłoby okropne.

Valmont wykonał polecenie. Pakowali się właśnie przed podróżą – mieli wsiąść na statek do Lizbony następnego ranka – i Eva im pomagała. Wyjęła z szafy stos ubrań i rozłożyła je na łóżku, zamierzając owinąć każdą sztukę w bibułkę.

– Co ty robisz?! – wykrzyknęła madame.

– Pakuję, proszę pani.

– Nie, nie, nie, nie! To są stare ubrania. Przesycone starymi myślami i przebrzmiałymi aspiracjami. Zdecydowanie nie! Przestań natychmiast!

Eva spojrzała na Valmonta, który wzniósł oczy w górę i przyszedł jej z pomocą.

– A co mamy z nimi począć w takim razie?

– Wszystko mi jedno! Zajmujemy się modą, a istotą mody jest zmiana! Podniecenie nowością! Nie możemy tkwić w przeszłości. Nie!

Madame odwróciła się tyłem do łóżka i spoczywającego na nim stosu ubrań.

– Nie mogę na nie patrzeć, tak są mi obce.

– Doskonale – westchnął Valmont. – Musi mieć pani jednak w co się ubrać. Chyba że nie będziemy w ogóle opuszczać kabiny.

Madame ułożyła się malowniczo na kanapie, sięgając od czasu do czasu do pudełka ze słodyczami.

– Świetna uwaga. Trzeba ci wiedzieć, że zamówiłam całą nową garderobę u pewnego szalenie bystrego Chińczyka w chińskiej dzielnicy, który szyje z oszałamiających chińskich jedwabi. Potrafi wyczarować istne cuda na maszynie do szycia.

Włożyła do ust różowy cukierek i uśmiechnęła się swym charakterystycznym półuśmiechem.

– Paryż osłupieje na nasz widok! Nikt w Europie nie ma takich rzeczy! Wyobraźcie sobie zwoje miękkiego jedwabiu, do tego malutkie haftowane żakieciki ze sztywnymi kołnierzykami i bufiastymi rękawami, a wszystko w kolorach iskrzących się klejnotów. Można się zapłakać z pożądania. Jeszcze muszę zamówić po drodze kilka par arabskich pantofli. André, musisz pojechać do tego chińskiego krawca i odebrać zamówienie. On sam nie mówi słowa po angielsku i nigdy nie

wychyla nosa spoza chińskiej dzielnicy. Nazywa się pan Wu.

– Pan Wu – powtórzył Valmont beznamiętnie.

Eva pomyślała, że zapewne takich panów Wu jest mnóstwo rozsianych po świecie i że madame zawsze ich zatrudnia w razie potrzeby.

– A jak mam znaleźć tego pana Wu?

– Znajdziesz go bez trudu! Sklep w suterenie. Między spożywczym a apteką.

– Bez trudu? W suterenie? W chińskiej dzielnicy. – Valmont przetarł twarz dłonią.

– Aptekę rozpoznasz po dwóch wielkich kamiennych smokach z wysuniętymi językami, siedzących po obu stronach wejścia, i po ogromnych niebieskich słojach z porcelany na wystawie. Wszystkie napisy są po chińsku, więc i tak nie ma co dawać ci nazwy.

Madame podniosła się z kanapy.

– Ufam ci bezgranicznie, mój kochany. Tylko musisz się pospieszyć, bo czas nagli, a tyle jeszcze jest do roboty.

– Mam mu zapłacić?

Madame zmarszczyła czoło.

– Dobre pytanie. Nie pamiętam, czy mu zapłaciłam, czy nie. Spędziłam tam chyba całe popołudnie, wypiliśmy z nim morze zielonej herbaty, konwersowałam, choć ani on, ani ja nic nie rozumieliśmy, wziął miarę, wybraliśmy materiały. Miałam chyba torebkę... – Madame rozejrzała się wokół.

– Widziałeś ją gdzieś może?

– Wezmę ze sobą pieniądze tak czy owak – zdecydował Valmont, kierując się do swego pokoju po marynarkę i kapelusz.

– A teraz, bardzo proszę, wynieś to wszystko – zwróciła się madame do Ewy, wskazując teatralnym gestem na stos ubrań. – Nie mogę na nie patrzeć!

– Co mam z nimi zrobić, proszę pani?

W oczach Ewy były to przepiękne kreacje z cudownych materiałów.

– Spal! Wrzuć do rzeki! Zrób z nimi, co chcesz! Przeszłość należy zostawić za sobą bez jakichkolwiek sentymentów.

– Czy mogłabym w takim razie, mam na myśli, czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, jeśli bym...

– Zabieraj wszystko! – przerwała jej madame. – Niech mi znikną z oczu, reszta mnie nie obchodzi.

Valmont wrócił do pokoju z niewielkim szklanym flakonikiem. Wręczył go Ewie.

– Dla ciebie.

– Co to takiego? – spytała zdziwiona.

Valmont włożył ręce do kieszeni.

– Powąchaj, będziesz wiedziała.

Eva wyjęła korek. Z flakonika wydobyła się zielona woń niosąca w sobie chłodną

świeżość mchu. Za chwilę dało się poczuć w zapachu jakąś słodsza nutę delikatnego piżma, umiejscowionego jakby w środku białych kwiatów, wiosennych ziół i czegoś jeszcze, ciemniejszego, tajemniczego.

– Skąd pan to ma?

– Zrobiłem.

– Sam...? – spytała z niedowierzaniem.

Na policzki Valmonta wystąpił lekki rumieniec.

– Wiesz przecież, że umiem komponować perfumy – powiedział, podchodząc do lustra, by poprawić kapelusz.

– Ależ to... piękne!

– Nie wierzyłaś mi, prawda?

– Nie.

– To dla ciebie, zachowaj sobie – powiedział z udawaną obojętnością.

– Nie mogę. – Zakorkowała flakonik.

– Nie podoba ci się?

– Bardzo mi się podoba, ale nie należy tego marnować.

– Marnować? Zamierzałaś rozlać je po pokoju?

– Nie, skąd. Nie chcę wydać się niewdzięczna...

– Więc nie bądź – uciał krótko, zamykając jej dłoń na flakoniku. – Teraz będziesz wiedziała, że możesz mi wierzyć.

Madame zapaliła kolejnego papierosa i spojrzała na Evę z ukosa.

– Usiłuje ci zaimponować.

– Mnie?

– Tak, tobie – roześmiała się madame. – Mężczyźni nie są tak skomplikowani, jak się to wydaje. Zależy im głównie na tym, by ich podziwiano. A te perfumy są dobre. Pierwsza naprawdę dobra kompozycja jego roboty. Kto by pomyślał, że akurat w upalnym Nowym Jorku znajdzie inspirację? Och, do diabła, znowu zapomniał klucza. – Madame wcisnęła Evie klucz w rękę.

– Pobiegnij za nim, dobrze? Nie wiem, czy tu będę, gdy on wróci.

Eva pospieszyła korytarzem i złapała Valmonta przy windzie.

– Proszę zaczekać! Zapomniał pan wziąć klucz!

Już otwarte drzwi windy zamknęły się. Byli w korytarzu sami.

– Zamierzałem coś ci powiedzieć – zaczął, patrząc w podłogę.

– Tak? – Eva wcale nie była pewna, czy chce to usłyszeć.

– Otóż... chciałem ci powiedzieć, że miałaś rację co do lawendy.

– Słucham?

– Pamiętasz, lawenda w płynie do czyszczenia?

Naprawdę myślał o tym przez cały ten czas?

– Nie użyłam lawendy.

– Właśnie o to mi chodzi. Że nie użyłaś. Jeszcze kilka innych interesujących nut można by było wziąć pod uwagę – ciągnął Valmont, przybierając swój zwykły pełen wyższości ton – i nawet jeśli mógłbym z powodzeniem użyć lawendy, doceniam to, że ty... że ty dobrze rozwiązałaś ten problem.

– Dziękuję – powiedziała Eva, nie bardzo wiedząc, za co mu dziękuje.

– Chyba dobrze czujesz zapachy.

– Możliwe.

– Więc jak? Spróbowałaś tych perfum? Pierwszy raz stworzyłem zapach dla konkretnej osoby – przyznał nagle Valmont. – Spróbowałaś?

Skinęła nieśmiało głową.

– Troszeczkę.

– Mogę? – Wyciągnął do niej rękę.

Eva też wyciągnęła ku niemu ramię. Valmont ujął jej dłoń i przycisnął usta do przegubu.

Wrażenie, jakiego doznał, przeszło jego wszelkie oczekiwania.

Perfumy podkreśliły młodzieńczą świeżość Ewy, a jednocześnie zlały się harmonijnie z naturalnym zapachem jej skóry. Dodały jej klasy i elegancji. To niezwykle, jak bardzo jej osoba pasowała do jego kompozycji, ale to przecież ona go zainspirowała. Czuł, że zdolny jest teraz do dalszych eksperymentów.

Wyraz twarzy Valmonta przestraszył Evę; ta sama ekspresja malowała się na twarzach kamiennych postaci świętych w kościele Świętego Bonifacego – coś pomiędzy ekstazą a bólem.

– Co sprawiło, że stworzył je pan właśnie dla mnie?

Valmont nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć, nie umiał wyjaśnić w prostych słowach, że to jej naturalny zapach go zainspirował, że chciał stworzyć coś, co by stanowiło jego odpowiednik.

– Musiałem.

– Co to znaczy: musiałem? Przecież nawet mnie pan nie lubi? Prawda?

Drzwi windy znowu się otworzyły i zaraz się zamknęły.

Stali oboje bez ruchu.

– Nic nie rozumiesz – powiedział Valmont. – Jesteś inna niż wszyscy, niezwykła.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Mężczyzna stojący za ladą poprawił drucziane okulary i zmarszczył czoło.

– Skąd pani to ma? – spytał, przeczytawszy tekst na obu stronach kartonika.

Grace nie miała ochoty wyjawiać prawdy.

– Znalazłam. Przypadkiem.

Jej rozmówca okazał się mistrzem perfumiarstwa o nazwisku Jacob Androski, jednym z asystentów legendarnego Jacques'a Guerlaina. Grace weszła do salonu Guerlaina przy Champs Élysées i poprosiła o wyjaśnienie treści bilecika, a sprzedawca przywołał wtedy do pomocy Androskiego. Mistrz przyszedł prosto z laboratorium, miał na sobie biały kitel.

– Znalazła pani? – Androski nachylił się w skupieniu nad kartonikiem.

Grace się zaczerwieniła.

– W opuszczonym sklepie perfumiarским, po lewej stronie Sekwany. Byłam tam... w interesach... zobaczyć kamienicę... – wydukała niepewnie. – Sklep nazywa się *Recherchez-moi*. Zna go pan może?

Androski spojrział na nią podejrzliwie.

– Oczywiście. Ale jest zamknięty od wojny. Należał do André Valmonta.

– Valmonta?

– Tak. Był mistrzem perfumiarstwa, jednym z najlepszych w Paryżu.

Grace przysunęła się bliżej lady.

– Widzi pan, próbowałam przetłumaczyć, co tu jest napisane, ale nie dałam rady. Nawet ze słownikiem, bo nie rozumiałam kontekstu. Ale domyślałam się, że jest to jakiś przepis na perfumy...

– Nie przepis, tylko formuła. Napisana zawodowym językiem perfumiarzy. Właściwie spis składników, bardzo rzadkich i drogich. Proszę zobaczyć – wskazał na drugą linijkę – oud, to jest bardzo intensywny olejek wydobywany z drzewa agar. A to żonkil z Maroka. Też olejek, bardzo trudny do pozyskania. Żeby otrzymać jeden gram absolutu, trzeba przerobić masę kwiatów.

– Absolutu?

– Tak. Absolut to najczystsza forma olejku, niesłychanie kosztowna. Co tu jeszcze mamy – neroli z Tunezji, tuberoza z Bułgarii, wanilia z Madagaskaru, wszystko bardzo drogie. Ale tutaj widzę bardzo dziwną sugestię. – Perfumiarz zmarszczył czoło.

– To znaczy?

– Włosy.

– Włosy? – Grace myślała, że się przesłyszała.

– Tak. Proszę posłuchać: „Nie mogę znaleźć włosów, które by miały w sobie ten rodzaj ciepła i głębi, jaki opisujesz. Mam jednak nadzieję, że spodoba ci się akord mokrej jagnięcej sierści”.

– Mokrej jagnięcej sierści?

– Tak tu jest napisane.

– Proszę mi wybaczyć, czy mógłby mi pan wyjaśnić, co to jest „akord”?

– Oczywiście. – Androski uśmiechnął się przepraszająco. – Akord to mieszanka dwóch albo więcej składników, które razem tworzą nowy zapach, całkiem odmienny od zapachu tych poszczególnych składników. Doskonałe perfumy często składają się z kilku świeżych nowych akordów, które stanowią same w sobie kompozycje zapachowe. Od jakości akordów zależy to, czy otrzyma się prawdziwie rewolucyjne perfumy, czy tylko po prostu przyjemny zapach.

– Ale dlaczego włosy w perfumach? Albo mokra jagnięca sierść?

– To wcale nie jest takie dziwne. Nie każdy indywidualny zapach w kompozycji to kwiaty czy inna przyjemna rzecz. Więcej, perfumy składające się z samych przyjemnych składników byłyby banalne. Piżmo na przykład znajduje się w wielu perfumach, to bardzo mocny zapach, kwaśny, pełen seksu, pochodzi z gruczołu himalajskich saren. Albo civet z łaskuna w czystej formie – cuchnie jak odchody. Czysty oud to też niesamowita rzecz, bierze się z zainfekowanego drzewa agar rosnącego w Indiach. Grzyb atakujący drzewo powoduje, że wytwarza ono żywicę o specyficznym, dusznozielonym zapachu jakby rozkładającego się drewna. Zrazu ludzie nienawidzą tej woni, ale po jakimś czasie wciska się ona w zmysły i można się od niej wręcz uzależnić. Tak więc te ciemne, ukryte nuty stanowią jakby serce perfum, wspaniałych perfum oczywiście.

– Nie miałam o tym pojęcia.

Perfumiarz przysunął się bliżej.

– Ambra to mój inny ulubiony składnik. Czy wie pani, skąd pochodzi?

Grace zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wieloryby pewnego gatunku wypluwają ambrę w trakcie spożywania mątw. Jest to początkowo zielonkawa obrzydliwa masa unosząca się na powierzchni oceanu, która po jakimś czasie dojrzewa na słońcu i deszczu, po czym zostaje wyrzucona na brzeg. Pachnie nieziemsko, zwłaszcza w zetknięciu z ludzką skórą.

– To nadzwyczajne, co pan mówi. Ale w jaki sposób odkryto te składniki?

– Nie wiadomo! Być może przez przypadek, kiedy człowiek instynktownie podnosi i wącha coś, czego uprzednio nie doświadczył. Zresztą nie mam zbytnej ochoty wiedzieć, jak odkryto civet z łaskuna. Większość ludzi sądzi, że perfumy

powstają ze zgniecionych kwiatowych płatków, lecz to absolutnie mija się z prawdą. To inne, niezwykle składniki nadają perfumom charakter. Bez nich byłyby one nijakie i płaskie. Ale włosy – tu podniósł kartkę z recepturą do góry – posiadają subtelny i trudny do uchwycenia zapach.

– Próbował pan może go uchwycić?

– Och tak, wiele razy – przyznał jakby trochę zmieszany. – To pierwsza rzecz, jaką się czuje, gdy się kogoś obejmuje. Zapach włosów ukochanej.

Grace poczuła, że się czerwieni.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

Androski znowu skupił się na recepturze.

– Wygląda na to, że ktoś chciał uchwycić w tych perfumach jakieś konkretne doświadczenie. Włosy, jagnięca wełna, składniki czyjejś pamięci.

– Czy to możliwe? – spytała zdziwiona Grace.

– Och, tak – odrzekł Androski z powagą. – Aczkolwiek zdarza się raczej rzadko. Obsesja konesera.

Wskazał wzrokiem na przechadzające się po sklepie wytwornie ubrane kobiety, wyglądające jakby były eksponatami na jakimś pokazie.

– Większość klientek pragnie pachnieć tak samo jak te kobiety, które są dla nich wzorem, chcą być takie jak one, nie zależy im na odtworzeniu siebie samych z przeszłości. Perfumiarz natomiast zawsze próbuje uchwycić pamięć jakiegoś miejsca albo osoby, albo wydarzenia. Uchwycić w zapachu pamięć doświadczenia to wielkie wyzwanie.

– Czy to w ogóle jest możliwe? – Miała wrażenie, że rozmawiają o sztuce alchemii, a nie o perfumach.

– Czasami, choć rzadko. Coś pani pokażę.

Zaprosił ją gestem, by weszła z nim do magazynu z tyłu sklepu. Tam ukazały się jeszcze jedne drzwi, które Androski otworzył niewielkim kluczykiem. Za drzwiami znajdował się zaciemniony chłodny pokój, skąd perfumiarz wziął flakon.

– Proszę zamknąć oczy – polecił, wyjmując korek. Dotknął mokrym korkiem przegubu jej ręki.

Grace powąchała.

Nagle przeniosła się z paryskiego sklepu do hrabstwa Oxfordshire, na niewielkie wzgórze przed domem jej rodziców. Było późne popołudnie, na niebie wisały ciężkie białoszare chmury, w domu paliły się jasne światła, powietrze na dworze miało smak lodu.

Otworzyła oczy. Szukała w pamięci pewnej emocji... w konkretnym czasie i miejscu.

– Znam ten zapach! Ale skąd?

Androski uśmiechnął się z widoczną satysfakcją.

– Śnieg.

– Śnieg! Oczywiście! – Grace znowu powąchała swą skórę. – Jak to jest możliwe?

– To jeden z moich własnych zapachów – oznajmił z dumą perfumiarz. – Doskonałem go przez całe lata. Żaden ze zmysłów nie ma tak natychmiastowej i wszechobejmującej mocy jak zmysł węchu. Może nas przenieść w okamgnieniu w inny wymiar rzeczywistości. Nie łączy nas z pamięcią jako taką, lecz z emocją towarzyszącą fragmentowi pamięci w momencie rejestracji. Odtworzyć zapach tej emocji to największe z możliwych wyzwania, to jakby stworzyć idealny poemat.

– Stałam się znowu dzieckiem, znalazłam się na wzgórzu przed domem rodziców – powiedziała Grace.

Androski przytaknął.

– Pamięć zapachowa to szalenie osobiste, prywatne doświadczenie. Mój fragment pamięci związany z tym zapachem jest całkowicie inny. Jestem głodny, biegnę przez zmarznięte pole. Wstaje świt. Śnieg. – Androski jakby przeniósł się gdzie indziej.

Zatkał korkiem butelkę. Grace dostrzegła nalepkę: *La Pologne, 1942.*

Polska.

Wojenna zima.

Androski zaniósł flakonik na miejsce i zamknął drzwi na klucz.

Wrócili do sklepu. Było tam jasno i złościście, panienki sklepowe rozmawiały cicho i uprzejmie, w powietrzu unosiła się mieszanka hipnotycznie pięknych perfum, z których słynęła firma Guerlain.

Androski oddał jej kartkę z recepturą.

– Nie wiem, nad czym pracowała, ale z pewnością nie miały to być normalne perfumy do powszechnej sprzedaży.

– Pracowała? Skąd pan wie, że to kobieta?

Wskazał na podpis widniejący na dole kartki. „M. Zed”.

– To może być tylko madame Zed. Wie pani, kto to był?

– Niestety, nie.

– Bardzo znana perfumiarka. Początek wieku. Chyba Rosjanka. Krążyły o niej plotki, że pochodzi z jakiejś arystokratycznej rodziny i że uciekła przed rewolucją. Została „nosem” u Lanvina, stworzyła dla nich pewnie ze czternaście czy piętnaście perfum. A potem, będąc u szczytu sławy, nagle zniknęła. Jej nasławniejsze perfumy są oczywiście znane na całym świecie – *Mon Péché.*

– *Mon Péché?*

– „Mój grzech”. To w owym czasie były bardzo nowoczesne perfumy. Wyjątkowe. W dalszym ciągu należą do moich ulubionych. Wkrótce po ich stworzeniu wycofała się z perfumiarstwa, zniknęła. Miała jednak terminatora, pewnego młodzieńca. Po jakimś czasie on otworzył własny sklep, niedaleko Saint-Germain. – Androski spojrział na Grace znacząco.



– André Valmont?

– Właśnie – westchnął. – Bardzo jestem ciekaw, nad czym oni wspólnie pracowali, co to były za zapachy. Madame Zed stworzyła niezwykłą paletę woni, jedyną w swoim rodzaju. Trochę drażniącą, wyzywającą, ale jednak elegancką. Jeśli chodzi o Valmonta – tu Androski przerwał na moment, szukając właściwego słowa – on był prawdziwym geniuszem. Jego zbiory akordów i absolutów były zadziwiające, a kompozycje nie miały sobie równych, jeśli chodzi o złożoność i różnorodność.

– Znał go pan osobiście?

– Niestety, nie. Ale byłem raz w jego sklepie, wkrótce po tym, jak przyjechałem do Paryża. Niezapomniane wrażenie. W porównaniu z pracownią i sklepem Guerlaina, tej prawdziwej katedry, sklep Valmonta można by przyrównać do panteonu, jakiejś pogańskiej świątyni, w której nie brakło niczego. Półki od góry do dołu, lustra, bogate draperie. Niewielkie ekskluzywne miejsce, niesamowicie sztywne. Nad wszystkim czuwała zjawiskowa kobieta, nigdy przedtem takiej nie spotkałem, z samym Valmontem jednakże niepodobna się było umówić. Ona natomiast rozmawiała, przynosiła perfumy za perfumami, można się było doprawdy upić tymi woniami.

– Czemu nie otworzył sklepu po wojnie?

– Był Żydem, nie przeżył wojny.

– Och.

– Valmont nie był konwencjonalnym perfumiarzem – dodał Androski. – Zmarł tak młodo, nie wiadomo, co by jeszcze stworzył przez następne lata kariery. Jego śmierć to wielka strata dla naszej profesji.

Grace wyciągnęła rękę na pożegnanie.

– Bardzo panu dziękuję za czas i wyjaśnienia, których pan mi raczył udzielić.

Androski uścisnął jej dłoń.

– Nie ma o czym mówić, madame Munroe. Proszę dać mi znać, jeśli znajdzie pani jeszcze jakieś ślady. Zawsze byłem wielbicielem sztuki Valmonta.

Z zaciśniętego sklepu Guerlaina Grace wyszła na zatłoczony chodnik Champs Élysées.

Powietrze było ciepłe i łagodne, niebo jasne.

Powąchała nadgarstek.

I nagle znowu znalazła się w przeszłości, owego późnego listopadowego popołudnia. Stoi na drodze za ogrodową furtką, naokoło unosi się wilgotna mgła.

Matka wychodzi właśnie z drzwi domu, macha do niej ręką, nawołując do powrotu. Ojciec spieszy się dokądś, bardzo czymś zaabsorbowany, niesie coś w rękę, jakieś notatki. Nie było go na podwieczorku.

Poczuła bolesną tęsknotę.

To chyba ostatni raz, gdy go widziała.

---

# Nowy Jork

## 1927

---

Panna Waverly wyglądała zjawiskowo. Lśniące włosy o mahoniowej barwie przycięte miała krótko z modną grzywką, oczy wielkie, czekoladowe jak u łani, otoczone czarnymi rzęsami. Koloryt skóry jak kość słoniowa, figura wspaniała – wiotka kibić, wysoki biust, zgrabne nogi – wszystko w urodzie tej kobiety zachwycało. Ludzie nie odrywali od niej wzroku, do czego była przyzwyczajona.

W hotelu wszyscy ją znali, gdyż często w nim bywała, choć zawsze jako osoba towarzysząca zamożnym jegomościom. Z reguły dostawała pokój obok apartamentu swojego towarzysza bądź też, gdy pożądana była większa dyskrecja, na piętrze wyżej. W czasie tych wizyt panna Waverley zdobiła hotel niczym rzadki egzotyczny kwiat, była zjawiskiem samym w sobie i tylko niekiedy pojawiała się u boku swego dobroczyńcy. Nie wstawiała z łóżka przed jedenastą, kiedy to przynoszono jej do pokoju mocną kawę, miseczkę z lodem i plasterkami cytryny oraz pół grejpfruta. Przeznaczenie lodu było zagadką. Pół godziny później zjawiali się u niej po kolei fryzjer, masażystka i manikiurzystka, i po zabiegach ukazywała się ludzkim oczom w całej swej krasie, jakby stworzona na nowo, a jednocześnie naturalna niczym bukiet polnych kwiatów.

Odznaczała się niskim miękkim głosem oraz trochę szokującym poczuciem humoru. Zawsze wokół niej dźwięczał śmiech, gdyż otoczona była nieodmiennie gronem wielbicieli obojga płci. Miała talent do zjednywania sobie ludzi, nawet stare poważne matrony o kamiennych twarzach rozplływały się w uśmiechach, gdy panna Waverley zagadywała je niespodziewanym bon motem, nie mówiąc już o tym, że często proponowała starszkom, by jej własny szofer zawiózł je tam, dokąd sobie życzą.

Gdy jadła kolację w hotelowej restauracji, członkowie personelu, zaniedbując resztę gości, tłoczyli się w drzwiach kuchni, by tylko dojrzeć, co też panna Waverly ma dzisiaj na sobie.

– Czy to gwiazda filmu? – zaciekała się Eva, gdy ujrzała pannę Waverley pierwszy raz.

– Chciałaby nią być! – odparła sarkastycznie Rita. – To prostytutka. Ale traktują ją lepiej niż królową. To tylko pokazuje, do czego świat doszedł, ot co.

Eva nie bardzo dawała temu wiarę. prostytutki to przecież kiepsko ubrane kobiety sterczące gdzieś w cieniu na rogach ulic w podejrzanych dzielnicach.

– Wiesz, Rito, nie powinnaś chyba rozpuszczać plotek – upomniała koleżankę.

– To wcale nie plotki, tylko ogólnie znana prawda, a poza tym, nie życzę sobie, byś podważała moje słowa! – obraziła się Rita.

Pod koniec lipca panna Waverley zajęła pokój numer 321 na całe dziesięć dni. Płacił senator Henry Clayton Grimsby, pochodzący ze znanej bostońskiej rodziny. Przywiózł ze sobą do Nowego Jorku swoje kilkunastoletnie dzieci, syna i córkę, więc pannę Waverley ulokowano w pokoju trochę bardziej oddalonym od apartamentów senatora. Miała sporo wolnego czasu, gdyż dzieci Grimsby'ego były w Nowym Jorku po raz pierwszy, ojciec poświęcał im z tej racji dużo uwagi.

Ewę przydzielono do obsługi pokoju 321. Miała się tam zjawiać dopiero po trzeciej po południu. Cieszyła się jak dziecko na tę chwilę, gdy po raz pierwszy stanęła przed drzwiami pokoju panny Waverley. Spodziewała się tam świata luksusu i szyku. Dokładnie o trzeciej przekroczyła próg.

Z szaf wylewały się stroje i pudła z kapeluszami. Na krzesłach leżały piękne suknie, najwyraźniej rzucone tam poprzedniej nocy. Na podłodze kłębiły się stopy cienutkich jedwabnych pończoch, a na łóżku spoczywały w nieładzie satynowo-koronkowe dzieła sztuki, niewątpliwie bielizna, choć trudno było sobie wyobrazić, by ktoś nosił tak delikatne rzeczy. Eva chodziła wolno po pokoju, zbierając wszystko sztuka po sztuce, napawając się każdą chwilą spędzoną w tym upojnym wnętrzu, pachnącym słodkimi perfumami i tytoniowym dymem. Pościeliła łóżko, odsunęła kotary z okien. W łazience na brzegu wanny stały popielniczki pełne niedopałków, na balkonie niedopite kieliszki szampana.

Eva była zafascynowana panną Waverley i wszystkim, co było z nią związane. Nie wierzyła, by ktoś tak wyrafinowany i czarujący mógł się oddawać niemoralnym uczynkom. Rita zapewne się myliła, zwłaszcza że o wszystkich miała nie najlepszą opinię.

Najbardziej lubiła porządkować toaletkę panny Waverley, będącą prawdziwym alchemicznym arsenałem. Przybory toaletowe Ewy składały się ze starej szczotki do włosów oraz z pudełka szpilek do kapeluszy, toaletka panny Waverley natomiast ugięła się pod ciężarem słoików, buteleczek i puderniczek, szminek w złotych oprawkach, puszków do pudru, pudełeczek z różem, tuszów do rzęs oraz rozpylaczy z perfumami. Eva odkurzała i porządkowała te przedmioty, zastanawiając się nad ich przeznaczeniem.

Lubiła sobie wyobrażać, że to jej własny pokój, że to ona tańczyła całą noc z panem Lambertem, że to jej złote pantofelki stoją porzucone na balkonie razem z niedopitymi przez nią i pana Lamberta kieliszkami szampana. Wieszka na wieszakach swoje własne wyszywane dzetami suknie, może włoży którąś z nich jutro, układa drogie szlafrociki.

Przycisnęła policzek do chłodnego jedwabiu. Poczowała się tak, jakby była

wytworną dorosłą kobietą.

– Ręczna robota. Cztery przymiarki samego stanika. Nie uwierzyłybyś, co musiałam przejść, żeby mieć tę suknię.

Eva osłupiała.

W drzwiach stała panna Waverley.

Ubrana w obcisłą czarno-białą letnią suknię i wielki czarny kapelusz, z ręką opartą na biodrze, wyglądała jak rzadkie, aczkolwiek gniewne zjawisko.

Suknia wypadła Evie z rąk.

– Uważaj! Czy wiesz, ile to kosztuje?

– Nie, proszę pani.

Panna Waverley rzuciła rękawiczki i torebkę na łóżko.

– Podnieś ją z podłogi. Tylko uważaj, nie poszarp.

Zdjęła kapelusz, potrząsnęła głową, fryzura sama się ułożyła.

– Nie ukradłaś czegoś?

– Nie, proszę pani. Jakżebym śmiała! Przepraszam za niezgrabność.

– Jakżebym śmiała, tak? – Panna Waverley spojrzała na Evę podejrzliwie. – Tylko jesteś nieco ciekawska, co?

– Jeszcze raz przepraszam, proszę pani.

Panna Waverley wyjęła papierosa ze srebrnej papierośnicy i przypaliła go.

– A ile to masz lat?

– Czternaście.

Panna Waverley zaciągnęła się głęboko.

– W twoim wieku byłam bardzo ciekawska. Wpadłam przez to w tarapaty.

Podeszła do okna.

– Mogę przyjść później, proszę pani. Żeby posprzątać.

– Nie, nie. Później mi nie pasuje. Później nigdy nie jest dobrym momentem. Zrób, co masz zrobić, teraz.

Wyszła na balkon i usiadła tam z papierosem. Eva zabrała się do sprzątnia.

Któregoś dnia ani fryzjer, ani masażystka, ani manikiurzystka nie zjawili się o zwykłej porze.

Taca ze śniadaniem stała nieruszona na korytarzu przed pokojem 321. Około południa panna Waverley zadzwoniła, by przynieść jej więcej ręczników. Eva zjawiała się z naręczem tychże, lecz na swe pukanie nie usłyszała odpowiedzi. Otworzyła drzwi kluczem służbowym.

– Przepraszam? – Weszła do sypialni. Okna były zasłonięte, na łóżku zgniecione prześcieradła, wokół roznosił się zapach przekwitających bukietów.

– Przepraszam, tu obsługa – powtórzyła Eva, potykając się o porzucone na środku pokoju pantofle.

– Tu jestem – doszedł ją słaby, trochę ochrypły głos z łazienki.

– Mam zostawić ręczniki w sypialni?

– Nie... wejdź tu, pomóż mi.

Eva powoli uchyliła drzwi łazienki. Miss Waverley siedziała skulona w pustej wannie. Miała na sobie blad różową nocną koszulę, która od pasa w dół przesiąknięta była krwią.

Podniosła głowę. Pozbawiona makijażu blada twarz była jakby dziecięca, oczy za to podpuchnięte i zaczerwienione.

– Potrzebuję lekarza. Ale nie przez recepcję. Niech przyjdzie od tyłu, rozumiesz?

Eva nie bardzo rozumiała, lecz skinęła głową i położywszy ręczniki na brzegu umywalki, wyszła pospiesznie na korytarz. Akurat nadchodziła Rita.

– Wielki kłopot! – Eva podbiegła do niej. – Panna Waverley jest chora. Strasznie chora.

– Chryste! Nie tak głośno! – Rita nie była w najlepszej formie.

– Co mam robić?

– Co masz robić? A co to ma z tobą wspólnego? – Rita spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Ona jest chora!

– Pewnie na to zasłużyła. Zajmij się swoją robotą, to ci powiem – warknęła Rita i odeszła, pchając przed sobą wózek.

Eva zbiegła do głównego holu, gdzie w drzwiach stał odźwierny Alfonse. Alfonse potrafił wszystko załatwić, nie zadawał przy tym wielu pytań.

– Wielki kłopot. Potrzebny jest lekarz – wyrzuciła z siebie Eva.

Alfonse nawet nie podniósł wzroku znad gazety.

– Ktoś z personelu czy z gości?

– Z gości.

Odźwierny podniósł słuchawkę telefonu.

– Który pokój?

Eva podała numer. Wróciła do panny Waverley.

Zapukała cicho.

– To ja.

Panna Waverley nadal siedziała w wannie.

– Przyjdzie lekarz?

– Tak.

– Nalej mi coś do picia.

Eva nigdy jeszcze nie widziała krwi. Jej stróżki spływały do odpływu wanny, otaczając stopy panny Waverley.

– Czy nie należałoby... to znaczy, czy pani nie powinna...

– Coś do picia.

Eva wyszła z łazienki i naląła do szklanki whisky.

– Proszę. – Podała pannie Waverly szklanę, wróciwszy do łazienki.

– Dziękuję.

Ujęła szklanę drżącą ręką, upiła łyk, skrzywiła się i oddała Evie.

– Nie przerażaj się. Wygląda to gorzej, aniżeli rzeczywiście jest. Lekarz wie, gdzie ma przyjść?

– Tak.

– Dziękuję. – Panna Waverley zamknęła oczy i opuściła głowę na kolana. – Możesz już iść.

Eva dotknęła wilgotnego czoła kobiety.

– Bardzo gorące.

– Tak.

Eva otworzyła kurek i zmyła krew z dna wanny. Wilgotnym ręczniczkiem delikatnie obmyła ciało panny Waverley. Strumyk wody zmoczył jedwabną koszulkę.

Zadzwoił telefon.

Eva podniosła się, by odebrać.

– Nic mu nie mów – powiedziała panna Waverley w nagłej panice.

Eva podniosła słuchawkę z nocnego stolika.

– Pokój panny Waverley.

Po drugiej stronie czuło się wahanie.

– Mogę z nią rozmawiać? – odezwał się w końcu męski głos.

– Niestety, proszę pana, panna Waverley źle się czuje. Czy mam coś jej przekazać?

– Kto mówi?

– Obsługa hotelowa.

– Nie. Nie. Proszę jej powiedzieć, że ja... nie, proszę nic nie mówić – usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki.

Eva wróciła do łazienki. Panna Waverley nadal trzymała głowę opartą na kolanach.

– Bystra z ciebie dziewczyna – wyszeptała, nie unosząc oczu.

Zjawił się lekarz, niezbyt elegancki jegomość w wytartym ubraniu, z podniszczoną czarną torbą. Wszedł do łazienki. Eva zabrała się do sprzątanía w sypialni. Zmieniła pościel, powiesiła ubrania w szafie. Wkrótce lekarz wyszedł z łazienki i wręczył Evie butelkę z jakąś gęstą czarną cieczą.

– Przypuszczam, że nie jest mężatką – odezwał się, stwierdzając jakby oczywisty fakt.

– Nic o tym nie wiem, proszę pana.

Lekarz westchnął i potarł oczy.

– Nie chce szpitala. To lekarstwo na uśmierzenie bólu. Musi też coś zjeść oraz dużo pić. Proszę się tym zająć. Ma odpoczywać, nie forsować się. Rozumiesz?

Eva skinęła głową.

– Co to za choroba?

Lekarz włożył już kapelusz.

– Poronienie. Dobrze, że weszła do wanny. Proszę – wręczył Evie rachunek. – Proszę dać mi znać, jeśli gorączka się podniesie albo ból się zwiększy.

Wyszedł w kierunku służbowej windy z tyłu korytarza.

Eva wracała kilka razy do pokoju 321, by sprawdzić, czy pannie Waverley czegoś nie trzeba. Przyszła też wieczorem. Panna Waverley leżała w łóżku. Evie udało się nakłonić ją, by zjadła trochę lodów i wypła coca-colę.

Usiadła potem w kącie pokoju, obserwując pannę Waverley to śpiącą, to budzącą się od czasu do czasu. Kobieta miała twarz bladą, ściągniętą z bólu. Nikt nie telefonował.

Trochę przed dziewiątą panna Waverley przebudziła się i podciągnęła na poduszkach.

– Jeszcze tu jesteś – powiedziała i sięgnęła po papierosa. Zapaliła, zaciągając się głęboko.

– Powinna pani coś zjeść.

– Gdzie jest to lekarstwo?

– Tutaj, proszę.

Zażyła je, popijając whisky.

– Czemu tu zostałaś?

– Potrzebowała pani opieki.

– Skąd pochodzisz?

– Z Francji, ze wsi koło Lille.

Panna Waverley zaciągnęła się papierosem, potem wypuściła smugę dymu, która powoli uniosła się ku sufitowi.

– Z gospodarstwa?

Eva skinęła głową.

– Tak, dziadkowie hodowali krowy.

– Ja z Minnesoty. Wciąż pamiętam zapach krowiego łajna. Nigdy w życiu bym tam nie wróciła.

– Sądziłam, że pochodzi pani stąd, z Nowego Jorku.

Panna Waverley zaśmiała się krótko.

– Nie wszystkim się zwierzamy ze wszystkiego, prawda? Rodzice żyją?

– Nie.

– Przykro mi. Musisz więc sama się przepychać przez świat?

Eva nigdy nie myślała, że mogą być inne drogi.

– Tak, chyba tak.

Kobieta przechyliła głowę na bok.

– Dziewczyna znikąd nie ma w życiu wielkiego wyboru.

– Nie, proszę pani.

Twarz panny Waverley stężała, znowu odmalowało się na niej zmęczenie.

– Możesz już iść, dam sobie radę. Wyłącz światło. I nikomu nie opowiadaj, co tu zaszło, dobrze?

Następnego dnia panna Waverley przyjmowała wizyty fryzjera, masażystki i reszty jak gdyby nigdy nic. Gdy Eva zjawiała się po południu na codzienne sprzątanie, zastała pokój pusty.

Przychodziła teraz codziennie i zostawała na dłużej. Panna Waverley przyjmowała gości o różnych porach, zjawiali się u niej czarni jazzmani z Harlemu, egzotyczne tancerki i piosenkarze z kabaretów. Zawsze grała muzyka, w kubekach mroził się szampan, stały butelki z dżinem. Goście traktowali Evę trochę jak maskotkę, a trochę jak młodszą siostrę panny Waverley. Nazywali ją nie wiedzieć czemu Lulu, bardzo to ich bawiło, uczyli tańczyć, wysyłali po papierosy, po pisma ilustrowane i czekoladki. Bardzo się jej to podobało, miała poczucie, że należy teraz do kręgu przyjaciół panny Waverley, choćby nawet w niewielkim stopniu.

Czasami Eva spędzała popołudnie jedynie z panną Waverley. Odkryła, że ona nie lubi być sama, że nachodzą ją wtedy czarne myśli. Potrzebowała towarzystwa dla poprawienia sobie nastroju. Lubiła przymierzać różne swoje stroje z myślą o wieczornych wyjściach, Eva pomagała jej dobierać biżuterię, szale, kapelusze i rękawiczki. Niekiedy panna Waverley opalała się nago na balkonie, podczas gdy Eva prasowała jej suknie.

Panna Waverley traktowała swe atrybuty cielesne jak broń, której zadaniem było obezwładnić otoczenie. Trzymała się zawsze prosto, z podniesioną głową, chodziła niespiesznie, kołysząc biodrami. Była z niej rzeczywiście kobieta fascynującej urody, zwłaszcza gdy zrzucała z siebie ubranie. Evy wcale się nie wstydziła, choć z niej żartowała.

– Nie powinnaś tak się na mnie gapić – mówiła, na co Eva oblewała się rumieńcem. Lubiła na nią patrzeć i zastanawiać się, co to jest, że ona wygląda tak perfekcyjnie, czy to może jakaś sztuczka. Zmysłowa aura otaczająca pannę Waverley fascynowała Evę, która właśnie przeobrażała się z dziecka w kobietę, co ją zawstydzalo i żenowało. Nie lubiła oglądać siebie w lustrze, widok panny Waverley za to chłonęła z uwielbieniem.

Któregoś dnia, gdy było za gorąco na balkon, panna Waverley wymyśliła dla Evy, choć trochę bardziej dla siebie, zabawę w naukę makijażu.

– Twarz to jak niezamalowane płótno. Kładziesz puder, potem obramowujesz oczy na czarno. Nie ma się co silić na naturalność, to do niczego nie prowadzi. Zawsze jest lepiej przesadzić, iść przebojem. We wszystkim w życiu. No i teraz tylko popatrz na siebie! Co za przeobrażenie! – wykrzyknęła panna Waverley, podziwiając



swoje dzieło.

Eva przyglądała się sobie w lustrze. Zobaczyła jakiegoś intruza w swoim ciele i w swojej twarzy. Wyglądała na starszą i zupełnie inną osobę.

– Nie wiesz jeszcze, jaki zrobić użytek z własnej urody. Jesteś jak nieoszlifowany diament. Tylko z tym musimy zrobić porządek – ujęła w dłonie włosy Evy. – Wyglądasz z nimi staroświecko. Trzeba je ściąć.

– Ściąć?

– Absolutnie! – Panna Waverley wyjęła z szuflady nożyczki. – Siadaj.

– Ale...

– Zrobię ci fryzurę taką jak moja. Nie chcesz wyglądać tak jak ja?

– Chcę.

I to jak, pomyślała Eva.

– Więc do dzieła.

Usadziła Evę przed lustrem.

– Nie kręć się – upomniała, nalewając sobie whisky i opróżniając szklanekę jednym haustem.

Ciachnęła pęk włosów.

– Czy pani sama obcina sobie włosy? – spytała Eva.

– Oszalałaś? – prychnęła panna Waverley. Następny pukiel włosów spadł na podłogę. – Spójrz tylko! Okazuje się, że masz szyję!

Eva przymknęła oczy. Chyba lepiej nie patrzeć.

W niecałą godzinę później operacja została ukończona. Panna Waverley objęła Evę ramieniem, stały obok siebie przed lustrem.

– Co o tym sądzisz?

– Będę się musiała przyzwyczaić.

– Wyglądamy jak siostry. Nigdy nie miałam młodszej siostrzyczki.

Istotnie, wyglądały bardzo podobnie. Eva była niższa, lecz miała podobnie delikatną budowę, a teraz identyczną krótką fryzurę.

Evie zabiło serce.

– Tak pani uważa?

– Jasne. Mam pomysł, włóż jakąś suknię!

Panna Waverley pomogła Evie wydostać się z mundurka.

– Dobry Boże, to jest twoja bielizna?! – wykrzyknęła, krzywiąc usta na widok majtek w nieokreślonym kolorze i wytartej koszulki. Eva się zawstydziła. – To straszne! Musisz mieć nową bieliznę – orzekła panna Waverly.

Wybrała z szafy suknię i włożyła ją Evie przez głowę. Miękką materia opadła na jej ciało. Eva poczuła chłodny jedwabisty dotyk. Panna Waverley obciągnęła suknię trochę z tyłu, była za szeroka w talii, z przodu za to pasowała na Evę jak ulał.

– Wyglądasz jak gwiazda filmowa!

Eva nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Czy wiesz, do czego ta suknia najlepiej się nadaje? – spytała panna Waverley szeptem.

Eva pokręciła przecząco głową.

– By kogoś uwieść!

Te niepokojące słowa poruszyły Evę. Zawierała się w nich jakaś niebezpieczna dwuznaczność, zaproszenie do grzechu, zapowiedź przyszłego poczucia winy. Nie wiedziała oczywiście, jakie są te tajemnicze czynności konieczne do uwodzenia.

– Nie mam pojęcia, jak to się robi – wybąkała.

– Dojrzewasz do tego, gdy czujesz, że chcesz być z mężczyzną. To proste. Wiesz, że go chcesz, więc powoli i z premedytacją musisz mu to przekazać. Nie spieszyć się, trochę się podroczyć, znowu podniecić, na tym to polega.

– Skąd można wiedzieć, kiedy się droczyć, a kiedy podniecać?

– To bardzo łatwe. Myślisz o tym, czego ty chcesz, a potem aplikujesz to jemu.

Brzmiało to w jej ustach jak coś dziecinnie prostego.

– Czy wiesz, ile ta suknia kosztuje? – ciągnęła panna Waverly. – Więcej niż twoja roczna pensja. Spójrz tylko – tu wskazała ręką otwartą szafę wypchaną garderobą – tyle mam tego, nie wiem nawet, kiedy to nosić. No, ale trzeba być elegancką. A wiesz, że kiedyś pracowałam w fabryce i naklejałam etykiety na puszki?

To brzmiało całkiem nieprawdopodobnie.

– I co się stało?

– Któregoś wieczoru wdałam się w rozmowę z szefem. Widzisz, większość kobiet nie rozumie mężczyzn, one nie wiedzą, czego mężczyźni chcą.

– A czego chcą?

– No więc... – panna Waverly zamierzała odpowiedzieć bardziej wyczerpująco, lecz najwyraźniej zmieniła zdanie i urwała. – Powiem ci innym razem, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. Wierz mi, to nic skomplikowanego. Możesz to powiesić? I bądź tak dobra, zmieć to wszystko – wskazała na podłogę zasłaną uciętymi włosami. – Kupię ci trochę bielizny w twoim rozmiarze. Gdy wrócę.

– Wyjeżdża pani?

Panna Waverley nie odpowiedziała.

Nalała sobie następną whisky i udała się do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

– Co, na litość boską, zrobiłaś z włosami? – spytała Sis, gdy spotkały się w pralni.

Eva wcisnęła głębiej czepek.

– Nie ja, panna Waverley.

– Święty Boże! – Sis chwyciła Evę za ramiona i obróciła ją twarzą do siebie. – Obcięła ci włosy!

Przesunęła palcami po linii nowej fryzury Evy u nasady szyi.

– Nie masz włosów!

– Tak, ale to bardziej higienicznie – odparła Eva roztropnie. Ręka Sis ciążyła jej jak cegła. Odsunęła się.

– Można i tak na to spojrzeć – odparła ponuro Sis, wręczając koleżance stos mokrej bielizny. – Ta kobieta przynosi tylko same kłopoty.

– Wcale nie, pragnęła jedynie zrobić mi przyjemność. Ty wszędzie widzisz jakiś problem.

– Bo wiem swoje. I mam rację. A co ty tam u niej porabiasz?

– Nic takiego. – Eva skupiła się na maglu, unikała oczu Sis. – Pomagam jej się ubierać, prasuję suknie.

– Czemu dałaś sobie obciąć włosy?

– Wyglądam teraz doroślej. To chyba dobrze?

– Ciekawa jestem, dlaczego chcesz wyglądać na starszą, niż jesteś?

Zapanowała niewygodna cisza. Sis wyciągała prześcieradła z maglownicy.

– Ona lubi się wylegiwać na golasa – odezwała się Sis po chwili, jakby nie mogła przestać myśleć o pannie Waverley. – Wszyscy o tym wiedzą.

Eva przewróciła oczami.

– Opala się. Na własnym balkonie, nikt jej nie widzi.

– W środku Nowego Jorku? Nikt jej nie widzi?

– W towarzystwie jest teraz moda, żeby się opalać.

– Jeśli chce się wyglądać jak chłopka! Moda! Ona się cieszy szczególną reputacją, trzeba ci wiedzieć.

– Dla mnie jest bardzo miła.

– Kto płaci za nią rachunki, jak sądzisz?

Eva nie chciała się zniżać do rozważania tych spraw.

– Nie wszystko jest albo czarne, albo białe.

– Właśnie że jest. Im wcześniej to pojmiesz, tym lepiej urządzisz się w życiu. Dobre to dobre, złe to złe, słuszne to słuszne, a niesłuszne to niesłuszne. Jeśli chcesz to zamazać, to się pogubisz.

Sis dźwignęła stos prześcieradeł.

– I może się to stać bardzo szybko.

---

## Paryż wiosna 1955

---

W porze obiadu Grace siedziała sama przy stoliku na zewnątrz restauracji. Rozmyślała o rozmowie z Androskim, o perfumach i o ich związkach z pamięcią.

Tissot żartował z jej wyczulonego poczucia smaku i węchu – nie był w tym jedyny. Miała wrażenie, że zawsze podświadomie wiedziała, iż pewne zapachy są kustoszami pamięci, Androski tylko jej to uświadomił. Gdy się je odkryje, efekt bywa piorunujący i natychmiastowy, jak nagłe włączenie reflektorów. Mogą obezwładnić, dlatego trzeba zachować ostrożność.

Niektórych okresów swego życia Grace w ogóle nie pamiętała. Do ósmego roku życia jakby jej nie było, co może i nie stanowiłoby niczego szczególnego, gdyby nie fakt, że ogólnie odznaczała się wyjątkowo dobrą pamięcią. Wczesnego dzieciństwa natomiast jakby się obawiała, jak gdyby się przed czymś broniła.

Przy stolikach zasiadało coraz więcej osób. Turyści nad filiżanką kawy planowali następne ruchy, koledzy z pracy jedli razem obiad, zamożne damy odpoczywały w przerwie między zakupami, plotkowały, złożywszy torby z nabytkami u swych stóp.

Jak przyjemnie jest jeść obiad na świeżym powietrzu, w słońcu dnia. Grace popijała *citron pressé*, rozkoszując się kontrastowymi smakami słodkiego syropu i rześkiego cytrynowego soku. Przypomniało jej się zalecenie Tissota: przebudź zmysły.

Poddaj się im.

Czy kiedykolwiek się czemuś poddała? To wymagałoby pewnej elastyczności, optymistycznego nastawienia do życia, a tym Grace raczej się nie odznaczała.

Po obiedzie ruszyła przed siebie, z początku bez żadnego konkretnego celu. Zaskoczyło ją, że łatwiej jest się pieszemu zorientować w Paryżu niż w Londynie. Londyn powstawał organicznie, warstwami nakładającymi się jedna na drugą, Paryż natomiast to miasto w większości zaplanowane, w którym można chodzić, orientując się według znanych historycznych miejsc rozsianych w równych odstępach.

Pogoda w Anglii jest kapryśna, wietrzna i deszczowa, tu dla kontrastu odświeżająco rześka. Chociaż po niebie przewalały się gnane wiatrem chmury, słońce słało z wysoka ciepłe promienie. Ni stąd, ni zowąd Grace znalazła się znowu w niewielkiej krętej uliczce blisko rzeki – rue Christine.

Tuż przed sobą, na rogu, miała porzucony sklep André Valmonta.

Jakby ciągnęła ją tu niezaspokojona ciekawość. Po rozmowie z Androskim była

jeszcze bardziej ciekawa.

Kończono właśnie zabijać na nowo deskami okna i drzwi sklepu, najwyraźniej naprawiając szkody, które wyrządzili ona i Tissot. Grace przeszła jak gdyby nigdy nic obok, szukając bocznego wejścia do budynku. W wąskim przejściu za domem znalazła drzwi pokryte spłowiałą czerwoną farbą.

Spojrzała do góry. Na drugim piętrze paliło się światło.

Być może Tissot miał rację; może staruszka mieszkała nad sklepem.

Zebrawszy się na odwagę, Grace zastukała do drzwi. Natychmiast na górze rozległo się szczekanie psa, a potem szuranie jego łap na drewnianych schodach, jakby schodził ze stopni razem ze swoim właścicielem.

– *Oui?* – odezwał się głos za drzwiami.

Grace wzięła głęboki oddech.

– Madame, chciałabym zamienić z panią kilka słów, jeśli to możliwe. Jestem Grace Munroe... byłam niedawno... przyszedłam do pani sklepu.

Czekała na odpowiedź.

Cisza.

Żadnego ruchu ani dźwięku przez dłuższy czas po obu stronach drzwi.

W końcu dało się słyszeć, jak przemieszcza się zasuw, i drzwi się uchyliły, choć tylko na wąską szparkę.

Kobieta spojrzała na Grace podejrzliwie.

– Zadzwoń na policję. Po co tu pani przychodzi?

Grace postanowiła być wyjątkowo uprzejma.

– Bardzo przepraszam, że onegdaj tak panią przestraszyliśmy. Nie powinniśmy samowolnie wchodzić do sklepu. Mój prawnik był przekonany, że sklep wraz z budynkiem jest opuszczony. Nie wiedzieliśmy, że pani mieszka na górze.

– W porządku. – Kobieta machnęła ręką, jakby kazała jej odejść. – Wybaczam pani.

Już miała zatrzaskać drzwi, lecz Grace zdążyła podać jej kartonik z recepturą.

– Znalazłam to na podłodze. Włożyłam bezwiednie do kieszeni. Czy to może pani własność?

Staruszka spojrzała na kartonik, po czym zaczęła powoli obracać go w palcach.

– Co pani i ten prawnik macie wspólnego z Evą d'Orsey?

– Jestem jej spadkobierczynią.

– Spadkobierczynią? – zdziwiła się kobieta.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz się rozmyśliła.

– Czytała to pani? – spytała, wskazując na kartonik.

– Tak, czytałam – potwierdziła Grace.

Kobieta oddała jej kartonik.

– Teraz już mnie to nie obchodzi.

Znowu próbowała zamknąć drzwi, lecz Grace chwyciła za klamkę.

– Bardzo przepraszam, ale czy pani to może madame Zed? Sławna perfumiarka madame Zed?

– Skąd pani zna to nazwisko?

– Czy to pani?

– Co pani do tego? Czemu się pani dopytuje?

– Zależałoby mi... – zaczęła Grace, zdając sobie sprawę z absurdalności sytuacji, w której się znalazła. – Chciałabym zadać pani kilka pytań, jeśli można. Widzi pani, nigdy nie spotkałam Evy d’Orsey. Nic o niej nie wiem.

Madame Zed słuchała uważnie.

– Pani jest Angielką, prawda?

– Tak.

– Kiedy się pani urodziła?

– Przepraszam?

– Ile ma pani lat? – naciskała madame.

– Urodziłam się trzydziestego maja dwudziestego ósmego roku. Czemu chce pani to wiedzieć?

– W Londynie?

– Nie, w Oxfordshire.

Kobieta jakby czekała na więcej.

– Rodzice zmarli, gdy byłam mała. Wychowałam się u wuja, profesora literatury średniowiecznej w Balliol.

– Angielka – powtórzyła madame.

– Tak.

– Jak mnie pani znalazła? Kto tu panią przysłał?

– Nikt. Zauważyłam ten adres zakreślony w gazecie w mieszkaniu Evy d’Orsey.

– To musiało być zawiadomienie... o zajęciu przez komornika – domyśliła się madame. – Dziwne, że to spostrzegła. – No cóż – madame otworzyła szerzej drzwi. – Niech pani jednak wejdzie.

Mieszkanie madame Zed wyglądało zupełnie inaczej niż dekadentyczne wnętrze sklepu na dole. Ściany miało błękitnoszare, wysokie wąskie okna były zasłonięte okiennicami. Na drewnianej podłodze stało niewiele prostych mebli w geometrycznym stylu art déco, na ścianach wisiały kubistyczne obrazy przemieszane z portretami i pejzażami pędzli starych mistrzów. W kącie salonu stał antyczny klawesyn o pożółkłych ze starości klawiszach, pod nim leżał stos nut.

Było to wnętrze niekonwencjonalne, będące mieszanką stylów, urządzone nie na pokaz, ale dla własnych potrzeb i wygody.

Grace nie nawykła do estetyki tego rodzaju. W Anglii mieszkała zawsze w starych domach o tradycyjnym wystroju, z bogatymi draperiami, meblami często z epoki

królowej Anny i obrazami przodków na ścianach. Przodkowie mieli oczywiście nosy i oczy na właściwych miejscach. Tu, u madame Zed, zobaczyła luksus, który w żaden sposób nie kłócił się z konwencją.

Madame przyniosła butelkę koniaku i kieliszki.

– Może to niezbyt stosowny poczęstunek, ale wolę to od herbaty.

– Pięknie pani mieszka – wyraziła podziw Grace.

– Kiedyś, owszem, mieszkałam pięknie, teraz chyba mieszkanie się zestarzało.

Nie mam jednak już siły ani pieniędzy, by je zmieniać.

– Zestarzało się? Ależ skąd! Uważam, że jest szalenie nowoczesne.

Madame Zed podała jej kieliszek.

– Zawsze, całe życie, szłam z modą. Moda, tak jak życie, polega na ciągłej zmianie. Na tym, by mierzyć się z nowością, z nieznanym. A teraz utknęłam w miejscu.

– Ja jestem do tego przyzwyczajona.

– Toteż nie zjeżdżają się z całego świata, by kupić sobie suknię w Londynie. –

Madame uniosła w górę kieliszek.

*Touché*, pomyślała Grace, uśmiechając się przy tym.

– Powiedziano mi, że jest pani perfumiarką. Że stworzyła pani wiele niezapomnianych zapachów.

Madame Zed wzruszyła ramionami.

– Owszem, odniosłam swego czasu niejaki sukcesy.

– Czy wciąż pani pracuje?

– Nie, nie robię tego od lat. Od wielu lat. – Madame usiadła w fotelu. – Proszę mi powiedzieć, skąd się tu pani wzięła?

– Nie mam wiele do opowiadania. Mieszkam w Londynie. Jestem mężatką. Prowadzę zwyczajne życie. Niedawno jednak coś się wydarzyło. Dostałam list od firmy prawniczej zajmującej się sprawami madame d’Orsey, w którym poinformowano mnie, że jestem jej jedyną spadkobierczynią. Byłam pewna, że to jakaś pomyłka, lecz pan Tissot twierdzi, że wszystko się zgadza. Przyjechałam więc kilka dni temu do Paryża, żeby to wyjaśnić. – Grace odstawiła kieliszek. – Okazuje się, że dostałam spadek od kompletnie mi nieznannej kobiety. Co za absurdalna historia!

Madame zatrzymała ją gestem ręki.

– Przepraszam, że pani przerwę, ale co dokładnie pani odziedziczyła, jeśli wolno zapytać?

– Testament opiewa na dochód ze sprzedaży mieszkania przy place des Vosges. Zna je pani?

– Ach tak. – Madame Zed uniosła brwi. – Nic więcej?

– Trochę akcji. Ten prawnik uważa, że powinnam po prostu brać pieniądze i

wyjeżdżać. Nie potrafię jednak tak zrobić. Próbuję znaleźć kogoś, kto znał Evę d'Orsey i mógłby wyjaśnić kwestię mojego z nią związku.

Grace miała nadzieję, że madame Zed będzie skłonna podzielić się z nią tym, co wie o Evie, lecz ta siedziała z nieruchomą twarzą, popijając koniak. Nie wyglądało na to, by chciała dostarczyć jej jakichkolwiek informacji.

Pamiętając, jak zareagowała, gdy usłyszała o śmierci Ewy, Grace nie traciła nadziei. Spróbowała więc znowu.

– Pani ją znała, prawda?

– Tak. Tak, znałam ją.

Na tym się skończyło. Madame umilkła i zatopiła się we własnych myślach.

– Co to była za kobieta? – zaczęła ponownie Grace.

– Eva? – Czarne oczy staruszki jakby nie widziały Grace, jakby wpatrzona była w tym momencie tylko we własne wspomnienia. – Eva była najbardziej oryginalną i elegancką kobietą, jaką znałam. Drażyły ją jednak problemy. Nawet dość krańcowe, powiedziałabym. Znałyśmy się długie lata. Obie miałyśmy wobec siebie pewne oczekiwania, ale okazało się, że były one nierealistyczne.

– Jakie oczekiwania? I co ma pani na myśli, mówiąc o krańcowych problemach?

Madame Zed spojrzała na nią z ukosa.

– To złożona sprawa. Nie jestem pewna, czy do końca ją rozumiem.

Grace była zawiedziona tą wycofaną postawą kobiety.

– Chciałabym po prostu czegoś się o niej dowiedzieć, bo nic o niej nie wiem!

Poczuła się jak żebraczka.

– A jeśli dowiedziałaby się pani o czymś, co zmieniłoby pani życie?

– W jaki sposób?

Madame Zed nie spieszyła się z wyjaśnieniem. Utkwiła wzrok w Grace, jakby oceniając stopień jej determinacji.

– Moje życie i tak się zmieniło – stwierdziła Grace. – Tylko nie rozumiem, dlaczego to się stało.

– A więc dobrze – zgodziła się madame.

Ku zdumieniu Grace staruszka podniosła się z fotela i wyszła z pokoju.

Wróciła z trzema flakonikami perfum. Postawiła je na stoliku. Dwa z nich były ręcznie robionymi buteleczkami z kryształowymi korkami; jeden miał kształt wąskiego prostopadłościanu, a drugi – obelisku o wielu bokach, które odbijały każdy promień światła. Wyłaczane złote litery na jednej nalepce głosiły, że to *La Première*, a na drugiej – że *Auréole Noire*.

Trzeci flakon był zwykłą apteczną buteleczką zatkaną korkiem. Na zniszczonej nalepce widniała nazwa *Choses Perdus*.

– Co to jest? – spytała Grace.

Madame zasiadła naprzeciwko niej.



– Jak pani wie, kiedyś byłam perfumiarką. Teraz jestem jedynie kustoszem zbiorów, kolekcjonerką przeszłości. Nie potrafię pisać, malować czy komponować muzyki... znam tylko język zapachów... słownictwo emocji i pamięci. Proszę mi zatem wybaczyć, jeśli historia, którą pani opowiem, będzie trochę niekonwencjonalnie zilustrowana.

Wskazała gestem ręki na flakony perfum.

– To jest ta historia. A raczej list miłosny.

– W perfumach? – spytała Grace z niedowierzaniem.

Madame skinęła potakująco.

– Nie ja je stworzyłam. To dzieło mojego jedynego ucznia, André Valmonta, niezwykle utalentowanego młodego człowieka.

– Sklep na dole był jego własnością, prawda?

– Tak. Jego, moją... Evy też w pewnym stopniu. Widzi pani, Eva d'Orsey była jego muzą, największym źródłem inspiracji. To ona dawała mu natchnienie. On z kolei umożliwiał jej jasność widzenia, umiejętność koncentracji.

Grace przysunęła się bliżej. Pragnęła dowiedzieć się więcej.

– Muzą? Była piękną?

– Gdy spotkałam ją po raz pierwszy, nie, wcale nie. Wtedy była tylko niezgrabną i nieuforną dziewczynką.

– Naprawdę?

Madame uśmiechnęła się z wyrazem satysfakcji na twarzy.

– Ludzie zazwyczaj uważają, że muza musi być idealnie piękna i wytworna. Jak grecka bogini. Są w błędzie. W gruncie rzeczy muza powinna odbiegać od ideału, za to powinien być w niej potencjał ideału. Aby móc ją do niego doprowadzić twórczością artysty. Stworzyć z obietnicy.

Madame wzięła do ręki flakon z nalepką *La Première*. Wyjęła ostrożnie korek i podniosła flakon do nosa. Wdychała woń z zamkniętymi oczyma.

Podążyła Grace, która nieco niepewnie też powąchała perfumy.

Ich zapach obezwładniał. Najpierw rozwijał się w nieomal hipnotyczny owocowo-kwiatowy bukiet z elementem piżma, by potem wyłonić z siebie niespodziewanie ostrą i zimną nutę. Bogactwo wrażeń zawartych w tym aromacie oszalało, jego nieokreślony erotyczny charakter był niezaprzeczalny.

– To zapach ziemi i kwiatów z domieszką woskowatości – zaczęła wyjaśniać madame. – W tle zaś kryje się tam coś dzikiego, nieokreślonego. Cieleśność pod czystą, niewinną pokrywką. Sugestywna cieleśność.

Grace nie rozumiała tego języka.

– Przepraszam?

– To jest zapach zatracenia i pożądania. Zapach gry miłosnej.

---

# Nowy Jork

## 1927

---

Dopiero pod koniec sierpnia panna Waverley znów pojawiła się w hotelu. Eva wychodziła właśnie z magazynu bielizny pościelowej na trzecim piętrze, gdy ujrzała ją idącą korytarzem w towarzystwie jakiegoś bruneta z cienkim wąsikiem.

– Och, dzień dobry! – przywitała ją panna Waverley, jak gdyby zwracała się do starej znajomej.

– Jest pani z powrotem! – ucieszyła się Eva, zachwycona ponownym spotkaniem.

Panna Waverley się zaśmiała, poprawiając na ramionach etolę z szynszyli.

– Mówiłam ci, że przyjadę.

Brunet uchylił kapelusza.

Panna Waverley ścisnęła mu mocniej ramię.

– To pan Wiener. A to, mój drogi, jest ta pokojóweczka, o której ci wspominałam.

A więc panna Waverley ją pamiętała, nawet rozmawiała o niej! Eva poczuła się bardzo dumna.

– Bardzo mi przyjemnie – skłonił się brunet. Miał niemiecki akcent i bardzo ciemne oczy o wnikliwym spojrzeniu.

– Widzę, że wciąż tu pracujesz – stwierdziła panna Waverley.

– Tak.

Pan Wiener zapalił papierosa.

– Odpowiada ci to?

– Przepraszam pana, o co pan pyta?

– Ten rodzaj pracy?

Oboje spoglądali na nią z powagą. Oczekiwali odpowiedzi.

– Bardzo mi odpowiada.

– Nie masz żadnych ambicji?

– Nie bardzo pana rozumiem.

– Naprawdę? Nie chcesz dostać się do filmu, tak jak wszyscy inni na świecie?

– Nie żartuj sobie z niej – zganiła go panna Waverley. – Ona nie wie wcale, o czym mówisz. Josef jest reżyserem filmowym – wyjaśniła Evie. – I wielkim cynikiem.

– A więc – mężczyzna zwrócił się znowu do Ewy, świdrując ją oczami – jesteś jedyną dziewczyną w Nowym Jorku, która nie marzy o karierze gwiazdy filmowej?

– Chyba nie potrafiłabym grać w filmie.

– To nie jest z reguły żadną przeszkodą! – zaśmiał się Wiener. – Ale każdy o czymś marzy. Zdradź się ze swoim marzeniem.

– Ja? – Spojrzała zdziwiona na pannę Waverley, która posłała jej uśmiech. – Nie mam żadnych marzeń.

– Naprawdę? Wielka szkoda. Bo może miałbym ci coś do zaoferowania – tu uchylił znowu kapelusza. Ruszyli dalej korytarzem.

Panna Waverley poprawiła szynszyle i mrugnęła do Ewy.

– Przyjdź do mnie później! – zawołała z daleka. – Mam dla ciebie prezent. Wróć po północy.

O wpół do pierwszej w nocy Eva zastukała do drzwi panny Waverley.

Kobieta była już w szlafroku.

– Myślałam, że nie przyjdiesz – uśmiechnęła się do Ewy.

W ciemnym pokoju paliło się tylko kilka świec. Grał patefon, balkonowe okna były otwarte w tę gorącą noc. Eva dostrzegła na krześle niewyraźną sylwetkę mężczyzny z zapalonym papierosem w ręku.

– Och – powiedziała, cofając się o krok. – Jest pani w towarzystwie.

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Panna Waverley ujęła ją za rękę. – Nie będzie nam przeszkadzał.

Podeszła do toaletki i nalała coś do szklanki.

– Proszę. Masz ochotę? Najwyższy czas, żebyś nauczyła się pić whisky.

Eva rzuciła okiem na majaczący w ciemnościach zarys postaci w fotelu i żarzącego się papierosa. Panna Waverley, owinięta szkarłatnym jedwabnym szlafrokiem, uśmiechała się do niej zachęcająco.

Dziewczynka wzięła z jej rąk szklankę i usiadła na brzegu łóżka. Wiedziała doskonale, jak się pije whisky, często obserwowała wuja podczas tej czynności. Wychyliła zawartość jednym haustem. Poczowała palenie w przełyku, lecz wyciągnęła dłoń z pustą szklanką w kierunku panny Waverley. Ta się roześmiała.

– Spójrzcie tylko na nią! Ileż to ma ukrytych talentów – to mówiąc, nalała znów trochę whisky do szklanki. Z górnej półki szafy wydobyła paczuszkę w różowej bibułce owiązaną białą wstążeczką.

Położyła ją na łóżku obok Ewy.

– To dla ciebie. Rozwiń.

Eva powiodła palcami po bibułce. Po whisky czuła się trochę niepewnie. Pociągnęła za tasiemkę, z bibułki wysunęła się delikatna jak mgiełka bielizna w kolorze różowej muszelki: maleńki stanik i pasek z jedwabnymi pończochami. Wspaniałej roboty, z wyhaftowanymi wzdłuż brzegów niebieskimi kwiatkami.

– Piękne.

– Może przymierzysz? – zachęciła ją panna Waverley, siadając wygodnie w fotelu i opierając stopy na pufie. – Zobaczmy, czy pasują.

Eva wstała. Zakręciło się jej w głowie, whisky zrobiła swoje. Ramiona i palce wydawały się sztywne, jakby należące do kogo innego. Zebrała bieliznę i poszła do łazienki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Nie miała ochoty się rozbierać i niczego przymierzać, lecz z drugiej strony nie chciała być niewdzięczna. Zresztą już się kiedyś bawiły w przebieranie. Dopła resztkę whisky, zdjęła ubranie i włożyła na siebie bieliznę od panny Waverley.

Otworzyła drzwi do pokoju. Migotały płomienie świec, z patefonu dobywała się inna, wolniejsza melodia.

– Wyglądasz wspaniale. Jak prawdziwa dama – orzekła panna Waverley.

Mężczyzna podniósł się i stał teraz w półcieniu przy drzwiach.

– Umaluj usta. Tak jak cię uczyłam.

– Nie wiem, czy mam na to chęć – zaprotestowała Eva słabym głosem.

Panna Waverley podeszła trochę bliżej.

– Ależ oczywiście, że masz – zniżyła głos do szeptu. – On chce wziąć nas ze sobą do Kalifornii. Do wielkiego białego domu położonego na wzgórzach, tam będziemy miały każda z nas po samochodzie, będzie służba oraz próby do filmu! – Oczy świeciły się jej z podniecenia. – To jest dopiero prawdziwa szansa, moja droga.

– Pani chce, żebym z nią jechała? – spytała Eva z niedowierzaniem.

– Oczywiście! Rozegraj to tylko właściwie i wylądujemy w Kalifornii, będziemy grać w filmach. Koniec na zawsze z szuflą i miotłą.

Wskazała na toaletkę, na której leżała otwarta czerwona szminka.

– Do dzieła.

Eva podniosła szminę drżącą ręką.

– Pomogę ci – powiedziała panna Waverley, stając za nią w lustrze. – Chcesz się do mnie przyłączyć, prawda?

Eva skinęła głową.

– Doskonale. Rób więc to, co ja.

Podniosła trochę głos.

– Wyglądamy teraz jak siostry, czyż nie?

Powiodła dłońmi po ramionach Ewy.

– Podoba mi się ten pomysł z siostrami, a tobie?

W lustrze Eva mogła dostrzec mężczyznę stojącego z zapalonym papierosem przy balkonowych drzwiach. Wypuszczał z ust kłęby dymu, papieros żarzył się w półmroku. Eva miała nogi jak z waty, w głowie jej szumiało.

– Chyba pójdę już. Źle się czuję.

– Czyżby? – Panna Waverley ścisnęła mocniej jej ramię. – Chyba należy się komuś słowo podziękii, prawda?

– Bardzo pani dziękuję.

– Grzeczna z ciebie dziewczynka – powiedziała panna Waverley. Oczy jej

błyszcząły.

Nagle Eva poczuła dziwną niemoc. Poruszała ustami, lecz jak gdyby zapomniała sztuki mówienia. Kończyny miała ciężkie i zdrętwiałe.

Mężczyzna wyszedł z cienia. Miał cienki wąsik i świdrujące czarne oczy. Wiener.

– Z tym że to nie ja płaciłam – powiedziała panna Waverly, uśmiechając się do lustra.

– Wstawaj – ktoś nią potrząsał, zrazu łagodnie, potem bardziej gwałtownie. – Ruszaj się. Pora wstawać!

Eva usiłowała unieść ciężkie powieki. Sen nie chciał wypuścić jej z uścisku.

Ktoś wciąż nią szarpał.

– Chcesz stracić posadę? Wstawaj!

Rozpoznała głos Rity. Zmusiła się do otwarcia oczu. Rita stała nad nią z rękami opartymi na biodrach. Był jasny dzień. To nie jej wąskie łóżeczko, tylko szerokie miękkie łoże zarzucone poduszkami. Wszystko ją bolało. Gdy usiadła, pokój zaczął wirować.

– Jestem chora – wymamrotała.

– Chryste Panie! – Rita chwyciła kosz na śmieci i podstawiła go Evie pod brodę, podtrzymując ją jednocześnie ramieniem.

– Tutaj! Tylko uważaj na pościel!

Eva z wymiotowała do kosza, Rita obmyła jej twarz zwilżoną myjką. Wyczerpana Eva opadła na poduszki, a Rita poszła do łazienki napełnić wody do wanny. Potem znowu zaczęła ją szarpać.

– Nie zasypiaj. Musisz wstać.

Podawała jej trzy pastylki aspiryny i trochę whisky.

– Nie chcę, zabierz to, proszę!

– Nie sprzeciwiaj się. Połknij to, bo inaczej nie przejdziesz kroku, nie mówiąc już o schodach.

Eva połknęła proszki.

– Która godzina?

Nie miała pojęcia, jak długo spała; czy kilka godzin, czy cały dzień.

– Po dziewiątej rano. – Rita podciągnęła Evę do pozycji siedzącej. Jedwabna bielizna była w strzępach. – Mój Boże! W jakim ty jesteś stanie! – Ściągnęła z niej porwane pończochy.

– Na to wydałaś pensję?

– Gdzie ona jest? – spytała Eva. – Powiedziała, kiedy wróci?

– Kto? – Rita rzuciła jej złe spojrzenie. – Masz na myśli tę ladacnicę? Och, moja panienko, już jej więcej nie zobaczysz. Mówiłam ci, co z niej za ziółko, ale ty nie chciałaś słuchać, prawda?

– Przyjdzie po mnie. Powiedziała, że zabierze mnie ze sobą.

Rita pokręciła głową.

– Wyjechała na dobre dzisiaj rano. Razem z tym szwabem. Dlatego sprzątam tu tak wcześnie. I co widzę, jak otwieram drzwi? Ciebie w jej łóżku, śpiącą jak kamień.

– Nie, nie. – Eva zaczęła płakać. – Jestem... jestem zgubiona!

– Jeśli pływasz z rekinami, to stracisz to i owo – westchnęła Rita. – Nie ma jednak co rozpaczać. Nie ty pierwsza się nacięłaś. Wstawaj.

Rita ściągnęła z niej resztki bielizny i pomogła wejść do wanny. Wykąpała ją, jakby Eva była niemowlęciem.

– Jest chora, proszę pani.

Pani Ronald zmrużyła oczy, wpatrując się uważnie w twarz Sis.

– Coś takiego. Na co jest chora?

– Wymiotuje. Chyba jakaś gorączka.

– Mam nadzieję, że nie na skutek alkoholu?

– Nie, proszę pani. Wydaje mi się, choć nie jestem pewna, że to może grypa.

– Grypa – powtórzyła pani Ronald, ściągając usta.

– Albo zjadła coś niestrawnego.

– To ciekawe. Zwłaszcza że jecie przecież wszystkie to samo. Nikt inny się nie skarżył.

– Ale wybaczy pani, ona przyjechała z zagranicy. Oni jedzą dziwne rzeczy.

Pani Ronald westchnęła. Nigdy nie mogła rozpoznać, czy Sis mówi prawdę, czy nie, była z niej bystra dziewczyna. Chyba nie należy zatrudniać bystrych służących.

– Chętnie posprzątam dodatkowo jej pokoje – zaoferowała Sis.

Kobieta oparła się o tył krzesła i złożyła ręce na kolanach.

– Ach tak? Może wezwiemy do panny Dorsey lekarza?

Sis nie traciła zimnej krwi.

– Jak już mówiłam, nie jestem pewna, co jej jest, ale wygląda mi to na jakąś przypadłość, która przejdzie po dwóch czy trzech dniach.

– Dwa czy trzy dni to mnóstwo dodatkowej roboty.

– Ona zrobiłaby to samo dla mnie, proszę pani.

– Czyżby?

Sis odważyła się spojrzeć przełożonej prosto w oczy.

– Tak, proszę pani, jestem tego pewna.

Pod koniec października pojawił się w hotelu pan Lambert.

Eva zauważyła go w windzie, gdy ta zatrzymała się na piętrze, gdzie ona akurat odkurzała. Najpierw wysiadł z niej jakiś gość hotelowy, lecz gdy Lambert w ostatniej chwili dostrzegł Evę, też wyszedł z windy, rozpierając drzwi rękoma.

– Coś ty zrobiła z włosami?

Lambert wyglądał niezbyt schludnie. Ubranie miał wymięte i przybrudzone, lecz oczy jak dawniej lśniące ciemnym błękitem, a uśmiech rozbajający. Eva udała, że

skupia się na sprzątanii.

– Wciąż tu jesteś – odezwał się konspiracyjnym tonem.

– Tak, wciąż tu jestem. Jak się panu podobał wodospad Niagara? – dodała trochę wbrew sobie.

– Wodospad Niagara? – powtórzył Lambert, jakby nie wiedząc, o czym ona mówi.

– Nie pamiętam. Dużo wody, prawda?

Oraz Chichotliwa Blondynka, pomyślała Eva.

– Podobno – burknęła.

– No cóż, lato było burzliwe. Podróżowałem po całym Wschodnim Wybrzeżu, trudno wszystko spamiętać.

– Zapewne.

Eva ruszyła korytarzem.

– Muszę ci powiedzieć – zaczął Lambert, podążając za nią z rękami w kieszeniach – że sporo o tobie myślałem. O twych nadzwyczajnych talentach.

Eva spojrzała na niego z ukosa.

– Czyżby?

– Mam do ciebie prośbę. Właściwie propozycję. Chciałbym to z tobą omówić, nie teraz i nie tu, oczywiście. Pofna sprawa, nie dla postronnych uszu. Rozumiesz.

– Naturalnie.

– Zatrzymałem się w pokoju siedemset jeden. Co ty na to, by mnie tam odwiedzić za jakąś godzinę?

– Nie wiem, czy będę miała czas – odrzekła Eva opanowanym głosem.

– Rozumiem, oczywiście. Przyjdź więc, kiedy będziesz mogła.

Eva unikała jego wzroku.

– Pomyślę o tym – odrzekła z lekkim wzruszeniem ramion.

Lambert odniósł wrażenie, że rozmawia z nieznaną sobie osobą. Eva się zmieniła. Było coś nowego w jej twarzy, w jej sposobie bycia i w tonie głosu. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zrezygnował.

Eva już zniknęła w głębi korytarza.

Patrzył za nią z niejakim zdziwieniem.

Dwa dni później, gdy Eva kończyła zmianę, Sis przekazała jej wiadomość.

– Ktoś o ciebie pytał – oznajmiła, opierając się o blat w służbowej kuchni, gdzie Eva zmywała kieliszki.

– Kto taki?

– Pan Lambert, ni mniej, ni więcej.

Eva nie podnosiła wzroku.

– Doprawdy?

– Aha. Czego od ciebie może chcieć?

– Nie wiem. – Eva wzruszyła ramionami. – Kiedyś obsługiwałam jego pokój.

Może się stęsknił za moim stylem ślania łóżka.

– Może.

Eva spojrzała na koleżankę.

– O co ci chodzi?

– Najwyraźniej wpadłaś mu w oko.

– Wątpię. Poza tym on chyba woli blondynki.

Eva wciąż energicznie zmywała kieliszki, splukując je dokładnie pod gorącą wodą.

– Te twoje krótkie włosy dają ci wygląd łatwej dziewczyny. Mówię ci to z przyjaźni. Nabrałaś ciała, masz fryzurę jak aktorka z kabaretu, no i mężczyźni zaczynają się o ciebie dopytywać. Co mam o tym myśleć?

– Masz myśleć o mnie dobrze.

Sis przygryzła usta.

– A do spowiedzi kiedy się wybierasz? Nie byłaś od wieków.

Eva przetarła blat ścierką.

– Nie mam się z czego spowiadać.

– A na mszę?

– Nie, dziękuję.

– Chcesz trafić do piekła?

Eva złożyła ścierkę.

– Co za różnica, czy tu, czy w piekle?

Sis otworzyła usta, lecz nie wiedziała, co powiedzieć. Spróbowała z innej strony.

– Czy on... czy on próbował cię dotknąć? – spytała zniżonym głosem. – Mnie się to przydarzyło. Mężczyźni w podróży mają różne zachcianki. Uważają, że pokojówka wliczona jest w cenę pokoju.

– Nie tknął mnie palcem.

Sis westchnęła i pokręciła głową.

– Tak czy owak, chce, żebyś go odwiedziła.

Eva zdjęła fartuch i zgasiła w kuchni światło.

– Dziękuję.

– A więc? – Sis wyszła za nią na korytarz. – Pójdiesz?

– Nie wiem. Z pewnością nie teraz.

– A jeśli się poskarży? Pani Ronald może być niezadowolona.

Eva przystanęła.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Czy chcesz, żebym poszła, czy żebym nie poszła?

– Sama nie wiem! Jeśli nie pójdiesz, to możesz mieć kłopoty. Ale z drugiej strony, dlaczego on chce cię widzieć? Po co?

– Skąd mogę wiedzieć? Ludzie mają swoje dziwactwa. – Eva ruszyła w stronę tylnych schodów. – Dlaczego na przykład ta staruszka prosi cię, żebyś jej śpiewała do



snu?

Sis dogoniła Evę.

– Mówiłam ci, że to komunista?

– Tak.

– Zostaw drzwi otwarte. Słyszysz? Idź do niego, ale zostaw otwarte drzwi. Jeśli się na ciebie rzuci, to szybko zwiejesz.

– Już ci powiedziałam, że nie wiem wcale, czy pójde.

Weszły na schody, Sis westchnęła żałośnie, jakby miała się rozplakać.

– Kiedyś wszystko mi opowiadałaś.

– Nie ma nic do opowiadania.

– Tak jak tamtej nocy, co?

– Nie chcę o tym mówić.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę! Obiecuję jednak, że jakoś ci się odwdziczę.

– Nie musisz mi się odwdzięczać! Tylko brak mi rozmów z tobą. Nie wiem, co się wydarzyło tamtej nocy, ale skoro nie jesteś w stanie mi nic powiedzieć, to znaczy, że to nie było nic dobrego!

Sis obróciła się na pięcie i zbiegła gwałtownie ze schodów, zatrzasnąwszy drzwi na niższym podeście.

Eva usiadła ciężko na stopniu, głowę spuściła na kolana. Ogarnęła ją fala nudności. Znów zbierało się jej na wymioty.

Zaczęło się to jakiś czas temu. Któregoś dnia zbudziła się, gdy było jeszcze szaro, i zwymiotowała. Potem nudności minęły, by powrócić następnego ranka. Sis się nie myliła, Eva nabrała ciała. W nabrzmiąłych piersiach czuła tępy ból.

Zwinęła się w kłębek. Musi tu posiedzieć nieruchomo i przeczekać.

Czuła do siebie nienawiść.

Wokół wszystkie drzwi zamykały się jedno po drugim.

Życie w szarej strefie nagle stało się bardzo mroczne.

Służba hotelowa nie miała prawa przechodzić głównymi korytarzami poza czasem swojej zmiany. Z bijącym sercem Eva zmierzała w stronę pokoju 701. Szła powoli; zatrzymawszy się przed drzwiami, zawahała się przez chwilę. Zapukała.

– Proszę! – zawołał męski głos.

Weszła do środka.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć.

Lambert stał przy oknie z kieliszkiem w rękę. Skierował wzrok na Evę. Miała na sobie normalną sukienkę i kapelusz, w rękę trzymała torebkę. Gładko uczesane włosy lśniły w wieczornym świetle.

– Dokąd to się wybierasz? – spytał, zaskoczony faktem, że pokojówka może mieć jakieś życie poza hotelem.

– Wychodzę – odrzekła stanowczym tonem, nie wyjaśniając mu niczego.

Lambert podszedł bliżej. Niemal jej nie poznał. Wyglądała doroślej. Z twarzy zniknął wcześniejszy dziecięco-poddańczy wyraz. Nowa fryzura podkreśliła regularne, mocne rysy, których przedtem nie zauważał.

– Chciał się pan ze mną zobaczyć – powtórzyła Eva.

Wpatrywał się w nią.

– Tak.

Patrząc mu chłodno w oczy, czekała.

Ubrana w służbowy mundurk była jego służącą. Teraz jednak, w prostej czarnej sukience, którą przerobiła dla siebie z sukni po madame Zed, nagle stała się kimś mu równym. Wyczuła, że próbował się oswoić z tą nową między nimi relacją.

– Nic pan nie mówi – odezwała się po chwili. – Może już pan zapomniał, co chciałem mi powiedzieć.

Położywszy rękę na klamce, zbierała się do wyjścia.

– Dobranoc.

– Zostań.

– Słucham?

– Zostań.

– Czy to polecenie?

– Prośba. Bardzo proszę – z tymi słowami podsunął jej krzesło.

Z niejakim wahaniem Eva usiadła na brzeżku krzesła.

Nalał jej coś do kieliszka.

Wzięła go do ręki, ale nie podniosła do ust.

Lambert zasiadł naprzeciwko.

– Ja... hm... chciałem z tobą porozmawiać o...

Eva założyła nogę na nogę, jedwab pończoch błysnęła w świetle pokoju, a Lambert jakby stracił koncentrację.

– Tak? – zachęciła go.

– Otóż zdaje mi się – zaczął ponownie Lambert – że nieźle się kiedyś bawiliśmy, grając w karty.

– Owszem.

– I że wykazałaś się w tym wielkim talentem. Niespotykanym u młodej... – zamierzał powiedzieć u młodej dziewczyny, lecz zmienił zdanie – ...u młodej kobiety. Otóż... można taki talent wykorzystać na wiele sposobów...

Eva przechyliła głowę na bok.

– Doprawdy?

Lambert czuł się nieswojo. Nie przewidział takiego zachowania. Nie tak dawno temu wystarczyło, by na nią spojrzeć, a ona już pąsowiała, teraz zdawała się być nim znudzona.

– Tak. Wiem, jak to zrobić.

W pokoju ciemniało.

– Niewielu potrafi to, co ty – ciągnął Lambert.

– A pan?

– Słucham?

– Pan potrafi to, co ja potrafię?

Nie miał na to gotowej odpowiedzi. Przestrzeń między nimi jakby się skurczyła, mimo że nie ruszyli się z miejsca.

– Nie – przyznał. – Nie, nie potrafię. Znam ludzi, którzy umieją szybko liczyć karty i którzy są bardzo bystrzy. Nie spotkałem jednak nikogo, kto by widział cały przebieg gry w głowie, tak jak ty.

– A więc – Eva odstawiała kieliszek – czym mogę panu służyć?

Tym pytaniem całkowicie go zaskoczyła.

Lambert zaśmiał się niezręcznie.

– Chyba się nie rozumiemy. To ja wiem, w czym ci mogę pomóc.

– Nie jestem pewna, czy potrzebuję pomocy, panie Lambert. – Eva podniosła się z krzesła. – Ale tak czy inaczej dziękuję.

On również wstał.

– Oferuję ci pewną szansę! Na wydostanie się stąd!

Eva spojrzała na niego swymi kocimi oczyma.

– Tak? W jakiej roli?

Twarz mu stężała. Skąd u tej dziewczyny to opanowanie?

– Nie baw się ze mną, dziecko!

– Niech pan się ze mną nie bawi – odrzekła gładko. – A dzieckiem już nie jestem.

– Nie?

– Już nie.

Chwycił ją za przegub. Skrzywiła się, lecz nie wyrwała ręki. Na jej przedramieniu dostrzegł trzy ślady po oparzeniu, czerwone okrągłe plamki w regularnych odstępach.

– Co ci się stało? – spytał przerażony.

– To, co każdemu.

– To boli?

Uśmiechnęła się gorzko.

– Przy dotyku.

Puścił jej rękę.

Tak, istotnie nie była już dzieckiem. Ktoś pozbawił ją resztek niewinności. Teraz odznaczała się zbijającą z tropu pewnością siebie.

– Jeśli pan czegoś ode mnie chce, proszę to powiedzieć jasno.

Podszedł bliżej. Czuł bijące od niej chłodną rezerwę i zmysłowość.

– Przyłącz się do mnie.

Zaczerwieniła się.

– Po co?

– Będę twoim nauczycielem.

Eva, oparta o futrynę drzwi, milczała.

Lambert podszedł do niej jeszcze bliżej. Czuł ciepło jej ciała i słodki zapach jej włosów.

– Możemy zbić majątek.

Eva się roześmiała.

Lambert zdał sobie nagle sprawę, że wpadł w zasadzkę, że ta mała z zielonymi oczami i zadziwiającym umysłem całkowicie nim zawładnęła. Tego nie przewidział.

– Dołącz do mnie. Nauczę cię wszystkiego. Zbijemy majątek, jeżdżąc od stolicy do stolicy w wielkim świecie. A poza tym – pogładził jej policzek – nie chcę pić w samotności.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Madame sięgnęła po kieliszek, ale był już pusty. Grace przesunęła butelkę z koniakiem w jej stronę.

– Eva z nim wyjechała? Z tym Lambertem?

Madame skinęła głową.

Grace poczuła, jak rosna w niej sprzeciw i oburzenie.

– Przecież była tylko dzieckiem! Zdaje sobie pani sprawę? Ten Lambert, nie wiem, rzecz jasna, kto to jest, zachował się karygodnie. Z pogwałceniem prawa.

Madame przechyliła głowę na bok.

– Tak naprawdę nigdy nie wiadomo, kto kogo uwodzi. Młoda dziewczyna, w której dopiero budzi się erotyzm, może dysponować wielką siłą, choć często nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale może ją to łatwo odurzyć.

Grace nie wierzyła własnym uszom.

– Broni go pani?

Madame Zed wzruszyła ramionami.

– Nikogo nie bronię. Nikogo też nie potępiam. – Spojrzała na Grace wnikliwie. – Taka z pani świętoszka?

– Świętoszka? Chyba nie. Nie, wcale nie – odparła dość niepewnie Grace, urażona pytaniem.

– Pytam, bo to, co pani opowiadam, nie jest bajeczką dla dzieci, moja droga – powiedziała madame, wkładając papierosa do długiej czarnej lufki. – To pani do mnie przyszła. To pani chce się dowiedzieć czegoś więcej. Ja jednak nie mogę zmienić tej historii w taki sposób, żeby pani dogodzić i żeby to pani łatwiej przełknęła.

Patrzyła na Grace spod ciężkich powiek.

– Wiem. Wcale tego nie oczekuję – przyznała Grace. – Tylko to trochę szokuje, że przyłączyła się do... do dojrzałego mężczyzny pokroju Lamberta.

Madame wypuściła z ust kłębek dymu.

– Lambert zabrał ją do Europy, wprowadził w towarzystwo, do pewnego stopnia wyedukował. Niektórym nie jest dane zwyczajne życie, nawet jeśli go bardzo chcą. Przeznaczenie ich ściga, popycha w inną stronę. Panią też trochę pchnęło, czyż nie?

– Mnie?

Madame skinęła głową, zaciągając się powoli papierosem.

– Znalazła się pani nagle w obcym mieście, dostała pani tajemniczy spadek. Może

pani też nie jest dane zwyczajne życie. Może jest pani bardziej ekscytującą osobą, aniżeli się to pani zdaje.

– Ja? O nie, jestem nudna jak flaki z olejem.

– Doprawdy? – Kobieta znowu przechyliła głowę. – Proszę mi przypomnieć, gdzie się pani wychowywała?

– W Oxfordshire. W West Challow, to taka mała wioska.

– Straciła pani rodzinę w czasie wojny?

– Matkę w bombardowaniu. Ojciec zmarł jeszcze przed wojną na atak serca.

– Ach tak, pamiętam, mówiła to pani. Pani matka, jaką ona była osobą?

– Moja matka? – Grace zaśmiała się lekko, marszcząc przy tym czoło. Nie spodziewała się pytań o siebie czy o swoją rodzinę.

– No cóż... była niewielkiego wzrostu, pełna energii, miała kasztanowe włosy w takim odcieniu, jaki zawsze chciałam mieć, ale, niestety, nie odziedziczyłam go po niej. Bardzo piękna i pełna uroku, taką ją pamiętam. Pisywała romanse, niezbyt dobre, pod pseudonimem Irene Worthing.

– Naprawdę? – To najwyraźniej zafascynowało madame. – To nadzwyczajne! Czytała je pani?

– Oczywiście. Setki razy.

– A pani ojciec?

– Mówiąc szczerze, niezbyt dobrze go pamiętam. Był botanikiem. Wrócił z pierwszej wojny jako bohater... mocno głuchy, odczuwał też dotkliwie skutki gazów bojowych użytych na froncie. Nigdy nie był zdrowy.

– Brak ich pani?

Grace spojrzała zdziwiona na madame. Co za pytanie.

– Minęło tyle czasu – odezwała się po chwili. – Wydaje mi się, że brak mi jest ich w nieco abstrakcyjny sposób. Muszę przyznać, że pamięć o nich jakoś mi zbladła, a może się wypaczyła. Na przykład matka pachniała wodą różaną, może mydłem różanym, ale nie pamiętam, czy zawsze, czy tylko raz. Mieszkaliśmy w posiadłości rodzinnej matki, ale nie we dworze, tylko w mniejszym domu, w parku. Ojciec prowadził tam swoje badania, był tym zaabsorbowany. Niewiele mówił, bo źle słyszał. Chyba był bardzo nieśmiały. Rysował i pisał, lubił też budować różne rzeczy.

Madame wciągnęła dym.

– Budować? Co na przykład?

– Zbudował trzypiętrowy kurnik, który miał ogrzewanie pod podłogą, więc kurom było ciepło w zimie.

– Coś takiego!

– Tak, to zabawne, prawda? – uśmiechnęła się Grace. – Skonstruował też matce obrotowe półki w spiżarni i maszynę do odciskania wody z prania, którą się poruszało pedałem, a nie korbką, żeby się jej ręce nie męczyły.

– Była z tego zadowolona?

– Nie zajmowała się zbyt dużo gospodarstwem, kuchnią też nie. Zaprzętała ją pisanie powieści. Poza tym zawsze mieliśmy pomoce domowe, im na pewno się te urządzenia podobały. Ojciec lubił rozwiązywać problemy praktyczne, matka mu to ułatwiała. Nie sądzę... przepraszam...

Grace straciła nagle wątek.

– Czy coś się nie przypala?

– Co takiego?

– Czy coś się nie piecze w piecyku? Chyba się przypala.

– Och, *merde!* Znowu!

Madame zgmiotła niedopałek papierosa w popielniczce i wyszła w pośpiechu do kuchni. Grace dobiegły jakieś przekleństwa, hałas przestawianych garnków czy innych naczyń oraz szum wody lejącej się z kranu.

Minęło kilka minut, kobieta się nie pokazywała. Grace nieśmiało wyszła do przedpokoju, gdzie unosił się zapach spalonego ciasta.

– Da się uratować? – spytała.

– Nic się nie stało – to mówiąc, madame otworzyła okno, by wywietrzyć mieszkanie. – Żaden problem, upiekę to innym razem. Nie cierpię gotować, ale czasami próbuję.

– Ja jestem okropną kucharką. Za bardzo się rozpraszam. Chyba odziedziczyłam to po matce.

Madame rzuciła jej zagadkowe spojrzenie.

– Możliwe. Teraz jednak musi mi pani wybaczyć, robi się późno. Jak pani widzi, powinnam tu posprzątać. – Otworzyła Grace drzwi wyjściowe. – Proszę przyjść znowu. Może jutro? Porozmawiamy.

Znalazszy się na ulicy przed opuszczonym sklepem, Grace zapaliła papierosa. Ruszyła z rue Christine opustoszałymi, słabo oświetlonymi uliczkami w stronę swego hotelu, powtarzając w myślach słowa madame Zed. Zapamiętała zwłaszcza jedno zdanie.

„Młoda dziewczyna, w której dopiero budzi się erotyzm, może dysponować wielką siłą, choć często nie zdaje sobie z tego sprawy”.

Zaciągnęła się głęboko. Coś w ciasnej siatce jej pamięci drgnęło. Tak, ona też doświadczyła odurzenia budzącym się w niej erotyzmem.

Zdarzyło się to we wczesnym wieku, miała chyba trzynaście lat, matka niedawno zmarła, a ona zamieszkała u wuja w Oksfordzie. Wuj nie znał się na wychowaniu dzieci, toteż okazało się, że pozostawił jej zupełnie wolną rękę. Zajęty był pracą, traktował ją jak dorosłą. Grace odnalazła w sobie splot sprzecznych uczuć: żal po stracie matki, strach, a jednocześnie przypływ pewności siebie i przekonanie, dość przerażające, że oto otwiera się przed nią kraina wolności. Odezwało się w niej nowe

i nieznaną pragnienie kontaktu fizycznego. Jak gdyby z dnia na dzień przeobraziła się z dziecka w kobietę, jej ciało nabrało kobiecych kształtów.

Mężczyźni zaczęli zwracać na nią uwagę. Skrywane spojrzenia, tajemnicze napięcie wokół niej, wszystko to nagle się ujawniło. Wuj, jeszcze bardziej zajęty swoimi sprawami, jakby nie zauważał, co się z nią działo, tymczasem jego koledzy patrzyli już na nią inaczej niż kiedyś. Ona sama też zaczęła się poruszać inaczej, wolniej, bardziej świadomie, prowokując zainteresowanie mężczyzn tylko dlatego, że okazało się to łatwe i możliwe.

Zainteresowanie to zarazem ją fascynowało i odstręczało. Nauczyła się maskować własne pożądanie pozorem obojętności, co wywoływało jeszcze inny rodzaj napięcia.

Okazało się to efektywną strategią, zwłaszcza u tak młodej osoby.

Na nabrzeżu Sekwany spacerowały bądź stały w uścisku gdzieś w cieniu zakochane pary. Grace przeszła mostem na drugą stronę miasta. W dole czarne fale rzeki lśniły jak szklana tafla.

Wuj miał studenta, młodego człowieka w wieku około dwudziestu lat. Był to młodzieniec poważny, nieśmiały w towarzystwie, oddany studiom, nazywał się Theo Lund. Pochodził ze skromnej rodziny. Pojawiał się u wuja co tydzień na prywatne ćwiczenia.

Specjalnie starała się zawsze otwierać mu drzwi i prowadzić go do gabinetu wuja. Zwracała uwagę, by w te dni dobrze wyglądać. Rozmawiali ze sobą, ona zawsze trochę tajemnicza, dowcipna. Czuła, że w miarę upływu tygodni Theo coraz bardziej się nią interesuje.

Gdy była sama, snuła marzenia o tym, jak jej dotyka, jak ją całuje. Tęskniła za rozkoszami, których jeszcze nie rozumiała i nie potrafiła sobie dokładnie wyobrazić.

Któregoś wiosennego wieczoru zaproponowała, że pokaże mu ogród z kwitnącymi właśnie magnoliami.

Weszli między drzewa, Theo rozgadał się nerwowo. Nad ich głowami wisiał baldachim z pachnących różowych kwiatów. Stanęli, ona się nie ruszała, on niby podziwiał kwiaty. Wyciągnął ku niej rękę.

Ona objęła go za szyję, zaczęli się całować, dłonie wędrowały...

– Grace! – usłyszeli ostry głos wuja. – Co ty wyprawiasz?

Stał na końcu ścieżki, kipiał z oburzenia.

Nawet teraz, po tylu latach, wspomnienie tego incydentu było jej niemiłe.

Nigdy więcej nie zobaczyła Theo. Nie wiedziała nawet, czy skończył studia, czy nie.

Była wtedy tylko dziewczynką, a jednak odnosiła wrażenie, że to ona była silniejszą stroną, że to on, dorosły chłopak, został wystawiony na utratę niewinności, wywiedziony gdzieś na manowce.

Kilka dobrych lat później spotkała Rogera.



Po jej przyjęciu urodzinowym w klubie Scotta miała zatrzymać się na noc u Mallory, ale zamiast tego Roger i ona poszli do pewnego hoteliku w Mayfair. Nie mogła się doczekać, żeby być z nim sam na sam.

Gdy tylko drzwi pokoju się zamknęły, rzuciła mu się w objęcia.

– Ale z ciebie dzika kotka – zażartował Roger, oswobadzając się z jej ramion, żeby zrobić koktajle. – Zaczekaj trochę!

– Nie chcę czekać.

Później w nocy on okazał się doświadczonego nauczycielem, a ona bardzo pojętą uczennicą. To go zaintrygowało.

– Może to dla ciebie żadna nowość? – spytał podejrzliwie.

– Nie, ale chcę ci zrobić przyjemność.

– Zrelaksuj się – powiedział, mając na myśli, jak się okazało, by leżała spokojnie.

Grace wykazała się apetytem nieprzystającym damie. W duszy miała pustkę. Wstydziała się tego i nie przyznawała do tego uczucia nawet przed sobą samą.

W drodze do hotelu spojrzała na rozpościerający się w dole elegancki i tajemniczy Paryż. Błyszczał światłami jak piękna kobieta w diamentach.

Madame Zed miała rację; nie zawsze wiadomo, kto kogo uwodzi.

W hotelowym holu ktoś grał na fortepianie, białe hiacynty w wielkich mosiężnych wazach wydzielaly słodką zieloną woń. Wyłożone marmurem wewnątrz rozbrzmiewało dźwiękiem rozmów, wybuchami śmiechu i brzękiem szkła.

Była pora koktajlów.

– Madame Munroe! – Recepcjonista wyskoczył zza kontuaru. – Jest dla pani wiadomość. Dzwonił monsieur Tissot, tu jest numer jego telefonu. Dzwonił też pani mąż.

– Mój mąż?

– Prosił, by pani oddzwoniła. – Podał jej drugą kartkę. – Jest w swoim klubie w Londynie. Tu jest numer.

Poczuła radość w sercu.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Znalazszy się w pokoju, Grace zapaliła papierosa i stanęła w oknie. Patrzyła na miasto.

Każdego dnia do tej pory spodziewała się czegoś; listu, może nawet kwiatów?

Z każdym dniem nadzieja gasła.

A tu, proszę, wreszcie się doczekała.

Przymknęła oczy i zaciągnęła się głęboko, starając się opanować podniecenie.

Dostał pewnie nazwę hotelu od Mallory.

Perspektywa rozmowy telefonicznej na tak dużą odległość nie bardzo się jej podobała, ale może to dobre wyjście w końcu się rozmówić. Roger będzie miał szansę ją przeprosić i potem zacząć od nowa. Muszą jakoś przebrnąć przez ten proces,

zostawić epizod romansu Rogera za sobą. Grace wmawiała sobie, że zniesie wszystko, jeśli tylko on nie zarzuci jej szczegółami, nie chciała mieć w głowie tego obrazu. I tak zresztą nie mogła uciec od wyobrażeń i przypuszczeń.

Jeśli tylko Roger zrozumie, że ten rozdział mają na zawsze za sobą, ich wspólne życie będzie mogło potoczyć się dalej.

Zgasła papierosa i podniosła słuchawkę.

– Proszę o połączenie międzynarodowe, klub East India w Saint James's w Londynie.

Czekała, obgryzając paznokcie, w końcu połączono ją z pokojem Rogera w klubie.

– Halo? Halo? – usłyszała niewyraźny głos męża, dobywający się jakby z metalowej puszki gdzieś hen, daleko.

Grace od razu zeszywniała.

– Halo? Halo, Roger... to ja.

– Kto? Przepraszam? Kto mówi?

– To ja, Grace – powtórzyła głośniej. Kogo innego się spodziewał?

– Och. Tak, oczywiście.

Na chwilę zapadła cisza.

– Jak się masz? – odezwał się znowu.

– Jestem... jestem w Paryżu – powiedziała głupio, gdyż nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Tak, wiem. Rozmawiałem z Mallory.

– Ach tak.

– Jak podróż?

– Podróż? W porządku. Miły hotel.

– Świetnie.

Znowu cisza.

Myśli galopowały jej po głowie, szukała czegoś, o czym mogłaby powiedzieć, by wypełnić pustkę. Może wspomnieć mu o testamencie madame d'Orsey, wyjaśnić sprawę spadku... lecz nie rzekła ani słowa. Chodziło jej głównie o to, by załatwili sprawę jego romansu. Dlaczego jednak on nawet nie pyta, po co pojechała do Paryża?

– A co u ciebie? Wszystko w porządku? – wyjąkała.

– No cóż, nie najgorzej, choć nie byłem zachwycony, gdy po powrocie ze Szkocji zastałem pusty dom – poskarżył się Roger. – Nie było nic do jedzenia.

Niesłychane, jak udało mu się odwrócić kota ogonem, postawić siebie w roli porzuconej ofiary. Grace wydawało się, że Roger przestępuje z nogi na nogę.

– Jak sobie tam dajesz radę? Możesz wytrzymać tę ich kuchnię?

Grace nie wierzyła własnym uszom. O co chodzi? Czy on zamierza udawać, że nic się nie stało, i prowadzić z nią uprzejmą rozmowę o podróży?

– Jest całkiem niezła – odpowiedziała mechanicznie. – Nawet ją polubiłam.

– Albo się ją uwielbia, albo nienawidzi. Dla mnie za dużo czosnku. Choć w Rzymie jadają jeszcze gorzej.

– Tak. Tak się słyszy.

Znowu cisza.

– A więc świetnie. Zadzwoń przedtem, żeby tylko sprawdzić, jak sobie radzisz, bo tak nagle wyjechałaś – zabrzmiało to jak oskarżenie. – No i chciałbym wiedzieć, kiedy zamierzasz wrócić. Znajomi się o ciebie dopytują. Nie mogę ich zwodzić bez końca.

Grace była oszołomiona kunsztem Rogera w stawianiu wszystkiego na głowie. Po prostu pomiął całą kwestię swego zachowania, udając, że to ona go porzuciła. Uświadomiła sobie nagle, że on nigdy się nie przyzna.

I po niej spodziewa się takiej samej hipokryzji.

Grace przysiadła na brzegu łóżka.

– A co z Vanessą?

– Przepraszam?

– Z Vanessą. – Grace słyszała bicie własnego serca. Poczowała mdłości.

Po chwili usłyszała śmiech.

– O czym ty mówisz? Co Vanessa Maxwell ma tu do rzeczy?

Vanessa Maxwell. Dołączył do imienia nazwisko, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że nie zna tej osoby na tyle dobrze, by nazywać ją tylko imieniem.

Grace czuła zimno w całym ciele.

– Czy masz... czy masz z nią romans? – wykrztusiła z trudem.

– Romans? O czym ty mówisz? Z kim? – Grace nie była w stanie kontynuować. – Grace? Grace! Co cię opętało? – dopytywał się Roger podniesionym głosem.

Drżącą ręką sięgnęła po papierosy.

– Więc się nie przyznajesz?

– Nie przyznaję się? Nie mam się do czego przyznawać.

Świetnie umiał się wykręcić ze wszystkiego. Grace czuła, że spada gdzieś w przepaść i że nie ma się czego chwycić.

– Chyba oszalałaś – dodał Roger zimno.

– Muszę już kończyć. Robi się późno – zdołała powiedzieć.

– Mogłabyś choć uczynić mi tę przysługę i powiedzieć, kiedy zamierzasz wrócić do domu.

– Ja... ja nie wiem. Muszę mieć jeszcze trochę czasu.

– Po co ci czas? Po to, żeby wymyślić jeszcze bardziej absurdalne oskarżenia?

– Ta rozmowa strasznie dużo kosztuje. Muszę kończyć. Do widzenia.

Położyła słuchawkę na widełki. Zdołała przypalić papierosa.

Poczowała, że otacza ją czarna beznadzieja.

Jak ma go zmusić do porzucenia kochanki, która nie istnieje?

Dzwonił telefon. Grace próbowała podnieść ciężką jak z kamienia głowę z poduszki. Coś w dźwięku telefonu było niedobrego; brzmiał za ostro.

Otworzyła oczy. Oślepiające słońce zalewało pokój.

Dobry Boże, a to co? Żyrandol kiwał się niebezpiecznie wprost nad jej głową. Zaraz spadnie. Nagle przypomniała sobie.

Telefon tak brzmi, bo to francuski telefon.

A ona sama znajduje się w Paryżu.

Podciągnęła się na poduszki. Miała na sobie wczorajsze ubranie. Musiała zasnąć po tym, jak poprzedniego wieczoru padła splakana na łóżko.

Telefon umilkł.

Ręka Grace zaczęła szukać papierosów. Paczka leżąca na nocnym stoliku była pusta.

– Niech to diabli!

Spuściła nogi na zimną podłogę, przeszła do telefonu i wybrała numer recepcji.

– Halo? Halo... *bonjour*... tak... tu Grace Munroe. Chciałabym dostać aspirynę do pokoju. Tak, aspirynę. I grzanki z kawą. Tak, zaraz, proszę.

Przeszła niepewnie do łazienki. Odkręciła kurki nad wanną. W lustrze ujrzała spuchnięte, czerwone od płaczu oczy, czerwony nos i potargane włosy.

Zanurzyła palce w ciepłej wodzie lejącej się z kranu. A może wrócić do łóżka, wejść pod kołdrę i nigdy nie wstać. Kogo to obejdzie?

Ktoś zapukał do drzwi. Za wcześnie na jej zamówienie.

Zakręciła kurki i zarzuciła szlafrok na pomięte ubranie. Otworzyła drzwi pokoju.

– *Bonjour!* – Mallory przybrała teatralną pozę. Miała na sobie elegancki niebieski kostiumik i nowy czerwony kapelusz, niewątpliwie zakupiony specjalnie na podróż.

– Mal! – Grace zamrugnęła w zdumieniu oczyma. – Na Boga! Co ty tu robisz?

Mallory uścisnęła ją ze śmiechem.

– Dzwonię i dzwonię z dołu, a ty się nie odzywasz. Nie tylko ty potrafisz wskoczyć do samolotu! – Cofnęła się o krok. – Boże, Grace, co ci się stało? Jesteś chora?

Zjawił się kelner z aspiryną i tacą ze śniadaniem, którą postawił na stole pod oknem. Nalał kawę do filiżanek.

– A więc czy dobrze wszystko zrozumiałam? – spytała Mallory, sadowiac się na kanapce i zrzucając z nóg pantofle. – Odziedziczyłaś mieszkanie i jakieś papiery wartościowe? I w dalszym ciągu nie wiesz, kim jest ta kobieta?

Grace siedziała na brzegu łóżka.

– Na to wychodzi. Tylko ta madame Zed wie o niej coś więcej.

– Perfumiarka.

Mallory wlała trochę śmietanki do filiżanki z kawą.

– Tak, poza tym nic nie wiem. Och, i jeszcze to dostałam – przypomniały się jej zawiniątka w pudełku, które wyciągnęła teraz spod łóżka. Wyjęła sześć figurynek, wydobyła je z papieru i ustawiła na brzegu biurka.

Mallory wykrzywiła twarz w grymasie.

– Coś takiego.

Podniosła jedną z nich, pasteczkę otoczoną żółtymi kwiatkami.

– Skąd to masz?

– Eva d’Orsey kazała mi je przekazać. Były u dozorczyni na place des Vosges, jej córeczka przyniosła mi tę paczkę.

Mallory obracała figurynkę w palcach.

– Ta kobieta zostawia ci piękne mieszkanie, pieniądze w akcjach i to? To nawet nie jest ręczna robota. To masowa produkcja, bez nazwy firmy, bez niczego. To ze wszystkiego chyba największa tajemnica.

Grace nalała sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

– Może mają jakąś wartość sentymentalną.

Mallory wzruszyła ramionami.

– Cała ta historia zakrawa na fantazję. Tak czy owak, marzę, żebyśmy pobyli razem w Paryżu. Znowu w Paryżu!

– Jak długo zostaniesz?

– Jak długo zechcę. Wytłumaczyłam Geoffreyowi, że znalazłaś się w nagłej potrzebie i że muszę natychmiast przyjść ci z pomocą. Na czas nieokreślony. To dla niego świetna okazja, żeby siedzieć u siebie w klubie, popijać z kolegami i zgrywać się w karty, co wcale mi nie przeszkadza. Ostrzegam cię, mam zamiar jak najlepiej wykorzystać tę przepustkę! Już zamówiłam pokój.

Grace opadła na poduszki.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś, Mal – westchnęła. – Nie uwierzysz, jaka to dziwna historia. Ten prawnik stara się mi pomóc, ale wie niewiele więcej ode mnie. Ona jest jakaś nierzeczywista.

– Powiedziałaś, że była czyjąś kochanką? – zapytała Mallory i zaczęła smarować grzanek masłem.

– Jacques’a Hivera, właściciela wielkiej firmy kosmetycznej.

– Wszystko jasne! – Mallory zamachała dłonią, w której trzymała grzanek. – Pewnie ją gdzieś ukrywał, może przeszkadzała mu w ambicjach politycznych. Słuchaj, czy ty masz może jakichś kuzynów, z którymi mogłabyś pogadać? Wujów albo ciotki? Ktoś musi coś wiedzieć. Może była zaprzyjaźniona z twoimi rodzicami albo z dziadkami?

Grace pokręciła głową.

– Możliwe. Ale teraz akurat wuj jest na wykładach w Ameryce, on jest jedyną osobą, którą mogłabym spytać. Nie odzywa się od tygodni.

– A co innego słychać? Rozmawiałaś z Rogerem?

Grace westchnęła.

– Jeśli to można nazwać rozmową. On udaje, że nic się nie stało, że to ja sobie wymyśliłam ten jego romans. Zachowuje się, jakby prawie Vanessy nie znał. Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów, która wpadła do króliczej jamy!

– Zadzwoił do ciebie czy ty do niego?

– Zostawił wiadomość w hotelu, ja oddzwoniłam.

– Czyli zauważył, że cię nie ma.

– Och, oczywiście. Udaje tylko, że nie wie, dlaczego wyjechałam bez słowa.

Mallory gryzła grzanekę.

– Wie doskonale. Tylko że taki człowiek jak on do niczego się nie przyzna. Ty natomiast jesteś tu na lepszej pozycji, musisz tylko dobrze ją wykorzystać.

– Wykorzystać? – Grace rozpoznała starą skłonność przyjaciółki, by w każdej sytuacji znaleźć jakąś sprzyjającą okoliczność. – On nie zamierza nawet ze mną dyskutować.

– Pewnie, że nie. Co nie znaczy, że nie jesteś w lepszej sytuacji niż on. Będzie chciał uniknąć skandalu, żeby nie popsuć sobie kariery.

– Chyba o to nie dba.

– Nie wierz w to. Tylko udaje. A poza tym, nie obraź się, kochanie, ale Roger nie jest żadnym siódmym cudem świata. Nie może sobie pozwolić na utratę twarzy. Musisz tylko dobrze rozegrać karty, a osiągniesz swoje.

– Co miałabym osiągnąć? Co to za osiągnięcie być... – Nie wiedziała, jak to określić. Zdradzaną żoną? Niekochaną?

Mallory ugryzła kawałek grzanki.

– Będzie miał u ciebie dług wdzięczności.

– Proponujesz, bym się z tym pogodziła? Bez względu na wszystko?

– Mam na myśli twoje dobro, nic więcej. Jakie masz inne wyjście?

– Nie wiem. Mogę się z nim rozwieść.

– Wielkie nieba! Przeziębuję się na złość mamie! Co byś przez to zyskała?

Grace zmarszczyła czoło.

– Myślisz, że jestem za stara, żeby ponownie wyjść za mąż?

– Jasne, że nie! Ale za kogo byś wyszła? Jako rozwódka kogo byś spotkała? Nikt przecież by cię nie zapraszał na przyjęcia w pojedynkę. Tak naprawdę w ogóle nie byłabyś zapraszana. – Mallory usiadła wygodniej na kanapie. – Tylko bardzo bogata kobieta może zmieniać mężów jak rękawiczki.

Grace poczuła się przytłoczona wizją, którą snuła przyjaciółka.

– Mogę wcale nie mieć ochoty na ponowne zamążpójście.

– A co byś ze sobą poczęła? Wróciła do Oksfordu i została samotną ekscentryczką w płaskich trzewikach, o rozczochranych włosach, z kartą wstępu do biblioteki

miejskiej? Zastanów się. Przemyśl konsekwencje każdej decyzji krok po kroku. W tej chwili masz ochotę zostawić męża, ale co będziesz robić za pięć lat? Myślisz, że łatwo stworzysz sobie nowe życie? Pewne drzwi będziesz miała zamknięte. Na zawsze. Nie powinnaś podejmować pochopnych decyzji.

– Sądziłam, że nie znosisz Rogera.

– To prawda! Uważam go za durnia! Ale bądźmy rozsądne!

– Więc co proponujesz?

– Żebyś rozważyła wszystkie drogi. Mąż, który ma poczucie winy, może okazać się bardzo użyteczny.

– Nie zależy mi na tym – odparła Grace ze ściśniętym gardłem.

– Kochanie, nie bądź naiwna.

– Nie możemy zmienić tematu?

Mallory westchnęła.

– Oczywiście.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

W końcu Mallory wyprostowała się na kanapie.

– Zaplanujmy, jak spędzić dzień. Ostrzegam cię, mam zamiar zaszaleć w sklepach i wydać wszystko, co mam na koncie. Ty powinnaś zrobić to samo.

– Roger by mnie zabił.

– Teraz na wszystko przymknie oko.

– Miałyśmy nie poruszać tego tematu.

– Doskonale.

Mallory wyjęła z torebki notesik i zaczęła przerzucać kartki.

– Mam tu adresy kilku sklepów, salonu kosmetycznego, który obiecuje zredukować ci talię o dwa cale w godzinę, kuśnierza, gdzie kupuje Josephine Wexley... ale chyba zaczniemy po prostu od Galeries Lafayette – zdecydowała, zamykając notes. – Nie ma się co spieszyć. A teraz wskakuj do wanny. Włosy masz jak współczesny obraz abstrakcyjny. Nie mówię tego bynajmniej jako komplementu. Pójdę zobaczyć, co z moim pokojem. Jak wrócę, mam cię zastać umytą, wypchnioną i gotową do wydawania pieniędzy.

Grace skinęła głową.

– Zrobi się.

Mallory poprawiła szminkę i spoglądając w lustro, uchwyciła wzrok Grace.

– Uwierz mi, że zależy mi tylko na tym, by ci pomóc – powiedziała miękko.

– Wiem. Tylko wolałabym, żeby to nie o mnie chodziło.

– W porządku. Przez następne dni nie wspomnę o tym ani słowem, obiecuję.

Po śniadaniu przyjaciółki ruszyły do Galeries Lafayette przy bulwarze Haussmanna. Grace nie bardzo lubiła chodzić po sklepach, aczkolwiek poczuła się dobrze, mając znowu Mallory przy sobie. Nie mogła też się oprzeć imponującemu

wrażeniu, jakie wywierało wewnątrz tego emporium wszelkich dóbr zgromadzonych pod złocistą kopułą. Mallory piszcziała z zachwytem, przemierzając piętro za piętro magazynu.

Biegała od lady do lady, chwytając łupy niczym pirat w egzotycznym porcie, a Grace dreptała za nią w roli tragarza dźwigającego torby. Zazwyczaj taki dzień spędzony na zakupach doprowadziłby ją do szału, lecz dzisiaj nawet tłumy nie wywołały w niej irytacji, być może dlatego, że prawie nic nie rozumiała z gwaru rozmów wokół siebie. Mallory nawet nie zauważyła, że Grace ledwie za nią nadążyła. Od kapeluszy do rękawiczek, od szali do bielizny przesuwały się metodycznie wśród stoisk, Mallory cały czas prowadziła monolog na temat każdej mierzonej sztuki.

– Nie za świątobliwy? – pytała retorycznie, poprawiając woalkę malutkiego kapelusika ozdobionego ogromnymi różami z czarnego jedwabiu. – A może po prostu dziwaczny?

Zanim Grace zdołała coś odpowiedzieć, Mallory już miała na głowie jeszcze dziwaczniejszą kreację w postaci kalii z organdy. Przeglądała się w lustrze.

– Nie sądzisz, że granica między pięknem a obrzydlistwem jest bardzo płynna? Czasem coś jest tak brzydkie, że staje się szalone. A to, jak myślisz?

– Nie jestem pewna. Z czym byś to nosiła?

– Z czymkolwiek! Czy te żółte pręciki nie są sugestywne?

– Tylko dla niezdrowej wyobraźni.

Mallory rzuciła jej wymowne spojrzenie.

– Biorę to za aprobatę. Och, Grace, jeśli chcemy wyrazić coś znaczącego, to czemu nie za pomocą tych kwiatowych pręcików?

– A co znaczącego starasz się wyrazić?

Spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

– Sama zobaczysz. – Mallory zdjęła kapelusz. – Okaze się po naszym powrocie, że w Londynie pręciki są ostatnim krzykiem mody, a ja ich nie mam. I to będzie twoja wina!

– Wcale ci nie zabraniam tego kupić. Kup nawet dwa albo trzy!

Na następnym piętrze spędziły prawie godzinę w dziale z bielizną.

– Spójrz, Grace. – Mallory gładziła przezroczysty szyfon delikatnie haftowanej nocnej koszulki. – Boskie! Geoffrey na nią nie zasługuje, ale ja owszem.

Sprzedawczyni bardzo chętnie pomogła im wybrać kilka par jedwabnych pończoch, staników i innych drobiazgów.

– To są rzeczy niezbędne – oświadczyła Mallory, dodając jeszcze dwie satynowe haleczki.

– To samo mówiłaś o rękawiczkach i o kapeluszach.

– Bo mam rację. Jak można być kobietą bez właściwego wyposażenia?

Po wzmocnieniu się sałatką nicejską i czarną kawą w restauracji na ostatnim



piętrze przyjaciółki wkroczyły do działu sukien. Niespiesznie, w ciszy i w niemal nabożnym skupieniu przeglądały najnowsze kreacje sezonu. Przesadnie szerokie spódnice, sztywne halki – wszystko z wąskimi taliami, uszyte z luksusowych jedwabiów, gaz i taft w mocnych, nasyconych kolorach – były inne niż londyńskie stroje. Londyn wciąż ubierał się wojennie i skromnie.

– Chyba zemdleję! – szepnęła Mallory przyjaciółce do ucha, zdejmując z wieszaka wieczorową suknię z szyfonu koloru morskiej wody.

Grace dotknęła nieśmiało materiału.

Cudowny.

– Muszę ją zmierzyć – westchnęła Mallory, jakby zaraz miała się rozplakać. – Wszystkie muszę zmierzyć!

Z pomocą paniarki sklepowej zaniósła naręcze sukien do przymierzalni.

Grace przechadzała się samotnie wśród rzędów garderoby.

Nie dorównywała przyjaciółce entuzjazmem w robieniu sprawunków.

Musiała przyznać, że ubrania będące w jej posiadaniu były zwyczajne i staromodne. Jej samej się nie podobały. A jednak te wszystkie szerokie spódnice w żywych pawich kolorach, zdobione dżetami i haftami, wydawały się jej teatralne i przerysowane.

Uprzednio wielokrotnie usiłowała wziąć się za swój wygląd, odświeżyć garderobę, ale zazwyczaj już u progu sklepu miała dosyć i wracała do domu z pustymi rękami.

Miała właśnie sprawdzić, co porabia Mallory, gdy podeszła do niej sprzedawczyni.

– *Comment puis-je vous aider?* – spytała z uprzejmym uśmiechem.

– *J'ai besoin d'une robe* – wyrzuciła z siebie Grace, natychmiast tego żałując.

– *Alors!* – wykrzyknęła kobieta, rozkładając szeroko ramiona, jakby demonstrowała, że są we właściwym miejscu.

– *Oui, ou je sais... non* – biedziła się Grace, gdyż ograniczona znajomość francuskiego nie pozwalała jej wyrazić się precyzyjnie – *une robe simple...*

– *Simple?*

– *Oui, ah, simple, noir...*

Sprzedawczyni obrzuciła Grace wzrokiem od góry do dołu.

– *Voilà!* – wykrzyknęła triumfalnie. – *Avec votre sèche, je sais que la chose!*

Grace nie zrozumiała. Kobieta zniknęła na zapleczu.

Po kilku minutach pojawiła się z prostą czarną suknią, którą podnosiła zwycięsko do góry.

– *Elle est nouvelle. C'est Balenciaga!*

– Balenciaga? – Nic to Grace nie mówiło.

– *C'est très nouveau, très chic!* – zapewniła ją sprzedawczyni.

Rzeczywiście, Grace nigdy nie widziała tak eleganckiej i niezwyklej sukni, skonstruowanej jak dzieło współczesnego architekta, surowej i prostej. Nie przypominała wcale barwnych kreacji rozwieszonych naokoło.

– Mogę ją przymierzyć?

– *Oui!*

Sprzedawczyni powiodła Grace do przymierzalni, trzymając suknię przed sobą niczym święty obraz.

– *Attention!* – zdawała się oznajmiać wszystkim zgromadzonym. – *La Balenciaga!*

Kilka innych panien sklepowych podążyło za nimi w orszaku.

Przymierzalnia była wielkości sypialni Grace w jej londyńskim domu, pomalowana na blad różowy kolor, z szezlongiem na środku. Sprzedawczyni zostawiła ją samą.

Gdy tylko Grace włożyła na siebie suknię, od razu wiedziała, że ma na sobie coś niezwyklego. Wyszła z przymierzalni, witana okrzykami zachwytu przez personel.

– *C'est parfait!* – oznajmiła sprzedawczyni. – *Ce n'est pas une robe, c'est le destin!*

– *Pardon?* – znowu Grace nie zrozumiała. Czowała się trochę zażenowana, lecz zarazem zadowolona z uwagi.

– To nie suknia – zaoferowała tłumaczenie jedna z młodszych sprzedawczyń – to przeznaczenie!

– Wielkie nieba, Grace! – wykrzyknęła Mallory, wychodząc z sąsiedniej przymierzalni przyobleczona w balową suknię z jakiejś lejącej się materii kanarkowej barwy. – Skąd to masz? Jest może w innych kolorach? – spytała sprzedawczynię.

– *Non. Elle est unique.*

– Wielka szkoda. Z drugiej strony, moja przyjaciółka też jest jedyna i niepowtarzalna.

Suknia kosztowała ogromne pieniądze. Więcej niż jakiegokolwiek stroje z szafy Grace. Ale która kobieta odwróci się plecami do przeznaczenia?

Podniecone i wyczerpane przyjaciółki zeszły na dół, mijając po drodze dział z torbami i perfumerią.

Grace przystanąła przed ladą, na której stały liczne flakony. Wzrok jej przyciągnął jeden z nich, okrągły, wypełniony perfumą w kolorze ciemnego bursztynu, zamknięty złotym korkiem. Flakon nie był jej obcy, choć nigdy mu się specjalnie nie przyglądała.

Podniosła buteleczkę.

– Och, uwielbiam ten zapach – powiedziała Mallory. „Mój grzech”. Mama go używała.

Wyciągnęła rękę.

– Popryskaj tu, niech mi się przypomni.

Grace psiknęła na nadgarstek przyjaciółki.

– Mocny.

– Wiem. Mama używała tych perfum tylko na specjalne okazje. – Powąchała rękę.

– Pamiętam, że głowa mnie od nich bolała.

– To perfumy madame Zed.

– Naprawdę? – Mallory była pod wrażeniem.

Na szkle flakonu widniał obraz kobiety, która z rozswartymi opiekuńczo ramionami schylała się nad dzieckiem. Symboliczna wizja wyrysowana złotą farbą. „Jeanne Lanvin”, głosił napis pod spodem.

– *Puis-je vous aider, madame?* – spytała panna sklepowa.

– *Ah, oui, je pense...*

– Czy jest pani Angielką? – zapytała panienka z uśmiechem.

– Tak. – Grace wskazała na złoty obrazek. – Co znaczy ten symbol? Jest niezwykły.

– To symbol firmy Lanvin. Jak gdyby jej... jak to się mówi? Etykieta? Jeanne Lanvin bardzo kochała swoją córkę Marie-Blanche. Była to najważniejsza osoba w jej życiu. Podobno ten obrazek przedstawia je obie tuż przed wyjściem pani Lanvin na bal. A teraz to symbol firmy. Niezwykły, prawda?

– Tak – przyznała Grace.

– Miałam zamiar kupić jakieś nowe perfumy – odezwała się Mallory. – Czy może pani polecić coś wyjątkowego? Czego nie dostanę w Londynie?

– Pokażę paniom te, które mnie się podobają – powiedziała ekspedientka, podnosząc inny flakon, tym razem w kształcie podłużnego prostopadłościanu z wysokim złotym korkiem.

– To z firmy Hiver, nazywają się *Ce Soir*. To wyjątkowy zapach, bardzo pociągający.

– „Dziś wieczór” – przetłumaczyła Mallory. – Jak w tej reklamie „Dziś wieczór przyjdzie twoja szansa”. Och, jak to podniecająco brzmi! – Spojrzała na Grace.

– Żadne inne perfumy tak nie pachną – to mówiąc, panienka sklepowa psiknęła delikatnie na swój nadgarstek i podsunęła go pod nos Mallory. – Proszę.

Zaintrygowana Grace również powąchała.

Najpierw poczuła delikatne fale zapachów dzikich fiołków, ambry, szypru i drzewnej kory... cierpkawe wonie lasu, które później stopniowo ustąpiły miejsca dusznej głębi o czarowniczej intensywności wilgotnej ziemi... coś jeszcze innego skrywało się głębiej... ostrego, cierpkiego, a jednocześnie znajomego...

– Nigdy nie sądziłam, że mogę wydać taki sąd. – Mallory zmarszczyła czoło. – Ale jest w tym zapachu coś nieprzyzwoitego.

Podniosła flakonik do nosa.

– Coś wschodniego, egzotycznego, prawda? Ile kosztują?

– To zależy – odparła sprzedawczyni. – Trzyma pani w ręku perfumy o oryginalnej, starej recepturze, i te są raczej drogie. Istnieje też nowsza wersja, tańsza.

– Czemu istnieją dwie receptury? – spytała Grace.

– *Ce Soir* stworzono w czasie wojny, gdy zakłady Hivera przejęli Niemcy. Hiver zamówił ten zapach z prywatnego laboratorium, gdzie produkowano je ręcznie w bardzo niewielkiej ilości. Wtedy była to rzecz nadzwyczaj ekskluzywna. Teraz to najpopularniejsze perfumy marki Hiver. To niezwykła kompozycja. Sama mam jeden flakonik. Powiada się, że Hiver zbyt ulegał Niemcom. Było mu w czasie wojny bardzo wygodnie. Te perfumy jednak urzekają wszystkich. Ale perfumiarz, który je stworzył, nigdy nie sprzedał Hiverowi receptury. Często się zdarza, że tylko perfumiarz zna składniki swoich kreacji. Hiver usiłował je odtworzyć, lecz bez powodzenia. Nowa wersja nie jest lubiana, nikt jej nie kupuje.

– W takim razie muszę mieć te prawdziwe! – wykrzyknęła Mallory i wyciągnęła z torebki portmonetkę.

– Skoro są to najpopularniejsze perfumy Hivera, a on nie zdołał ich odtworzyć, to niedługo firmę spotka niezły kłopot – zauważyła Grace.

– Właśnie – zgodziła się ekspedientka. – Firma i tak już ucierpiała, gdy Jacques Hiver zmarł. Dobrych perfum jest bowiem mnóstwo, ale wielkich – jak na lekarstwo.

– Obie musimy je mieć. – Mallory wyjęła plik franków.

– Mal... skąd masz tyle pieniędzy?

– Z banku Coutts'a, głupiątko. Zamówiłam je zawczasu. Planowałam tę podróż od dnia, kiedy odstawiłam cię na lotnisko. Chcę ci zrobić prezent. Kobieta, która sama kupuje sobie perfumy, jest godna pożałowania.

– A sama dla siebie kupujesz.

– Jestem wyjątkiem od reguły. Zwłaszcza mojej własnej reguły.

Ekspedientka zapakowała sprawunki.

– Dlaczego ktoś stworzył perfumy dla firmy takiej jak Hiver, a potem zataił przed nią recepturę? – zastanawiała się głośno Grace. – Z finansowego punktu widzenia to chyba kiepskie posunięcie.

– Może nie chodziło wcale o pieniądze – zauważyła Mallory.

– A o co? Czy produkcja perfum to nie jest przedsięwzięcie finansowe?

– Nie wiadomo, o co poszło. Może o jakąś urazę albo zwykłą złośliwość.

Kobieta w salonie kosmetycznym nazywała się Paulette. Nie znała ani słowa po angielsku.

Nie miało to oczywiście żadnego znaczenia, gdyż od chwili wstąpienia obu przyjaciółek w progi sławnego zakładu piękności pod nazwą Carita przy rue du Faubourg St-Honoré ich los przeszedł w inne ręce.

Salon był istną świątynią poświęconą pielęgnowaniu urody, świetlicie białą, w

której uwijali się pracownicy w białych fartuchach niczym naukowcy i technicy w laboratorium. Rzeczywiście traktowali swe zadania jak pracę naukową, a to podejście było bardzo odległe od praktyk u fryzjera, do którego Grace chodziła w Londynie po sąsiedzku. W salonie Carita oferowano nie tylko usługi fryzjerskie, ale też całą gamę zabiegów, o jakich przyjaciółki nigdy nie słyszały, na przykład *le drainage*, co zabierało pół dnia, a wymagało ogromnych ilości przeróżnych kremów i płynów oraz przyrządu przypominającego mały odkurzacz.

Po krótkim sprawdzeniu listy zamówionych zabiegów recepcjonistka wprowadziła przyjaciółki do oddzielnych gabinetów, gdzie zostały ubrane w białe kitle i przedstawione swym stylistkom. Mallory od razu zaczęła ożywioną rozmowę w płynnym francuskim, Grace natomiast siedziała spokojnie, nie zamieniając z krzątającą się wokół niej kobietą ani słowa.

Dla Paulette, osóbkę w każdym calu doskonałej, jeśli chodzi o prezencję i zadbanie, Grace przedstawiała interesujący obiekt do analizy, coś pomiędzy egzotycznym zwierzątkiem a plamą na obrusie.

W końcu Grace zaśmiała się nerwowo, po czym gestami rąk usiłowała przekazać stylistce informację, jak lubi mieć uczesane włosy.

Paulette obserwowała jej pantomimę z nieruchomym wyrazem twarzy.

Gdy Grace skończyła, stylistka wydobyła z szuflady fryzjerskie nożyce.

– *Coupez les cheveux.*

Grace spojrzała z przerażeniem na nożyczki.

– Ściąć? Ściąć mi włosy?

– *Absolument.*

Paulette rozsupłała długie włosy Grace upięte na czubku głowy i zaczęła je rozczesywać.

– Ściąć.

Decyzja była powzięta.

Paulette nie traciła czasu na zbędne rozmowy. Obcięła co najmniej sześć cali włosów, nałożyła na pozostałe farbę i usadowiła Grace pod suszarką. Przeszła do paznokci, które wypiłowała do pożądanego kształtu, po czym natychmiast, bez żadnej konsultacji z Grace, pokryła je ciemnoczerwonym lakierem. Spłukała włosy, wytarła w ręcznik i skierowała Grace przed lustro.

– *Voilà!* – wykrzyknęła triumfalnie.

Grace z trudem się rozpoznała. Lśniące czarne włosy tworzyły zgrabną krótką fryzurkę otaczającą twarz o rysach nagle bardziej delikatnych, cerze jaśniejszej i oczach bardziej niż przedtem zielonych. Wyglądała, jakby we wnętrzu jej głowy zapaliło się światło i rozjaśniło ją od środka.

Paulette skierowała ją do sąsiedniego gabinetu, gdzie nawinęła jej włosy na wałki i znowu usadziła pod suszarką. Końcowy efekt okazał się bardzo wdzięcznie kobiecy

i nadal przyciągający uwagę.

Przyjaciółki spotkały się w recepcji za półtorej godziny.

Mallory stanęła jak wryta.

– Grace! To naprawdę ty?! – wykrzyknęła zdziwiona. – Okazuje się, że pod tym zgrzebnym domowym sweterkiem cały czas kryła się sztywna dama!

– Dziękuję, może masz rację – zaśmiała się Grace.

– *Et moi?* – Mallory obróciła się na czubkach palców – Jak uważasz? Nie wyglądam jak nowa?

Fryzura Mallory niewiele się różniła od stylu, który zwykle wyczarowywał jej londyński pan Hugo.

– Wyglądasz wspaniale – oznajmiła promiennie Grace.

– Co za metamorfoza, prawda? – Mallory podziwiała swe odbicie w lustrze. – Jutro idę na to oczyszczanie. W czwartek jesteśmy umówione na kolację z Prescottami, oni są w Paryżu do piątku. Teraz wiem, dlaczego Daphne jest taka szczupła. Pójdę po płaszcz, zaczekaj tu.

Przy drzwiach Grace dojrzała Paulette.

Wyciągnęła z torebki banknot jako napiwek dla niej (być może za duży, a może za mały), tamta zaś schowała go do kieszeni kitla, nawet nań nie patrząc. Następnie, głęboko westchnąwszy, położyła dłoń na ramieniu Grace.

– *Vous ne savez pas qui vous êtes* – powiedziała.

– *Pardon?*

– *Vous êtes belle* – spróbowała znowu stylistka zdecydowanym tonem.

Grace nie od razu się zorientowała, że to nie był komplement, ale krytyka.

– *Comprenez-vous?* – Paulette nie zmieniła surowego tonu.

Grace skinęła głową, gdyż wolała nie wdawać się w dyskusję.

Paulette znowu westchnęła. W jej pojęciu Grace grzeszyła brakiem odpowiedzialności za własną urodę. To prawdziwy grzech.

– *Belle* – powtórzyła z naciskiem, jakby wydając ostrzeżenie.

Do hotelu przyjaciółki dotarły wyczerpane.

– Spotkajmy się na dole na koktajlu przed kolacją – zaproponowała Mallory. – Teraz muszę się położyć!

U siebie w pokoju Grace zrzuciła z nóg pantofle i zapaliła papierosa.

Otworzyła słowniczek zwrotów francuskich, starając się przypomnieć sobie dokładnie słowa Paulette. „*Vous ne savez pas qui vous êtes...*”

Usiadła na brzegu łóżka, przewracając strony słownika.

„*Vous ne savez pas qui vous êtes*”.

*Savez...* od *savoir...*

...znać...

Wypuściła dym z ust i odłożyła słownik. Opadła na poduszki i zamknęła oczy.

Nie zna pani samej siebie.

Następnego ranka Grace siedziała przy śniadaniu, popijając kawę, gdy nagle w jadalni pojawił się Tissot. Rozglądał się wokół, więc pomachała mu ręką.

– Unika mnie pani – oznajmił, podchodząc do niej i wskazując na krzesło naprzeciwko. – Czy można?

Grace skinęła głową.

Tissot usiadł.

– Zmieniła pani fryzurę. Czy to część pani planu, żeby łatwiej mi się wymykać?

– Dzień dobry panu. – Grace dała znać kelnerowi gestem, by przyniósł jeszcze jedną filiżankę. – Myślę o panu nieustannie, a wszystko, co robię, ma za cel pana zgnębić. Napije się pan kawy?

– Chętnie, dziękuję. Wciąż zostawiam dla pani wiadomości, w recepcji mówią mi, że wszystkie dostarczyli.

– To pocieszające, prawda? Wiedzieć, że traktują swe obowiązki tak sumiennie.

Kelner przyniósł filiżankę i Grace nalała Tissotowi kawy.

– Z mlekiem?

– Nie, dziękuję.

Podawała mu filiżankę.

– Nie tylko ci w recepcji traktują swe powinności poważnie, madame. Trzeba się opiekować bogatymi spadkobierczyniami biegającymi samotnie po Paryżu.

– Naczytał się pan za dużo popularnych powieści sensacyjnych, więc węszy pan wszędzie jakieś dramatyczne wydarzenia.

– Tylko w tym przypadku trudno jest nadążyć za bohaterką.

– Prawda jest prosta: z Londynu przyjechała niespodziewanie moja przyjaciółka i przez ostatnich kilka dni razem spędzałyśmy czas.

– Dziękuję za wyjaśnienie, odetchnąłem z ulgą. Tymczasem mam dla pani wiadomość. Dostałem ofertę kupna mieszkania.

– Jakim sposobem? – zdziwiła się Grace. – Czy dał już pan ogłoszenie?

– Nie. Oferta nadeszła całkiem niespodziewanie. Od madame Hiver.

– Wdowy po Jacques’u Hiverze?

Tissot przytaknął.

– Jej prawnik odezwał się do mnie dwa dni temu z wiadomością, że pani Hiver chciałaby kupić mieszkanie, zanim oficjalnie zostanie wystawione na sprzedaż. Jest chętna zapłacić podwójną cenę, byle tylko szybko zakończyć transakcję.

– Podwójną cenę! Ale dlaczego? Nie uważa pan, że to nie jest w dobrym tonie pragnąć kupić mieszkanie należące do kochanki męża?

– Nic nie wiem o jej motywach. Tak czy owak, chciałaby się z panią zobaczyć.

– Zobaczyć się ze mną? Och, chyba niekoniecznie!

– Czego się pani obawia?

– Sama nie wiem... a jeśli będzie miała do mnie pretensje z powodu romansu męża z Evą?

Tissot spojrział na nią z pewnym zdziwieniem.

– A to niby dlaczego? Co pani ma z tym wspólnego? Nie widzę w jej ofercie żadnych podejrzanych motywów w tym akurat względzie. Oczywiście decyzja należy do pani. Ja jedynie przekazuję wiadomość, bo powinna pani wiedzieć, co się dzieje w tej sprawie, oraz mieć czas do namysłu. Chodzi przecież o wielkie pieniądze.

– Naturalnie. Jestem panu wdzięczna, że poświęcił pan temu czas. Przepraszam też za brak kontaktu z mojej strony w ostatnich dniach.

Tissot podniósł do ust filiżankę z kawą, uśmiechając się lekko.

– Co pani porabiała oprócz dokładania starań, żeby do mnie nie telefonować? Zdobyła pani więcej informacji o madame d’Orsey? Zasięgała pani o niej gdzieś języka?

– Muszę się panu przyznać, że byłam znowu u tej staruszki znad sklepu z perfumami. Ona też jest perfumiarką. Znała dobrze Evę d’Orsey.

Tissot spoważniał.

– Nie powinna pani chodzić tam sama. Ta stara jest chyba zwariowana.

– Tylko raz z nią rozmawiałam, to wszystko.

– Następnym razem będę pani towarzyszył, jeśli oczywiście ma pani zamiar znowu tam pójść. Nie podobają mi się te samotne wyprawy.

– Nie mogę wszędzie zabierać pana ze sobą – zaśmiała się Grace.

– Dlaczego nie?

– Rozniosą się plotki.

– Jest pani w Paryżu. Plotki się zaczęły, gdy tylko wyszła pani z samolotu.

– Nie chcę zajmować panu czasu, jest pan przecież pochłonięty pracą.

– Kto komu zajmuje czas? – spytała Mallory, pojawiwszy się nagle przy stoliku.

Spoglądała to na Tissota, to na Grace.

Mężczyzna poderwał się z krzesła i wyciągnął do Mallory rękę.

– Edouard Tissot, madame. Do usług.

– Jest mi bardzo miło, monsieur Tissot – odrzekła Mallory, obdarzając go najczarowniejszym uśmiechem ze swego repertuaru.

– To jest pani Hayes, moja droga przyjaciółka, a to pan Tissot, mój prawnik, zajmujący się sprawami Evy d’Orsey – przedstawiła ich sobie Grace.

Tissot rzucił jej karcące spojrzenie.

– Oraz pani sprawami, proszę nie zapominać – poprawił ją.

– A jak się wszystko posuwa? – spytała Mallory, zasiadając przy stoliku z filiżanką kawy. – Proszę, niech pan zostanie z nami.

Tissot nadal stał.

– Owszem, sprawy ruszyły cokolwiek do przodu. Nie chciałbym jednak zabierać



paniom czasu.

– Mam wielką ochotę zobaczyć to mieszkanie. – Mallory spojrzała na Grace pytająco. – Cóż to za ekscytująca historia!

– Chętnie zorganizuję jeszcze jedną wizytę. Proszę dać mi znać, kiedy będzie paniom odpowiadało.

Grace złożyła serwetkę i wstała.

– Odprowadzę pana do wyjścia. Kochanie, zamów herbatę, dobrze? Zaraz wracam.

– Proszę pomyśleć o spotkaniu z panią Hiver – rzekł Tissot, gdy szli przez jadalnię. – Warto się dokładnie zastanowić nad jej propozycją. Podwójna cena to mnóstwo pieniędzy. Muszę pani powiedzieć, że pani nowa fryzura jest bardzo atrakcyjna – dodał.

Grace poczuła, że się czerwieni.

– No tak, ale mimo to nie pozbyłam się pana, rozpoznał mnie pan bez trudu. Może następnym razem ufarbuję się na rudo.

– Nawet wtedy nie pozbędzie się mnie pani.

Byli już przy wyjściu.

Grace wyciągnęła rękę na pożegnanie.

– Zapomniałam, że pan jest szalenie sumienny w swych obowiązkach i że nie spocznie, dopóki nie sprzeda mieszkania.

Ujął jej dłoń w swoją.

– Zapewne jest w dużej mierze tak, jak pani mówi. – Ścisnął lekko jej palce. – Dam pani znać, gdy umówię się z panią Hiver. Proszę tylko, by pani oddzwaniała.

Skłonił się i wyszedł.

Grace wróciła do jadalni, usiadła z powrotem koło przyjaciółki.

– Bardzo o ciebie dba – zauważyła Mallory.

– Z zawodowego obowiązku.

– Naprawdę? – Mallory uniosła brwi.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – spytała Grace.

– Właściwie jestem całkowicie do twojej dyspozycji, umówiłam się jedynie z Tippi Miller, która wpadła na dwa dni do Paryża w drodze z Nicei. Zatrzymała się u Ritza, jestem pewna, że bardzo by chciała się z tobą spotkać.

– Broń mnie Panie Boże przed Tippi Miller! – jęknęła Grace, napełniając kolejną filiżankę kawą. – To straszna plotkara. Tylko się odwrócisz, a wsadzi ci nóż w plecy. Co ci przyszło do głowy, żeby się z nią umawiać?

– To ona do mnie zadzwoniła. A poza tym za granicą każdy rodak staje się nagle przyjacielem. Tippi jeździ po Riwierze od miesiąca, więc nzbierała worek plotek, mam wielką ochotę usłyszeć je od niej z pierwszej ręki. Zwierzyła mi się już, że cudem tylko uniknęła jakiejś sprawy rozwodowej, w której chciano ją powoływać na

świadka, oraz że zastawiła w kasynie brylanty swojej matki i je straciła, nie mówiąc już o tym, co musiała wyprawiać z pewnym szwajcarskim bankierem po to, by je odzyskać. Opowiedziała mi też historyjkę o trzech sławnych siostrach, które miały tego samego kochanka, jakiegoś niesamowicie przystojnego instruktora tenisowego, i zupełnie nie zdawały sobie z tego sprawy. Wyjawi mi nazwiska, dopiero gdy się z nią zobaczę!

– Jednak nie, dziękuję. Nie czuję się na siłach na takie rzeczy. Brzmi to jak opowieści o jakiejś wściekłej menażerii.

– Wcale pięknej menażerii – westchnęła Mallory. – W pełnym słońcu, na plaży, nad cudownym morzem!

– Za dużo dzikich zwierząt. Miej się na baczności – ostrzegła przyjaciółkę Grace. – Niech Tippi nie połknie cię na obiad!

Tissot zadzwonił niedługo po obiedzie. Okazało się, że zorganizował już spotkanie z Yvonne Hiver, która zażyczyła sobie, by odbyło się ono w mieszkaniu przy place des Vosges.

Grace wybrała się tam piechotą. Przed kamienicą stał już wielki błyszczący czernią daimler, o którego maskę opierał się umundurowany szofer, paląc niedbale papierosa.

Grace miała nadzieję, że stawi się na miejscu pierwsza, liczyła bowiem na kilka chwil samotności w mieszkaniu Evy. Nie udało się.

Drzwi wejściowe do domu stały otworem. Ktoś najwyraźniej skończył sprzątanie, gdyż z boku stało pozostawione blaszane wiadro ze szczotką. Po drodze na górę usłyszała głos Tissota i jakiejś kobiety. Rozmawiali ściszym głosem po francusku.

Drzwi do mieszkania zastała otwarte. Tissot i madame Hiver byli w salonie przy oknie wychodzącym na skwer.

Na dźwięk jej kroków odwrócili się.

Yvonne Hiver wyglądała młodziej, niż Grace oczekiwała. Miała na sobie modnego kroju tweedową prostą wąską sukienkę, na szyi wełniany miękki szalik, a cała jej osoba robiła wrażenie kobiety zajmującej zawsze centralne miejsce w swoim własnym uniwersum. Kapelusik z niewielką woalką odrzuconą do tyłu pasował kolorem do sukni. Zakrywał włosy, co uwidaczniało wyraźniej doskonałą budowę twarzy. Oczy miała podkreślone czarnym ołówkiem. Całość robiła wrażenie czegoś bardzo prostego, acz wytwornego.

– Chyba jestem spóźniona – przeprosiła Grace, zdejmując rękawiczki.

– Nic podobnego – powiedział Tissot, podchodząc do niej z ręką wyciągniętą na powitanie. – To pani Hiver przyszła trochę wcześniej, uprzedziła nas oboje.

– Zastałam otwarte drzwi na dole – dorzuciła pani Hiver tytułem wyjaśnienia.

Tissot uśmiechnął się do Grace, jakby dodając jej otuchy.

– Panie pozwolą, że je przedstawię: pani Hiver. Pani Hiver, to jest Grace Munroe.

Grace zauważyła, że wymienił jej imię, jak gdyby w subtelny sposób zaznaczając, że jest dla niej kimś więcej niż prawnikiem z urzędu.

Yvonne Hiver podeszła się przywitać. Z bliska Grace oceniła jej wiek na czterdzieści kilka lat.

– Jak to uprzejmie z pani strony, że zgodziła się pani na spotkanie – odezwała się pani Hiver niskim głębokim kontraltem, w którym Grace rozpoznała ten specyficzny sposób wymawiania samogłosek, właściwy wyższym sferom francuskim, obecny nawet w jej angielszczyźnie. Ucisnęła dłoń Grace. – Bardzo miło z pani strony – powtórzyła.

– To dla mnie wielka przyjemność panią poznać. Rozumiem, że jest pani zainteresowana kupnem tego mieszkania, nie myślę się? – Grace poczuła się nieco niepewnie. Speszona władczą postawą pani Hiver potraktowała ją trochę obcesowo.

– Tak, nie myli się pani.

Grace włożyła ręce do kieszeni.

– Wolno spytać dlaczego?

– Od wielu lat było własnością rodziny mojego męża. Chciałabym przywrócić je rodzinie. Poza wszystkim nieruchomości w tak świetnym miejscu to znakomita inwestycja, jak się pani zapewne orientuje.

– Ale czy za podwójną cenę?

Pani Hiver przechyliła głowę niczym lew szacujący mniejsze zwierzątko, swoją potencjalną ofiarę.

– Cóż, powiedzmy, że wchodzi też w grę sentymenty.

– Sentymenty?

Yvonne Hiver wydobyła z torebki złotą papierośnicę.

– Uważa to pani za dziwne?

Wyjęła papierosa, Tissot podał jej ogień.

– *Merci*.

Wypuściła z ust smugę dymu, kierując ją ku sufitowi.

– Nie bawmy się w niedopowiedzenia – rzekła, spoglądając Grace prosto w oczy.

– Prawdopodobnie wie pani, że Eva d’Orsey znajdowała się w pewnym układzie z moim świętej pamięci mężem. W długoletnim układzie.

– Tak.

– A więc coś nas łączy, panią i mnie – stwierdziła pani Hiver, wzruszając lekko ramionami.

Grace zaniemówiła.

Niespodziewanie Yvonne Hiver wybuchnęła śmiechem.

– Tak łatwo panią zaszokować! To urocze, doprawdy. Trzeba jednak pani wiedzieć, że nie miałam do Ewy d’Orsey żadnych pretensji. Pełniła pewną rolę w życiu mojego męża, ktoś musiał ją pełnić, a tym samym była obecna również w moim

życiu. Rozgrywała to bardzo sprytnie, trzeba jej to przyznać. Trzymała się z boku, nie usiłowała zostać drugą żoną. Jednym słowem, знаła swoje miejsce.

– Swoje miejsce?

– Tak. – Pani Hiver znowu wypuściła smugę dymu z ust. – Czy ma pani dzieci?

– Nie.

– Gdy będzie je pani miała, niewątpliwie zatrudni pani nianię. Młodą osobę do opieki nad nimi, do zabawy i do nauki pierwszych liter, cyferek i dobrych manier... Wraca pani po południu do domu i dzieci szaleją z radości. Idzie pani z nimi na spacer do parku, dzieci są zachwycone, zachowują się nienagannie. Z kochanką jest podobnie. Kochanka zakasuje rękawy i bierze się do czarnej roboty. Udaje, że ten jegomość w średnim wieku jest fascynujący, wysłuchuje jego narzekań, podtrzymuje jego ego. Zaspokaja też jego potrzeby fizyczne. Na tym jednak koniec. On wraca do domu odświeżony, wdzięczny... i pełen skruchy. Żona może się zająć własnymi sprawami, bo wie, że potrzeby męża zostały zaspokojone gdzie indziej.

Tissot spojrział na Grace.

Zmieszana odwróciła wzrok. Czy tak ma się zachować w stosunku do Vanessy? Tak postępują ludzie w wielkim świecie?

– Chyba za bardzo dzisiaj panią szokuję – odezwała się pani Hiver. – Proszę mi wybaczyć. Pragnęłam jedynie zobrazować pani, że doceniałam rolę Evy. Zasłużyła się jeszcze w inny sposób. W czasie wojny zajęła się skutecznie tymi osobami, które przejęły wpływy w naszym przedsiębiorstwie.

– Ma pani na myśli Niemców?

Yvonne wypuściła wolno dym z ust.

– Tak, ich mam na myśli. W czasie okupacji trzeba było się z nimi jakoś ułożyć. Nikt jednak nie miał ochoty zapraszać ich do domu na kolację. Na szczęście była Eva. Taki piękny apartament stał się wtedy niezbędny. Niemcom bardzo się podobało, że zabawia ich kochanka właściciela firmy.

Yvonne nie spuszczała wzroku z Grace, ciekawa jej reakcji.

– To mieszkanie zapisało się w historii naszej rodziny na dobre i na złe. Jest częścią majątku Hiverów. A teraz chcę je mieć z powrotem.

Grace obracała w kieszeni zapalniczkę ojca. Świetnie wyczuwała ton głosu pani Hiver, jak również jej determinację, aczkolwiek wyrażoną bardzo subtelnie. Yvonne starała się ze wszystkich sił nie pokazać, jak bardzo jej zależy na transakcji, nie do końca jednak jej się to udało.

– Doceniam pani szczerść – powiedziała Grace. – Dziękuję za wyjaśnienie. Nie zdecydowałam jeszcze, co zrobię, zapewniam panią jednak, że rozważę jej ofertę z należytą uwagą.

Twarz pani Hiver nieco stężała. Najwyraźniej liczyła na więcej.

– Bardzo to uprzejme z pani strony. Zależy mi na przekazaniu mojemu synowi

całej nieuszczuplonej spuścizny Hiverów – powiedziała. Spuściła woalkę kapelusza na twarz. – *Au revoir, madame.*

– Wolno mi odprowadzić panią do auta? – zaoferował Tissot, otwierając drzwi.

– Oczywiście.

Już w drzwiach pani Hiver odezwała się jeszcze raz:

– Moja oferta jest naturalnie do negocjacji. Jeśli suma jest dla pani niewystarczająca...

– Pani oferta jest więcej niż hojna, zapewniam panią.

Pani Hiver obnażyła zęby w krótkim uśmiešku.

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę, iż oferta tego rodzaju nie będzie trwała wiecznie – powiedziała, po czym szybko skinęła głową i wyszła.

Grace natychmiast się rozprężyła. Dopiero teraz poczuła, że ma wyschnięte usta i że cały czas trzyma zaciśnięte pięści. Przeszła do kuchni i zaczerpnęła dłońmi wody z kranu. Rozejrzała się za ręcznikiem.

Nagle znieruchomiała.

Poczuła na szyi coś zimnego, niczym niewidzialne palce czy nagły przeciąg. Wzdrygnęła się.

Drzwiczki wszystkich kuchennych szafek były niedomknięte, szuflady niedosunięte, spiżarnia otwarta; jakby dopiero co ktoś pospiesznie czegoś w nich szukał.

Przeszła do salonu i wyjrzała przez okno.

Szofer wsiadł do auta, zatrzasnął drzwiczki i zapuścił silnik. Po chwili wielki czarny daimler wytoczył się z dziedzińca.

Późnym popołudniem tego samego dnia Grace zastukała znowu w czerwone drzwi w zaułku za rue Christine.

Rozległo się szczekanie psa, potem odgłos powolnych kroków w dół schodów. W wąskiej szczelinie drzwi ukazało się czarne oko.

– Dzień dobry pani, madame Zed.

– Dzień dobry. – Starsza pani otworzyła drzwi trochę szerzej. – Prawie pani nie poznałam; zmieniła pani fryzurę!

Grace uśmiechnęła się niepewnie.

– Tak, właśnie.

– Coś podobnego! – Z aprobowującym gestem głowy madame wpuściła ją do środka.

– Cóż za ciekawy kontratak!

– Kontratak? Przeciw czemu?

– Przeciw losowi, moja droga.

Przeszły schodami na piętro do salonu.

– Czyżbym wiodła wojnę z losem?

– To jak w tangu, nie uważa pani? Raz ruch pełen dramatu, raz bardzo spokojny,

zawsze jednak w środku kilka mocnych zwrotów.

Madame Zed wskazała Grace fotel.

– Na tym polega moda. Wyzywa się to, co się otrzymało od losu. Gdy kobieta zmienia fryzurę, to jakby rzucała wyzwanie losowi. Nie, nie idę tą drogą, jestem kim innym.

Madame Zed zasiadła w swym fotelu.

– Najwyraźniej zdecydowała pani, że jej dotychczasowe życie już przebrzmiało.

– Być może – przyznała Grace.

– To dobrze. Kobieta, która przestaje dbać o wygląd, porzuca więcej niż tylko modę, ona porzuca życie.

Rozległ się szum czajnika, w którym właśnie zagotowała się woda.

– Robię herbatę. – Madame Zed wstała. – Ma pani ochotę napić się herbaty?

– Bardzo chętnie, dziękuję.

Po kilku minutach madame wróciła z tacą, którą postawiła na stoliku między fotelami. Nalała herbaty do filiżanek.

– Z mlekiem czy z cytryną?

– Z mlekiem, proszę.

– Paryż pani służy. – Madame podała jej dzbanuszek z mlekiem.

– Dziękuję. Przepraszam, że sprawiam pani kłopot. Zdaję sobie sprawę, że zawracam głowę, ale wciąż brakuje mi odpowiedzi na wiele pytań. Wspomniała pani, że jacyś mężczyźni włamali się do sklepu... że przyjechali czarnym autem?

– Tak.

– Zabrali coś?

– Nie wiem. Chyba ich spłoszyłam, zanim zdążyli znaleźć to, czego szukali.

– Znaleźć to, czego szukali? Dlaczego tak pani uważa?

– Przeszukiwali szuflady i teczki. Zwyczajni złodzieje chwyciliby po prostu wszystko jedno co z brzegu.

– A czego według pani szukali? I kto to był?

– Trudno powiedzieć. Z pewnością jednak nie każdy złodziej porusza się bardzo drogim autem. Czy pani spadek obejmuje coś jeszcze oprócz mieszkania? – spytała, rzucając Grace spojrzenie z ukosa.

Grace pamiętała, że już raz madame o to pytała.

– Tak, akcje.

– Nic więcej? – nalegała madame. – Żadnych listów czy innych papierów?

– Nie. Dlaczego pani pyta?

– Bez specjalnego powodu, tak tylko. Nie dziwię się wcale, że Eva inwestowała w akcje – powiedziała, zmieniając trochę temat. – Zawsze miała głowę do interesów. Nawet gdy była w kiepskiej formie, dobrze jej w tym szło.

Grace podniosła filiżankę do ust, lecz poczuła nagle jakiś niemiły zapach. Mleko

było skwaśniałe. Odstawiła dyskretnie filiżankę na stół.

– Co pani ma na myśli, mówiąc „w kiepskiej formie”?

Madame usiadła wygodniej w fotelu.

– Za dużo piła. „Czuję, jak kawałek szkła wbija mi się w mózg”, powiadała. „Nie mogę się go pozbyć”.

– Może to ją zabiło?

– Nie zdziwiłabym się. Niektórzy potrafią zachowywać się całkowicie normalnie, nigdy się nie potykają, nie połykają słów, mimo że cały czas są wstawieni. Eva się do nich zaliczała. Ale, jak mówię, zawsze dbała o interesy. Wiedziała, jak się robi pieniądze.

– Czy mogłaby pani powiedzieć mi o niej coś więcej?

Madame upiła łyk herbaty.

– Pamięć mnie już trochę zawodzi.

– Ostatnim razem opowiadała pani o tym, jak Eva wyjechała z Nowego Jorku razem z Lambertem – przypomniała jej Grace. – A pani z Valmontem pojechała do Maroka.

Madame odstawiła filiżankę.

– A, tak. Podróżowaliśmy po świecie i straciliśmy Evę z oczu. Valmont wspaniale rozwijał swój kunszt. Jakby nabrał pewności. Jeździliśmy po całych Indiach, zbierając rzadkie absoluty. Nagle zachorowałam. Zapalenie opon mózgowych. Musieliśmy wrócić do Paryża. Nie mogłam już pracować, on koniecznie chciał założyć własną firmę. Tylko że André nie przypominał innych ludzi – westchnęła madame.

– Jak się to manifestowało?

– Nie umiał zawiązywać normalnych stosunków z ludźmi. Ilekroć umówiłam go z jakąś przedniej rangi paryską firmą perfumierską, zawsze coś popsuł przez swój arogancki i pyszny sposób bycia. Nie robił tego celowo, po prostu był nieobyty towarzysko. Obchodziła go tylko praca. Zebrałam wszystkie swoje oszczędności i zainwestowałam w tę kamienicę, żeby otworzył tu firmę. Ale nawet jako swój własny szef potrafił zrazić innych do siebie. Klienci go unikali. Poza tym nie miał gustu ani szyku. Sklep robił wrażenie pracowni chemicznej. Wysłałam go w końcu na Lazurowe Wybrzeże, w samym środku sezonu, by się trochę otrząsał, wyrobił stosunki w towarzystwie i zdobył potencjalnych klientów. Nie mogłam jechać razem z nim, bo wciąż jeszcze nie doszłam do siebie po chorobie.

Wszystko zapewne skończyłoby się fiaskiem, gdyby nie Eva. Razem z Lambertem, który skrócił sobie nazwisko na Lamb, przebywali na Riwierze. Evę nazywał Dorsey, lubował się bowiem w przezwiskach, jak to Anglik. A ona stała się dojrzałą dziewczyną o pięknej figurze.

Madame umikła na chwilę, przywołując przed oczy obrazy z przeszłości.

– Była wspaniała w każdym calu, emanowała erotyzmem. W ruchach, w stroju.

Lecz należała do tego Anglika. Była jego maskotką. Wszyscy wiedzieli, że to alkoholik. Eva przewyższała go pod każdym względem, ale, niestety, wpadła w pułapkę.

– W pułapkę? Jakim sposobem?

Madame Zed umocowała papierosa w lufce. Przypaliła i zaciągnęła się głęboko.

– Ten Anglik usidlił ją nie mocą pieniędzy czy poczuciem lojalności. I nawet nie miłością.



---

## Monte Carlo

### hotel Hermitage, 1932

---

– Dzień dobry panu – odezwał się odzwierny z ukłonem. – Witamy w hotelu Hermitage.

– Dziękuję – odpowiedział Valmont. Przeszedł do ogromnego holu o złotym wystroju, gdzie już od rana toczyło się bujne życie. Przyjeżdżano i wyjeżdżano, posłańcy dostarczali kwiaty, pokojowi zajmowali się bagażami i organizowaniem rezerwacji w jadalni, szykowne damy w kapeluszach z woalkami przysiadły niedbale na wybitych różowym jedwabiem kanapkach, zdejmując powoli białe rękawiczki i popalając tureckie papierosy o złotych ustnikach.

Valmont taksował towarzystwo z niechęcią. Oto kobiety, które ma zdobyć. Bogate, leniwe, drapieżne żony tudzież kochanki z paryskiej elity. Przyjeżdżały do Monte Carlo na ruletkę, na plotki i na plażę. Znaleźć nowego kochanka, wymienić garderobę na najmodniejszą trzy miesiące wcześniej, niż zrobi to reszta Paryża. Valmont dostarczy im jeszcze rzadszej okazji, by się wyróżnić spośród innych, a mianowicie perfum stworzonych na osobiste zamówienie, jedynych w swoim rodzaju, których nikt inny nie będzie miał.

Taki przynajmniej był plan.

Wziął głęboki oddech i wsadził ręce do kieszeni. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy, jak bardzo jest spięty.

Nienawidził takich miejsc w niemal równym stopniu, jak nienawidził ludzi, którzy w podobnych miejscach przebywali. Stanowili klub, do którego trudno się było dostać nawet z pieniędzmi. Ktoś taki jak on mógł tylko o tym marzyć, tak jak marzyć można o skrzydłach do latania.

Przybył tu w desperacji, szukając ratunku dla swego sklepiku w Saint-Germain, który prawie już zbankrutował, choć powstał niedawno. Brakowało mu klienteli, popadał w coraz większe długi. Gwałtownie potrzebował ratunku.

To madame Zed pchnęła go do Monte Carlo. Zainwestowała w Valmonta, lecz ten nie spełnił jej oczekiwań. Sam był sobie winny i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Czy musisz być taki niegrzeczny dla ludzi? – narzekała. – Ile razy mam ci to powtarzać? Nie można obrażać tych, którzy ci płacą!

Wiedział, że madame ma rację.

Nie potrafił jednak skrywać pogardy dla świata, gdy ten nie od razu doceniał jego

talent. Oczywiście zdawał sobie niejasno sprawę z tego, że jego arogancja maskowała jedynie niepewność siebie i strach przed odrzuceniem. Łatwiej było z góry uznać ludzi za głupców, jednak to podejście nie przynosiło pieniędzy. W gruncie rzeczy Valmont żył w ciągłym lęku, gdyż nie potrafił odnaleźć swego miejsca w wyrafinowanym świecie mody i bogactwa.

Teraz, na tym sławnym targowisku próżności, był sam.

Chłopiec hotelowy wniósł walizkę do recepcji, Valmont podążył za nim, zirytowany hałasem panującym w marmurowym holu. Miał za sobą tylko kilka godzin snu, gdyż prawie całą noc bił się z myślami, czy jechać na południe, czy nie. Pragnął odpocząć.

Wydawało mu się, że oczy hotelowych gości palą i wbijają mu się w plecy, że wszyscy widzą jego nieświeże znoszone ubranie i starą walizkę. Co gorsza, na każdym kroku czuł coraz to nowe mieszanki woni, kreacje perfumiarzy rywali. Kwiat pomarańczy z *L'Heure Bleue* walczył z głębokim jaśminem i nutą cytusową *Chypre Coty*'ego, a oba zapachy tonęły w mętnych głębiach *Arpège*, zderzających się gwałtownie z przesadzonym przepychem Wschodu perfum *Mitsouko*. Jak gdyby cztery orkiestry grały w bliskim sąsiedztwie cztery zupełnie różne symfonie.

Zawsze dziwił go brak wyobraźni u kobiet. Używać tych samych perfum co każda inna to jakby pokazywać się w identycznej sukni. A jednak było to powszechne zjawisko. Nie mógł również pojąć, jak można stosować te same perfumy codziennie, dzień w dzień. To jakby jeść codziennie tę samą potrawę, w dodatku na śniadanie, obiad i kolację.

Cóż to za idiotki! Gdyby tylko mógł stąd uciec! Wrócić na stację i wskoczyć do pociągu.

– Czym mogę panu służyć? – spytał portier chłodno.

– Jestem André Valmont. Zamówiłem pokój na dwa tygodnie.

– Ach tak? – Portier rzucił okiem w książkę rejestracyjną. – Istotnie, jest. Jeden z naszych mniejszych pokoi. Bez widoku na morze.

Valmont zmrużył oczy. Już miał coś powiedzieć, lecz się powstrzymał.

– Sprawdź, czy pański pokój jest gotowy.

Portier się oddalił, zostawiając Valmonta w stanie przygnębienia. Przestał dostrzegać otoczenie, zatapiał się jak zwykle w swój własny świat.

Z windy po drugiej stronie holu wyszła młoda kobieta. Valmont bezwiednie podążył za nią wzrokiem. Szła lekko i płynnie, sylwetkę miała idealną, co było widać nawet spod miękkich fałd białej letniej sukni. Być może była to dobrze przemyślana kreacja; niewinna i prowokacyjna jednocześnie, choć w zawoalowany sposób. Spodobało mu się to. Dziewczyna była drobna, niewielkiego wzrostu, a jednak przyciągała wzrok, biło od niej poczucie pewności siebie, przekonanie o własnej atrakcyjności. Twarz też miała niezwykłą, o wielkich kocich oczach i pełnych ustach

z błakającym się na nich delikatnym uśmiechem, jakby przypominała sobie jakiś prywatny żart. Czarne włosy, zaczesane do tyłu, tworzyły jakby miękką aureolę wokół głowy. W rękę trzymała niewielką plecioną torebkę, kołyszącą się w rytm jej kroków.

Portier uśmiechnął się promiennie na jej widok.

– Czym mogę pani służyć, mademoiselle?

– François, proszę mi powiedzieć, że będzie dzisiaj padać.

– Ach! – wykrzyknął portier z uśmiechem. Najwyraźniej prowadzili podobne rozmowy wiele razy.

– Muszę z żalem panią poinformować, że prognoza przewiduje jedynie słońce.

– Nieustanne słońce, chciałeś powiedzieć – poprawiła go.

– Zgadza się, mademoiselle, nieustanne słońce.

Dziewczyna podeszła bliżej, Valmont poczuł nagle jej zapach. Była to oryginalna, jedyna w swoim rodzaju mieszanka naturalnej woni jej skóry z czymś jeszcze; razem tworzyły jakieś kwaśnawe ciepło, tak wyrafinowane, że poczuł nagły apetyt.

– François, ja marzę o deszczu.

– Oczywiście, mademoiselle.

– Do kogo mam się z tym zwrócić?

– Do Boga, mademoiselle.

– Och – westchnęła. – Ostatnio nie rozmawiamy ze sobą.

– Codziennie pyta mnie pani o prognozę pogody i codziennie czeka pani na deszcz. Czemu?

– Bo to wieczne słońce jest pozbawione finezji. Nie można prowadzić poważnych rozmów przy brzegu basenu. Tęsknię za grzmotami, za pochmurnym niebem i za nagłą odświeżającą ulewą!

Znowu westchnęła.

– Ma pani wyjątkowe upodobania – orzekł François.

– A poza tym – dodała dziewczyna – nie ma nic gorszego niż być nieszczęśliwym w czasie słonecznej pogody.

Wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne.

– Potrzebuję deszczu, François, więc postaraj się, proszę.

Z tymi słowami odwróciła się i skierowała ku wyjściu.

Portier i Valmont patrzyli za nią.

– Kto to jest? – spytał Valmont.

– Panna Dorsey. Podróżuje w towarzystwie Anglika nazwiskiem Lamb. Z Londynu. W Londynie podobno często pada.

– Tak, to prawda.

Recepcjonista powrócił z kluczem.

– Marcel zaprowadzi pana do pokoju.

Valmont skierował się za chłopcem do windy.

W panie Dorsey rozpoznał coś znajomego. W jej głosie i w zapachu.

Zaczął się zastanawiać, czy można by stworzyć perfumy o zapachu chodnika zaraz po ulewnym deszczu, wilgotnym i gorącym jednocześnie. Ciekawa rzecz, dwa różne stany niczym dwa skrajne uczucia, bliskie, a dążące przecież w przeciwnych kierunkach.

Wszedł do windy, drzwi się zamknęły, oddzielając go od gwaru panującego w holu.

Uczucie irytacji i znużenia zniknęło. Zaczęła pracować wyobraźnia. Rozważał już kolejne możliwości, nowe warianty i mieszanki. Dziewczyna w holu bezwiednie postawiła przed nim zadanie, któremu zamierzał sprostać.

Ujrzał ją znowu za trzy dni, po kolacji.

Stał w drzwiach do wielkiej hotelowej sali balowej zatłoczonej gośćmi.

Siedziała przy stoliku w towarzystwie sześciu innych osób. Przygrywała orkiestra, wiele par tańczyło, kelnerzy uwijali się z tacami szampana i półmiskami ostryg i kawioru.

Dziewczyna miała na sobie prostą sukienkę w kolorze srebra, skrojoną tak, że niczego nie odsłaniając, pokazywała dokładnie zarys jej ciała. Żadnej biżuterii, a na ustach jedynie delikatną smugę jasnej pomadki. Krótkie czarne włosy wydawały się potargane przez wiatr. Inne kobiety przy stoliku opływały w perły i brylanty, twarze miały uszminowane i włosy pięknie ufryzowane; ona odbijała się czarującą, trochę dziką naturalnością. Odróżniała się od nich całkowitym brakiem pozy.

Zanosila się śmiechem, zabawiając się składaniem serwetek w kapelusiki dla francuskiego ministra spraw wewnętrznych i jego żony i przeplatając w rozmowie angielski z francuskim. Nagle zaczęła śpiewać tradycyjną piosenkę urodzinową, co podchwycili goście przy okolicznych stolikach oraz orkiestra. Valmont domyślił się, że minister obchodzi urodziny, odpowiadało mu takie wytłumaczenie.

Zatrzymał jednego z kelnerów i wydał mu polecenie, podając chusteczkę z górnej kieszeni smokinga.

Kelner ruszył przez zatłoczoną salę ku stolikowi mademoiselle Dorsey.

Doręczył chusteczkę i wyjaśnił, od kogo ją przynosi.

Valmont, oparty o kolumienkę, z zapalonym papierosem w dłoni, czekał.

Dziewczyna podniosła się z miejsca i podeszła do niego, przesuając się zgrabnie wśród tłumu gości.

– Przysłał mi pan chusteczkę – odezwała się, patrząc na niego zielonymi oczyma. Skinął głową.

– Czy powąchała ją pani może, mademoiselle?

Podniosła ją do twarzy, marszcząc przy tym czoło. Twarz jej nagle się odmieniła.

– Deszcz!

Valmont zaciągnął się papierosem.

– Mówiąc dokładnie, letni deszcz spadający na rozgrzany chodnik. Ale nie spierajmy się o szczegóły.

Znowu przyłożyła twarz do chusteczki.

– Zesłał pan deszcz – powiedziała ciepłym pełnym zachwytu głosem.

– Każdy potrzebuje odpoczynku od upału.

– Tak.

Patrzyła na niego z półuśmiechem na ustach.

– A gdzie reszta moich burzowych chmur?

– We flakonie, na górze.

– Jakiej pan żąda zapłaty za ten flakon?

– Och, nie wiem. Warunki do negocjacji, Evo.

Przechyliła głowę na bok.

– Znam pana, prawda?

– Tak łatwo jest mnie zapomnieć?

Eva wyjęła papierosa z jego ręki, zaciągnęła się i oddała mu go z powrotem.

– Bardzo bym chciała ujrzeć ten flakon z deszczem, monsieur Valmont.

Valmontowi zabiło mocniej serce.

– A co z pani towarzystwem?

– Dadzą sobie radę beze mnie.

Podał jej ramię. Poczuł, jak całe jego ciało przenika jej bliskość, jej ciepło.

Gorąca noc potęgowała jej naturalny zapach; czuł każdą jego cząstkę, każdy niuans.

Weszli do pokoiku Valmonta. Przez rozsunięte zasłony wdzieriała się do wnętrza błękitna poświata, odbita od blasku rozściełającego się w dole Monte Carlo.

Sięgnął do kontaktu, by zapalić lampy, lecz go powstrzymała.

– Wolę tak, jak jest teraz.

Nie czekając na zaproszenie, wtuliła się w róg łóżka, układając naokoło siebie poduszki.

Valmont przysunął do łóżka krzesło i usiadł, nie bardzo wiedząc, jaki ma uczynić dalszy krok.

To nie była już dziewczynka spotkana niegdyś w Nowym Jorku. To była piękna dorosła kobieta, jakich nie gościł zazwyczaj w swojej paryskiej sypialni. Nie mógł się z nią równać pewnością siebie i obyciem.

Znowu wyciągnął z kieszeni papierośnicę i przypalił papierosa, starając się, by miało to posmak niedbałości.

– Nie od razu cię rozpoznałem. Pomyślałem sobie, znam tę dziewczynę, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd.

Przeciągnęła się.

– Przyjmuję to jako komplement. A co porabiałeś przez te lata, poza tworzeniem dla mnie deszczowych chmur? – spytała z uśmiechem.

– Jestem perfumiarzem, to chyba jasne. – Zaciągnął się papierosem. – Bez wątplenia najlepszym w Paryżu.

– Oczywiście! – roześmiała się Eva. – Jak mogłabym w to wątpić? Tylko jak to się stało, że nigdy o tobie nie słyszałam?

Trafiła w czuły punkt. Valmont wyprostował się na krześle.

– Mam własny sklep w Saint-Germain.

– Brawo! To był pomysł madame?

– Może.

– A co u niej słychać? Cóż to była za niesłychana postać! A jak idą interesy najlepszemu paryskiemu perfumiarzowi?

– Cieszy się wielkim sukcesem.

Eva powiodła wzrokiem wokół skromnego pokoiku.

– A mimo to lubisz żyć skromnie, jakie to odświeżające!

Valmont poczuł, że się czerwieni, rad był z panującego w pokoju mroku.

– Przeprowadziłeś mnie tu, bo chcesz mnie uwieść? – spytała Eva niskim miękkim głosem.

– Nie, skądże znowu!

– Naprawdę? – spytała rozczarowana lub też udając rozczarowanie. – Nic cię nie obchodzi?

– Och, tak. Mam na myśli, nie chciałem sugerować... tylko że... nie mam zbyt dużego doświadczenia w tych sprawach... Poświęciłem tyle czasu interesom. Budowaniu kariery.

– W takim razie co ja tu robię?

Zmienił nerwowo pozycję, założył nogę na nogę.

– Ty... wyznam ci, że dosłyszałem mimo woli, jak zamawiałaś u portiera deszcz, co mnie zainspirowało.

– Nie pierwszy raz stworzyłeś perfumy specjalnie dla mnie – przypomniała mu.

– Nie, nie pierwszy raz.

– Masz nadzieję mi je sprzedać?

To bezpośrednie pytanie zbiło go z pantofelku. Poczuł, że ona przenika go na wskroś, że niczego nie może przed nią ukryć.

– To znaczy... nie miałem tego na myśli... nie całkiem...

Przechyliła głowę.

– Czemu nie?

Eva przewyższała go pewnością siebie, nie czuła żadnego onieśmienia czy zażenowania.

Valmont wycofał się na znane sobie terytorium. Wyjął z sakwojaza mały flakonik

perfum.

– Chcesz wiedzieć, jak je stworzyłem? – starał się nadać głosowi profesjonalny, mocny ton.

– Och, André! – wykrzyknęła Eva. – Nie jesteś ze mną szczery, prawda? Rozumiem cię. Nie możemy sobie na to pozwolić, prawda?

– O co ci chodzi? – Spojrzał jej prosto w oczy, iskrzące się w ciemności rozświetlonej blaskiem miejskich świateł.

– Mów mi prawdę. Zawrzyjmy umowę: jeśli ty będziesz ze mną szczery, ja też będę z tobą szczerą. Wierz mi, niewielu ludziom na tym świecie w pełni ufam.

Valmont wahał się przez moment. Jednak pokusa, by się komuś zwierzyć, zwyciężyła.

– Sklep źle mi idzie – wydusił z siebie. – Nie umiem niczego sprzedać, zwłaszcza perfum, których jeszcze nie stworzyłem. Bo nie znoszę ludzi, taka jest prawda. Nigdy ich nie znosiłem.

– Słucham – zachęciła go Eva.

– Nie cierpię tych pustych pogaduszek. Nie toleruję głupców. Nie potrafię siedzieć i gadać o niczym.

– Coś takiego!

Mimo woli Valmont się uśmiechnął, gdyż Eva jak zwykle wyczuwała go lepiej niż on sam siebie. Rozluźnił się trochę i zaciągnął głęboko papierosem.

– W perfumiarstwie najbardziej irytującym dla mnie elementem jest klient. Rzecz w tym, że tylko wtedy mogę stworzyć coś naprawdę wartościowego, gdy coś mnie w kliencie poruszy, tak jak to było z tobą. Mam sklep, ale nie cierpię tych, co tam przychodzą. Czy to nie szaleństwo? A teraz zjawiłem się w Monte Carlo, by niemal prostytuować się z ludźmi, których w ogóle nie szanuję. Nie mam pieniędzy. Nie mam czasu. I sam się nienawidzę za to, co przyjdzie mi tu robić.

– Ojej! – Eva się zaśmiała, odchylając głowę do tyłu. – Cóż za tragiczna opowieść!

Sarkazm dziewczyny w mgnieniu oka przywrócił sytuacji właściwe proporcje i Valmont również zaczął się śmiać.

Eva rozłożyła szeroko ramiona.

– Witaj w burdelu, mój drogi André! Problem nie polega na tym, że musisz się prostytuować, ale na tym, że nie potrafisz tego robić dobrze. Potrzebujesz tych ludzi, a oni potrzebują ciebie, nawet jeśli tego nie wiedzą. Jeżeli jednak mają ci zapłacić za połknięcie żaby, musisz się nauczyć, jak się przy tym nie zakrztusić.

Zaszokowany jej wypowiedzią Valmont zakaszłał, podrażniony papierosowym dymem.

– Musisz się nauczyć sztuki uwodzenia – ciągnęła. – prostytutkom nie płaci się za rozterki. Reguła jest jedna: wszystko od ciebie kupię, pod warunkiem że mnie

będziesz wielbił.

– Ależ...ja... ja się na tym nie znam. I nie chcę się znać. Umiem tylko robić perfumy.

– Być może, ale ja się znam. Powiem ci coś. Otóż rozumiem twoją arogancję, gdyż rzeczywiście jesteś geniuszem. Przy odrobinie wysiłku i stosując się do właściwych rad, mógłbyś z łatwością zostać najlepszym perfumiarzem Paryża.

– Naprawdę?

Bardzo w siebie wątpił, więc jej słowa podziałały kojąco na jego duszę.

– Znam się na tych ludziach. Znam ich zwyczaje i sekrety, jak myślą i jak czują, znam też ich wszystkie słabostki. Uwierz mi, to nie są typy skomplikowane psychologicznie. Zaufaj mi, André.

– Dlaczego masz mi pomagać?

– Dlatego że – tu jej głos stał się nagle czuły i melancholijny – zesłałeś deszcz.

Valmont wlepił w nią oczy.

– A ty, co ty tu robisz? I w jaki sposób stałaś się tak... tak niezwykła?

Eva zesła z łóżka. Wystarczył niewielki ruch ramion, by sukienka zsunęła się na podłogę. Nic więcej na sobie nie miała, jedynie srebrne sandały, które zrzuciła ze stóp. Podeszła do niego blisko. Jej skóra lśniła jak biały marmur.

Valmont odważył się lekko dotknąć jej pleców.

– Evo...

Podniosła palec do ust.

– Szszsz!

Pocałowała go. Valmont poczuł, że budzi się w nim nieznane pożądanie.

Przyciągnął ją do siebie, wtulił twarz w zagłębienie szyi. Wdychał jej zapach, napawał się woniami jej skóry, jak gdyby to były kolorowe, rozległe krajobrazy.

Siedziała na kanapce w okiennym wykuszu, paląc papierosa.

– A więc co tu właściwie robisz? – spytał Valmont z głębi łóżka, podpierając się na łokciu. – Z kim podróżujesz? Mam nadzieję, że nie z mężem.

– Nie, on nie jest moim mężem. Jest tylko współnikiem.

– Wspólnikiem? – zdziwił się Valmont, naciągając prześcieradło. – Co to znaczy?

Eva wypuściła dym z papierosa.

– Pracujemy razem. Nazywa się Lambert, choć tutaj zwie się Lamb. To on nauczył mnie zawodu.

André znów się zdziwił.

– Masz jakiś zawód?

Przypuszczał, że Eva jest jedynie czyjąś kochanką bądź utrzymanką.

– Powątpiewasz? Nie ty jeden przyjeżdżasz do Monte Carlo w interesach. Tu wszyscy załatwiają jakieś interesy – żigolaki, prostytutki, komiwojażerowie, kombinatory, snobi, ludzie starający się o lepszą pozycję w towarzystwie.



– To istna kloaka!

Eva wzruszyła ramionami.

– Ludzie otaczający bogaczy, po prostu. Jeśli chodzi o mnie, posiadam liczne umiejętności. Głównie jednak liczę karty.

– Przepraszam?

– Gram zawodowo w karty.

– Zawodowo w karty! – instynktownie stłumił śmiech.

Zaszokowała go.

– Ludzie naprawdę się tym zajmują?

– Ludzie uprawiają hazard bez przerwy. Ale tylko niektórzy potrafią przekształcić to w zawód.

– Ty też?

Skinęła głową.

– Dziwisz się?

– Szczerze mówiąc, owszem.

– Świetnie! O to właśnie chodzi. Z Lambem wszystko idzie jak z płatka.

– Doprawdy? W czym to on jest taki nadzwyczajny? – dopytywał się Valmont, czując wzbierającą w nim niechęć do tego mężczyzny.

– A więc – Eva ziewnęła i z lubością się przeciągnęła – gdybym miała sama siedzieć całą noc przy stoliku i wciąż wygrywać, to skończyłabym w więzieniu albo w grobie, ale z takim partnerem jak Lamb udaje się zachować w całej tej naszej strategii pozory naturalności i wiarygodności.

– W pojedynkę nie jesteś wiarygodna?

– W kasynie kobieta zawsze wygląda podejrzanie, zwłaszcza jeśli wygrywa. Moją rolą jest sprawić, by obecni odwrócili uwagę od Lamba. A zauważyłeś chyba, że przykuwam uwagę.

– Tak, zauważyłem.

– Lamb natomiast sprawia wrażenie, jakby urodził się przy karcianym stoliku.

Valmont skrzyżował ramiona na piersiach.

– Jak to w praktyce wygląda, ta wasza spółka?

– To zależy. Mamy umówione różne kody i systemy. Używamy tych, które wydają się nam odpowiednie do danej sytuacji. Podstawowy kanon jest prosty. Lamb siada do gry. Popija przy tym, i to dużo. Gdy ja się zjawiam, on jest już na przegranej pozycji i w dodatku na tyle pijany, że z trudem może iść, a co dopiero oszukiwać w grze. Dla widzów ja jestem ta ładna głupiutka, a on pijak. Nikt nie podejrzewa, że to ja kontroluję sytuację. W dwóch rozdaniach jestem w stanie odzyskać całą jego przegraną, a w trzech wysuwamy się do przodu. Rzadko zostajemy na czwarte rozdanie, bo w czwartym... w czwartym mogę wyjść za daleko i można by nas przyłapać. Wyznajemy więc zasadę: wygrywać niedużo, ale często, tak by nie musieć

się przedwcześnie zwijać z kasyna. Uważają mnie za jego maskotkę. Nikt nie podejrzewa, że dziewczyna może mieć tyle sprytu.

– A on, Lamb... jest też twoim kochankiem?

Eva prychnęła i roześmiała się.

– Ależ jesteś romantyczny!

Irytacja Valmonta wzrosła, zwłaszcza że i tak czuł nieracjonalną zazdrość o Evę.

– Co masz na myśli?

– Bo nie o to chodzi. Poza tym nie udawaj zazdrośnika. Nie jest ci z tym do twarzy.

Eva przeciągnęła się jeszcze raz.

– Jesteśmy związani zawodowym układem. On zaopiekował się mną, gdy nie wiedziałam, gdzie się podziać. Mam wobec niego dług wdzięczności.

– Jak duży?

– Słucham?

– Jak duży jest ten dług? Kiedy go spłacisz? – napierał Valmont.

Eva odwróciła się i zgmiotła niedopałek w popielniczkę.

– To jest jeszcze sprawa do dyskusji – odrzekła spokojnie.

Włożyła suknię.

– Muszę wracać do kasyna. Pewnie już przegrywa, i to grubo, co oczywiście dla nas lepiej.

– Kiedy się zobaczymy?

– Nie zniknę. Nie obawiaj się.

Wsunęła sandaalki na stopy, podniosła ze stolika torebkę.

– A tymczasem nie wdawaj się w żadne rozmowy. Rozumiesz? Nie przedstawiaj się nikomu, nie zaczynaj pogawędek przy basenie, nic z tych rzeczy. Dąsaj się jak zawsze.

– O jakich dąsach mówisz? Wcale się nie dąsam. – Valmont zmarszczył czoło.

– Ale ja chcę, żebyś się dąsał – odrzekła Eva z uśmiechem.

Przysiadła na brzegu łóżka i pogłaskała go lekko.

– Musisz przede wszystkim zrozumieć, że ludzie zamożni i uprzywilejowani są jak dzieci, pragną tylko tego, czego nie mogą mieć. Jeśli zgadną, że chcesz im coś sprzedać, spławią cię od razu.

– Co mam w takim razie robić?

– Z nikim nie rozmawiaj. Gdy ktoś cię zechce zagadnąć, schodź mu z drogi. Ci ludzie są przyzwyczajeni do umizgów i służalczości, uważają je za coś oczywistego, nie znoszą natomiast, gdy nie zwraca się na nich uwagi. Sprawiaj więc wrażenie, że nic cię nie obchodzi, że chcesz mieć święty spokój.

Podniosła się.

– Resztę zostaw mnie. Musimy tylko jak najprędzej pójść do krawca.

– Niestety – Valmont pokręcił stanowczo głową – nie mam pieniędzy na nowe ubrania.

– André, to jest następna rzecz, którą musisz zrozumieć: nie sprzedajesz perfum, tylko siebie. Swój wizerunek ekscentrycznego geniusza. Musisz się wyróżniać z tłumu, musisz dobrze wyglądać. Jak będę mogła ci pomóc, skoro nie chcesz słuchać moich rad?

– Jesteś taka inna niż kiedyś – rzekł Valmont, znów zadziwiony jej przemianą.

Eva otworzyła drzwi. Światło dobiegające z korytarza rozbłysło na jej czarnych włosach niczym ogień.

– Każdy jest inny niż kiedyś – odparła.

Kasyno w Monte Carlo z jego lśniącym złożonym plafonem i bogatymi zdobieniami dowodziło triumfu stylu belle époque. Wieczorem pod ogromną kopułą sufitu zbierało się całe miejscowe i przyjezdne towarzystwo, łącznie z pewną uroczą, choć kapryśną młodą panną i jej tragicznie zepsutym angielskim opiekunem.

Z dalekiego miejsca przy barze Valmont mógł obserwować, jak Eva rozsiewa swe czary.

Przy karcianych stołach zachowywała się dokładnie tak, jak mu to opisała. Zdawała się prawie nie zwracać uwagi na Lamberta i sprawiała wrażenie przedwcześnie rozbudzonej seksualnie, niepoprawnej dzierlatki. Tylko od czasu do czasu wypijała łyk z jego kieliszka bądź bębniła niecierpliwie palcami po blacie, gdy on wpatrywał się w swoje karty trzymane w rękę. Głównie flirtowała, tańczyła, opowiadała nieprzyzwoite żarty. Niekiedy Lamb ją uciszał bądź prosił, by sobie poszła. Nie zwracała na to uwagi. Valmont wiedział teraz, że te jej wybryki były w istocie precyzyjnymi sygnałami dla Lamberta.

Sukces całego przedsięwzięcia w ogromnej mierze zależał od reputacji Lamba. Znany jako skończony alkoholik regularnie przegrywał wielkie sumy, gdyż gubił się w kartach, co sprawiało, że niewielu graczy traktowało go poważnie. Po czym, gdy już zdawał się być w beznadziejnej sytuacji i Eva błagała go, by przerwał, robił jakiś wspaniały ruch i wygrywał.

Wtedy ona ciągnęła go prawie nieprzytomnego do hotelu.

Tego wieczoru niby w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Jedyne Valmont, wtajemniczony w strategię, mógł zauważyć, jak świetnie ta dwójka jest ze sobą zestrojona. Eva grała rolę czarującej trzpiotki zapatrzonej we własne wdzięki, a Lamb – zniecierpliwionego jej głupstwami gracza usiłującego się skupić. Trudno doprawdy byłoby zgadnąć, że co wieczór wychodził im ten sam numer. Eva żadnym gestem nie zbacała z wytkniętej drogi, nie traciła nigdy koncentracji koniecznej do osiągnięcia pożądanego celu.

Gdy znowu się spotkali, Valmont pogratulował jej sztuki.

– Tylko ty o tym wiesz, André – westchnęła. – Znudziło mi się już odgrywanie

idiotki. Potrzebuję nowego zwycięstwa. Stwórzmy z ciebie sławę, co ty na to?

I tak się stało.

Przez cały następny tydzień Eva pracowała nad tym, by zauważono Valmonta i dostrzeżono w nim jakąś niezwykłą tajemniczą postać. Gdy tylko pojawiał się w holu czy w jadalni, zaczynała szeptać znajomym do ucha coś na jego temat, a on, stosując się do jej instrukcji, ignorował wszystkich z wyjątkiem, by zasiąść samotnie przy stoliku w rogu.

Zaprowadziła go do pewnego młodego adepta sztuki krawieckiej, który uszył mu parę dobrze skrojonych czarnych spodni i dwie koszule z ciemnoszarego jedwabiu.

– Jeśli nie możesz się dopasować, staraj się czymś wyróżnić – powiedziała z uśmiechem, wygładzając mu koszulę na ramieniu.

Ciemne kolory i prosty krój sprawiły, że Valmont wyglądał na wyższego, bardziej szykownego, nowoczesnego.

– Każdy może nosić elegancki garnitur, ale dopiero prostota robi wrażenie. Bardzo mi się podoba, że teraz wyglądasz, jakbyś niczym się nie przejmował. Wszyscy inni przy tobie tracą styl.

Chciał się jej odwdziaczyć.

– Pokażę ci coś czarownego.

Pojechali pociągiem do Grasse oglądać uprawy jaśminu. Wymknęli się z hotelu wczesnym rankiem jak para urwisów, w pociągu wzięli trzecią klasę. Grasse stanowiło dla Valmonta miejsce nieomal święte.

– Nauczę cię, jak się powinno używać zmysłu powonienia – oświadczył, gdy tylko wsiedli do pociągu. – Większość ludzi tylko pobieżnie ocenia perfumy, nie wnikając w ich istotę.

Usiedli w przedziale naprzeciwko dwóch wieśniaków zmierzających na targ.

– Powąchaj ten pot, brud, ich niemyte włosy – szepnął jej do ucha.

– Po co? – szepnęła z odrazą.

– Bo stąd się bierze perfumiarstwo. Z chęci przemiany naszego zapachu. Można by twierdzić, że perfumy stworzono z poczucia wstydu, z chęci zaprzeczenia naszej naturalnej woni. Chcemy ją ukryć.

– Raczej zmienić.

– Właśnie. Zapach jest pewną aspiracją. Celem. Narzędziem do uwodzenia, lecz także do osiągnięcia pozycji i władzy nad innymi. Czy wiesz, ile w dawnych czasach płacono za mirrę lub kadzidło? Całe imperia budowano z zysków na handlu wonnościami. Nawet wtedy, kiedy życie bywało krótkie i okrutne, ludzie pragnęli pachnieć inaczej. Przenieść się mocą zapachu gdzie indziej. Te pospolite naturalne wonie – brudne włosy, śmierdząca skóra, niemyte ciała – leżą u podstaw wszystkiego, naszych pożądań i naszej hańby. To mam na myśli, mówiąc, że ludzie oceniają zapachy.

Eva oparła mu głowę na ramieniu.

– A co mamy z nimi począć, profesorze?

– Obserwować. Docenić. Jest w nich energia, siła seksualna, zwierzęca witalność.

– Mówisz jak o muzyce.

– Bo to jest muzyka. Orkiestracja. Pot jest jak cisza. Pobudzony nią kompozytor sięga po pióro.

Wysiedli i podążyli polną drogą za wozem ciągniętym przez muła.

– Zapach zwierzęcego nawozu jest czysty i absolutny! Zwierzę nie je nic oprócz trawy i siana, popija deszczówką. Gdyby ten zapach był nutą, wygrywano by ją na wiolonczeli.

U krańca drogi muł poszedł w jedną stronę, oni w drugą.

– Jesteśmy.

Valmont ujął ją za rękę. Znajdowali się na farmie Philippe'a Mula, którego rodzina uprawiała na okolicznych polach jaśmin od stuleci. Właściciele ubijali cenne kwiaty i destylowali z nich sok, by otrzymać najdroższy i najrzadszy absolut jaśminu. Obecny monsieur Mul znał madame Zed od wielu lat. Teraz oprowadził Valmonta i Evę po wytwórni i pokazał im swoje uprawy.

Rośliny właśnie zaczynały kwitnąć. Rozwijały białe, niesłychanie delikatne płatki, ledwie muśnięte najbledszym z możliwych różem. Zbiór miał się odbyć we wrześniu, lecz już teraz, gdy tylko wiatr poruszał krzakami, powietrze pachniało słodko.

Przez resztę dnia Eva i Valmont prawie nie rozmawiali.

Philippe pozwolił im na piknik wśród jaśminów. Potem podłożyli sobie pod głowy zwinięte żakiety i zasnęli. Słońce muskało im twarze, powietrze pachniało morską wodą, gorącą ziemią i jaśminem.

– To coś wyjątkowego – powiedział Valmont, obracając się ku Evie. – Rozumiesz teraz, prawda? To zapachy definiują świat, nie słowa, nie kształty ani dźwięki. Wszyscy rozumieją język woni, w tym rzecz.

Skinęła głową, nie chcąc otaczać się słowami, kształtami czy dźwiękami.

Panowała cisza wypełniona wonią. Eva zaczynała rozumieć, że zapachy mogą tworzyć złożone, wieloznaczne opowieści. Ich ruchy, przemiany, dojrzewanie, zakwitanie i obumieranie opowiadały poruszające historie. Można śmiać się przy ludziach, a na skórze mieć zapach wyrażający tęsknotę, żal, nadzieję, cokolwiek – wszystko jednocześnie. Zapach zanikający razem ze zmierzchem dnia, przemieniający się w ledwie wyczuwalną mgiełkę.

Wciąż jednak obecny, poruszający uczucia, gdy wieczorem odwiesza się suknię na wieszak.

– Oto moja religia – westchnął Valmont, zamykając oczy. Po raz pierwszy od tygodni czuł się swobodnie.

A moje zbawienie, pomyślała Eva. Piękno mnie ocali.

Siedzieli w jaśminowym gaju do wczesnego zmierzchu. Kwiaty wydzielają wtedy swą najbogatszą, jedwabistą woń.

Wkrótce wszyscy zwracali uwagę na Valmonta. Stał się obiektem powszechnego zainteresowania, powtarzano o nim różne historie. Bez trudu odgrywał rolę wymyśloną przez Evę. Z podniesioną głową, z książką pod pachą nie zauważał nikogo. Skutek był natychmiastowy. Portier począł witać go kordialnie każdego ranka, maître rezerwował mu specjalny stolik w jadalni, z boku, lecz z doskonałym widokiem na resztę sali, na jego toaletce zaczęły się pojawiać świeże kwiaty. Wkrótce zmieniono mu pokój na lepszy, z widokiem na morze, bez dodatkowej opłaty. Valmont przedłużył pobyt.

Zaczęły napływać zaproszenia.

– „Madame Legrand rada będzie gościć pana u siebie na podwieczorku”! – przeczytała Eva głośno i ze śmiechem wrzuciła zaproszenie do kosza na śmieci.

– Co robisz? – zaprotestował Valmont, odzyskując kartonik. – Legrand to bogacz.

– A co ty robisz? Nie możesz do nich iść. Musisz odmówić.

– Pani Legrand może stać się moją klientką!

– Chcesz wszystko zniweczyć? Gdy jesteś tak blisko celu? Pomyśl tylko, André. Niewłaściwa klientela może ci popsuć szyki, zanim jeszcze zacząłeś na dobre. To od ciebie zależy, jaki nadasz ton swemu przedsięwzięciu. Podwieczorek? Z panią Legrand i jej przyjaciółkami? Oszalałeś?

Eva wstała i zaczęła przemierzać pokój.

– Twoje perfumy powinny być magicznym fluidem, który przemieni przeciętnego śmiertelnika w istotę boską. Chodzi nam więc o potencjalne boginie! Widziałeś kiedy panią Legrand?

– Nie, nie przypominam sobie – przyznał Valmont.

– A więc – Eva skrzyżowała ramiona na piersiach – pani Legrand wygląda jak pan Legrand w sukience. Czy twoja sztuka jest ich warta?

Musiał się uśmiechnąć.

Zapał i wizja Ewy były dla niego ożywcze, miała więcej energii i pomysłów niż on. Uwielbiał słuchać, jak rozprawia o jego pracy.

– Zostawiam to do twego uznania – zgodził się.

Monsieur Valmont podziękowała za zaproszenie.

Madame Legrand była niepokieszona.

Aby go udobruchać, Eva następnego wieczoru przedstawiła go swej przyjaciółce Yvonne Vallée, pięknej byłej żonie gwiazdora filmu i kabaretu Maurice'a Chevaliera. Yvonne od dzieciństwa kochała fiołki, pamiętała ten zapach z dawnych lat, ale nigdy nie mogła go już napotkać. Może Valmont da się namówić, by stworzyć perfumy na bazie tego prostego kwiatka?

Valmont westchnął ciężko, jak gdyby w przewidywaniu ogromnej nudy.

Tej samej nocy zaczął tworzyć. Połączył przytłaczającą słodycz fiołków z wilgotnym zielonym mchem i drzewem różanym, dodał nuty starej skóry, czarnoziemu i ambry. Zajęło mu to kilka dni pracy w prowizorycznym laboratorium w hotelowej łazience. Eva przywiozła potrzebne składniki z Grasse.

Końcowy wynik oszołomił i zachwycił Yvonne.

Perfumy te stały się jej wizytówką, tym bardziej podniecającą, że należały tylko i wyłącznie do niej.

Niedługo potem zjawiała się w Monte Carlo Thelma Furness, ukochana księcia Walii, urocza mężatka. Eva namówiła Valmonta, by stworzył dla niej egzotyczną kreację z nocnego jaśminu, żonkili, narcyzów, tuberozy, drzewa sandałowego i piżma... Wybuchową mieszankę zmysłowej dekadencji.

Thelma stała się wierną wielbicielką Valmonta, a całe Monte Carlo zachwyciło się i nią samą, i jej perfumami.

Paryż też go zauważył.

Księżę Walii również zaczął składać dyskretne zamówienia. Valmont oczywiście temu zaprzeczał, gdy go pytano, lecz jego akcje poszły gwałtownie w górę. Francuzi od dawna pasjonowali się skandalami wśród angielskich wyższych sfer, więc utożsamili Valmonta z dwoma wielkimi afrodyzjakami: ekskluzywnością i sekretami pozamałżeńskich alków.

W krótkim czasie Eva zdołała dokonać tego, co Valmontowi nie udawało się latami. Teraz każdą zawodową decyzję omawiał najpierw z Evą.

Wieczorami kręcił się mimowolnie koło Ewy, ciągnęło go do niej, obserwował ją z daleka w kasynie. Nie był jedyny. Eva miała wielu adoratorów, wiedział o tym.

Był wśród nich wydawca jakiejś włoskiej gazety, jegomość o kędzierzawych włosach i z wiecznym cygarem w ustach, był przedsiębiorca z Wiednia, był francuski artysta kabaretowy, który nawet opóźnił swój wyjazd do Hollywood, bo miał nadzieję, że mademoiselle Dorsey odbierze w końcu jakiś jego telefon. Valmont cierpiał w milczeniu na widok drogich prezentów przynoszonych przez posłańców do jej pokoju i manewrów różnych osobników, by znaleźć się z nią sam na sam.

Lamb czuwał nad wszystkim z oddali. Cały czas odgrywał rolę pewnego siebie, beztróskiego posiadacza wyjątkowego konia wyścigowego. Zawsze z kieliszkiem w ręku, obserwował jej flirty i podboje z całkowitym spokojem. To niepokoiło Valmonta, gdyż wskazywało na jakieś nierozzerwalne związki między tą dwójką. I gdy on, Valmont, snuł się za nią jak duch, Lamb nie trapił się wcale jej przygodami, pozwalał jej na wszystko bez mrugnięcia okiem.

Był pewny siebie.

Ten fakt przynębiał Valmonta bardziej, aniżeli uczyniłaby to ślubna obrączka na jej palcu albo dziecięcy wózek przed jej drzwiami.

Próbował zadać jej pytanie wprost.

– Możesz mieć, kogo zechcesz – zauważył kiedyś, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. – Czemu wybrałaś akurat Lamba?

– Wszyscy mężczyźni są do siebie podobni – odparła wymijająco.

– To nieprawda. To pijak i hazardzista, w dodatku trzeciorzędny! Jesteś mu o wiele bardziej potrzebna aniżeli on tobie.

– Gdyby rzeczywiście tak było! On ma coś, czego pragnę.

– Cóż on takiego może mieć? Nie dostałabyś tego z łatwością od kogoś innego?

Eva przymrużyła oczy.

– Zapomnijmy o tym. I tak byś nie zrozumiał.

Na tym się skończyło.

Ona usuwała się w swój prywatny świat, do którego Valmont nie miał dostępu.

Ktoregoś wieczoru, było już bardzo późno, usłyszał, jak Lamb rozprawiał o Evie w barze. Był kompletnie pijany, z przekrzywionym krawatem, bez marynarki, nieogolony, cuchnął alkoholem.

– Jak to się stało, że zdobyłeś najpiękniejszą dziewczynę w całym Monte Carlo? Taki staruch jak ty! – zadał mu pytanie pewien rajdowiec.

– Staruch! – powtórzył Lamb, podnosząc do ust kolejny kieliszek. – Możemy ubić interes. Możesz ją mieć za niewielką opłatą.

– Za opłatą? Zwariowałeś? – zaśmiał się rajdowiec.

– Mówię poważnie. Dziesięć tysięcy funtów i jest twoja.

– Dziesięć tysięcy! – zagwizdał rajdowiec. – Nazywasz to niewielką opłatą?

– Jest tego warta.

– Jak możesz proponować podobną transakcję? Handel żywym towarem?

Lamb pokręcił głową.

– Jeśli kupisz smycz, drogi przyjacielu, psa dostaniesz za darmo.

– Psa? Smycz? O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

Lamb klepnął go trochę za mocno w plecy.

– Jeśli masz forszę, reszta jest bez znaczenia.

Rajdowiec zaśmiał się niepewnie i zmienił temat.

Valmont kipiał z wściekłości. Miał ochotę ukręcić Lambowi kark.

Był owładnięty dziwnym pożądaniem. Gdy znajdował się w bliskości Ewy, pożądanie owo jakby się zaspokajało, wcale nie pragnął jej dotykać. Wystarczał mu jej zapach. To go podniecało, wypełniało mu sny i pchało do nowych eksperymentów w pracy.

Z inspiracji tej pierwszej nocy spędzonej z Evą powstały perfumy *Auréole Noire*, będące wariacją na temat jej własnego naturalnego zapachu. Wokół niego zbudował złożoną misterną kompozycję, chłodną, jasną, a jednocześnie delikatną, wyrażającą sobą kontrastujące stany emocjonalne, podobnie jak w przypadku uprzedniej kompozycji deszczowej. Górne nuty brały się z aksamitnych listków fiołków, białych



kwiatów i delikatnej pelargonii, a głębsze z bursztynowej żywicy, drzewnego dymu i dopalających się suchych liści cytrusów. Jeszcze głębiej sadowiły się nuty oudu i ambry, nadające całości niestały, kapryśny charakter, przechodzący z jasności do ciemności i z powrotem. Perfumy te nie miały być ujmujące i czarujące. Miały szokować, zadziwiać, wprawiać w oszołomienie, niczym wędrówka kończąca się nad ogromną przepaścią.

Odbijały się w nich pewne cechy Ewy: jej niespokojna uroda, podskórna zmysłowość, inteligencja.

Mimo wszystko Valmont wątpił w siebie.

Żadne z istniejących perfum nie przypominały jego kreacji. Zdawało mu się, że jest za wyrazista, za dziwaczna, dająca zbyt skrajne wrażenia, bez tonujących delikatniejszych nut, że atakuje zmysły, że nie jest dostatecznie uwodzicielska. Jak puste oczy greckiego boga wyrzeźbionego w zimnym białym kamieniu.

Valmont nagle zdał sobie sprawę, że przywiązuje większą wagę do opinii Ewy aniżeli do własnych sądów. Przeraziło go to, gdyż znaczyło, że ona nad nim panuje. Nawet madame Zed nie miała takiej władzy.

Ewa, jego muza, całkowicie nim zawładnęła, wniknęła weń jak woda w ligninę.

Schował przed nią perfumy.

Pierwszy krok na drodze zdrady. I niezależności.

A potem zjechała do Monte Carlo Kay Waverley.

Była to aktorka, która nie wiadomo skąd i dlaczego zdobyła duży rozgłos. Jak wiele początkujących gwiazd ekranu nie spieszyła się z udzielaniem szczegółowych informacji o swoim pochodzeniu i o drodze do sławy. Studio filmowe, z którym miała podpisany kontrakt, twierdziło, że odkryli ją, gdy pracowała w domu towarowym Woolwortha w stanie Missouri, na dowód czego opublikowali serię zdjęć z jej odwiedzin w jednym ze sklepów firmy, gdzie widniała otoczona zachwyconymi sprzedawczyniami w fartuchach. W Europie natomiast krążyła plotka, że zanim wylądowała w Hollywoodzie, rozwijała karierę jako luksusowa prostytutka. Prawdy nikt nie znał.

Zgadzano się z jednym, a mianowicie, że była swego czasu kochanką niemieckiego reżysera Josefa Wienera. Obsadził ją w dziwacznym surrealistycznym filmie pod tytułem *Księżycowy pył*, który zdobył mieszane recenzje. Sukces natomiast odniosła w filmie *Salome*, również reżyserii Wienera, gdzie zagrała tytułową rolę. Niestety, Wiener wkrótce się nią znudził i znalazł sobie inną ślicznotkę, młodą osobkę z Kentucky (powiadano, że nieletnią). Pozostawiona samej sobie gwiazda Waverley migotała niepewnie na hollywoodzkim firmamencie. Zmieniała kochanków, przenosząc się od aktorów do producentów, a od nich do scenarzystów. Chodziły słuchy, że spadła z konia w czasie kręcenia obrazu pod tytułem *Bandyta z Dzikiego Zachodu*, gdyż była pod wpływem narkotyków. Straciła rolę.

Teraz zjawiała się w Monte Carlo i zamieszkała w różowej willi, jakich wiele było porozrzucanych po wzgórzach otaczających miasto. Podobno potrzebowała odpoczynku dla skołatanych nerwów. Wkrótce pojawił się u jej boku znany włoski żigolo Enzo Gotti, z którym kiedyś grała w filmie, więc odpoczynku chyba nie zaznała.

Pewnego późnego wieczoru przybyła do kasyna w towarzystwie tegoż Gottiego oraz kilku jego kompanów. Ubrana była w złocistą jedwabną suknię i turban z tej samej materii. Jej francuski był kiepski, włoski jeszcze gorszy, czuła się więc niezbyt pewnie w rozgadany towarzystwie. Paliła papierosa za papierosem i wyglądała łowców autografów.

Wieczór był parny i gorący. Eva zjawiała się w kasynie późno, wcześniej brała udział w konkursie tańca wraz z pewnym argentyńskim graczem w polo. Lamb dla odmiany radził sobie bez niej całkiem dobrze.

Valmont siedział sam przy stoliku, wyglądając Evy. Widział, jak wchodziła. Stała w drzwiach, omiatając wzrokiem salę.

Zatrzymała spojrzenie na głównym stole, przy którym Gotti starał się zaimponować swej nowej kochance brawurą. Stawiał coraz wyżej. Miała chuchać na kostkę na szczęście. Obleczona w złote szaty Kay nudziła się.

Valmontowi wydało się, że w twarzy Evy dostrzegł jakiś nowy wyraz. Jak gdyby cała jej energia, dotąd rozproszona i kapryśna, znalazła konkretny cel. Wpatrywała się uporczywie w Gottiego i w Kay Waverley, jakby dopiero teraz, po długim, długim czasie, natrafiła na to, czego szukała. Później dopiero Valmont zdał sobie sprawę, że to właśnie w tym momencie coś się diametralnie w Evie odmieniło. Podjęła decyzję. Wybrała własną drogę.

Podeszła do stołu, przy którym siedział Lamb, objęła go ramieniem. Gotti miał właśnie rzucać kostką, Eva nieznacznie się o niego otarła.

– Przepraszam. A kogóż tutaj mamy? Chyba Adonisa przy rzucie!

Gotti się roześmiał i skłonił lekko.

– Mademoiselle.

Odkłoniła się.

– Proszę mnie zapewnić, że mi pan przebaczył. Nie znoszę urażać innych.

– Bardzo pani uprzejma. Jestem przekonany, że przyniesie mi to szczęście.

– Czy bogowie rzeczywiście są w stanie przychylić panu jeszcze więcej szczęścia, niż pan ma?

Znowu się zaśmiał, najwyraźniej zachwycony jej atencją.

Panna Waverley zmrużyła oczy.

– Przeszkodziłam panu – mitygowała się Eva. – Proszę jednak nie zwracać na mnie uwagi, tylko brać się do dzieła.

Kompani Gottiego zaczęli szwargotać między sobą po włosku.

Eva udała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, i też odezwała się do nich po włosku.

– *Ah, parli italiano? Fantastico!*

Włoska konwersacja trwała jeszcze jakiś czas, po czym Eva oznajmiła, że ma ochotę na kąpiel nago, jeszcze przed świtem.

Kay Waverley kipiała z niemej złości, nie mogąc się odnaleźć w tym wielojęzycznym towarzystwie.

Kilku z kompanów Gottiego rzuciło się w pościg za Evą na plażę. Gotti został, choć powiódł za nią tęsknym wzrokiem.

Zanim Eva się oddaliła, uczyniła coś, czego nigdy przedtem Valmont nie widział. Otoczyła szyję Lamba ramionami i kilkakrotnie go ucałowała. Lamb się roześmiał i wyzwolił z jej objęć. Wyglądał na nieco zdumionego. Wszyscy wiedzieli, że mieszkają razem, lecz Eva nie miała zwyczaju okazywać mu jakichkolwiek czułości na oczach świadków.

Kay Waverley wzięła Gottiego pod ramię. Rzuciła spojrzenie Lambowi, który właśnie wygrał po raz trzeci.

Postawił wszystkim napitki. Błyszczał w owej chwili, jak gdyby był największym człowiekiem sukcesu, w dodatku mężczyzną przystojnym i wyrafinowanym.

Oraz obiektem uwielbienia tej małej głupiutkiej Dorsey.

Panna Waverley uśmiechnęła się nieznacznie.

W jej twarzy Valmont również dojrzał zmianę. Znudzona mina ustąpiła. Przez resztę wieczoru raz po raz obrzucała Lamba uważnym spojrzeniem.

Valmont poczuł się niewyraźnie, choć nie bardzo rozumiał, z jakiego powodu.

Kay Waverley wiedziała, jak zauroczyć innych, gdy miała na to chęć. Rozwinęła więc stosowną strategię. Pewnego popołudnia pokazała się w całej swej krasie na leżaku obok hotelowego basenu, mimo że posiadała prywatny basen w swojej willi. U jej boku zgromadziła się grupka młodzieńców zaopatrujących ją w napitki z baru tudzież bawiących konwersacją. Aktorka błyskawicznie się opaliła, wieczorami lśniąca nowa opalenizna znakomicie odbijała się od białej bądź czarnej obcisłej sukni. Kasyno stało się jej ulubionym miejscem. Gotti został oddalony, wyjechał do Rzymu. Przychodziła do kasyna sama, przesiadała się od stołu do stołu z nieodłączną szklanką whisky w ręku. Mocna głowa była, oprócz urody, jej wielkim atrybutem.

Potrafiła pić jak mężczyzna i nigdy się nie wstawiała. Nie chichotała, nie mamrotała ani się nie zataczała. Po prostu zatapiała się powoli w stan upojenia alkoholowego niczym w ramiona starego kochanka. Umiała żartować, rzucać lekkie ironiczne uwagi, była wesołym kompanem, choć nie traciła przy tym kobiecości.

Mężczyźni lubili się nią opiekować, a ona im tego nie broniła.

Któregoś wieczoru usadowiła się blisko Lamba. Po niedługim czasie razem żartowali przy wspólnej butelce whisky.

Zbratanie się tej dwójki wyraźnie przygnębiło Evę. Valmont z bólem obserwował, jak stara się odciągnąć Lamba albo wepchnąć się między nich dwoje. Był przekonany, że to nie gra. Eva krążyła między stołami do gry, czyhając na Lamba jak pająk na muchę.

Któraś wieczoru dosłyszała, jak przed kolacją sprzeczali się na tarasie.

– Obiecałeś! – krzyczała Eva.

– Nigdy nie mówiłem, że posunę się tak daleko. Nigdy!

– Podobasz się jej. Nie będziesz miał trudności.

– A co ze mną? Co, jeśli ona mnie się nie podoba?

– Mam ci przypomnieć, ile ja dla ciebie zrobiłam? Ile poświęciłam? Może nie pamiętasz?

– Przestań, Dorsey!

– Nienawidzę dwóch osób na tym świecie. Ona jest jedną z nich!

Nastąpiło krótkie milczenie.

– Zrobiłem to, co uznałem za najlepsze. Najlepsze dla wszystkich. Proszę cię, Evo...

– Nie dotykaj mnie! I nie zawieź. Tym razem nie udawaj, że znasz najlepsze rozwiązanie. Ja się wywiązałam z naszej umowy, teraz kolej na ciebie.

Wbiegła do hotelu zalana łzami.

Gdy Lamb przyłączył się do kolacji, nie wyglądał dobrze.

Pił tej nocy więcej niż zwykle. Nie sam.

Dorsey nie mogła dorównać Kay Waverley. Ta wygrywała w każdej bitwie o męczyznę. Pojedynek Dorsey–Waverley stał się skandalem sezonu i cała socjeta Monte Carlo zgodnie uznała, że mała Dorsey nie daje sobie rady.

Pewnego wieczoru zrobiła Lambowi awanturę na samym środku placu przed kasynem, gdy akurat odprowadzał Kay do jej auta.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła, chwytając go za ramię.

– Przestań, Dorsey! – Wyrwał się. – Na miłość boską, wracaj do hotelu.

– Tylko z tobą.

Kay odeszła na bok. Wiedziała, kiedy grać główną rolę, a kiedy drugoplanową.

– Dam sobie radę sama. Nie potrzebuję opiekuna – oświadczyła, machając ręką do kierowcy.

– Mówię, żebyś wracała do hotelu! – syknął Lamb.

Zajechał srebrny bentley, kierowca wysiadł, ustępując miejsca za kierownicą aktorce.

– Tylko z tobą! – powtórzyła Dorsey histerycznym krzykiem. Trzymała kurczowo ramię Lamba.

– Zostaw mnie, do diabła, w spokoju! – Odepchnął ją.

Eva prawie upadła.

– Ostrzegam cię! – zagroziła.

Zgromadził się wokół nich tłumek elegancko ubranych gości wychodzących z kasyna, ciekawych skandalicznych wydarzeń.

– Przestań robić sceny. – Lamb nie skrywał rozdrażnienia połączonego z pogardą.

Kay opuściła szybę auta.

– Jak tam, marynarzu, mogę cię podwieźć?

– Owszem – zdecydował Lamb. – Jak najbardziej.

Kay otworzyła drzwi i przesunęła się na siedzenie pasażera.

– W takim razie prowadź. Miejsce mężczyzny jest za kierownicą.

Lamb wsiadł, ona zwinęła się w kłębek obok, składając mu głowę na ramieniu.

– A może sami też wykąpiemy się na golasa? Co ty na to?

Roześmiała się w głos, auto ruszyło w stronę krętej drogi prowadzącej do willi na wzgórzu. Spłakana Dorsey, obraz nieszczęścia i poniżenia, pobiegła w głąb ciemnej uliczki.

– Słyszałaś? Zrobiła wczoraj w nocy niesamowitą scenę.

Valmont siedział przy śniadaniu koło sióstr Lyon. Były to wdowy po siedemdziesiątce, które przyjeżdżały co roku do Monte Carlo i od dawna odgrywały rolę stałego elementu miejscowej socjety. Ich świętej pamięci ojciec był znanym magnatem, właścicielem cukrowni, stąd obie znane były pod swym panińskim nazwiskiem. Odziedziczyły po nim znaczną fortunę.

– Ładna dziewczyna.

– Bardzo ładna – zgodziła się siostra.

– Ale nie daje sobie rady.

– Zupełnie nie.

– Kay Waverley to kobieta bywała w świecie. Tak jak i lord Lambert.

– Lord? – wtrącił zdziwiony Valmont. – Nie wiedziałem, że ma tytuł lordowski.

– Nigdy go nie używa. My jednak wszystko wiemy, znamy zresztą jego ojca. Mała Dorsey urządziła niezłą scenę – westchnęła jedna z sióstr, wrzucając jeszcze jedną kostkę cukru rodzinnej produkcji do filiżanki z kawą. – Czegoś takiego się nie robi.

– To nie jest sposób na Lamba – podsumowała jej siostra. – Krzyczała, ciągnęła za ubranie, cóż to za metody!

– Jak jakaś handlarka z targu. Na środku placu.

– Współczułam Kay. Lordowi Lambertowi również.

– Chyba są w sobie zakochani – wyraziła przypuszczenie pierwsza siostra. – Słyszałam, że jeszcze nie wrócił do hotelu – tu zniżyła głos.

– Ta mała Dorsey nie ma matki – stwierdziła druga. – Matka poradziłaby jej, jak się zachować. Nie powinno się robić awantur rywalce.

– Najlepiej pominąć wszystko milczeniem – zgodziła się pierwsza. – No i

oczywiście postarać się o własnego wielbiciela.

Obie siostry znały życie i same miały za sobą liczne małżeńskie perturbacje.

– Właśnie – zaśmiała się druga, sięgając po kawałek świeżej maślanej bułeczki. – Mężczyzna jest w stanie skupić się tylko na jednej kochance, swojej bądź cudzej. Gdy już zdobył własną, zaczyna go bardziej interesować cudza.

Valmont popijał kawę. Wszystko się w nim burzyło na myśl, że Eva rzeczywiście coś czuje do Lamba i że to tak silne uczucie. Z chwilą przyjazdu Kay Waverley stała się roztargniona i niedostępna. Do niedawna zajmowała się z oddaniem jego sprawami, teraz prawie się do niego nie odzywała. Siostry paplały jeszcze, on siedział zgnębiony.

Po śniadaniu usiłował przesłać Evie wiadomość do pokoju, powiedziano mu jednak, że mademoiselle Dorsey wyjechała z hotelu wczesnym rankiem, nie zostawiając adresu.

Valmont usiadł na łóżku i spoglądał tępo na widok za oknem niedawno mu udostępniony.

Wyjechała. Nic mu nie mówiąc.

Nienawiść do Lamberta krystalizowała mu się w sercu jak ostrze noża. Udał się na jego poszukiwania. Krążył po kasynie i barach, nie wiedząc nawet, co by zrobił, gdyby go znalazł, choć kipiał chęcią fizycznej agresji. Nie natknął się jednak na niego. Najwyraźniej Lamb wciąż przebywał w różowej willi na wzgórzu.

Nigdy już go nie zobaczył.

Dwa dni później otrzymał telegram z Paryża.

WNĘTRZE SKLEPU OKROPNE STOP SPRZEDAJESZ PERFUMY CZY MIĘSO STOP

Za godzinę siedział już w pociągu.

Kilka miesięcy później Valmont przeczytał przypadkiem w gazecie wiadomość o śmierci pewnego Anglika na południu Francji. Znaleziono go martwego na leżaku na plaży w Cap Ferrat, siedzącego twarzą do morza. Okazało się, że był to wicehrabia Charles Lamb, inaczej Charles Alexander Haveston Lambert, jedyny syn księcia Royce'a, odznaczony brytyjskim Medalem Zwycięstwa za zasługi w pierwszej wojnie światowej. Dochodzenie wykazało, że przyczyną śmierci było przedawkowanie morfiny, od której był uzależniony. Wpadł w nałóg w szpitalu, gdy był leczony z ran wojennych.

Wcześniej tej nocy wygrał dwadzieścia tysięcy franków w ruletkę. Pieniądzy przy nim nie znaleziono. Kradzież wykluczono. Hotelowy nocny portier dostarczył informacji, że owego ranka Lambert wysłał list.

W Cap Ferrat odbyło się *post mortem*, a lekarz prowadzący oświadczył, iż wyklucza wszelkie działania osób trzecich, i stwierdził samobójstwo. Zapytany, co go skłania do tej opinii, wahał się jakiś czas z odpowiedzią, wodząc wzrokiem po

zebranych w sali sądowej osobach.

– Charles Lamb był prawdopodobnie bardzo poważnie chory – odrzekł w końcu.

– Doprawdy? Czy mógłby pan powiedzieć więcej? Co to była za choroba?

Lekarz znowu się zawahał. Odchrząknął, po czym podjął wątek.

– Pan Lamb, czy raczej lord Lambert, cierpiał z powodu zaawansowanego syfilisu. Miał zapalenie wątroby, co nieuchronnie doprowadziłoby do żółtaczki, *peritonitis* i najprawdopodobniej do choroby nerek. Nie było dla niego ratunku. Przypuszczalnie żył w ustawicznym bólu. Choroba wkrótce wywołałaby ataki epileptyczne, zapalenie opon mózgowych i demencję, nie mówiąc już o wielkich boleściach kończyn i ich możliwej deformacji.

Na tym sprawę zamknięto.

Nigdy nie natrafiono na ślad pieniędzy czy też wspomnianego listu.

Rodzina Lamberta nie zgłosiła się po ciało, odmówiła też zapłacenia jego zaległych rachunków. Pochowano go w morzu.

Siedząc przy stole w swym paryskim mieszkaniu, Valmont przeczytał tę wiadomość w gazecie parę razy.

Przypomniał mu się wyraz twarzy Evy, gdy po raz pierwszy ujrzała Kay Waverley, oraz jej kłótnię z Lambem na tarasie.

„Podobasz się jej. Nie będziesz miał trudności”. Wciąż pamiętał te słowa.

Nagle uświadomił sobie ze zgrozą, że być może Eva stworzyła całą tę sytuację i potem nią manipulowała dla własnych celów. Może ataki histerycznej zazdrości to była świetnie ukartowana gra? Na którą nawet on się nabrał?

Zastanawiał się, czy nie zapytać jej o to wprost, lecz nie uczynił tego, gdyż podejrzewał, że nie powiedziałyby mu prawdy. Że wyparłaby się wszystkiego. On natomiast nie zniósłby jej kłamstw.

Doszła do niego krążąca w paryskim świątku plotka, że Kay Waverley nie było już w różowej willi ukrytej między wzgórzami Monte Carlo.

Mówiono, że miała wypadek samochodowy, gdy wczesnym rankiem wracała krętą stromą szosą do domu. Szoferowi nic się nie stało, Kay natomiast wylądowała na przedniej szybie, raniąc sobie dotkliwie twarz. Powiadano, że mimo wysiłków najlepszych chirurgów szramy nigdy całkowicie nie znikły.

W filmach już nie zagrała.

Skończyła żywot, podobno niedługo, na odludnej farmie w stanie Minnesota.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Madame Zed odkorkowała flakonik z etykietką *Auréole Noire* i podała go Grace.

– To drugi wielki hołd złożony Evie. „Czarna aureola” – wyjaśniła.

Grace podniosła flakonik do góry. Wydobył się zeń zapach podobny jakiemuś kadzidłu z zaświatów, pełen światła i ognia. Najpierw uderzał w nozdrza białymi hipnotycznymi nutami, by przejść później do niższych tonów, jakby intensywnego drewna. Otaczał całą osobę, a jednocześnie umykał zmysłom. Otumaniał i niepokoił.

– Niezwykłe – powiedziała.

– Ale...?

– Ale niestabilne – wydała werdykt Grace, sama zdziwiona własnymi słowami. – To nie są perfumy kojące.

– To prawda – zgodziła się madame Zed. – Jest pani bardzo spostrzegawcza.

Grace oddała jej flakonik.

– Nie podoba się pani – zgadła madame.

– Nie wiem dlaczego, ale robi mi się od nich smutno. I trochę się ich boję. Brak im siatki – powiedziała Grace.

– Słucham?

Grace musiała poszukać w głowie odpowiednich słów.

– Większość pięknych rzeczy ma znajomą budowę, to znaczy składają się z początku, środka i zakończenia. Tworzy to siatkę ratunkową, więc nie można spaść i się zabić. Te perfumy są pozbawione tej siatki ratunkowej.

Madame znowu skinęła głową.

– Tak. Nie wiadomo, gdzie się wyląduje. Podziwiam takie podejście.

– Czy ma pani te inne perfumy? Te, które stworzył dla niej, pachnące jak burza?

– Czy je mam? – zastanowiła się przez chwilę. – Nie, nigdy ich nie miałam. Być może weszły one w skład jakiejś innej jego kompozycji, nie jestem tego pewna.

Ten właśnie zapach wylaniał się z opowieści madame jako najbardziej intrygujący.

– Eva miała świetne oko – kontynuowała kobieta. – Urządziła sklepik Valmonta na nowo. Lustrzane sufity, ściany wybite jedwabiem... to wszystko ona wymyśliła. Bogaci ludzie uwielbiają oglądać się w lustrze. „Dać im tylko coś nowego, chociażby czubki własnych głów, a będą się w nie wpatrywać godzinami!” – mówiła.

– Czy Valmont był w niej zakochany?



– Być może na swój własny sposób.

– Czemu się nie pobrali?

– To nie było takie proste. Tak naprawdę André był przede wszystkim oddany pracy.

– Czyli nie był w niej zakochany – stwierdziła Grace.

Madame Zed chwilę milczała.

– Był zakochany w niektórych jej aspektach. André nie potrafił wyrażać swoich uczuć tak jak inni ludzie. Śnił zapachami, muzykę słyszał w kolorach. Uważam, że w pewnym sensie był prawdziwym geniuszem. Ale niezyciowym i niepraktycznym. Byle co go dezorientowało. Pragnął uznania ze strony Evy, lecz bronił się, by nie stać się od niej zależny. Sprzeczekali się też o profil przedsiębiorstwa.

– Dlaczego?

– Eva uważała, że powinien tworzyć nie tylko perfumy na zamówienie, ale też uruchomić produkcję masową. André był temu przeciwny, więc się sprzeczekali.

– Rozumiem – powiedziała Grace – jednak jak może perfumiarz odmawiać sprzedaży perfum?

– Odmawiał sprzedaży *tych samych* perfum. Ale i tak Eva dopięła swego.

– Ach tak?

– Podczas wojny sprzedała jedną z receptur Hiverowi. Sprzeniewierzyła się całej filozofii Valmonta.

Grace przypomniało się, co usłyszała od sprzedawczyni w Galeries Lafayette o perfumach firmy Hiver stworzonych przez niewielką wytwórnię w czasie wojny...

– Mówi pani o *Ce Soir*?

Madame przytaknęła.

– Nawet ich nazwa jest pospolita.

– Czemu Eva zdobyła się na ten krok?

Madame Zed potrząsnęła głową, pobladła nieco.

– André został aresztowany w czasie okupacji i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Drancy. Evie wydawało się, że przekona Hivera, by ten użył swych wpływów u Niemców i spowodował jego uwolnienie. Musiała dowieść, że André jest niezbędny Hiverowi w interesach. Niestety Hiver okazał się małym i głupim człowiekiem. Wziął chętnie recepturę, ale André zginął w Dachau.

Grace kręciło się trochę w głowie.

– Jednak Eva nie zerwała współpracy z Hiverem nawet po wojnie?

Madame rzuciła jej znaczące spojrzenie.

– Rozumie pani teraz, dlaczego nie utrzymywałam z nią kontaktów. Eva wykazała się słabą wolą. No i już wtedy się rozpiła. Widzi pani, ponowne spotkanie André z Evą w Monte Carlo okazało się dla niego punktem zwrotnym, lecz dla niej było już wtedy za późno.

– Na co za późno?

– Na zmianę jej losu. Staczała się. Mimo młodego wieku była bardzo cyniczna. Od wielu lat żyli z Lambem ponad stan. Ona próbowała zgromadzić jakieś oszczędności, lecz on wszystko przepijał bądź przepuszczał w kasynach. Te jej piękne suknie wciąż były przerabiane. Osobom z zewnątrz pokazywali pewną iluzję. Zatrzymywali się w najlepszych hotelach, grali o wielkie stawki, znali ludzi z towarzystwa. Wszystko to za wielką cenę, to się na nich odbijało. A jednak, mimo wszystkich swoich wad, wydaje mi się, że Lamb naprawdę ją kochał. Więcej, ja wiem, że tak było.

– Czemu pani tak uważa?

– Zrobił dla niej coś, czego nikt inny by nie zrobił. Wie pani, jak to jest z miłością. Zachowujemy się tak, by było miło i wygodnie nam, ale nazywamy to miłością. Zemsta natomiast to co innego. Byłaby pani w stanie zemścić się na kimś w czyimś imieniu?

Grace nie wiedziała, co o tym myśleć. Czuła się nieswojo.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – ciągnęła madame. – Spłacał zaciągnięty u niej dług. I chociaż raz w życiu dobrze się z tego wywiązał.

---

## Londyn Crawley, 1928

---

Deszcz padał uporczywie przez cały tydzień. Zimne strugi lały się dniami i nocami, bez końca. Do szpitala przyszedł piechotą. Wolałby dojechać autobusem, ale po przegranej na wyścigach zaledwie poprzedniego dnia w kieszeni zostały mu ostatnie grosze. Miał nadzieję przeżyć jakoś do jutra i zagrać w pokera w pewnym klubie w Soho. Może los się do niego uśmiechnie.

Przed wejściem na oddział strząsnął z peleryny deszcz jak psiak otrząsa się po kąpieli w rzece.

Młoda pielęgniarka o okrągłej jak bułka twarzy zapatrzyła się w niego niemo. Wydał się jej podobny do Douglasa Fairbanka. Głos miał też jak ktoś z dobrych sfer.

- Jak ona się czuje? – spytał.
- Wciąż jeszcze dochodzi do siebie, proszę pana.
- Kiedy będzie wypisana?
- Może za tydzień. Straciła dużo krwi.
- A dziecko?
- Dziewczynka. Piękna i zdrowa.
- Aha. – Wpatrywał się w podłogę.

Pielęgniarka przyzwyczajona była do podobnych reakcji. Mężczyźni woleli synów. Pan Lamb wydał się jej szczególnie zawiedziony.

– Chciałby pan zobaczyć córeczkę? – zaproponowała z ożywieniem. Często na widok córki tacy zawiedzeni zmieniali zdanie.

– Córeczkę? – powtórzył zdziwiony. – Ach tak, może później – zreflektował się. – Najpierw chciałbym zobaczyć... zobaczyć żonę.

– Oczywiście.

Siostra zaprowadziła go do sali na samym końcu korytarza. Chciała pokazać mu, jak nad wszystkim panuje. On jednak nie zwracał na nią uwagi.

Była akurat pora odwiedzin. Grupki krewnych stały wokół łóżek i podziwiałały noworodki. Młode matki prezentowały się jak mogły najlepiej, ubrane w przygotowane na tę okazję kaftaniki w pastelowych kolorach, z uczesаныmi włosami i uszmińkowanymi ustami. Z ich twarzy biły duma i zadowolenie. Atmosfera była jak na przyjęciu.

Bobasy przechodziły z rąk do rąk.

Eva zajmowała łóżko w odległym kącie, blisko stanowiska pielęgniarek. Na oknie

spuszczono żaluzję i zasłonięto je firanką. Nie dochodziło światło dnia.

Spała. Twarz miała bladą i wychudzoną. Znowu uderzyło go, że jest tylko młodą dziewczyną, dzieckiem prawie.

– Nie wygląda dobrze – zwrócił się do siostry z wymówką w głosie.

Młoda kobieta zatrzepotała powiekami.

– Jak już mówiłam, straciła dużo krwi. Trudny poród – wyjaśniła.

– Chciałbym, żeby miała tu dobrą opiekę – rzekł z naciskiem, nagle zaniepokojony. – Naprawdę dobrą opiekę!

– Naturalnie, proszę pana. Staramy się, jak możemy.

Wlepił w nią oczy. Odeszła.

Przysunął krzesło bliżej łóżka i usiadł. Zdjął kapelusz i kręcił nim nerwowo w dłoniach.

Czuł się fatalnie. Jej wygląd i stan zdrowia deprimowały go.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce, włosy miała zmatowiałe od potu, pachniała jodyną i krwią. Powinni byli ją wykąpać. Czemu nie mogą niczego zrobić porządnie? Przesunął ręką po włosach.

Rozmówi się z nimi.

Nie przestawał obracać kapelusza w dłoniach.

W kółko i w kółko. Deszcz walił wściekle o szyby.

Eva wolno otworzyła oczy.

– Gdzie ona jest? – spytała ochryplym szeptem, jakby odezwała się po raz pierwszy od jakiegoś czasu.

– Ma się świetnie. Wszystko w najlepszym porządku – powiedział, poklepując ją opiekuńczo po ramieniu.

– Chcę ją zobaczyć.

– Oczywiście, później. Najpierw musimy omówić nasze sprawy. Zgodziliśmy się na coś, prawda?

Skinęła niewyraźnie głową.

– Opiekowałem się tobą, prawda? Całymi miesiącami. Drogo mnie to kosztowało.

Eva usiłowała usiąść, była jednak za słaba.

– Widziałeś ją? Ma włosy? Jak wygląda?

– Drogo mnie kosztowało – powtórzył z naciskiem.

Opadła na poduszki.

– Tak, wiem. Oddam ci. Postaram się o pracę.

Zaśmiał się chłodno.

– Już masz pracę, moja droga. Tylko się nią nie zajmujesz, jak dotąd.

– Wiem. Jak tylko znajdę kogoś do pomocy dla niej... – urwała, spojrzał na nią złym wzrokiem.

– Rozmawialiśmy już o tym – przypomniał jej. – Nie tak się umawialiśmy. Masz

wybitny talent. Możemy zbić majątek. Ale nie tu, nie w Anglii. Musimy wyjechać za granicę. Nie mogę ciągnąć za sobą niemowlęcia, rozumiesz?

Łzy spływały jej spod przymkniętych powiek.

Potrząsnął głową i znów zaczął obracać kapelusz w rękach.

Okropność! Łatwiej zerwać z kochanką.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił.

– Słuchaj, Dorsey, niczego przed tobą nie ukrywałem, umowa stoi. Więc teraz twoja kolej.

– Ale teraz jest inna sytuacja. Mam ją.

Przysunął się bliżej.

– Jak sobie dasz radę sama z dzieckiem? Pomyśl tylko. Gdy pierwsze uniesienia miną, co dalej? Gdzie zamieszkaż? Z czego będziesz żyć? Kto zatrudni niezamężną dziewczynę z dzieckiem? Chcesz skonać z nędzy razem z nią? – Wypuścił z ust smugę dymu.

– Przestań! – Odwróciła twarz do ściany. – Wcale nie musi tak być.

– Rzeczywiście, nie musi. Posłuchaj mnie. Mam siostrę. Bardzo miłą i dobrą. Jest żoną porządnego człowieka, bohatera wojennego. Nie mają dzieci. Mieszkają w pięknym domu, mają pieniądze, a do tego pozycję społeczną, której nie można kupić za pieniądze.

– Proszę cię! – Ujęła go za rękę. – Daj mi trochę czasu.

– Nie ma już czasu – Odtrącił jej dłoń. – Jesteśmy bez grosza. Na litość boską! Jeśli nie wygram czegoś jutro, wyrzucą nas z mieszkania. Nie mam na komorne.

Zamknął oczy, oddychał ciężko.

– Nie musisz oddać jej na zawsze – zaczął po chwili, trochę spokojniej. – Tylko dopóki nie staniemy na nogi. Pojedziemy na kontynent i zrobimy prawdziwe pieniądze. Tamtejsze kasyna roją się od milionerów. Wrócimy tu, jak się dorobimy.

Odgarnął jej łagodnie włosy z twarzy.

– Kupisz, moja droga, własny dom z ogrodem, będziesz miała na dobre szkoły i na piękne suknie. Będziesz bogata i dasz jej wszystko, co potrzeba. Ale nic nie przychodzi za darmo, Dorsey. Wiesz o tym. Poza tym teraz to tylko niemowlę. Nie będzie pamiętać, kto się nią zajmował w niemowlęctwie.

– Ja będę.

– Możliwe, ale mamy umowę. Jesteś mi coś winna.

– Co z twoją rodziną? Nie mógłbyś przypomnieć się ojcu?

Twarz mu stężała.

– Nie. Mówiłem ci już, nie mamy ze sobą żadnego kontaktu. Nie wziąłbym zresztą od niego grosza, nawet gdyby oferował, co się nigdy nie stanie, możesz mi wierzyć.

– Moglibyśmy... wziąć ślub... a nie tylko udawać.

– Chryste! To dziecko nawet nie jest moje! – Ona nie ułatwia mu sytuacji. – Nie zamierzam się z nikim żenić – zaczął znowu spokojnie. – Nie udawajmy zresztą uczuć, których nie żywimy. Bądźmy ze sobą szczerzy.

Wbił wzrok w kapelusz, który wciąż trzymał w dłoni.

– Cierpię na pewną chorobę, nazwijmy ją pamiątką z wojny. Nie mogę się żenić z piękną młodą dziewczyną. Nie chciałbym jej narażać. Poza tym nie mam zamiaru czekać, aż ta choroba powoli mnie zabije.

– Czy to dlatego...

– Tak – przerwał jej. – Nie musisz się obawiać. Nie jestem dla ciebie żadnym księciem z bajki. Żyję z własnego sprytu, tak też zamierzam skończyć. Spójrzmy prawdzie w oczy, oboje jesteśmy w fatalnej sytuacji, nikt nie miałby z nas pożytku.

Milczała.

– Pozwól mi przeprowadzić ten plan. Nie ma w naszym życiu miejsca na dziecko. Nie teraz. Siostra nam chętnie pomoże. Mała będzie u niej bezpieczna, pod świetną opieką. Chyba na to biedactwo zasługuje, prawda? – Zwrócił głowę w kierunku pokoju noworodków.

– Może. Nie wiem.

Głos mu złagodniał.

– Jednej rzeczy jestem pewien: cieszę się, że wybrałem ciebie na partnera w podboju Europy.

Znowu spłynęła jej łza po policzku.

– Dlaczego?

– Bo jesteś inteligentniejsza niż wszyscy inni, których znam. Przyznam się, że cię podziwiam. Nie wierzę w Boga, ale chyba gdybym wierzył, to byłabyś dowodem na jego istnienie.

Nigdy dotąd czegoś podobnego nie słyszała z jego ust.

W głowie jej huczało. Pokój wirował wokół niej, widziała wszystko niewyraźnie. Zamknęła oczy.

– To nie będzie na długo, prawda?

– Nie. Im szybciej to załatwimy, tym krócej będzie trwało.

– Twoja siostra odda mi ją z powrotem? Wszystko jej wyjaśnisz?

– Tak, zajmę się wszystkim – to mówiąc, wstał z krzesła.

Znowu próbowała unieść się z poduszek, lecz brak jej było sił.

– Wychodzisz?

– Evo, zaufaj mi.

Przycisnął dłoń do jej policzka.

– Jesteś rozpalona. Za bardzo. Idę porozmawiać z lekarzem. Zaraz wrócę.

Opadła na poduszki i zasnęła niespokojnym snem, budząc się raz po raz i znowu zasypiając.

Po jakimś czasie, nie wiedziała jak długim, pielęgniarka wróciła i zmierzyła jej temperaturę.

– Ma pani gorączkę – stwierdziła z zatroskaną miną.

– Dokąd... dokąd on poszedł?

– Pani mąż? Odjechał, złotko.

– Odjechał?

Pielęgniarka poprawiła poduszki.

– Dam pani teraz zastrzyk. Troszkę zaboli.

Przygotowała strzykawkę.

– Zimno mi. – Eva zadrżała. – Bardzo zimno.

– Proszę się przez chwilę nie ruszać.

Eva się wzdrygnęła. Morfina dostała się do żyły.

– Kiedy zobaczę dziecko? – spytała szeptem. – Jeszcze jej nie widziałam. Chcę ją zobaczyć.

– Kiedy tylko wróci pani do domu, złotko. Będzie tam na panią czekać. A teraz proszę odpocząć po zastrzyku. – Przykryła ją dodatkowym kocem.

Eva chwyciła ją za rękę.

– Ale chcę ją zobaczyć teraz.

– Mąż ją zabrał, złotko. Najlepsze wyjście. Nie chce pani, żeby ona też się rozchorowała, prawda? – Pielęgniarka wyswobodziła się z uścisku. – Nie może pani się nią zająć, jest pani chora. Ona będzie miała dobrą opiekę. A teraz proszę zasnąć. Nim się pani obejrzy, dziecko znowu będzie z panią.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Madame Zed spojrzała na Grace.

– Pojmuje to pani, prawda?

Grace otworzyła usta do odpowiedzi, lecz nie wydobyła głosu. Czuła ucisk w żołądku, jakby coś ciągnęło ją za trzewia.

– Co pani ma na myśli? – spytała tępo.

Madame nie odpowiedziała. Wysunęła szufladę niewielkiego stoliczka stojącego obok jej fotela i wyjęła z niej fotografię.

– Widziała pani kiedyś zdjęcie Ewy?

Grace pokręciła przecząco głową.

Madame podała jej fotografię.

– Zrobione dawno temu.

Było to czarno-białe zdjęcie wykonane w profesjonalnym atelier. Widniejąca na nim osoba była bardzo młodą dziewczyną o twarzy w kształcie serca i żywych oczach, czarnych, lśniących, krótko obciętych włosach i jasnej karnacji. Oczy podkreślone miała czarną kredką, zgodnie z modą lat dwudziestych. Patrzyła prosto w obiektyw. Biła z niej zmysłowa witalność. I wyzwanie.

Madame Zed wydobyła z kieszeni srebrną papierośnicę.

– Piękna, nie uważa pani?

Grace skinęła głową. Nie mogła oderwać oczu od zdjęcia.

Nie spodziewała się takiego obrazu. Wyobrażała sobie Ewę zupełnie inaczej. Tissot przedstawił jej obraz kobiety naznaczonej bólem, ale też otoczonej wyrafinowanymi perfumami, których zapach unosił się jeszcze w mieszkaniu przy place des Vosges.

Osoba z fotografii była bardzo młoda i wyglądała, jakby miała zaraz zejść ze zdjęcia.

Madame Zed otworzyła papierośnicę i wyjęła z niej ostatniego papierosa.

– Proszę. – Podała Grace puste srebrne pudełko.

– Nie rozumiem? – Grace nie wiedziała, o co madame chodzi.

– Niech pani w nie spojrzy.

Grace podniosła błyszczące wieko do oczu. Zobaczyła własne odbicie.

– Czy już pani wie, dlaczego znalazła się pani w Paryżu?

Grace nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje.



Ten sam kształt twarzy, te same przejrzyste i żywe oczy.

– Moja matka... moja matka to Lady Catherine Maudley – wyszeptała.

– Naturalnie. – Madame potarła zapałkę i przypaliła papierosa. – Ale komu zazwyczaj zostawia się cały swój dobytek?

Grace poczuła, że zbiera się jej na płacz.

– Moja matka zginęła w czasie wojny, w bombardowaniu – powiedziała, nie wiedząc, dlaczego to mówi.

Madame Zed nie pofatygowała się z odpowiedzią. Podeszła do kredensu i nalała kieliszek koniaku.

– Proszę – podała go Grace.

Bursztynowy trunek spłynął palącą strużką po krtani i powoli przesączył się dalej. Wypiła resztę.

Madame usiadła z powrotem w fotelu.

– To niemożliwe, że przyjechała tu pani taki kawał drogi i ani razu nie pomyślała, że tak się rzeczy mają.

Grace odstawiła kieliszek.

– Ale nie wie pani na pewno... prawda?

Madame spojrzała na nią litościwie, podniosła się i nalała jej znowu koniaku.

Grace wychyliła go bez protestu. Wpatrywała się w fotografię, której kontury trochę się teraz zamazywały.

– Skąd to pani wie? – spytała po chwili.

– Urodziła się pani, gdy Eva była jeszcze nastolatką.

– Ale skąd to pani wie?

– Bo po alkoholu rozwiązują się języki.

Śpiący pies zadygotał.

Przez podłogę przemknął prawie niewidzialnie promyk słońca.

– Muszę już iść – powiedziała Grace, podnosząc się z fotela. Nie stała całkiem pewnie na nogach.

– Dokąd?

Spojrzała na starą pustym wzrokiem.

– Nie wiem.

Oczy madame Zed stały się wielkie i czarne.

– Nie ma pani dokąd pójść – powiedziała.

Miała rację.

Grace usiadła z powrotem. Jej ciało było drętwe, jak z ołowiu.

– Dlaczego nie starała się ze mną porozumieć?

Madame pokręciła tylko głową.

– Wiedziała, gdzie mieszkam i jak mnie znaleźć po jej śmierci! – Grace prawie krzyczała, czując w środku narastający lęk. – Dlaczego nie odezwała się do mnie za

życia?

– Gniewa się pani.

– A jak mam się nie gniewać? Jak mam się zachować? Gdy dowiedziałam się właśnie, że całe moje życie oparte było na kłamstwie?

Madame Zed milczała.

Grace ujęła kieliszek.

– Dlaczego figuruję w jej testamencie?

– Bo była z panią powiązana. Ona istniała i pani istniała, mimo braku kontaktu. Można istnieć w czymś życiu, choć się o tym nie wie, tak jak istnieje morze, nawet jeśli nigdy się nad morzem nie bywa.

– Mogę się jeszcze napić? – Grace posunęła kieliszek w stronę madame.

– Chyba miała pani dosyć?

– Myli się pani.

Madame nalała.

Grace wypila koniak jednym haustem.

– Kto jest moim ojcem? Lambert? – spytała z widoczną odrazą.

– Nie – zaprzeczyła madame, zaciągając się głęboko papierosem.

– Więc kto?

– Nie znam jego nazwiska. Eva nigdy go nie wyjawiała. To chyba nieważne.

– Doprawdy? – zaśmiała się gorzko Grace. – Czyli ja też jestem nieważna!

– Pani matka...

– Moja matka? Proszę jej tak nie nazywać! – wybuchnęła Grace, zdziwiona siłą swego gniewu. – Nie ma pani prawa tak jej nazywać! Matka to ktoś, kto nie opuszcza dziecka. Kto jest przy nim! Nie zostawia go!

– Nie zamierzała tego zrobić.

– Co się w takim razie stało? Zapomniała mnie odebrać? Nie obchodzi mnie ta kobieta. Moją matką jest Catherine Maudley. Rozumie pani?

Madame wstała z fotela.

– Może rzeczywiście powinna pani wracać do hotelu.

Grace też się podniosła. Czuła, że unosi się w powietrzu niby w jakimś nierzeczywistym świecie, że jedynie gniew i narastający strach trzymają ją blisko ziemi.

– Przepraszam, że panią nachodziłam, i to dwukrotnie. Żałuję, że w ogóle przyjechałam do Paryża.

– Pomogę pani wezwać taksówkę – zaoferowała madame. Podała jej płaszcz.

Grace zawiązała byle jak pasek od płaszcza i wcisnęła kapelusz na głowę.

– Pójdę piechotą.

– To niezbyt bezpieczne.

– Bezpieczeństwo już mi się znudziło.

Zbiegła wąskimi schodami na dół.

Wypadła na ulicę, madame patrzyła za nią z otwartych drzwi mieszkania. Z dworu wdarł się na schody powiew zimnego wiatru, jakby chciał zaatakować madame. Zatrzasnęła drzwi.

W biurze Tissota panował spokój. Było późne popołudnie, sekretarka już wyszła. Tissot, bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli, siedział po godzinach nad papierami; biurko pokrywały dokumenty. Ujrzał ją nagle w otwartych drzwiach.

Zjawiła się bezszelestnie, nie wiedział nawet, dlaczego podniósł wzrok znad papierów. Reszta biura tonęła w ciemnościach, niebo nad miastem też nabrało barwy ciemnego fioletu. Stała nieruchomo, niby zjawa z zaświatów.

– Madame Munroe? – Tissot podniósł się z miejsca. – Nie słyszałem pani. Proszę usiąść – wskazał na krzesło.

Stała cały czas bez ruchu.

Coś się w niej zmieniło; usta bardziej zaciśnięte, twarz nieruchoma, oczy jakby niewidzące.

Potrząsnęła głową i wcisnęła ręce głębiej w kieszenie płaszcza.

– Przepraszam, że panu przeszkadzam, przychodzę bez zapowiedzi. Chciałam tylko panu powiedzieć, że podjęłam decyzję, jestem gotowa podpisać wszystkie dokumenty potrzebne do sprzedaży mieszkania pani Hiver.

– Rozumiem – odrzekł trochę zdziwiony. – Nie usiądzie pani? Przedyskutujemy całą sprawę.

Nie ruszyła się.

– Proszę mi wybaczyć zdziwienie – ciągnął Tissot, usiłując sprecyzować w myślach, na czym polega zmiana w jej zachowaniu – ale miałem wrażenie, że jeszcze nie podjęła pani decyzji.

– No cóż, pana wcześniejsze argumenty przekonały mnie – odparła krótko i obojętnie. – Długo zajmie przygotowanie dokumentów?

– Nie, niezbyt długo.

– Doskonale. Zależy mi na szybkim zakończeniu całej sprawy.

Tissot podszedł do niej trochę bliżej.

– Jestem świadom, że czasem kobiety podejmują dziwne decyzje, ale pani zmienia front wyjątkowo nagle. Czy coś się wydarzyło?

Patrzyła na niego, lecz jakby go nie widziała.

– Nie. Chcę wracać do Anglii. Poza tym ma pan rację, nie ma sensu przedłużać pobytu, skoro dostałam już bardzo korzystną ofertę.

– Bardzo się boję, gdy kobieta mówi mi, że od początku miałem rację – zażartował.

Nie roześmiała się.

– Nie chce pani dać ogłoszenia? – spróbował znowu. – Żeby sprawdzić wartość

rynkową mieszkania?

– To niepotrzebne. Oferta pani Hiver jest więcej niż hojna. Długo to potrwa? – spytała znowu.

– Nie. Postaram się przygotować wszystko jeszcze dzisiaj.

– Świetnie. Będę cały wieczór w hotelu.

– Madame Munroe. – Znowu podszedł bliżej. – Grace...

Przerwał, bo rzuciła mu nieprzyjazne spojrzenie.

– Czemu nie zdradzi pani, co się zdarzyło?

Wyraz jej twarzy i ton głosu były ostre, zabarwione strachem.

– Nic się nie zdarzyło. Jestem taka jak zawsze.

Wyszła. Zniknęła tak nagle, jak się pojawiła.

Skończył przygotowywać dokumenty po dziewiątej wieczorem. W hotelu Raphael zjawił się przed dziesiątą. Portier przekazał mu wiadomość, że pani Munroe czeka na niego nie u siebie w pokoju, lecz w barze. Zdziwiło go to.

W ten piątkowy wieczór bar był pełen. Grał pianista jazzowy, powietrze było gęste od dymu i śmiechu. Zatrzymał się w progu, usiłując odnaleźć ją w tłumie.

Siedziała sama przy jednym z bocznych stolików, przed nią szklanka whisky, w ręku papieros. Miała na sobie czarną sukienkę, z pozoru prostą, lecz idealnie podkreślającą jej figurę i odcień skóry.

Była to sukienka tak wyrefinowana, tak elegancka, że wymagała tego samego od jej właścicielki. Tego wieczoru Grace pomalowała usta szminką o barwie soczystej czerwieni, oczy przyciemniła. Chłodna, elegancka dama nie przypominała dawnej pani Munroe, kobiety wzdragającej się przed spróbowaniem ostryg, przerzucającej zakurzone starocie w rupieciarni. Mimo to, a może właśnie z powodu tej odmiany, wydała mu się delikatniejsza, bardziej krucha niż zwykle. Przyszło mu też do głowy, że być może wygląda tak wspaniale specjalnie dla niego. Podnieciła go ta myśl.

Przeszedł przez tłum i stanął przy jej stoliku.

– Madame Munroe... pięknie pani dziś wygląda.

Jakby nie dosłyszała komplementu. Podniosła wolno oczy.

– Proszę – wskazała gestem krzesło naprzeciwko.

Prawie natychmiast zjawił się kelner, Grace najwyraźniej przyciągała tego wieczoru uwagę.

– Ma pan ochotę czegoś się napić? – spytała.

Zdjął płaszcz i usiadł.

– A co pani pije?

– Szkocką.

– Dla mnie też.

Wskazała na teczkę.

– To te dokumenty?

– Tak.

Tissot uznał, że Grace chce przejść do sprawy, wyjął więc papiery i położył przed nią.

– Gdzie mam podpisać?

Grace najwyraźniej nie zamierzała tracić czasu.

Wskazał jej miejsca u dołu każdej strony.

– Tu, gdzie postawiłem krzyżyki.

Zaciągnęła się szybko papierosem, odłożyła go do popielniczki.

– Ma pan może pióro?

– Życzy sobie pani, żebym przeczytał paragrafy umowy? – Wyjął pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki. – Z wielką chęcią wszystko wyjaśnię. – Podał jej pióro.

Podpisała szybko kilka kolejnych stron.

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– Nie chce nawet pani sprawdzić ceny?

Podpisała kolejną stronę.

– Na pewno to więcej pieniędzy, aniżeli miałam, gdy tu przyjechałam. – *Voilà*, panie Tissot – powiedziała z uśmiechem i oddała mu pióro.

Przesunęła plik dokumentów w jego stronę.

– Skończone.

Przyszedł kelner z whisky dla Tissota.

– Wciąż mi się wydaje, że coś się wydarzyło... – zaczął znowu, wkładając papiery do teczki.

– Chciałabym panu podziękować za pańską pomoc w moich sprawach. Doskonała usługa. – Zgasiła papierosa, wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie.

Tissot też wstał.

– Usługa? – powtórzył, nagle urażony.

– Tak. Jest pan chlubą swej profesji. Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności, z pewnością zrobił pan więcej, niż pan musiał. Dziękuję i życzę panu kolejnych sukcesów.

Tissot spojrzał na nią gniewnie.

– Odprawia mnie pani? Naprawdę sądzi pani, że pomagałem tylko z obowiązku?

Grace zeszywniała i uwolniła rękę z uścisku. Coś w jej oczach przekonało go, że trafił w samo sedno.

– Czyż nie chciał pan doprowadzić transakcji do końca?

– Tak, ale... ale próbowałem... próbowałem doradzić pani najlepsze wyjście.

– I zrobił to pan.

Grace podniosła torebkę.

– Pańska rola się skończyła.

Odwróciła się do wyjścia.

Tissot chwycił teczkę i płaszcz, podążył za nią.

– Nic nie rozumiem – zwrócił się do niej, gdy się zrównali. – Co się pani stało?

– Nic.

Skierowała kroki ku windzie. Drzwi windy otworzyły się, Grace weszła do środka, Tissot za nią.

– Co pan wyrabia?

– Idę za panią.

– Dlaczego?

Nagle Tissot pociągnął nosem.

– Użyła pani perfum?

– A dlaczego nie? Kobiety lubią się perfumować – odparła niedbale.

– Ale pani nie. Co to za zapach?

Nie patrzyła na niego.

– Dostałam od przyjaciółki. Perfumy firmy Hiver – roześmiała się sucho. – Stosownie do sytuacji, nie uważa pan?

Wyszła z windy. Tissot szedł za nią.

W środku korytarza stanęła.

– Co pan teraz zamierza? Iść ze mną do pokoju?

– Czemu używa pani perfum? I skąd ma pani tę suknię?

Zmrużyła oczy.

– Nie podoba się panu mój wygląd?

– Podobał mi się pani poprzedni wygląd!

– Czyżby? Nie bardzo chce mi się w to wierzyć – powiedziała i przyspieszyła kroku. – Zresztą nie o to chodzi.

– O co więc chodzi?

Grace przekręciła klucz w zamku drzwi do swojego pokoju.

– Coś się stało, a pani nie chce mi powiedzieć co – rzekł, chwytając ją za ramię.

– Co to pana może obchodzić? Ach, już wiem! – roześmiała się. – Zdaje się panu, że poniosłam porażkę, i pan chce mnie podnieść na duchu, prawda?

Słowa te uządliły go, lecz nie dawał za wygraną.

– Nie jest dziś pani sobą.

Przestała się śmiać.

– To dobre wytłumaczenie. To prawda, zdecydowanie nie jestem sobą – powiedziała, próbując się wyrwać, lecz nadaremnie.

– Dlaczego?

Nagle przestała się wyrwać, oparła się o framugę drzwi.

– Nie podoba się panu, jak wyglądam? – powtórzyła pytanie.

Patrzyli sobie prosto w oczy.

– Zawsze mi się pani podoba – odparł zgodnie z prawdą.

– Naprawdę?

Skinął głową i oswobodził jej ramię.

– Nie ma to nic wspólnego z pani ubraniem ani fryzurą.

Przysunęła się do niego, czuł jej oddech na twarzy.

– A z czym ma to coś wspólnego?

– Z całą pani osobą.

Upuścił teczkę i płaszcz na podłogę. Ujął jej twarz w dłonie.

Przymknęła oczy.

– A cóż to jest za osoba?

Leciutko dotknął ustami jej ust.

– Ktoś, kto doprowadza mnie do szaleństwa – wyszeptał.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Usta miał miękkie i czułe. Poddała się pocałunkowi, ciało jej przyłgnęło do niego ulegle.

Jej włosy i szyja pachniały tymi dziwnymi perfumami, świeżą zielenią łąki. Pocałował ją mocniej, powiodł rękoma po jej plecach.

Grace nagle oderwała się od niego.

Tissot wyciągnął do niej rękę, lecz ona cofnęła się jeszcze o krok. W jej oczach czaił się strach.

– Przepraszam. Nie jestem dzisiaj sobą.

Zanim Tissot zdążył coś powiedzieć, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Ktoś zapukał.

– To ja, kochanie! Mallory. Wpuść mnie.

Grace otworzyła oczy. Przez szparę w okiennych zasłonach wpadał słoneczny blask, tworząc jasną smugę na dywanie.

Wstała z łóżka i otworzyła drzwi.

– Och! – wykrzyknęła Mallory ze zdziwieniem. – Nie jesteś jeszcze ubrana? Myślałam, że planowałaś wybrać się dzisiaj na zwiedzanie Paryża. Dobrze się czujesz?

– Mam lekkiego kaca – skłamała Grace. – Muszę jeszcze pospać. Możesz iść sama?

– Oczywiście. Potrzebujesz czegoś? Aspiryny? Albo klina? – roześmiała się. – Może się przyłączę.

– Och, nie. Robi mi się niedobrze na samą myśl.

– Jesteś za poważna! Podejrzewam, że to ten Francuz cię upił. Pójdę do Notre Dame i na Montmartre, zostawię wieżę Eiffla na później, jak dojdiesz do siebie, dobrze?

Mallory wyjęła rękawiczki z torebki i pożegnała się. Grace zamknęła za nią drzwi. Obudziła się dopiero koło czwartej po południu. W pokoju było ciepło, prawie jak w

lecie. Bolała ją głowa, w piersiach czuła ucisk.

Czuła się niepewnie, zadzwoniła jednak po coś do jedzenia. Zamówiła herbatę i kawałek tarty cytrynowej. Nie miała apetytu, ale bardzo chciała zjeść coś słodkiego.

Gdy przyniesiono zamówienie, dostrzegła na podłodze koło drzwi kopertę. Były w niej podpisane dokumenty sprzedaży i złożona kartka.

*Radziłbym ponowne rozważenie decyzji. Chciałbym się z panią zobaczyć przed wyjazdem.*

*E. Tissot*

Odłożyła list na stół i odsunęła zasłony.

Nie chciała z nim rozmawiać. Z nikim nie chciała rozmawiać.

Pragnęła jedynie ciszy.

Jej dotychczasowe wyobrażenie o sobie nie istniało. Czuła pustkę. Jakby rodzice umarli powtórnie, co gorsza, jakby jej wspomnienia o nich również zniknęły. Zniknęły, zdeptane i zszargane.

Eva d'Orsey niczego jej nie ofiarowała.

Przeciwnie, odebrała jej całe dotychczasowe życie.

Poczucie wewnętrznej pustki zmęczyło ją do granic wytrzymałości.

Nie tknąwszy herbaty ani ciasta, zaciągnęła z powrotem zasłony i znowu zasnęła ciężkim głębokim snem.

Męczyły ją jakieś majaki.

W pokoju panowała ciemność. Zapadła już noc.

Poczuła obejmujące ją męskie ramiona; ubranie mężczyzny pachniało mokrą wełną, jak gdyby zmokło właśnie na deszczu.

– Zbudź się.

Pocałował ją w szyję i pogładził po włosach.

– Zbudź się.

Grace przewróciła się na drugi bok.

Ktoś pukał do drzwi. Czyżby znowu Mallory?

Pukanie nie ustawało.

Usiadła na łóżku.

W pokoju było kompletnie ciemno. Podeszła do drzwi chwiejnym krokiem i otworzyła je.

Oblało ją ostre światło z korytarza.

– Mój Boże! – cofnęła się. – Roger?

– Nareszcie. Już miałem odchodzić – powiedział.

– Co ty tu robisz?

– Chciałem cię zobaczyć. Jestem przecież twoim mężem.



Uśmiechnął się. Roger przepięknie się uśmiechał, całą twarzą i oczyma, marszcząc nawet nos.

– O Boże! – roześmiał się. – Co zrobiłaś z włosami? Cóż, nie szkodzi, pewnie odrosną.

Rzucił płaszcz na krzesło, zasiadł na kanapie i wyjął z kieszeni papierosa.

Oślupiała Grace nie ruszyła się z miejsca. Stała na środku pokoju w nocnej koszuli, obejmując się ramionami, jakby w obronie.

– Cóż tak stoisz? – zaśmiał się z jej powagi. – Naprawdę ani trochę się nie cieszysz, że tu jestem? – spytał, przesuwając palcami po swej jasnej jak piasek czuprynie. – Przejechałem do ciebie kawał drogi. Masz ochotę? – Wyciągnął do niej rękę z paczką chesterfieldów.

– Nie, dziękuję.

Roger przypalił papierosa i rozsiadł się jeszcze wygodniej na kanapce. Najwyraźniej czuł się jak w domu. Był to jeden z jego talentów – od razu zagarniał dla siebie każde terytorium.

– Co tu robisz? – Grace powtórzyła pytanie.

– Przyjechałem po ciebie – odparł łagodniejszym tonem. – Żebyśmy wrócili razem do Londynu. Okropnie mi było bez ciebie. Co tu mówić, zachowałem się głupio i samolubnie.

Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i wypuszczając spomiędzy ust dym.

– Wiedz też o tym, że nic się nie wydarzyło między Vanessą a mną. Przez przypadek zatrzymała się w tym samym co ja hotelu w Edynburgu. Poszliśmy razem do kina, to wszystko. Przysięgam.

– Czemu w takim razie kłamałeś?

– Sam nie wiem. – Pokręcił z westchnieniem głową. – Byłem zły. I przestraszony. Ona potrafi być bardzo miła.

Roger podniósł głowę i spojrzał Grace prosto w oczy.

– Trochę pokpiłszy sprawę, ty i ja, prawda? Tak mi przykro, Grace, nie zachowałem się w tym wszystkim zbyt chlubnie.

Grace zbierała się do odpowiedzi, lecz nie bardzo wiedziała, od czego zacząć.

– Więc ty... nie rozumiem...

– Kochanie, proszę cię... – Wstał z kanapki. – Wybacz mi. Wyszłaś za mąż za głupca. Ale jestem twoim głupcem, zapewniam cię – z tymi słowy otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

Czuła bicie jego serca i zapach znajomej wody kolońskiej. Stała nieruchomo, z policzkiem przy jego piersi, gdyż Roger był od niej o wiele wyższy. Wypuścił ją w końcu z objęć. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. Uśmiechał się, uznając najwyraźniej sprawę za zakończoną.

– Boże, ależ jestem zmordowany! Co za podróż!

Podniósł walizkę i umieścił ją na stojaku bagażowym. Wyjął z niej neseser z przyborami do golenia, rozwiązał sznurowadła, zrzucił ze stóp buty, odwiesił marynarkę na wieszak.

– To drzwi do łazienki?

Grace skinęła głową.

Roger udał się w tamtą stronę. Wkrótce dał się słyszeć szum wody lejącej się z kranu.

Grace usiadła na brzegu łóżka.

Wrócił do niej. Pofatygował się z Londynu.

A Vanessa... okazuje się, że to tylko drobne nieporozumienie. Czy ma mu wierzyć?

Zajęło mu to pięć minut: wkroczył do pokoju, złożył przeprosiny i zainstalował się w łazience. Jej łazience.

Czemu niczego nie czuła?

Przesunęła ręką po czole, przyciskając mocno palce do skóry. Nie, nie straciła czucia. Ale czemu w środku czuje tylko pustkę?

Roger wyszedł z łazienki.

Grace bez słowa zgasiła światło, on zaś skończył się rozbierać po ciemku. Wyciągnęła się na brzeg łóżka, plecami do niego. Położył się obok.

Już dawno nie byli tak blisko siebie. Grace czuła głośne bicie swego serca, być może Roger też je słyszał.

Wyciągnął ku niej rękę. Odsunęła się.

– Nie.

Gdy następnego ranka otworzyła oczy, ujrzała Rogera już w ubraniu, w okularach na nosie, przeglądającego przy biurku jakieś papiery.

Nie miała jeszcze jasnej głowy.

– Która godzina? – spytała.

Nawet się do niej nie odwrócił, patrzył na kolejny dokument.

– Nie jestem pewien, chyba jest różnica w czasie między Anglią a Francją?

Grace przetarła oczy.

– Co robisz?

Zdjął okulary z nosa, w rękę trzymał plik papierów. Odwrócił się do niej.

– Zdajesz sobie sprawę z wartości tego pakietu?

Usiadła w łóżku, już całkiem przytomna.

– To moje rzeczy!

– Jesteśmy małżeństwem. To wspólna własność.

– Dlaczego je przeglądasz? Kto ci pozwolił?

Grace spuściła nogi na podłogę.

Roger spojrział na nią, jakby była niespełna rozumu.

– Leżały na biurku, najwyraźniej do wglądu. Wiem też od Mallory, że masz jakieś problemy z finansami. Znam się na kontraktach prawnych, zajmuję się tym na co dzień. Powinnaś mi od razu wszystko przekazać.

– Mallory? A cóż ona ma do tego?

Czyżby rozprawiali o niej za jej plecami?

– Nic nie ma. Ależ jesteś przeczulona! – Obrócił się na krześle ku Grace. – Zadzwoń do niej, jeśli chcesz wiedzieć. Chciałem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– A dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie?

Roger wstał z krzesła.

– Bobyś nie chciała ze mną rozmawiać! Oskarżyłaś mnie przecież o romans z Vanessą! Co ci jest?

Grace nie odpowiedziała. W głowie jej huczało. Obecność Rogera ją przytłaczała. Było go za dużo, robił za wiele hałasu, wypełniał sobą całą przestrzeń. Dopiero przyjechał, a już przeglądał jej papiery i mówił, co ona ma robić. Dzwonił do jej znajomych. Chwyciła z szafy sukienkę i poszła do łazienki.

Gdy wyszła, zastała go przy dokumentach sprzedaży mieszkania Evy d'Orsey.

– Musimy należycie przetłumaczyć te papiery. Zadzwoń do tego Tissota i umówię się z nim na popołudnie. Bardzo nierozważnie z twojej strony, Grace, tak podpisywać cokolwiek bez naradzenia się najpierw ze mną. Może się okazać, że popełniłaś duży błąd. Czy masz pojęcie o bieżących cenach w tej części Paryża? Całe szczęście, że przyjechałem na czas.

Grace chwyciła płaszcz i torebkę. Włożyła kapelusz.

– Dokąd się wybierasz?

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Nie teraz. Najpierw musisz mi powiedzieć, co tu podpisałaś. Powinniśmy wszystko dokładnie przejrzeć. Nie rozumiesz? To nasz wspólny interes. Kim jest ta Eva d'Orsey?

Grace otworzyła drzwi.

– Nie chcę o tym mówić. To są moje sprawy. Ciebie nie dotyczą.

Poszła do pokoju Mallory, nie zastała jej tam.

Zajrzała do jadalni i na taras, znalazła przyjaciółkę usadowioną na kanapie w salonie, zajęta pisaniem pocztówek.

Mallory uśmiechnęła się na jej widok.

– Cześć, dawno się nie widziałyśmy. Lepiej się czujesz?

Grace padła na fotel.

– Roger tu jest.

– Tu?! – wykrzyknęła Mallory z niedowierzaniem. – W Paryżu?!

– Dlaczego wtajemniczyłaś go w sprawę spadku?

Mallory odłożyła pióro.

– Ty mu nic o tym nie powiedziałaś?

Grace przesunęła dłonią po oczach. Czuła się coraz bardziej osaczona. W ciągu jednej nocy Paryż stał się dla niej takim samym więzieniem jak Londyn. A czuła się tu taka wolna i niezależna.

– Siedzi z nosem w moich papierach. Dzwoni do prawnika, ma zamiar polecić tłumaczenie kontraktów.

– Może to dobry pomysł? – Mallory zmarszczyła czoło.

– Nie, to nie jest dobry pomysł.

– Nie uważasz, że Roger może ci w czymś pomóc?

– To są moje sprawy.

Po raz pierwszy w życiu poczuła, że musi o wszystkim zdecydować sama, że musi bronić swej niezależności.

Mallory przygryzła usta.

– Przepraszam cię. Sądziłam, wiesz, że się na tym wszystkim nie znasz. Roger był autentycznie zatroskany, kiedy do mnie zadzwonił. Powiedział, że chce tylko wiedzieć, czy u ciebie wszystko w porządku. Nie miałam pojęcia, że nic mu o całej sprawie nie powiedziałaś. A już w ogóle nie przypuszczałam, że on się tu zjawi. Naprawdę, kochanie, chodziło mi tylko o twoje dobro.

Grace wstała z fotela.

– Tylko że to nie to.

– Jesteś pewna?

– Ja... ja nie wiem – zawahała się. Mallory dobrze trafiła, zadając to pytanie. Grace nigdy nie bardzo wiedziała, jaką ma pójść drogą, co wybrać, zawsze w życiu błądziła trochę po omacku.

– Co może być najlepszym rozwiązaniem? – westchnęła Mallory.

Grace zarzuciła płaszcz na ramiona.

– Nie wiem.

– Dokąd idziesz?

– Muszę trochę pobyć sama.

– Poczekaj! – Mallory chwyciła ją za ramię. – Roger cię przeprosił? Co powiedział?

Na jej twarzy malowało się napięcie.

Grace patrzyła na nią rozkojarzona, usiłując się skoncentrować. Bezskutecznie, gdyż nagle sam Roger i to, co powiedział, co zrobił, co zamierzał, wszystko przestało mieć znaczenie. Coś innego miało znaczenie, choć nie bardzo wiedziała co.

Mallory czekała na odpowiedź. Grace wirowało w głowie. Nie pamiętała, co dokładnie ona i Roger powiedzieli sobie ostatniej nocy. Pamiętała jedynie, że on

przyjechał i wypełnił swoją osobą całą przestrzeń. A także to, że po całych miesiącach oczekiwania na jego dotyk teraz go odepchnęła.

Wspomnienie pocałunku Tissota natomiast wibrowało w całym jej ciele.

– Nie wiem. Nie jestem pewna... chyba tak – odpowiedziała bezbarwnym głosem.

– Powiedział to, co pewnie chciałam usłyszeć. Że to... nieprawda. Ale nie chcę więcej tego słuchać.

Siedziała na ławce w parku po drugiej stronie ulicy, tyłem do placu zabaw. Patrzyła w stronę rzeki. Jej pies, stary terier o wodnistych oczkach i wytartej sierści, leżał zwinięty w kłębek pod ławką, kryjąc się przed wrzaskiem dzieci.

Długi czarny paltot i małe filcowy kapelusz przyciągały uwagę. Siedziała wyprostowana, jak królowa.

Grace nie miała najmniejszej ochoty na ponowne spotkanie z madame Zed.

Gdy wyszła z hotelu, planowała udać się do Luwru i zagubić się w muzealnych czeluściach, spędzić tam cały dzień. Lecz ogrom muzeum natychmiast ją obezwładnił.

Wyłożone jasnym marmurem ściany odbijały echem wielojęzyczne głosy, galeria appolińska raziła oczy pięknymi złoceniami, na obrazach kłębiły się ciała w walecznych zmaganiach; nic tu nie koło duszy.

Wyszła więc, snuła się po ulicach, wstąpiła do kawiarni na kawę, której nie wypła. Weszła do jakiejś księgarni, gdzie stanęła na środku i wpatrywała się w rzędy tytułów na półkach.

– *Comment puis-je vous aider?* – spytał jegomość w okularach.

– *Pardon?*

– *Comment puis-je vous aider?* – powtórzył powoli.

Po chwili zorientowała się, że patrzy na periodyki poświęcone anatomii. Weszła do jakiejś księgarni naukowej.

– *Non. Non, merci.*

Żadne miejsce nie koło, to było jasne. W głowie miała płataninę myśli. Pamięć o pocałunku i dotyku rąk Tissota coraz to wracała, by ustąpić miejsca okropnemu uczuciu, że oto nie wie już, kim jest, że całe jej dotychczasowe życie to fałsz.

Znowu znalazła się po lewej stronie Sekwany. Szuka osoby, która stuknęła w jej życie jak w skorupkę jajka. I życie pękło.

Stanęła przy ławce. Dłonią w kieszeni objęła zapalniczkę ojca.

– Chyba mnie pani nienawidzi.

Madame Zed podniosła na nią wzrok ze zdziwieniem. Potrząsnęła przecząco głową.

– Skądże znowu. Nawet pani nie znam. A jej nie znosiłam – zakończyła trochę ostrzej.

To było szokujące stwierdzenie.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła głośniej, z nagłą energią. – Bo on był mój. Ja go odkryłam, ja go wyszkoliłam! Był całym moim światem, dzieckiem, którego nie urodziłam, mężem, którego nie poślubiłam, towarzyszem, którego nigdy nie spotkałam. I nagle ona się zjawia nie wiadomo skąd! Czy wie pani, co było w niej takie niesamowite? Miała naprawdę niezwykły talent. Do wykrywania smaku czasu, do przetwarzania go w odpowiedni klimat. Była w tym świetna. Co więcej, umiała zmusić André do uwagi. Mnie on nie słuchał, mogłam sobie mówić, natomiast wsłuchiwał się w każdą jej sugestię. Wyobraża sobie pani, jakie to było dla mnie irytujące? Zostałam odstawiona na boczny tor, niby jakiś relikwiarz przeszłości.

Przez jakiś czas wpatrywała się w szare fale Sekwany.

– Nawet gdy odeszła, on już mnie nie potrzebował, nabrał pewności siebie – odezwała się znowu bezbarwnym głosem.

Grace zaprzeczyła ruchem głowy.

– To nieprawda! Przecież znalazłam listy! W jednym jest cała wymiana informacji o tych dziwnych perfumach, które razem tworzyliście, mokra wełna, włosy i tak dalej!

Madame okręciła sobie wokół dłoni psią smycz.

– To nie Valmont.

– A kto? Kto inny chciałby pani pomocy?

– Właśnie, kto.

Madame wbiła w Grace czarne przepastne oczy.

– To była jej jedyna kompozycja. Do dziś trudno mi w to uwierzyć. Osiągnąć taki sukces za pierwszym poważnym podejściem – roześmiała się gorzko. – Niesłychane!

Grace przysiadła na brzegu ławki.

– O czym pani mówi?

– O kompozycji, którą sprzedała Hiverowi. Ona ją stworzyła.

– Przecież powiedziała mi pani, że ona zdradziła Valmonta! Że sprzedała Hiverowi perfumy Valmonta!

– Nazwisko Valmonta widniało na recepturze, ale to była jej własna praca. Wynik prywatnej obsesji.

– Czemu nie powiedziała pani prawdy? Jakie jeszcze kłamstwa pani rozpuściła?

– Pewnego dnia spotka panią nemezis – ostrzegła ją gorzko madame. – Niełatwa rzecz widzieć kogoś, kto może zrobić to samo, co my byśmy chcieli, ale z większym sukcesem, z większą łatwością, w lepszym stylu.

– Mam już swoją nemezis, dziękuję.

– Jest pani za młoda, żeby zrozumieć, co to znaczy, jak ktoś, kogo kochamy, odsuwa nas od swego życia.

– Mogłabym całą książkę o tym napisać.

Siedziały chwilę w milczeniu.

Madame Zed odezwała się pierwsza.

– Znałam ją tyle lat, nienawidziłam tyle lat, jest jakby częścią mojej osoby. Jakby kończyną. Gdy dowiedziałam się od pani, że umarła, poczułam się osierocona. Czasami wydaje mi się, że ci, których nienawidzimy, są nam bliżsi od tych, których kochamy. A potem zjawiała się pani ze swymi pytaniami.

– Pojawiła się szansa rewanzu.

– Nie, wcale nie miałam takich intencji. Myśli pani, że jestem tak małoduszna? Że nie cierpię z racji własnej zawiści i urazy? Chciałam być jedynie sprawiedliwa.

– Nie udało się to pani.

– To prawda – zgodziła się madame. Siedziały chwilę w milczeniu. – Utraciłam zdolność.

– Nie wiem, co pani ma na myśli.

– Zachorowałam na zapalenie opon mózgowych. W Indiach. Nigdy nie doszłam całkowicie do siebie. Stopniowo straciłam zmysł powonienia.

– A te perfumy, które mi pani pokazała...

– Z pamięci. Teraz nic już nie potrafię stworzyć. Jestem kompletnie bezużyteczna.

Grace przypomniała sobie skwaśniałe mleko i przypalone ciasto.

– Nie powinnam była godzić się na rozmowę z panią – przyznała madame. – Ale chyba coś mnie z Evą łączyło. Ona też straciła najważniejszą rzecz w życiu.

– Straciła rzecz! – wykrzyknęła Grace z oburzeniem. – To brzmi, jakbym była zagubionym pakunkiem.

– Nie chce pani znać swego pochodzenia?

– Tak to pani tłumaczy sama przed sobą? Że robi mi pani przysługę? Wywracając mi życie do góry nogami?

Madame Zed nie podnosiła wzroku.

– Nie. Nie mam dla siebie usprawiedliwienia. Chyba rzeczywiście chciałam wzbudzić w pani nienawiść do Evy – przyznała cichym głosem.

– Udało się to pani. A przy okazji straciłam spokój ducha – powiedziała, czując zbierające się pod powiekami łzy. – Przestałam wierzyć w ludzi.

– To niedopuszczalne.

Madame podniosła się z ławki. Jej piesek też się wygramolił. Zaczynało się chmurzyć, wzmógł się wiatr. Kobieta ledwie trzymała się na nogach.

– Proszę pójść ze mną.

– Po co? Dlaczego mam pani słuchać?

Mimo wyrażonej przed chwilą skruchy ton głosu madame pozostał władczy.

– Muszę pokazać pani jeszcze jedne perfumy, ostatnie.

Madame wyjęła z szafki zwyczajną apteczną fiolkę z łuszczącą się naklejką. Nie otworzyła jej jednak.

- Opowiem pani całą historię.
- Raz już mi pani skłamała. Czemu tym razem miałabym pani wierzyć?
- Proszę mnie najpierw wysłuchać – odrzekła spokojnie madame.
- Dobrze.

Usiadły naprzeciwko siebie.

– Eva była jeszcze bardzo młodą dziewczyną, pracowała jako pokojówka w Nowym Jorku i tam wtedy zaszła w ciążę. Charles Lambert, czyli inaczej Lamb, przywiózł ją do Anglii. Uzgodnili, że Eva odda mu pieniądze za podróż i utrzymanie po urodzeniu się dziecka. Mieli zacząć razem pracować w największych europejskich kasynach, przy hazardzie. Liczył na współpracę z nią, zależało mu na jej talencie do liczb i dlatego zgodził się jej pomóc. Ona rzeczywiście posiadała nadzwyczajny talent.

– Już mi to pani mówiła – powiedziała obojętnie Grace.

Madame zignorowała jej niegrzeczny ton.

– Gdy się pani urodziła, Eva miała piętnaście, może szesnaście lat, była sama w obcym kraju, bez rodziny, bez przyjaciół. Lambert przekonał ją, że najlepszym wyjściem będzie oddanie dziecka pod opiekę jego bezdzietnej siostry Catherine. Że tam będzie dziecku świetnie. Mężem siostry był Maudley, oficer po przejściach wojennych. Małżeństwo Catherine było bezdzietne, przyjęli więc niemowlę, z którym zjawił się Lambert, dziecko samotnej dziewczyny, jak dar niebios.

Grace zabiło serce.

– Mówi pani o moich rodzicach.

Madame skinęła głową.

Nagle Grace poczuła dotyk ust na swym czole, dłonie mamy otulały ją koldrą przed snem.

– Dobranoc, moje kochanie.

Podniosła rękę do oczu.

Madame ciągnęła dalej:

– Eva nie chciała się rozstać z dzieckiem, lecz Lambert uparł się na to rozwiązanie. Obiecał jej, że gdy spłaci mu dług, zorganizuje spotkanie i Eva odbierze małą od Catherine. Czas mijał. Eva przystała na wszystkie warunki i pomagała Lambertowi jak mogła. Wciąż mu jednak było mało. Był nałogowym alkoholikiem, wpadał coraz bardziej w dług, nawet talenty Evy nie mogły go z nich wyciągnąć.

Rozwiązanie tymczasowe stawało się więc rozwiązaniem na stałe. Lambert trzymał dane Catherine i jej adres w tajemnicy, co oczywiście dawało mu ogromną przewagę w ich wzajemnych relacjach. Twierdził, że zrujnuje wszystko, gdy będzie usiłowała sama się skontaktować z Catherine. Napisał wszakże do niej w dzień swego samobójstwa i podał w liście wszystkie szczegóły. Przyznał też, że Catherine nie zamierza rozstać się z dzieckiem i że ma jej świadectwo urodzenia. Eva natomiast nie



miała żadnego dowodu, że jest pani matką. Postanowiła jednak walczyć.

Grace czuła ucisk w żołądku.

– Proszę mówić dalej.

– Catherine wraz z mężem mieszkała w jednym z pomniejszych domostw na terenie posiadłości jej ojca. Nie trzymali dużo służby. Pewnego lata Catherine zabrała się do pisania powieści, postanowili więc zatrudnić nianię. Młoda dziewczyna, która do nich przystała, była z początku jedynie kucharką i pokojówką. Sama się zgłosiła do rodziny przez miejscowego proboszcza. Natychmiast nawiązała świetny kontakt z dzieckiem, więc stopniowo przejęła opiekę nad dziewczynką. Była Francuzką, nazywała się Céline.

Ucisk w żołądku się wzmógł.

Imię Céline coś jej przypomniało. Z mroków pamięci wyłoniła się twarz.

– Lena – wyszeptała.

Więcej obrazów z przeszłości.

Lena, niewysoka kobieta o ciemnych włosach i miękkim głosie. Wszędzie jej było pełno. A to piekła coś w kuchni, a to rozwieszała pranie na sznurze, a to wołała ją na kąpiel...

– Lena! Lena!

Pamiętała to imię. Pamiętała jego brzmienie we własnych ustach.

– Lena! – wołała, wbiegając do domu tylnymi drzwiami. – Lena! – wołała na tę dziewczynę, która była dla niej nie tyle nianią, ile kompanem w zabawach, ciągłym towarzyszem i konspiratorem.

Lena pachniała czymś swojskim i naturalnym, organicznym. Od tamtego czasu, gdy zbierało się na burzę, niebo ciemniało i zaczynało grzmieć, Grace zawsze kojarzyło się to z poczuciem wielkiego spokoju i bezpieczeństwa.

Pachniała deszczem.

---

## West Challow

### Oxfordshire, Anglia, 1935

---

Tego marcowego popołudnia było cieplej niż zazwyczaj o tej porze roku.

Grace bawiła się w ogrodzie z psem. Nazywał się Fry.

Z otwartych drzwi kuchni zapraszał zapach piekącego się kurczęcia.

Grace weszła do kuchni. Było tam czysto i porządkie, w garnkach coś przyjemnie bulgotało, podłoga była świeżo wymyta, wszystko jak trzeba.

Lena przepasana fartuchem siedziała przy stole zajęta pisaniem.

– Co robisz?

– Piszę list, kochanie – odpowiedziała, nie podnosząc głowy. Wszystko, co Lena robiła, było dla Grace zapowiedzią przygody.

– Mogę popatrzeć?

– Popatrzeć, jak piszę list? – uśmiechnęła się Lena.

Grace skinęła głową i zadała jej pytanie, którego nie śmiałyby zadać matce. Nigdy przedtem nikogo nie śmiała o to prosić.

– Mogę usiąść ci na kolanach?

– Oczywiście! – odparła Lena z radością.

Odepchnęła krzesło do tyłu i wyciągnęła ramiona. Dziewczyka wdrapała się jej na kolana. Oparła głowę na jej piersi, czuła bicie jej serca. Lena pachniała inaczej niż inni ludzie. Był to świeży, naturalny zapach, przynoszący ukojenie i bezpieczeństwo.

– Do kogo piszesz ten list?

Lena pogładziła ją po włosach i pocałowała w czoło.

– Do znajomego w Paryżu.

– To twój mąż?

– Nie, nie mam męża.

– Czemu nie?

– Tak się czasami układa.

– Tak – zgodziła się poważnie Grace, mimo że nie zrozumiała. – Chyba tak. Gdzie mama?

Przytuliła się mocniej do Leny.

– Jeszcze nie wróciła. A teraz bądź cichutko, bo nie mogę pisać.

– Wróci niedługo?

Grace było wszystko jedno, kiedy matka wróci. Chciała siedzieć jak najdłużej na kolanach Leny. Nigdy przedtem tego nie robiła, nie wiedziała, czego oczekiwać.

Rozmawiała więc o matce, mając nadzieję, że Lena pozwoli jej zostać ze sobą.

– Tak, wróci niedługo. A na kolację będzie pieczony kurczak, możesz dostać magiczną kostkę. Co ty na to?

Grace miała nadzieję, że Lena znowu pocałuje ją w czoło.

– Będę się modliła o męża dla ciebie – obiecała, uśmiechając się do niej i bawiąc się jej długimi włosami.

Lena ujęła pióro. Trochę się namyślała, w końcu zaczęła pisać.

*Drogi André,*

*przepraszam, że piszę dopiero teraz. Przykro mi też, że rozstaliśmy się w gniewie. Nie powinnam była wyjechać tak nagle. Jak widzisz ze stempla pocztowego, jestem w Anglii. Wiem, że nie uważasz mego pomysłu za rozsądny, lecz muszę ci powiedzieć, że udało się. Dostałam posadę pomocy domowej w domu mojej ukochanej. Jest ze mną w tej chwili, siedzi mi na kolanach.*

*Z początku była dość nieśmiała. Możesz sobie wyobrazić, z jakim trudem powstrzymywałam się od czułych odruchów, ale po krótkim czasie ona bardzo się do mnie zbliżyła. Minął dopiero tydzień, a już jesteśmy zaprzyjaźnione. Jest taka bystra i urocza!*

*Zrozumiałbyś wszystko, gdybyś mnie tu zobaczył. Dopiero teraz czuję, że odzyskałam pewność siebie. Jestem szczęśliwa, mimo że zmywam i sprzątam! Żałuję jedynie, że ty i ja...*

Lena przerwała pisanie. Namyślała się.

Złożyła list na pół i schowała do kieszeni fartucha.

– Skończę później. Czym się teraz zajmiemy, kochanie?

Grace przytuliła się do niej mocniej.

Fascynowało ją wszystko, co Lena robiła.

Wprowadzała ład i porządek, mówiła do niej „kochanie”. Grace chodziła za nią krok w krok. Obserwowała, jak Lena ścieli łóżka, jak odkurza, kiedyś zobaczyła ją zajęętą trzepaniem na dworze dywanów z holu.

– Co robisz?

– Trzepię dywany, kochanie. Chciałabyś spróbować? – Wręczyła jej trzepaczkę. Trzepanie bardzo się Grace podobało. Waliła w dywany z wielką siłą, wzbijając tumany kurzu.

– Ależ jesteś silna! – śmiała się Lena, a Grace waliła jeszcze mocniej.

Gdy zastawała ją w kuchni przy zmywaniu, Lena uczyła ją, jak puszczać bańki na widelcu wyjętym z mydlin. Bańki wypełniały kuchnię, pies gonił je jak opętany, szczekając wściekle.

Grały też razem w karty. Lena знаła pewną grę, której nikt nie potrafił wygrać.

Grace była bardzo pojętna.

– Jesteś bardzo bystra, wiesz? – mówiła Lena, gładząc małą po policzku. – Nigdy o tym nie zapominaj. A teraz jaki ruch? Pomyśl uważnie, zanim odpowiesz.

Dziewczynka starała się koncentrować, chciała, by Lena była z niej zadowolona.

Ta gra była przyjemna i jednocześnie trudna i dlatego Grace najbardziej ją lubiła.

Chodziły czasami na spacer do lasu rozciągającego się za domem zbierać kwiaty. Rosły tam dzikie narcyzy, białe pergaminki, których delikatne kwiatki pachniały słodko i mocno.

Przynosiły całe ich naręcza do kuchni, gdzie Lena pokazywała dziewczynce, jak się robi perfumy. Na wymyte do czysta dwie tafle szkła zabrane z oranżerii nanosiła najpierw warstwę stopionego łożu, potem na jednej z nich układały obok siebie kwiatki i przyciskały drugą. Tak spreparowane tafle Lena umieszczała wysoko na półce w chłodnej spizarni.

– To się nazywa *enfleurage* – objaśniała Lena. – Gdy kwiaty są mocno wciśnięte w łoż, wydziela się z nich olejek. Trzeba tylko często je wyjmować i dodawać nowe. Olejek przetworzymy w pomadę.

– Nauczyłaś się tego od swojej mamy?

– Nie, od przyjaciela.

Przyniosły jeszcze kilka szklanych tafli i eksperymentowały na rozmaitych roślinach, mchu, trawie, listkach mięty z grządki z ziołami.

Któregoś dnia kupiły cytrynę w wiejskim sklepiku. Tą samą metodą Lena wydobyła wspaniały wonny olejek z kilku zaledwie plasterków. Reszta została zużyta do ryby na kolację.

– Umiesz zrobić perfumy z czegokolwiek? – spytała Grace.

– Tak, z byle czego! – zapewniła ją Lena.

– Na przykład z drewna? – podsunęła jej dziewczynka. – Albo z kawałka sukna? – zaśmiała się.

– Spróbujmy.

Tego popołudnia wybrały się na poszukiwanie najbardziej wilgotnej i pachnącej kory drzewnej. Nie było łatwo pokroić ją na cienkie płatki i wcisnąć w łoż, ale w końcu udało się uzyskać ekstrakt delikatnej woni drewna. Potem Lena spruła kawałek rękawa starego sweterka Grace i wełnę również poddała podobnemu eksperymentowi.

– To nie takie proste – przyznała, marszcząc czoło. – Na razie nie daje wyraźnego zapachu.

– Czemu sprułaś mój sweterek? – zapytała Grace z wyrzutem.

Była do sweterka przywiązana, choć już z niego wyrosła.

– Bo w zapachu tej wełny znajduje się też twój zapach. Są ze sobą zmieszane. Chcę wydobyć je oba, choć, jeśli mam być szczerą, możemy stracić na to wiele miesięcy.

Spojrzały na siebie, Lena się uśmiechnęła.

– Wiesz, czego chciałabym spróbować? Twoich włosów.

– Moich włosów!

Grace uznała to za niewypowiedziane śmieszne.

– Perfumy z włosów! – piszczała, tańcząc wokół pokoju.

Najbardziej lubiła pergaminowe białe narcyzy. Uwielbiała spacerować po lasku i zbierać je do koszyka.

– Dostaniesz te perfumy na własność, kiedy już będą gotowe. Jako prezent urodzinowy – obiecała Lena.

Tego dnia wpadła na jeszcze jeden pomysł.

– Pomożesz mi piec ciasteczka? – zaproponowała.

– Co za ciasteczka?

– Czarne – odpowiedziała, przytulając dziewczynkę mocniej do siebie.

– Czarne ciasteczka?

– Właśnie. Z dodatkiem węgla. Dla twojego taty.

Grace się skrzywiła.

– Tata ma jeść węgiel? Ja też mam jeść?

– Nie, *mon ange*. Tylko tata powinien, na swój chory żołądek. W czasie wojny nałykał się trującego gazu, tak jak inni żołnierze. I teraz boli go brzuch, ale te czarne ciasteczka mu pomogą.

– I ból zniknie?

– Tego nie wiem.

Grace zastanowiła się.

– To dlatego się gniewa?

– Gniewa się?

– Tak. Na mnie.

Lena pogładziła dziewczynkę po włosach.

– Tata się nie gniewa, kochanie. Tylko że... tylko że niezbyt dobrze się czuje.

Grace machała nogami w powietrzu. Zastanawiała się, czy powiedzieć Lenie prawdę. Że tata jej nie lubi, że chyba musiała coś zrobić, co mu się bardzo nie podobało, choć ona nie ma pojęcia, co to mogło być. Dlatego się do niej nie odzywa i zawsze jest nachmurzony.

Jeśli powie to na głos, Lena być może też przestanie ją lubić.

Grace obgryzała nerwowo paznokcie.

Lena zdjęła ją z kolan i wstała.

– Zabieramy się do pieczenia?

– Tak, z chęcią.

– Znajdę dla ciebie fartuszek.

Zdjęła fartuch z wieszaka na drzwiach.

– Gdzie jesteście? – odgłos kroków Catherine Maudley dochodził z piętra; szła, stukając obcasami po drewnianej podłodze. – Grace? Lena?

Eva zeszywniała.

Catherine zeszła na dół. Wkroczyła do kuchni, trzymając kapelusz w rękę i ściągając białe rękawiczki.

– Tu jesteście.

Eva instynktownie odwróciła oczy, zajęła się zawiązywaniem fartuszka Grace.

Lady Catherine była przystojną kobietą, starszą od Evy, odznaczającą się naturalną pewnością siebie. Jej głos był zawsze nieco zadyszany, sugerujący wieczny pośpiech, akcent miała typowy dla swej klasy. Kasztanowe włosy nosiła zaczesane gładko do tyłu, rysy jej twarzy przypominały do złudzenia Lamberta. Duch brata odbijał się w identycznym jak u niego szerokim czole i przenikliwych niebieskich oczach.

– Co za podróż! Okropny tłok na stacji – poskarżyła się Catherine. – Co robicie?

– Pieczemy dla taty czarne ciasteczka – oznajmiła Grace.

– Czarne ciasteczka! To jakiś żart? – Catherine rzuciła na stół rękawiczki i wieczorną gazetę.

Spojrzała pytająco na Evę, która zmusiła się do uśmiechu.

– Nie, proszę pani. Zawierają odrobinę węgla, który jest dobry na trawienie, no i barwi je na czarno. We Francji te ciasteczka są bardzo popularne.

– Ach tak! – Catherine pokręciła głową. – Co oni jeszcze tam wymyślą?

Pogładziła łeb psa zwanego Fry, który był mieszanką wilczura i spaniela.

– A gdzie jest tata?

– Tata jak zwykle w szklarni – powiedziała Grace. Lena podstawiała jej taboret.

– Tak, jak zwykle – westchnęła Catherine.

Jonathan Maudley istotnie prawie nie wychodził ze szklarni. Był to budynek niemalże tak duży jak ich dom, w dodatku dobudowano do niego laboratorium i biuro. Maudley prowadził badania na rzecz pewnej wielkiej firmy farmaceutycznej. Spędzał tam całe dni, od świtu do późna w nocy, otoczony próbkami i notatkami. Z tego to między innymi powodu rodzina nie mieszkała w największej rezydencji majątku. Wielki zbiór roślin był niedostępny dla gości, tylko Maudley wchodził do swego królestwa.

– Właściwie nie wiem, czemu pytam – dodała Catherine, wyglądając przez okno.

– Leno, zbierz wkrótce pranie. Moja niebieska sukienka może spłowieć na słońcu.

– Oczywiście, proszę pani.

– Kurczak na kolację?

Eva skinęła głową.

– Świetnie. A do tego po prostu kartofle z wody, dobrze? Ostatnim razem zrobiłaś coś... – szukała w pamięci nazwy potrawy.

– *Le gratin*?

– Właśnie. Dobre, owszem, ale z czosnkiem, tak, na pewno z czosnkiem. Pachnie się potem jak marynarz zza morza. Byłam przerażona, że ktoś usiądzie blisko mnie w pociągu albo w bibliotece. Przyszła już poczta? Czekam na list od wydawcy.

– Leży na stole w holu, proszę pani.

– Świetnie. Kochanie, właśnie chciałam ci zaproponować wspólny spacer z psem – zwróciła się do Grace.

Dziewczynka się zawahała.

– Chyba nie chcesz, kochanie, żebym poszła sama?

– Nie, mam, tylko że...

– Lena może upiec ciasteczka bez ciebie. – Catherine wyciągnęła rękę do dziewczynki. – Miałyście cały dzień dla siebie! Idziemy! – klasnęła niecierpliwie w rękę.

Grace zgramoliła się z taboretu, rozwiązała fartuch. Zsunął się na posadzkę.

– Oczywiście, mam. – Ujęła dłoń matki.

– Leno, zajmij się, proszę, tymi rękawiczkami. Zabrudziły się w pociągu. Białe rękawiczki powinny być naprawdę białe, nie uważasz?

Catherine ścisnęła rączkę córki.

– Dajmy mu trochę poganiać, niech schudnie. Wracamy na kolację – rzuciła Lenie na odchodnym. Fry podążył za nimi.

Eva stała nieruchomo w pustej kuchni.

Po chwili schyliła się po fartuch, powiesiła go z powrotem na haczyku.

Mechanicznymi ruchami wyjęła ze spiżarni mąkę, cukier, masło, sól, miskę.

Posypała mąką drewniany blat. Wyjęła z szuflady wałek.

W innej szufladzie znalazła owalną metalową foremkę do wycinania ciasteczek.

Powiodła palcem po ostrej, lekko ząbkowanej krawędzi. Położyła foremkę na blacie i przycisnęła ją mocno ręką.

Ból, który uczuła, miał w sobie coś strasznego i wyjątkowego. Oblała ją fala emocji. Napięcie trochę zelzało.

Przymknęła oczy.

W tym cierpieniu mieścił się cały ogromny słownik niewypowiedzianych nigdy przez nią uczuć.

Zwinęła dłoń w pięść, potem ją otworzyła i znowu zwinęła. Uniosła powieki.

W progu stał Jonathan Maudley. Obserwował ją, oparty o framugę drzwi.

Musiał być kiedyś przystojnym mężczyzną. Słusznego wzrostu, szczupły, o dużych niebieskich oczach, wysokim inteligentnym czole i mocno zarysowanej szczęce – mógłby kiedyś uchodzić za modelowego przedstawiciela dobrze urodzonego Anglika. Teraz jednak pod oczami kładły się niebieskawe cienie, rezultat wielu lat niedospania i nocnych koszmarów, jasne włosy już się mocno przerzedziły, policzki zapadły, usta zwężyły. Ręce miał zgrabne, powinny być to ręce dyplomaty

czy innego wyrafinowanego dżentelmena, lecz palce pożółkły mu od papierosów – skrętów, które palił od czasów okopów. Paznokcie miał brudne od ziemi.

W holu nad kuchnią trzasnęły drzwi; Catherine i Grace wyszły na spacer.

Niski sufit kuchni jakby się na nich zsuwał, parł ciepłym i wilgotnym powietrzem z nagrzanego piekarnika. Słońce zakryła chmura, pokój pociemniał.

Eva wlała do miski mleko i wymieszała dokładnie wszystkie składniki. Ból skaleczonej dłoni, dopiero co tak relaksujący, teraz przeszkadzał jej w pracy.

Czuła na sobie wzrok Jonathana.

– Skaleczyła się pani – powiedział.

Spojrzała na niego. Maską zapracowanego naukowca nagle z niego opadła. Widać było tylko poczucie jakiejś okropnej straty.

Nie mogła na to patrzeć, odwróciła wzrok.

Jonathan oddalił się bezszelestnie.

Niczego nie planowała. Wszystko zaczęło się od jednego pragnienia: zobaczyć córeczkę.

Trzy lata wcześniej przyszedł list od Lamberta, wysłany przed samą jego śmiercią. I wtedy dopiero Eva dowiedziała się, gdzie mieszka jej córka i jakie nosi nazwisko.

Gdy jednak sprawdziła informacje, które Lambert jej przekazał, nadzieje na kontakt z dzieckiem przygasły. Posiadłość w West Challow w Oxfordshire nie była jakimś zwykłym domem z ogrodem. W książce zatytułowanej *Magnackie domostwa Anglii*, po którą sięgnęła w bibliotece, znalazła litografię owego majątku w West Challow. Była to wielka posiadłość ziemska, własność arystokratycznej rodziny. Wątpliwe, czy w ogóle weszłyby na jej teren, a o spotkaniu z dzieckiem raczej nie mogło być mowy.

Mimo wszystko zasięgnęła porady pewnego znanego prawnika. Ten niemal od razu sprowadził ją na ziemię.

– Nie ma pani żadnego dowodu – przerwał jej wyjaśnienia. – A jeśli rzeczywiście jest pani matką tego dziecka – tu spojrzał na nią z niedowierzaniem – to czy naprawdę chciałaby pani pozbawić je dostatniego i obiecującego życia? Powiada pani, że to rodzina o ustalonej pozycji w kraju, być może z dziedziczną fortuną, czyż nie? Jaki rodzic chciałby zniszczyć dziecku życiowe szanse tylko dla zaspokojenia własnej ciekawości?

Złożył ręce na biurku i czekał na odpowiedź. Eva milczała. Prawnik pokiwał głową.

– Czym się pani zajmuje, proszę mi przypomnieć?

– Zarządzam sklepem, to znaczy, jestem sprzedawczynią.

– *Niezamężną* – podkreślił. – Będę z panią szczerą. Czy istotnie wyobraża sobie pani, że córka chciałaby się dowiedzieć o pani istnieniu? Proszę się tylko zastanowić. Jeśli dostanie tę informację, już nie da się tego odwrócić. Będzie naznaczona pani



dziejami i pani pochodzeniem. Pozbawiłaby ją pani życia niosącego wielkie możliwości. Bez niczego w zamian.

André był podobnego zdania. Źle przyjął wiadomość o istnieniu gdzieś w Anglii dziecka Evy. Wolał udawać, że to fantazja.

– Mam przecież adres – upierała się, zaczynając kolejną rozmowę pewnego wieczoru przy kolacji. – Moglibyśmy pojechać tam razem, do tej wioski. To nawet spora miejscowość, bardzo blisko Oksfordu. Na pewno przyjeżdżają tam turyści! – dodała z podnieceniem.

André odłożył widelec.

– A co zamierzasz zrobić, gdy już tam przyjedziesz? Zapukasz do drzwi? Schowasz się w krzakach i poczekasz, aż ona może się pojawi?

Ten sarkazm ją zabolął.

– To nie są żarty, André.

– Ja wcale nie żartuję. – Odepchnął talerz. – Masz własne życie. Tutaj, ze mną. Najważniejsza jest nasza wspólna praca. To... to dziecko ma się doskonale bez ciebie.

– Nic nie rozumiesz.

André westchnął ciężko i oparł się plecami o krzesło.

– Wy tłumacz mi to w takim razie.

Czekał. Skrzyżował nogi, wygładził ręką spodnie. Wyglądał elegancko i emanował pewnością siebie, tak jak to dla niego zaplanowała. Awangardowy mistrz perfum. Paryż już miał zdobyty, ona, pięknie ubrana, dodająca mu otuchy, zawsze u jego boku.

Co ma wytłumaczyć? Czy to nie oczywiste, że pragnie się ujrzeć własne dziecko?

Spróbowała.

– To dziecko jest jedyną na świecie osobą, z którą jestem złączona, która jest naprawdę moja.

– Ja jestem z tobą złączony. Czy to bez znaczenia? Skąd wiadomo, że jeśli ją zobaczysz, to nie będzie gorzej? Czy nie lepiej w ogóle jej nie spotykać? Poza tym nie możesz przecież jej tak po prostu uprowadzić! To jakaś mrzonka. Złudzenie. Musisz się zbudzić i otrząsnąć.

Eva wyobrażała sobie, że André pojedzie z nią jako jej mąż, że będzie po jej stronie, że zajmie się sprawą od strony formalnej. On jednak uznał ją za szaloną marzycielkę, zdolną do ukrywania się w krzakach i do uprowadzenia dziecka.

Ujął ją za rękę.

– Potrzebuję cię, tu jest twoje miejsce. Musisz zdobyć się na odwagę i przyznać, że macierzyństwo nie jest dla ciebie. Nie nadajesz się na matkę. A to dziecko wcale ciebie nie potrzebuje.

– Skąd to wiesz? Kto powiedział, że nie nadaję się na matkę? A co mam od ciebie? Posadę sprzedawczyni? Życie z mężczyzną, który nawet nie pragnie mnie

dotknąć?

André odwrócił oczy.

Od dawna już nie byli kochankami, nie rozmawiali o tym, ona czuła się odtrącona, żenowało ją to. Początkowo była mowa o zaręczynach, potem ten temat zniknął. Stawali się coraz bardziej jedynie współnikami w interesach. Jego interesach.

– Tylko to ma dla ciebie znaczenie? – spytał. – Uważasz, że tylko to świadczy o miłości? Zapasy w łóżku po ciemku?

– Powiedz mi więc, czym jest miłość! – odparowała.

André, z oczyma utkwionymi w blacie stołu, obracał niecierpliwie w palcach łyżeczkę do herbaty.

Eva pamiętała nagiego mężczyznę w jego łóżku jeszcze w Nowym Jorku. Teraz wieczorami otaczał się gronem przystojnych młodych chłopców.

– Naprawdę uważasz się tylko za sprzedawczynię? Myślisz, że jesteś dla mnie nieważna, bo nie rzucam się na ciebie w łóżku?

– Kim jestem dla ciebie? Do czego jestem ci potrzebna? – Eva czuła, że ziemia usuwa się jej spod stóp. Zainwestowała w nieistniejący, złudny świat oparty na mrzonkach. A teraz spada w przepaść. – Komu w ogóle jestem potrzebna?

André kręcił łyżeczką.

Na Evę nawet nie spojrział.

– Nie kochasz mnie. – Wstała od stołu. Wszystko w niej wibrowało, czuła się całkowicie zdradzona i porzucona. – Chyba w ogóle nie jesteś zdolny do miłości!

Wyszła, nie zatrzymał jej.

Nigdy więcej nie poruszali tego tematu.

Mimo rozczarowań doznanych od André, a może właśnie z ich przyczyny, Eva zaczęła marzyć o niemożliwym. Nie mogła się tych marzeń pozbyć. Rozmyślała obsesyjnie nad sposobami dotarcia do córeczki. Jednocześnie dobrze się bawiła. Wychodziła prawie co wieczór w towarzystwie członków paryskiej bohemy do nocnych klubów, do teatru, do restauracji. Nigdy jednak nie przestawała myśleć o dziecku. Jak mogłaby się z nią spotkać? W jaki sposób zburzyć stojącą między nimi barierę?

Minęły trzy lata.

Któregoś dnia, zupełnie przypadkiem, znalazła rozwiązanie.

W pewne jesienne popołudnie do sklepu weszła kobieta w towarzystwie małego chłopca. Po jej ubraniu i sposobie bycia Eva domyśliła się, że to służąca.

– Przepraszam bardzo, pani mi wybaczy... – zaczęła się jąkać kobieta, najwyraźniej nieprzyzwyczajona do zakupów w tak ekskluzywnej perfumerii. Wyjęła z portmonetki kartkę i podała ją Evie. – Mam odebrać zamówienie mojej pani.

– Oczywiście, jest gotowe. – Eva wyjęła z czarnego chińskiego kredensu paczuszkę.

Mały wdrapał się na otomanę wybitą lamparcią skórą.

– Proszę zejść! – syknęła kobieta, chwytając małego za ramię i ściągając go na ziemię.

– Nic się nie stało – rzekła Eva z uśmiechem.

– Przepraszam – powiedziała sztywno kobieta, wkładając paczkę do koszyka na zakupy. – Muszę załatwić sprawunki, zanim pójdziemy do parku. Zapewniam panią, że jego matka dowie się o tym zachowaniu.

Ujęła małego za rękę i wyciągnęła ze sklepu.

Eva oparła łokcie na ladzie. Wiodła wzrokiem przez szybę wystawy za kobietą z chłopcem. Wkrótce zniknęli za rogiem.

Kobieta była opiekunką dziecka, inaczej nianią.

Służącą, która spędza z dzieckiem więcej czasu niż jego matka.

Znalazła dla siebie rozwiązanie.

Tydzień później Eva poszła do lombardu na Montmartre, gdzie sprzedała wszystkie z posiadanych rzeczy, które miały jakąkolwiek wartość. Kupiła proste, zwyczajne ubrania, jakąś zgrzebną suknię i toporne trzewiki, zmyła z paznokci czerwony lakier, pozbyła się szminki. Włosy zaczesła w koczek zebrany w siatkę. Co zostało jej z pieniędzy, zaszyła w stanik. Zamiast eleganckich sakwojaży miała teraz tanią walizkę, w niej sfałszowane referencje od nieistniejących pracodawców.

Wyjechała bez uprzedzenia.

Dotarwszy do West Challow, pierwsze kroki skierowała do miejscowej plebanii. Jest pracowitą dziewczyną, ma doświadczenie w służbie domowej, szuka posady... czy mogą jej w tym pomóc? Zna dobrze angielski i umie gotować.

Miejscowy wielebny nazwiskiem Johns zasugerował rozpytanie się w miejscowym dworze, on sam znał oczywiście ochmistrzynię, panią Dunnan, mógłby z nią porozmawiać. A może w mniejszym domu, w Ivy House, na terenie majątku? Tam mieszka młode małżeństwo, chyba potrzebują pomocy domowej.

Naturalnie Eva wiedziała już dokładnie, gdzie znajduje się dwór i gdzie, co ważniejsze, leży Ivy House, gdyż przechadzała się w jego pobliżu wiele razy, mając nadzieję, że dostrzeże dziecko. Ivy House był eleganckim domem z czerwonej cegły zbudowanym w stylu królowej Anny i otoczonym wysokim murem obrośniętym bluszczem i mchem.

Spotkanie z Catherine Maudley przeżyła jako przerażające, a jednocześnie podniecające doświadczenie. Catherine nie posiadała się z radości.

– W końcu będę miała wyrękę! I oddam się pisaniu! – oświadczyła, prawie nie czytając przedłożonych jej przez Evę referencji. – Kiedy może pani zacząć?

To był początek jej życia w Ivy House.

W nocy leżała długo w łóżku, czekając, aż reszta domowników zaśnie. Podniosła się cicho i zeszła bezszelestnie ze swego poddasza do dziecięcego pokoju.

Grace oddychała spokojnie i miarowo w łóżeczku.

Eva schyliła się nad nią, wdychając zapach jej włosów i tę czarowną mieszankę woni młodej skóry. Czuła wieczny głód tych wrażeń i emocji. Mogła tak siedzieć przy łóżeczku córeczki pół nocy.

Pogłaskała ją delikatnie po policzku.

Niech Bóg przebaczy mi grzechy.

Znalazła swój raj, miejsce odkupienia. Musi tu trwać.

Catherine Maudley złożyła poranną gazetę, dopiła herbatę, nalała sobie następną.

– Zanieś, proszę, śniadanie memu mężowi – poleciła Lenie. – Siedział nad pracą do późna w nocy, a teraz już od samego rana jest znowu w laboratorium.

To polecenie trochę zdziwiło Evę, gdyż zazwyczaj nie miała wstępu do szklarni.

– Co mam mu podać, proszę pani?

– Grzanki i herbatę – zdecydowała Catherine, zakładając na nos okulary i otwierając jeden ze swych licznych notatników. – Zresztą cokolwiek. Wszystko jedno. Nie przypuszczam, żeby coś zjadł, ale można spróbować, prawda?

– Tak, proszę pani. – Eva skinęła głową, kierując się do kuchni. Nie miała wcale ochoty iść sama do pracowni w szklarni.

Grace siedziała przy kuchennym stole i rysowała, machając nogami.

– Kochanie, zaniósłabyś tacie trochę tych czarnych ciasteczek?

– Tak, chętnie! – Mała zsunęła się z krzesła.

Eva ustawiła na tacy imbryk z herbatą, garnuszek mleka, pokrojone jabłko, ser oraz kilka czarnych herbatników zamiast grzanek, które wystygłyby w drodze przez ogród. Sama niosła tacę, talerzyk z herbatnikami zaś dała Grace. Zapukały do drzwi szklarni.

Po chwili w progu stanął Jonathan ubrany w laboratoryjny kitel. Przesunął wzrokiem od jednej do drugiej.

– Cóż to znowu?

– Przyniosłyśmy ci coś do jedzenia – powiedziała rezolutnie Grace, unosząc talerzyk. – Są dobre na żołądek! Upiekłyśmy, to znaczy Lena głównie...

– Mają w sobie nieco węgla. Tylko troszkę. Pomagają w trawieniu – odezwała się Eva.

– Doprawdy? – uśmiechnął się niepewnie, cofnął o krok. – No cóż, wejdźcie.

Poszedł pierwszy, one za nim, przez szklarnię i laboratorium do znajdującego się na końcu budynku gabinetu. Rzędy roślin w szklarni były równe i porządne, wszystkie oznakowane, powietrze wisiało tam ciężkie i wilgotne, pachnące zielenią i tłustą czarną glebą. W doniczkach i skrzynkach rosły rozmaite okazy roślin w różnych stadiach rozwoju, na ladach stały szklane probówki, mikroskop, leżały arkusze z tabelami i notatniki. Sam gabinet nie był duży, mieściło się w nim jedynie wielkie biurko i pod ścianą stara kanapa, służąca ewidentnie jako okazyjne łóżko.

Eva postawiła tacę na stole.

Grace ścisnęła w rękach talerzyk z herbatnikami, bardzo przejęta wizytą w prywatnej kwaterze ojca.

Eva szykowała się do wyjścia, gdy Jonathan schylił się ku córeczce.

– Można? – spytał, sięgając po herbatnik.

– Tak, tatusiu – odrzekła Grace, podnosząc talerzyk trochę wyżej.

Jonathan ugryzł kawałek.

– Niezły – stwierdził. – Chyba od razu mi lepiej.

– Naprawdę? – Grace podeszła jeszcze bliżej, przechylając niebezpiecznie talerz. Ciasteczka już, już miały spaść na ziemię.

– Ostrożnie, *mon ange* – powiedziała Eva, chwytając ją za przegub ręki. – Nie możemy dłużej przeszkadzać tacie w pracy – dodała, obejmując małą ramieniem. – Jest bardzo zajęty.

Dziewczynka nie chciała wychodzić, nigdy dotąd nie pozwolono jej na wizytę w szklarni.

– Czym jesteś zajęty, tato? Mogę zobaczyć?

Jonathan zawahał się przez moment, po czym wziął od niej talerzyk i odstawił go na biurko.

– Chodź ze mną.

Objął dużą szorstką ręką jej dłoń. Poczowała jego ciepło.

Przeszli do laboratorium, gdzie w takich samych doniczkach, ponumerowanych od jednego do dwunastu, z naklejkami, stał rząd niewielkich roślinek.

– Prowadzę badania nad belladoną. Rośnie wszędzie na Wyspach Brytyjskich, bardzo pospolita, o wielu właściwościach leczniczych. Jednocześnie bardzo trująca.

Grace wytrzeszczyła oczy.

– Można zrobić z niej lekarstwo – wtrąciła Eva uspokajająco. – Chociaż to trująca roślina.

– Jak trucizna może być lekarstwem? – spytała Grace.

Jonathan się uśmiechnął.

– Mądre pytanie. Wiele lekarstw przyjmowanych w małych dawkach pomaga, ale gdy się weźmie za dużo, mogą bardzo zaszkodzić.

– Tak jak cukier – powiedziała Grace, chcąc pokazać, że zrozumiała, o czym ojciec mówi.

– Podobnie, tylko z gorszymi konsekwencjami – zgodził się Jonathan. – Aspiryna, dla przykładu, pochodzi z wierzbowej kory. Gdybyś gorączkowała, a nie miała aspiryny, mogłabyś zaparzyć sobie trochę kory z wierzby, też by ci pomogło. To są niektóre cuda natury. Niestety, z belladoną jest inaczej.

Wskazał gestem na rząd roślinek.

– Pracuję nad stworzeniem odmiany, która by miała właściwości lecznicze, ale by

nie truła. Pamiętaj jednak, że te dziko rosnące roślinki mają bardzo trujące jagody i że nigdy nie powinnaś ich brać do ust. Obiecujesz?

Grace skinęła głową.

– Nigdy ich nie dotknę! – odrzekła poważnie.

Laboratorium przypominało Evie pracownię André, gdzie też stał długi drewniany stół, leżały notatniki i probówki. Podobny prywatny świat, gdzie powstawało coś nowego i twórczego.

– Musimy już iść – spróbowała ponownie.

Grace nie chciała o tym słyszeć.

– Jeszcze nie skończyliśmy, prawda?

– Zobaczymy tatę przy kolacji – ciągnęła Eva. – Nie możemy teraz zabierać mu czasu.

Jonathan położył delikatnie dłoń na głowie córki.

– Może innym razem.

– Ale do kolacji jeszcze tyle godzin! – wykrzyknęła rozczarowana Grace. Kiedy znowu będzie miała taką okazję? Przecież dopiero tu przyszła.

Objęła mocno nogi ojca.

– Pozwól mi tu zostać! Nie wyrzucaj mnie! Obiecuję, że będę grzeczna! Proszę, tato! Proszę!

Jonathan zeszywniał.

– Proszę, tato! Pozwól mi zostać!

– Grace! – wykrzyknął. Wyglądał na przerażonego.

– Proszę, tato! – krzyczała histerycznie. – Proszę! Proszę!

– Przestań, Grace... przestań! – Starał się wyzwolić z jej uścisku, lecz mała przywarła do jego nóg jeszcze mocniej. – Nie mogę... – Spojrzał w panice na Evę. – Zabierz ją stąd, do diabła! Zabierz!

Eva oderwała palce dziewczynki od nóg Jonathana i przerzuciła ją sobie przez ramię.

Wychodziła właśnie pospiesznie ze szklarni, gdy ujrzała nadbiegającą ze strony domu Catherine.

– Co tu się dzieje?! – wykrzyknęła zagniewana. – Grace! Przestań natychmiast krzyczeć!

Mała była w hysterii.

– Chcę tam wrócić, proszę, mamo! Proszę!

Eva postawiła dziewczynkę na ziemi, lecz zanim zdołała ją uspokoić, Catherine chwyciła Grace za ramiona.

– Przestań natychmiast! Co, na litość boską, was tam zaprowadziło? – zwróciła się do Evy.

– Tylko... zaniósłszy mu tylko herbatę.

– Prosiłam, żebyś ty to zrobiła. Co ci przyszło do głowy? Przestań! – Znowu potrząsnęła małą. – Słyszysz? Ani słowa więcej! Ojciec potrzebuje spokoju. Rozumiesz? Zraniłaś go! – To mówiąc, uderzyła Grace z całej siły w twarz. – Chcesz go ranić?

Dziewczynka zamilkła z szoku i przerażenia.

Catherine się wyprostowała.

– Ma mi się to więcej nie powtórzyć. Zrozumiałaś, Leno? Są powody, dla których nie wolno jej chodzić do szklarni. Więc nigdy więcej.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła szybkim krokiem do domu.

Jonathan siedział nieruchomo przy biurku, wpatrując się pustym wzrokiem w nicość. Na dworze był ciepły wiosenny dzień. On jednak znajdował się gdzie indziej, w innym czasie.

Pozwól mi zostać! Nie wyrzucaj mnie!

Pomocy! Proszę!

Zamknął oczy, lecz głosy nie milkły.

Wyjął z szuflady biurka butelkę whisky. Odkręcił ją z trudem i wziął porządny łyk. Z kieszeni koszuli wydobył skręta, przypalił.

Zaciągnął się głęboko. Przesunął kciukiem po inskrypcji na zapalniczce. *Zawsze i na wieki*, dostał ją w prezencie od Catherine, gdy jechał na wojnę. Obrazy z przeszłości przesuwały mu się w głowie niczym taśma filmowa.

Otwarta przestrzeń, niewielkie zielone wzniesienie. W górze ogrom błękitnego nieba. Nad doliną Sommy wstał łagodny poranek, jakby prosto z księgi Genesis. Dzień zapowiadał się piękny i gorący.

Młodzi żołnierze podają sobie papierosy i termosy. Żartują, podśmiewają się z własnych lęków.

Nagle się zaczyna, nie wiadomo skąd i jak.

Rozlega się rozkaz, potem następne.

W powietrzu rozrywają się pociski... lecą jak fajerwerki... karabiny maszynowe wirują, na wzgórzu wybucha ogień... powietrze zasnuwa czarny dym. Hałas.

Jonathan pociągnął znowu whisky prosto z butelki.

Ujrzał przed oczyma twarze. Twarze, których nie chciał widzieć.

Żołnierzy w konwulsjach, z wyrwanymi wnętrzościami wytryskującymi jak fontanna do góry i opadającymi we fragmentach żołądkami, zębami i kośćmi. Ziemia pod stopami robi się śliska i czerwona od krwi.

Krzyk. Krzyk przerażenia.

– Proszę! Proszę!

Dogorywają wczepieni w kolczaste druty, niby w przymusowej modlitwie, nie dotykając kolanami ziemi. Wiszą.

– Proszę! Proszę! Nie zostawiajcie mnie!

Jonathan, na pół oślepy, ogłuszony, potyka się, prawe ramię ma strzaskane. Żołnierz z połową twarzy, z okiem zwisającym luźno z oczodołu, wciąż krzyczy. Jonathan dobija go strzałem z pistoletu. To żołnierz z jego oddziału. Pada jak marionetka, której podcięto sznurki.

Ktoś chwytą Jonathana za kołnierz, odciąga. Za nimi długa linia Niemców schodzi ze wzgórza. Maszerują powoli, ramię przy ramieniu, w ciasnej szarej kolumnie.

Jonathan doczołguje się do trzeciej linii i jakby w delirium zaczyna strzelać z działka, póki nie mdleje z upływu krwi.

Minęło tyle lat, a ten dzień trwa nadal.

Dopiero koło dziesiątej wieczorem Eva poszła do pracowni Jonathana po tacę i naczynia. Na kolacji się nie zjawiał, mimo obietnicy danej Grace. Mała zjadła tylko z matką. Niedługo po siódmej Eva usłyszała dźwięk zapuszczanego silnika. Domyśliła się, że pojechał do wioski, do pubu. Wkrótce potem Catherine udała się na spoczynek.

W szklarni nie było elektryczności, Eva wzięła więc ze sobą świecę osłoniętą kloszem. Owijając się szczelnie swetrem, ruszyła przez ogród. Jasny księżyc wisiał wysoko na niebie, wiatr poruszał liśćmi. Zastukała. Żadnej odpowiedzi.

Pchnęła drzwi, weszła do szklarni i skierowała się dalej do biura.

Na biurku stała taca z nieruszoną herbatą. Zauważyła, że obok leżą jakieś stare rozrzucone wycinki z gazet. Podniosła jeden.

„Bohaterski żołnierz z naszej okolicy uhonorowany”, przeczytała.

Jakiś inny wycinek przedstawiał fotografię Jonathana w mundurze. „Kapitan Maudley otrzymuje wojskowy krzyż zasługi za odwagę”.

Nagle dało się słyszeć odgłos samochodowych kół na zwirowanym podejździe. Eva odłożyła wycinki na miejsce, chwyciła tacę i wyszła pospiesznie z laboratorium.

Z okna kuchni zobaczyła zarys postaci kierującej się chwiejnym krokiem ku domowi.

Na wycinkach Jonathan wyglądał młodo i pięknie. W niczym nie przypominał swego obecnego wcielenia.

Grace leżała na podłodze i w wielkim skupieniu budowała z klocków coś wysokiego i skomplikowanego. Marszczyła czoło.

Eva usiadła w fotelu przy kominku.

– Co takiego budujesz?

– Fortecę – odrzekła dziewczynka, nie podnosząc wzroku.

– Nie lubisz bawić się lalkami, prawda?

Grace pokręciła głową.

– Mam zamiar tworzyć. Jak tata.

– A nie jak mama, mieć bobo?

– Jak mama, ale też jak tata – odrzekła mała z determinacją, dokładając kolejny



kłosek do budowli.

– Leno! – zawołała Catherine z kuchni. – Leno! Proszę tu przyjść.

Obie zeszły na dół. Catherine stała pośrodku kuchni z poważną twarzą i skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Może mi wyjaśnisz – tu wskazała na stos leżących na kuchennym blacie zatłuszczonych szklanych tafli, między którymi widać było wciśnięte zgniecione rośliny. – Znalazłam to w spiżarni, poszłam tam sprawdzić, co trzeba zamówić z zapasów. Co to jest? Chyba nie coś do jedzenia? – wykrzywiła usta.

– To są przyciski do kwiatów. Żeby zrobić perfumy.

– Perfumy? – powtórzyła z niedowierzaniem Catherine. – Po co?

– Po to... po prostu... – Eva nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. – Żeby Grace miała zajęcie, żeby się czegoś nauczyła.

– To nie jest zajęcie dla małych dziewczynek. Możesz ją nauczyć czegoś pożytecznego, szycia albo robienia na drutach!

Dotknęła ostrożnie brzegu jednej z tafli.

– Co to w ogóle jest? Smalec?

– Łój, proszę pani.

– Wielkie nieba! – Catherine wzdrygnęła się, ocierając palce ścierką. – A to? – wskazała na inną tafle.

Eva wbiła wzrok w ziemię.

– Włosy. I trochę wełny.

– Doprawdy nie widziałam nigdy czegoś tak obrzydliwego! I to w spiżarni! Co się stało, Leno, zazwyczaj utrzymujesz wszystko w czystości. Proszę to wszystko wyrzucić. Z pewnością już się zepsuło.

– Wcale nie, mamie – wtrąciła Grace. – To będą moje perfumy! – wskazała na tafle z białymi narcyzami.

– Twoje! Czy ty oszalałaś? – Catherine spojrzała na córkę z niedowierzaniem. – Po pierwsze, małe dziewczynki nie używają perfum, a po drugie, nie pozwalam ci smarować się łojem!

Grace chwyciła matkę za rękę.

– Chciałabym pachnieć jak kwiaty. A ty nie?

Catherine wyrwała rękę z uścisku małej.

– Kochanie, to nie są perfumy! To jakaś tłusta maź! Nie, wcale nie chciałabym pachnieć jak stragan z kwiatami, to bardzo pospolite. Proszę to wszystko wyrzucić, Leno.

Patrzyła na obie ostrym wzrokiem.

– Musicie się opanować. Możesz uczyć Grace francuskiego. Na razie nie nauczyła się ani słowa, i pewnie nigdy się nie nauczy, zajmując się głupstwami.

Przesunęła dłonią po oczach.

– Głowa mnie dziś strasznie boli. Zaniósłś do laboratorium śniadanie?

– Jeszcze nie, proszę pani.

– W takim razie zanieś mu herbatę, proszę. Liczę na twoją pomoc, Leno. Muszę zrobić zakupy i w dodatku mam pilny termin oddania książki.

Westchnęła ciężko, chowając do kieszeni listę zakupów.

Na obiad Eva przygotowała grzanki z serem, które przypiekła w piekarniku i potem obłożyła kawałkami jabłka.

Po obiedzie był dla Grace czas drzemki. Eva zdjęła jej sukienkę i buty, zaciągnęła zasłony na oknach. Usiadła obok małej na łóżku.

Grace zamknęła oczy.

Oddychała miarowo we śnie.

Przez otwarte okno dochodziły lekkie podmuchy wiatru, wzbijając w powietrze muślinowe firanki pod zasłonami. Było ciepłe, spokojne popołudnie. Jakby wszystko się zatrzymało, choć czas wciąż przesunął się powoli swoim rytmem.

Eva przycisnęła usta do głowy dziewczynki. Wróciwszy do kuchni, nastawiła czajnik na herbatę, przygotowała na tacy dzbanuszek z mlekiem, filiżankę i talerz z kawałkiem ciasta.

Zaniósła wszystko do szklarni. Po drodze spojrzała w niebo, które nagle się zachmurzyło na deszcz.

Pies płatał się jej wokół nóg, szczekając zajadle.

– Co się dzieje? – Eva pogładziła go po łbie. – Uspokój się! Masz ochotę się bawić?

Zastukała do drzwi szklarni. Nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnęła je plecami.

– Jest pan tu?

Cisza.

Przeszła do biura. Jonathan siedział przy biurku tyłem do drzwi.

– Postaw ją gdziekolwiek – odezwał się, nawet się do niej nie odwracając.

Zostawiła tacę na brzegu stołu z próbkami. Wróciła do kuchni i zajęła się jarzynami do obiadu.

Pies kręcił się niespokojnie. Poszczekiwał przy oknie.

– Co takiego widzisz? Może wiewiórkę? – Eva wyjrzała przez szybę.

Furtka do ogrodu stała otworem. Łomotała miarowo na wietrze. Od furtki dróżka wiodła przez łąkę do lasu.

Evie wydało się, że ktoś przemyka tam między drzewami. Po chwili zniknął.

– Cicho, piesku, nikogo tam nie ma.

Wróciła do skrobania marchwi.

O trzeciej po południu poszła na górę zbudzić Grace z drzemki.

Zbliżyła się cicho do łóżeczka.

– Kochanie? *Mon ange*?

Odsunęła kołderkę. Łóżko było puste.

– Grace? Grace! Nie drocz się ze mną!

Zajrzała pod łóżko, za kanapkę, nawet do kosza na bieliznę.

Przeszukała cały dom, potem ogród. Poszła znowu do szklarni. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Ktoś nalał herbaty do filiżanki, jeszcze nie ostygła. Ale nie było widać żywej duszy.

Chmury na niebie wciąż ciemniały, powietrze stało nieruchome.

Ptaki przestały świergotać.

Pies ze stulonym ogonem i uszami położonymi po sobie czekał jak szalony przy ogrodowej furtce.

Eva pobiegła w jego stronę.

Na niebie przewalały się teraz granatowe i czarne chmury, zrobiło się zimno. Krajobraz wyglądał jak sztuczny, naklejony na szary karton i podświetlony od wewnątrz.

Eva biegła przez wysokie trawy łąki, potykając się o nierówny grunt. Wydawało się jej, że prawie stoi w miejscu, jakby walczyła z powstrzymującymi ją od ruchu morskimi falami. W końcu dobrnęła do skraju lasu.

Światło tu było już stłumione, między drzewami kładły się cienie. Przedarła się przez gąszcz zarośli, zaczepiając włosami i ubraniem o niskie gałęzie i kolce, potykając się o korzenie.

– Grace! Grace!

Głos jej ginął w ciężkim powietrzu, jakby wsysany w pustkę. Odnosiła wrażenie, jakby dziewczynka zniknęła wieki temu. Serce jej waliło.

W górze wiatr przeganiał chmury, przeleciało z krzykiem stado kruków.

Dojrzała w oddali jakiś biały kształt trzepoczący na wietrze. Cienki biały materiał.

Grace w białej nocnej koszulce klęczała na ziemi. Ścisnęła coś w ręku. Podchodząc bliżej, Eva rozpoznała złotą zapalniczkę wysadzaną kością słoniową.

– Gdzieś ty była? Wszędzie cię szukałam!

Dziewczynka podniosła wzrok na Evę, obracając zapalniczkę w dłoniach.

– Nie mogę go obudzić – powiedziała, wskazując na coś mającego w pewnym oddaleniu na ziemi.

Jonathan leżał w płytkim rowie. Oczy miał otwarte, wpatrzone nieruchomo w ciemne chmury.

Usta miał koloru granatowoszarego, jak jagody belladony.

– Wzywał mnie pan? – spytała Eva, stojąc w progu salonu.

Mężczyzna odwrócił się od okna. Był to starszy pan, po siedemdziesiątce, o wyprostowanej po wojskowemu sylwetce, krótko przystrzyżonym srebrnym wąsiku i przenikliwych niebieskich oczach.

Rysy twarzy przypominały jego syna i córkę.

– Proszę usiąść. – Podeszedł trochę bliżej i wskazał ręką na kanapkę.

Eva usiadła, kładąc dłonie na kolanach.

Lord Royce, ojciec Catherine, od razu po śmierci Jonathana wkroczył do akcji. Przyjechał na drugi dzień z Londynu, gdzie brał udział w obradach Izby Lordów, zajął się przygotowaniem do pogrzebu, ułożeniem i wysłaniem nekrologu do „Timesa”. Nekrolog zawierał oczywiście stosowną wzmiankę o zasługach wojennych obiecującego naukowca zmarłego tragicznie w wypadku.

Catherine przeżyła śmierć męża bardzo boleśnie. Nie spała i nie jadła, do Evy prawie się nie odzywała. Drzemała trochę w ciągu dnia, w nocy natomiast przemierzała sypialnię w tę i z powrotem aż do świtu. W domu panowała cisza, nawet pies nie szczekał. Do uszu Evy dochodziły jedynie ściszone odgłosy rozmów prowadzonych za zamkniętymi drzwiami, czasami dzwonił telefon i doręczano telegramy.

Teraz lord Royce wezwał ją do siebie na rozmowę.

Grace bawiła się w ogrodzie, widać ją było z okna. Słała łożeczka z liści dla porcelanowych lalek, które dostała w prezencie od dziadka. Była bardzo skupiona na swym zajęciu, udawała głosy lalek, którymi się opiekowała.

Lord zasiadł za biurkiem i wziął głęboki oddech.

– Zacznę od przekazania wyrazów wdzięczności ze strony mojej córki za pomoc w prowadzeniu domu w tych trudnych dla niej momentach. Sama nie umiałaby temu podołać. Prosiła mnie, bym przekazał to pani.

– Bardzo dziękuję, wasza wielmożność.

– Teraz muszą oczywiście nastąpić tu pewne zmiany. Moja córka potrzebuje podpory ze strony rodziny. Eksperyment niezależnego życia dobiegł końca – to mówiąc, Royce przebiegł wzrokiem po skromnym saloniku. – Przeprowadzi się jak najszybciej do dworu.

Eva przełknęła ślinę.

– Będę bardzo chętnie wypełniać swoje obowiązki wszędzie tam, gdzie pani zamieszka.

– To bardzo uprzejma oferta, ale mamy komplet służby. Chyba się rozumiemy?

Wyciągnął spod papierów na biurku kopertę.

– Wydaje mi się, że córka nie skąpiła i uhonorowała panią sownie z powodu wymówienia. Napisała też znakomite referencje.

Wyciągnął rękę z kopertą w jej stronę.

Eva siedziała nieruchomo.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, by pracować u państwa na jakimkolwiek stanowisku. Opiekowałam się przecież małą Grace tyle miesięcy. Bardzo chciałabym... bardzo chciałabym w dalszym ciągu to robić...

Spojrzał na nią z mieszanką irytacji i lekceważenia.

– Zatrudnimy dla mojej wnuczki nianię z prawdziwego zdarzenia – powiedział z naciskiem. – Wykwalifikowaną siłę, potrafiącą zająć się młodą damą we właściwy sposób. – Wstał i ponownie wyciągnął do Evy rękę z kopertą. – Wszystko już załatwione. Nie ma o czym mówić.

Eva wzięła kopertę.

– Mogę robić cokolwiek, wasza wielmożność – wyszeptwała. – Cokolwiek, wszystko mi jedno... w kuchni albo w pralni...

– A to dlaczego? – spytał ze zmienioną twarzą, podchodząc do niej bliżej.

– Przepraszam, nie bardzo...

– Dlaczego, pytam – powtórzył. – Dostała pani sowitą zapłatę i referencje. W Oksfordzie łatwo o posadę. Czemu chce tu pani zostać za wszelką cenę?

– Chyba źle mnie pan zrozumiał...

– Czyżby? – spytał zimnym głosem. – Ma pani oczy bardzo niezwykłego koloru.

– Słucham?

– Znam tylko jeszcze jedno oczy w tym kolorze. Oczy Grace.

Eva zeszywniała. Nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Pani nie jest osobą, za którą się pani podaje, prawda? Zawsze wiedziałem, że to się źle skończy. Spodziewałem się szantażu. Ta sytuacja jest dla mnie niespodzianką.

Eva nie zdołała niczego powiedzieć przez ściśnięte gardło.

– Gdybym zadzwonił do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zapewne poinformowano by mnie o pani rzeczywistym nazwisku. Jakie to sobie pani nadała imię? Céline? Chyba zdaje sobie pani sprawę, że podróżowanie na fałszywych papierach zalicza się do wykroczeń? Mógłby panią spotkać areszt, podejrzenie o szpiegostwo albo po prostu deportacja.

– Nie wiem... nie wiem, o czym pan mówi – zdołała wykrztusić.

– Doprawdy? A może ma pani ochotę przedstawić mi swoje dokumenty do sprawdzenia?

Eva poczuła napływające do oczu łzy. Przygryzła usta, by się nie rozpłakać. Pokręciła przecząco głową.

– Otóż i to. Tak właśnie sądziłem. Ma pani dwa dni na opuszczenie Anglii, w przeciwnym razie poinformuję odpowiednie czynniki. Proszę mi wierzyć, że zrobię wszystko, by panią usunąć z kraju.

Przysunął się znowu bliżej okna, skąd mógł widzieć Grace bawiącą się na trawniku.

Coś zaszurało na korytarzu pod drzwiami salonu, chwilę potem dało się słyszeć cichy odgłos kroków na schodach.

– Miałem syna, który też już nie żyje. Zmarł z pijaństwa, rozpusty i chorób. Uczynił jednak w swoim życiu jedną dobrą rzecz. Dla swej siostry. Czy rzeczywiście

sądzi pani, że pozwolę jakiejś podejrzanej Francuzce zniszczyć jedyne szczęście, jakie pozostało mojej córce?

---

## Paryż wiosna 1955

---

– Madame Munroe? Madame Munroe?

Grace otworzyła oczy. Madame Zed przywoływała ją do przytomności. Widząc, że Grace doszła trochę do siebie, kobieta wstała i przyniosła z kuchni szklankę wody.

Grace wbiła wzrok w szklankę, jakby nie wiedząc, do czego ten przedmiot ma służyć.

– Co się z nią stało? – spytała po chwili.

– Odprawiono ją. Pamięta to pani?

Grace pokręciła przecząco głową.

– Pamiętam jak przez mgłę, że zamieszkaliśmy w domu dziadków. Miałam nianię, panią Press. Starsza osoba, miała grube białe ręce, jakby ze smalcu. Mama zawsze mówiła mi, że ojciec zmarł na zawał serca.

– Oczywiście, a co miała pani powiedzieć?

– Tak, naturalnie – zgodziła się Grace bezbarwnym głosem.

Madame Zed podała jej ostatnią fiolkę.

– *Choses Perdus* – powiedziała. – To znaczy „rzeczy utracone”. To jest kompozycja, którą Eva była opętana. To zasadniczy rdzeń perfum, których Hiver nie potrafi odtworzyć.

Grace podniosła fiolkę.

Coś się wypełniło do końca w jej zmysłach. Powietrze się zagęściło. Poczowała łyzy w oczach.

– Nigdy tego właściwie nie czułam – powiedziała madame. – A co pani dokładnie w tym wyczuwa?

– Wełnę, białe narcyzy, drewno... i włosy... moje włosy.

---

## Paryż, okupacja niemiecka, wrzesień 1942

---

Wczesnym popołudniem szofer Jacques'a Hivera dostarczył list.

Tego dnia, kiedy w sklepie nie było większego ruchu, Eva już po raz drugi w tym samym tygodniu odkurzała półki. Każdy flakon przecierała wilgotną szmatką.

Czarny daimler podjeżdżał wolno ulicą. Biegły za nim chmary dzieci z sąsiedztwa, dla zabawy krzycząc i waląc pięściami w okna. Rzadko się w owym czasie widywało auta inne niż wojskowe, gdyż kupony na benzynę kosztowały wielkie pieniądze. Kierowca wysiadł przed sklepem, odpędził od siebie dzieciaki i wszedł do środka.

List nie był niczym więcej jak krótką notatką podającą miejsce i czas spotkania. Wyróżniał się jedynie tym, że zamiast hotelu podawał prywatny adres.

Eva schowała go do kieszeni.

– Kto to był?! – zawołał André na zapleczu pomieszczenia. – Może klient?

– Nie. Nic ważnego.

Klientów mieli bardzo niewielu.

– Aha. Jeden z twoich wielbicieli – rzucił André.

Oboje wiedzieli, że słowo „wielbiciele” było eufemizmem, choć udawali, że tak nie jest.

Gdy Eva wróciła do Paryża jeszcze w 1935 roku, zawarła z André niepisaną umowę. Był tak oszołomiony jej powrotem po kilkumiesięcznej niewyjaśnionej nieobecności, że czuł jedynie wdzięczność.

Ujrzawszy ją na progu sklepu, zapytał:

– Wróciłaś?

– Tak – odrzekła.

Nie padły żadne inne słowa, Eva weszła do środka i jak gdyby nigdy nic zabrała się do porządkowania.

André nie domagał się wyjaśnień, a ona nie była skłonna mu ich udzielać.

Nie mieli teraz w stosunku do siebie żadnych specjalnych oczekiwań. Nie szukali ani nie chcieli emocjonalnych wzlotów i upadków. Zachowywali się wobec siebie przyzwoicie, bez scen, na zasadzie kompromisu i negocjacji.

Eva odsunęła ciężką aksamitną kotarę, która oddzielała sklep od pomieszczenia na zapleczu będącego również składem. Oparła się o framugę. André stał na najwyższym szczeblu drabiny, usiłując sięgnąć na górną półkę po zalakowany słoik z ambrą. Był



bardzo wychudzony, co w wojennym Paryżu nie należało do rzadkości, lecz on nie zjadał nawet tego, co dostawał w skromnych przydziałach żywnościowych. Żył papierosami, gotowaną białą fasolką i kawą zbożową. Dysponując czasem, bo zamówień dostawał niewiele, zabrał się energicznie do reorganizacji swych zbiorów kompozycji zapachowych. Tworzył z nich dziwaczne grupy, kategorie i podkategorie, nadając im specyficzne nazwy. Eva zdawała sobie sprawę, że była to aktywność zastępcza, wykonywana w lęku przed tym, co miało nadejść.

– Może zrobimy sobie przerwę? – zaproponowała. – Zamknijmy sklep na pół godziny i pójdźmy zaczerpnąć świeżego powietrza.

André zszedł z drabiny. Postawił słoik na blacie.

– Świeżego powietrza? Nie ma już w Paryżu świeżego powietrza. Poza tym jestem zajęty.

Podrapał się po grzbiecie prawej dłoni, na której niedawno pojawiła mu się wysypka, jakiś rodzaj egzemy.

Eva nie nalegała. Wiedziała, że André nie cierpi pokazywać się na ulicy z żółtą gwiazdą przyszytą do kołnierza płaszczka. Czuł się dobrze wyłącznie w sklepie. Eleganckie garnitury, które kiedyś nosił, wisiały w szafie. Żółtą gwiazdę przyszył tylko do jednej, niezbyt lubianej marynarki, tę nosił dzień w dzień. Przestał odwiedzać kawiarnie, ze znajomymi się nie spotykał.

Stał się odludkiem, prawie nie wychodził z pracowni, pracował nawet w nocy. Owoce tych wysiłków zapełniały coraz gęściej sklepowe półki. Jednej nocy potrafił stworzyć nawet dwie czy trzy kompozycje. To było coś więcej niż pracowitość, graniczyło z obsesją, obsesją geniuszu. Był to moment jego największego rozkwitu, najlepszej formy twórczej. Wtajemniczał Evę we wszystkie szczegóły, pokazywał krok po kroku, jak dochodzi do końcowych rezultatów. Wydawało się, że pragnął świadka, współnika, który by kontynuował jego dzieło. Bywał bardzo krytyczny wobec samego siebie, zdarzało mu się stworzyć dwadzieścia odmian tej samej kompozycji i potem wszystkie je wyrzucić. Potrafił jednak być apodyktyczny i zarozumiały, uważał się wtedy za jedyny prawdziwy nos w całym Paryżu.

Wszystko to Evę jednocześnie wzruszało i bolało. André był coraz bliższy wyczerpania. Odnosiła wrażenie, że nie tyle martwił się o siebie, ile o swój talent; dręczył się tym, że potencjalne piękno kompozycji zapachów nigdy nie przyjmie realnej postaci, jeśli to on tego nie zrobi.

Eva stanęła przy nim.

– Nad czym pracujesz?

– Chcę stworzyć serię grecką – uśmiechnął się do niej niewyraźnie. – Chciałbym dotknąć czegoś prastarego.

– Wyjdę na chwilę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Nie sądziła, by zjawił się jakiś klient, ale z drugiej strony André nie cierpiał

rozmawiać z klientami, a nigdy nie można było wykluczyć, że jakiś jednak się trafi.

Wzruszył ramionami.

– Rób, na co masz ochotę. Przekręć tylko tabliczkę na zamknięte. Nie chcę nikogo widzieć.

Miał na myśli Niemców. Oni byli teraz w Paryżu jedynymi ludźmi z pieniędzmi.

Eva znalazła się na bulwarze Saint-Germain. W czasie okupacji przechodniów na ulicach chyba przybyło, jakby paryżanie chcieli być razem, ocierać się o siebie, szukać u współmieszkańców odpowiedzi na to, co się im przydarzyło. W nocy ulice świeciły pustkami, ale w ciągu dnia kawiarnie były pełne, w kolejkach do sklepów stały tłumy z kartkami na żywność w ręku, roiło się też od handlarzy czarnorynkowymi towarami.

Przeszła mostem na drugą stronę Sekwany. Nabrzeża obsiedli rybacy, wśród nich również kobiety; wszyscy mieli nadzieję na wzbogacenie diety z kartek jakąś rybą. W czwartym *arrondissement* panowała nieco inna atmosfera; tu nie było tylu rowerzystów i rikszarzy co w Saint-Germain, ulice wydawały się spokojniejsze. Z dachów rządowych budynków zwisały, powiewając na wietrze, ogromne flagi ze swastyką. W górze krążyło stado ptaków, co należało do rzadkości, ponieważ gołębie i inne ptaki łapano i wsadzano do garnka, toteż zostało ich w mieście niewiele.

Wąskim przesmykiem Eva dotarła do place des Vosges. Drzewa już gubiły złote liście. Grupka dzieci bawiła się kulkami, starszy gość, zapewne dozorca, zmiatał nieliczne opadłe liście w stosy, pomagała mu żona, drobna kobieta owinięta wełnianym szalem. Fontanny były nieczynne, a plac zabaw, pozbawiony sprzętu, świecił pustkami.

Eva sprawdziła jeszcze raz adres wypisany na kartce. Dom stał w rogu placu. Gdy mijala siedzących na ławce niemieckich żołnierzy, usłyszała ich śmiechy i przeciągły gwizd.

Dozorczyni domu pod wskazanym numerem, zalękniona, trochę posępna młoda kobieta, oczekiwała jej na dole. Zaprowadziła ją marmurowymi schodami na pierwsze piętro, otworzyła drzwi kluczem i szybko zbiegła na dół, zanim Eva zdążyła o cokolwiek zapytać.

– Dzień dobry?! – Eva weszła do środka.

Mieszkanie było puste, bez mebli.

– Dzień dobry, jest tu ktoś?! – zawołała znowu.

Głos odbił się echem od gołych ścian i podłóg. To jakiś żart? Ktoś się z nią bawi?

Podeszła do wielkiego okna, skąd roztaczał się malowniczy widok.

– Podoba się pani?

Eva odwróciła się i ujrzała stojącą w drzwiach niepospolicie wyglądającą kobietę. Tylko kilka lat starsza od niej, o eleganckiej, szczupłej sylwetce i wyrazistych rysach twarzy. Miała na sobie prostą sukienkę i pantofle na płaskich obcasach, jak gdyby

wracała właśnie z miasta, gdzie robiła sprawunki czy coś załatwiała, a co na pewno nie mogło być prawdą. Otaksowała Evę wzrokiem, jakby ta była kawałkiem mięsa wiszącym na haku u rzeźnika.

– Bardzo przepraszam, ale czy my się znamy? – odezwała się Eva.

– Nie – odrzekła kobieta.

Zdjęła z głowy jedwabną chustkę, spod której rozsypały się luźne ciemne loczki.

– I nigdy się nie poznamy. Nie przeszkadza pani dym? – spytała, wyjmując z torebki złotą papierośnicę.

Zapaliła papierosa, nie czekając na odpowiedź.

– A więc, podoba się tu pani? – spytała znowu, wypuszczając z ust kłęb dymu prosto w sufit. – Wyjątkowy widok, zgodzi się pani?

Podeszła bliżej.

– Chyba jest w sam raz. Proszę się nie kłopotać umeblowaniem, przyślę trochę rzeczy jeszcze w tym tygodniu. Nie wątpię oczywiście, że pani ma doskonały gust, ale mimo to wydaje mi się, że przyda się to i owo...

Eva wiedziała już, kim jest ta kobieta.

Włożyła ręce do kieszeni płaszcza.

– Chyba nie będą konieczne, madame Hiver.

W oczach Yvonne Hiver coś zamigotało.

– Naturalnie, jak pani uważa – rzuciła lekko. – Pracuje pani w tej małej perfumerii, prawda? Jak ona się nazywa?

Eva pominęła pytanie milczeniem.

Yvonne nie spuszczała z niej wzroku.

– Nie jest pani jedyna, chyba wie pani o tym? Są jeszcze inne.

– Ma pani na myśli inne kobiety?

– Właśnie. – Yvonne zaciągnęła się papierosem. – Mój mąż jest człowiekiem sentymentalnym. Z niektórymi utrzymuje kontakt jeszcze od czasów naszego narzeczeństwa. To bardzo miłe, prawda?

– Może wynik lenistwa.

Yvonne wypuściła powoli dym z ust.

– Ciekawa jestem, gdzie go pani poznała?

Eva wskazała gestem na papierosa.

– Ma pani jeszcze?

Kobieta zmarszczyła czoło. Mimo irytacji wyciągnęła papierośnicę.

– Wszystko teraz na kartki, to sprzyja zebraniu.

Eva wyjęła papierosa i przypaliła go od papierosa Yvonne.

– Mam mnóstwo swoich, dziękuję. Po prostu wolę od pani.

Yvonne wbiła w nią wzrok. Uśmiechnęła się po chwili.

– Miała mi pani powiedzieć, gdzie poznała pani mego męża.

– W kasynie. Wszedł za mną, bo zostawiłam wygraną. Myślał, że to przez roztargnienie, więc chciał mi ją doręczyć.

Yvonne patrzyła na nią uważnie.

– A to nie było wcale roztargnienie?

– Nie zależało mi na pieniądzach. Lubię po prostu grać w karty.

– Więc wręczył pani pieniądze i zaprosił do baru, jak się domyślam.

Eva wypuściła dym.

– Powiedziała mu, żeby się odczepił, jeśli chce pani wiedzieć. Zaniósł więc wygraną z powrotem do kasyna i poprosił kasjera, żeby zmienił ją dla mnie na żetony następnego wieczoru. Gdy się zjawiłam, już na mnie czekał.

Tego się Yvonne nie spodziewała.

– Często chodzi pani sama do kasyna? – spytała, jakby prowadziła z Evą towarzyską pogawędkę.

– Tak – przyznała Eva zgodnie z prawdą. – To mnie uspokaja.

Omiotła wzrokiem pusty apartament.

– Czy to pani pomysł?

– Tak.

– Co panią do tego skłoniło?

Yvonne otworzyła wysokie balkonowe drzwi i wyszła na taras.

– Wie pani, że wkrótce nikt nie będzie miał pieniędzy na kupno perfum. Nie wiadomo, kiedy wojna się skończy. Z pewnością zdaje sobie pani z tego sprawę. Dziwię się, że ten pani sklepik jeszcze funkcjonuje.

Eva dołączyła do niej na tarasie. Plac rozciągający się na dole wyglądał zupełnie normalnie, nigdzie żadnych zniszczeń wojennych. Okupacja w Paryżu często robiła takie wrażenie, wrażenie całkowitej normalności. To było dla Evy najbardziej złowieszcze. Rana, której nikt nie widzi, a przecież boli, może jeszcze bardziej niż ta otwarta.

– Postarałam się trochę o pani wywieść, mademoiselle d’Orsey – przyznała Yvonne. – Wiem na przykład, że ma pani kredyt w Café Flore, którego dziwnie wciąż nie udaje się pani spłacić. Okazuje się, że wolą tam, aby siadała pani z tyłu, bo za dużo pani pije. Wiem też oczywiście, że spędza pani wieczory na hazardzie, i to w nie najświetniejszym towarzystwie. A pani wspólnik, ten André Valmont, to Żyd. Jednocześnie znam mego męża, on lubi występować w roli wybawiciela; ratuje przestraszone kocięta, wróbelki z oberwanym skrzydełkiem, kobiety o chwiejnych zasadach.

Eva zaciągnęła się papierosem.

– I dlatego daje mi pani to mieszkanie?

Yvonne oparła łokcie na balustradzie tarasu.

– Wydaje mi się, że ma pani bardzo mało do stracenia, a wiele do zyskania.

Zależy mi tylko na tym, by w dalszym ciągu zabawiała pani Jacques'a oraz kilku jego nowych przyjaciół. Do tego niezbędna jest odpowiednia oprawa.

– Czy przypadkiem ci nowi przyjaciele nie będą nosić stalowych mundurów i oficerek?

Yvonne zgasiła papierosa i wyrzuciła niedopałek przez balkon.

– Nikt z nas nie chce, by firma kosmetyczna Hivera przestała istnieć. Musimy więc kooperować.

– Chciała pani powiedzieć, że to ja muszę kooperować, a pani będzie stać z boku – poprawiła ją Eva.

– Powtarzam, nie znamy się, i nigdy się nie poznamy.

– Czemu więc pani to organizuje, a nie Jacques?

– Bo mu nie ufam – odrzekła Yvonne z wyrazem rozbawienia na twarzy. – Proszę sobie tylko wyobrazić! – zaśmiała się. – Nie mogę pozwolić, by nieumiejętnie poprowadził tę delikatną i ważną dla firmy sprawę.

Ewę bolała głowa, żołądek miała ściśnięty z głodu. Patrzyła na Paryż. Był piękny jak zawsze, lecz ona poczuła nagle gniew, jakby to miasto ją zdradziło – jest piękne, ale przewrotne.

Niemieccy żołnierze wciąż siedzieli na ławce.

Wszędzie ich było pełno; w teatrach, galeriach sztuki, restauracjach i nocnych klubach. Szpalery niemieckich mundurów, w powietrzu gardłowe niemieckie głosy. Spacerowali po parkach, zamawiali piwo w kawiarniach, stali przed obrazami Matisse'a, zaglądając do trzymany w rękach katalogów. Zdarzały się Francuzki zanoszące się ze śmiechu z ich żartów, trzymające ich pod rękę, towarzyszące im przy barze. Eva uważała, że robią to ze strachu, unikała spoglądania im w oczy.

– Nie zależy mi zbytnio na pani mężu – powiedziała.

Yvonne westchnęła z niecierpliwością, jak ktoś zmuszony czekać na autobus, gdy tak naprawdę chce jechać taksówką.

– Dostanie pani to mieszkanie i regularną pensję, wcale sówitą.

– Wolałabym akcje.

Yvonne ściągnęła usta.

– Jak pani sobie życzy. A więc rozumiemy się?

– Chce pani, żebym wyświadczyła pani przysługę?

– Przysługę?

– By uratować firmę pani męża i może też pani reputację? Zastanowię się, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Żeby pani mąż zatrudnił w swojej firmie André Valmonta. Żeby dał mu gwarancje bezpieczeństwa i uznał za niezbędnego członka personelu w czasie wojny.

Yvonne zmrużyła oczy i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nikogo nowego nie zatrudniamy. A z pewnością nie Żydów.
- To perfumiarz światowej klasy. Geniusz. Hiver potrzebuje kogoś takiego.
- Nie wiem doprawdy, czego się pani po mnie spodziewa.
- Dlaczego nie miałyby stworzyć dla firmy nowych perfum? Na wyłączność.

Wtedy będzie jasne, że jest dla Hivera niezbędny.

– Niemcy przejęli nasze fabryki – powiedziała Yvonne. – Nie produkujemy żadnych kosmetyków, tylko nylon na spadochrony i Bóg wie co jeszcze!

– André i ja moglibyśmy pracować u nas w sklepie. Mamy jeszcze zapasy składników. Moglibyśmy wypuszczać małe serie pod waszym szyldem, przecież jeszcze sprzedajecie kosmetyki.

– To stare zapasy, w dodatku już się kończą. Im dłużej trwa wojna, tym bardziej się chwiejemy.

– Co jednak, gdyby w tym najczarniejszym dla Francji okresie Hiver wypuścił nowe perfumy? Proszę pomyśleć, co by to znaczyło w życiu kobiet tego kraju? Francja miałaby znowu coś pięknego, a co jest bardziej francuskie niż perfumy? Perfumy pachnące nadzieją, lojalnością, wspólnotą. Stworzone mimo Niemców okupujących wasze fabryki. Byłby to wyjątkowy akt patriotyzmu.

Yvonne znowu ściągnęła usta.

– Flakon miałyby na etykietce rysunek wieży Eiffla – kontynuowała Eva.

– A jak by się nazywały?

– *Mon Coeur*. Teraz, zawsze, na wieki.

Yvonne parsknęła.

– To śmieszne! I niebezpieczne.

– W takich sprawach ryzyko jest niezbędne, ale w zamian spotka was podziw. To przecież tylko perfumy, nie działalność polityczna.

– Polityka jest obecna we wszystkim. Nie możemy sobie pozwolić na żaden skandal.

– Skandal byłby najlepszą reklamą.

– Nie kąsa się ręki, która cię karmi.

– Ale też nie liże się ręki, która zgina ci szyję! – odparowała Eva.

– Nie zamierzamy się ugiąć, mademoiselle. Robimy wszystko, by przetrwać bez szwanku. Muszę jednak przyznać, że zaczynam rozumieć, dlaczego Jacques tak panią adoruje.

– Myli się pani – zaprotestowała Eva. – Nie mnie adoruje, tylko siebie. Gdy ma odpowiednią widownię.

– Nie stawia to pani w korzystnym świetle.

– On lubi się odbijać we mnie, to wszystko.

Yvonne jakby to zrozumiała.

– Zastanawiam się, czemu to pani wystarcza – powiedziała cicho.

– Najważniejsze jest to – Eva zmieniła temat – by perfumy ukazały się pod marką Hiver i by ich twórca, André Valmont, występował jako niezbędny członek personelu.

– Nie mogę tego pani zagwarantować.

– Ale będzie się pani bardzo starała – nie ustawała Eva.

Yvonne skinęła powoli głową.

– Wie pani, może flakon powinien mieć rysunek wieży Eiffla, ale nazwę bardziej neutralną. Na przykład *Ce soir*.

– *Ce soir*? To nic nie znaczy. – Eva się skrzywiła.

– Właśnie. Produkt firmy Hiver nie potrzebuje żadnej specjalnej nazwy. Nie rozejrzy się pani po mieszkaniu? – zmieniła temat Yvonne.

Obie wróciły do środka.

Przeszły razem po pokojach. W sypialni Eva przystanęła.

– Cóż to takiego?

– Jak to? Łóżko.

– Trochę wulgarne.

Yvonne wyglądała na urażoną.

– To stary rodzinny mebel.

Eva wzruszyła ramionami.

Po skończonej inspekcji Yvonne zawiązała na głowie chustkę.

– Swego czasu, przyznaję, wszyscy rozprawiali o tym waszym sklepiku i o Valmoncie. Nawet byłam zazdrosna. Teraz jednak się zastanawiam, czy ten pani Żyd naprawdę jest taki wielce utalentowany. Może się już skończył? Bo sądziłam, że będzie pani lepiej pachnieć – rzuciła na odchodnym.

---

## Paryż wiosna 1955

---

Grace weszła do pustego mieszkania. Wyjrzała z okna na place des Vosges i dalej, na widoczną w oddali panoramę Paryża – była niczym pejzaż malowany szarymi niebieskościami, granitem i umbrą podszytą fioletem.

Szara godzina, tak zwą tę porę dnia.

Dotknęła palcami zimnej szyby.

*Le droit de choisir.*

Wolność.

Eva pragnęła przede wszystkim tego, by Grace miała możliwość wyboru własnego życia.

Rozległy się kroki. Ktoś stanął w progu.

– Tu jesteś – usłyszała głos Rogera.

Odwróciła się do niego.

– Co tu robisz? Jak znalazłeś to miejsce?

– Szukałem cię – to mówiąc, przekreślił kontakt. Zimne światło zalało pokój. – Teraz lepiej. Widziałem się dzisiaj z tym francuskim prawnikiem. To on mnie tu przywiózł. Chciałem w końcu zobaczyć to mieszkanie.

Grace spojrzała przez szybę w dół. Edouard Tissot stał oparty o samochód. Widać go było wyraźnie w świetle latarni.

Odeszła od okna, czując nagle przyspieszone bicie serca i mrowienie w opuszkach palców u rąk.

Roger przechadzał się po pokojach.

– Co za ogromna przestrzeń! – zawołał z głębi łazienki. – Na pewno jest warte więcej, niż on twierdzi.

– To była moja matka – wyrzuciła z siebie Grace.

Roger wszedł z powrotem do salonu. Spojrzał na nią podejrzliwie.

– Przepraszam, co powiedziałaś?

– Eva d’Orsey. Kobieta, która zostawiła mi to w spadku. – Głos się jej łamał, serce waliło. – Zostałam adoptowana.

Przez chwilę Roger stał nieruchomo, jakby rozważając jej słowa. W końcu podszedł bliżej i ujął ją za ramiona.

– Cieszę się, że mi to wyznałaś. Teraz można to zakończyć, rozumiesz? – przyciągnął ją do siebie. – Nikt nie musi o tym wiedzieć.



Nagle Grace wybuchnęła płaczem. Łkała głośno, zachłystując się. Roger zaczął gładzić jej włosy, pocałował w czubek głowy.

– Sprzedamy to raz-dwa – oświadczył. – Kupimy za to dom w Londynie, w Belgravii. Przeszłość zniknie jak jakiś zły sen, zapewniam cię, kochanie. Wszystkim się zajmę. Zapomnimy o tej kobiecie na zawsze.

Grace w końcu przestała płakać, wytarła nos w chusteczkę, którą podał jej Roger.

– Idź do łazienki i obmyj sobie twarz zimną wodą – poradził z uśmiechem. – Nos masz cały czerwony.

Eva posłusznie spryskała twarz wodą. Spojrzawszy w lustro nad umywalką, zobaczyła obcą twarz, inną niż jej dawna. Twarz Evy.

Gdy wróciła do salonu, zastała męża odmierzającego kroki na podłodze. Najwyraźniej obliczał powierzchnię mieszkania. Grace stanęła w rogu.

– Dlaczego powiedziałeś, że na zawsze o niej zapomnimy?

Roger wykonywał jakieś działania arytmetyczne w głowie i dał jej znać ręką, że odpowie za chwilę.

– Jest tu co najmniej trzydzieści pięć stóp na dwadzieścia – oznajmił, wyjmując z kieszeni notesik, by zapisać obliczenia.

Grace podeszła znowu do okna.

Edouard stał w tym samym miejscu.

– Dlaczego powiedziałeś, że zapomnimy o Evie d’Orsey na zawsze? – powtórzyła pytanie. Ciekawa była, czy Edouard spojrzy w górę i czy ją zobaczy.

– A czemu mielibyśmy ją pamiętać? Im mniej będziemy o tej całej historii wspominać, tym lepiej. Wyobraź sobie tylko, jeśliby się coś nam niechcący wymysknęło w towarzystwie.

Grace odwróciła się do niego.

– Nic przecież o niej nie wiesz.

– Nie o to chodzi. Masz już rodzinę, rodzinę, która coś znaczy. To jest ważne, a nie jakieś historie, które mogą wszystko skomplikować.

– Tak, ale to nie jest moja jedyna rodzina. Mam jeszcze inną.

– To miałyby jakieś znaczenie, gdyby się nam na coś przydało, ale tak nie jest – westchnął zniecierpliwiony.

– Nie chcesz się dowiedzieć, kim ona była?

– Oczywiście wysłucham, jeśli masz ochotę mi to opowiedzieć. Ale wiesz, tego rodzaju historie bywają raczej żałosne.

Nagle twarz mu się zmieniła.

– Miała jakąś inną rodzinę? Może ktoś zakwestionuje testament?

Grace zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

Roger się odprężył.

– Całe szczęście! Naprawdę, kochanie, wszystko idzie jak najbardziej po naszej myśli. Ona pochodzi z innego kraju, nie ma rodziny, nikt w Anglii o niej nie słyszał. Ale muszę ci powiedzieć, że w świetle tego, o czym mnie właśnie poinformowałaś, podziwiam tę kobietę za umiejętne przeprowadzenie całej sprawy.

– Evę – wtrąciła Grace.

– Co takiego?

– Miała na imię Eva.

– Tak, Eva, niech będzie. Bardzo hojna i niesłychanie dyskretna. Wiedziała, jak najlepiej to załatwić.

Grace włożyła ręce do kieszeni. Ujęła zapalniczkę ojca w rękę.

– Owszem.

– Możemy powiedzieć, że dostałaś spadek od starego przyjaciela twojego ojca.

– Mamy kłamać? Nie tylko pominąć pewne szczegóły, ale wręcz kłamać?

– Nie, ustalmy tylko naszą wersję. Kto zyska na tym, jeśli będziemy rozpowiadać wszystko naokoło? Nikt. Wyobraź sobie, że chcemy tę całą historię wyjaśnić naszym znajomym.

– Co by się stało?

– Grace, wiesz, że cię uwielbiam, ale chyba żartujesz.

Roger zaczął odmierzać kroki w sypialni.

Grace znowu podeszła do okna.

– Nie masz przypadkiem ognia?! – zawołała do męża.

– Nie, nie przy sobie.

– Zejdę na dół. Tissot na pewno ma.

Na widok Grace Edouard się wyprostował. Podeszła do niego blisko. Skłonił się.

– Madame Munroe.

– Dzień dobry. Chciałam... chciałam z panem pomówić... – przerwała, nie wiedząc, co ma powiedzieć dalej.

Tissot czekał.

– Eva d’Orsey była moją matką. Wiedział pan o tym?

Na jego twarzy zagościł niepokój.

– Nie. Skąd się pani o tym dowiedziała?

– Od madame Zed. Pokazała mi jej fotografię...

– Musiało to panią wstrząsnąć.

– Czuję się bardzo dziwnie. Jakbym stała się sama sobie obca.

Stali przez chwilę w ciszy. Tak bardzo chciała go zobaczyć, porozmawiać, teraz jednak nie wiedziała, co ma powiedzieć. Zerwał się wiatr, od rzeki powiało chłodem. Grace obracała zapalniczkę w palcach.

– Mój mąż oblicza powierzchnię mieszkania – rzuciła ni stąd, ni zowąd.

Tissot skinął głową.

– Widać przywiązuje wagę do szczegółów.  
– Niezbyt dobrze się zachowałam tamtego wieczoru – zaczęła z innej beczki.  
– Doprawdy? No cóż, każdemu się zdarza zrobić coś, czego później żałuje – odparł, patrząc w ziemię.  
Serce się jej ścisnęło.  
– Pan żałuje?  
Spojrzał na nią ze zmienioną twarzą.  
– Co chciałaby pani usłyszeć?  
– Złości się pan na mnie.  
– Tak. Nie. Zły jestem na siebie – westchnął. – Tak czy owak, widzimy się pewnie po raz ostatni. Mąż pani woli zatrudnić angielską firmę prawniczą.  
– Ja sobie tego nie życzę.  
– A czego pani sobie życzy?  
Nadchodził Roger z notesem w ręku.  
– Pojść z tobą do kawiarni i tam sobie razem posiedzieć. Żebyś zamówił coś, czego nigdy jeszcze nie próbowałam, a potem żebyś sobie ze mnie żartował. Później poszlibyśmy na spacer, wszystko jedno gdzie, i byśmy się sprzeczali.  
– Jesteś pewna? A jeśli te dania będą za wyraziste?  
Skinęła głową.  
– Chcę za wyrazistych dań. Odtąd chcę właśnie tego.  
Roger podszedł bliżej.  
– Skończyłem. Wracamy do hotelu?  
– Przepraszam. – Grace dotknęła lekko jego ręki. – Niestety, nie wracam z tobą.  
Tydzień później Grace wpuściła do mieszkania Mallory.  
– Więc to jest to! – Mallory weszła do pustego salonu. – Wcale nie żartowałeś! – Zagwizdała. – Ogromne! Rozumiem, dlaczego chcesz je mieć dla siebie. Gdzie mam to położyć? – W rękach trzymała kartonowe pudło.  
– Och, gdziekolwiek.  
Grace popchnęła walizkę przyjaciółki.  
– Nie chcę krytykować, ale nie masz żadnych mebli.  
– Tak, zauważyłam.  
Grace otworzyła balkonowe okno, wyszły na taras. Ciepły wiatr rozwiał im włosy.  
– Przygotowałam sobie mowę – powiedziała Mallory, opierając ręce na balustradzie. – Żebyś się poważnie zastanowiła, pomyślała o rodzinie i o przyjaciółkach. Głównie o mnie, rozumiesz.  
– Tak.  
– Prawda jednak jest taka, że ci zazdrozczę – westchnęła.  
– Naprawdę? A ja nie bardzo wiem, co robię. I czy dam sobie radę.  
– Oczywiście, że dasz sobie radę. Wcale się o ciebie nie martwię. Martwię się o

siebie, samą w Londynie, bez przyjaciółki.

Grace ujęła Mallory za rękę.

– Pewnie wrócę za dwa tygodnie z uszami po sobie.

– Wtedy ja sama zaprowadzę cię z powrotem na lotnisko i wsadzę do samolotu. Szczerze życzę ci szczęścia, naprawdę. Tylko wolałabym, żebyś była bliżej.

– Zawsze przecież możesz mnie odwiedzić, na jak długo chcesz.

– I z pewnością to zrobię. Muszę ci powiedzieć – tu Mallory otarła łzę z oka – że jestem zła na Evę d’Orsey. Jak śmiała zostawić ci taki majątek! – Grace ścisnęła jej dłoń. – Ale skoro tu już jestem, pomogę ci się rozpakować.

Mallory weszła z powrotem do salonu i otworzyła kartonowe pudełko. Odwinęła bibułki ze znajdujących się w środku przedmiotów. Była to kolekcja porcelanowych figurynek.

– Mój Boże! – zaśmiała się. – Co za szkaradztwa! Co masz zamiar z nimi począć?

– Nie wiem. Można je polubić, nie sądzisz? – Grace podniosła pasterkę siedzącą na pokrytym mchem pieńku z leżącą obok owieczką.

– Chyba jednak nie, nie bardzo. – Mallory podała jej kolejną figurynkę, tym razem złotowłosą dziewczynkę zrywającą żonkile. – Nie chce mi się wierzyć, że Eva włożyła tyle wysiłku w dostarczenie ci tych brzydactw.

– Co powiedziałaś?

– No wiesz, jednak bardzo się do tego przyłożyła. Zachowała je, zawinęła, zapakowała w pudło z twoim nazwiskiem, dała na przechowanie dozorczyńni. Jakby to były rodzinne klejnoty!

Rodzinne klejnoty.

Oczywiście...

Pieniek to drewno, owieczka to wełna, a żonkile to narcyzy...

– Dobry Boże, Mallory, jesteś genialna!

– Naprawdę? Nikt mi do tej pory tego nie mówił.

Grace odwróciła figurynkę do góry nogami. Na spodzie był otwór, figurynki zostały wydrążone. Włożyła w otwór palec. Nic. Przewróciła pasterkę do góry nogami. Pusta.

W środku figurki przedstawiającej siedzącą na krześle damę w welonie z wachlarzem w ręku znalazła to, czego szukała. Wciśnięty głęboko do wnętrza, zwinięty w rulonik papier.

– Co to? – Mallory nachyliła się.

– Klejnoty rodzinne.

Podawała przyjaciółce papiera.

„La Formule Originale de Ce Soir” – głosił napis.

---

## Paryż zima 1954

---

Gdy Tissot przyszedł rano do biura, kobieta już tam była. Stała w jego gabinecie przy oknie wychodzącym na Sekwanę.

– Przepraszam – szepnęła sekretarka, odbierając od niego palto i teczkę – ale zjawiała się wcześniej. Nie wiedziałam, co mam z nią począć, więc wpuściłam ją do środka.

– Nie szkodzi – odrzekł lekko poirytowany.

Wszedł do siebie i zatrzymał się przy biurku.

– Madame d’Orsey?

Kobieta się odwróciła. Przystojna, w wieku około czterdziestu lat, z ciemnymi włosami oprószonymi lekką siwizną i z dziwnymi jasnozielonymi oczyma. Ubrana była w granatowy kostium, kapelusz i rękawiczki, na stole położyła torebkę i modlitewnik. Ruchy miała niepewne. Z bliska mógł dostrzec, że ma niezdrową cerę, a jej piękne oczy są podkrążone. Podała mu rękę.

– Monsieur Tissot, to bardzo uprzejmie z pana strony, że zgodził się pan na spotkanie o tak wczesnej porze.

– Bardzo mi przyjemnie – zapewnił ją, odsuwając dla niej krzesło. – W czym mogę pani pomóc?

Kobieta wyjęła z torebki kopertę.

– Chciałabym sporządzić testament. Przygotowałam spis wszystkiego, co posiadam, oraz nazwisko i adres mojej spadkobierczynie. Wybrałam pana, gdyż zapewniono mnie, że świetnie włada pan angielskim.

– Dziękuję.

Otworzył kopertę. Spis akcji, apartament, warunki sprzedaży. Nazwisko i adres kobiety w Anglii.

Madame d’Orsey wyjęła z torebki papierośnicę.

– Mogę zapalić?

– Bardzo proszę.

– Chciałabym, żeby pan jej pomógł. Mojej spadkobierczynie. Nie jest Francuzką, będzie potrzebować porady.

Jej słowa brzmiały tak, jakby miała się rozstać z tym światem w najbliższej przyszłości, wręcz za kilka miesięcy.

– Naturalnie – zgodził się Tissot.

– Proszę mi obiecać, że spotka się pan z nią sam na sam. Gdyby przyszła w towarzystwie, proszę, by pan tej osoby nie dopuścił do czytania testamentu. Ma to być... tylko z nią.

Tissot zanotował.

– Jak pani sobie życzy.

Kobieta się odprężyła.

– Jeszcze jedna rzecz.

Z modlitownika wyjęła złożony wycinek z gazety i podała go Tissotowi.

Był to wycinek ewidentnie sprzed kilku lat. Przedstawiał fotografię trzech młodych dziewcząt w białych balowych sukniach, stojących na marmurowych schodach jakiegoś pięknego domu. Z podpisu domyślił się, która z młodych kobiet jest spadkobierczynią pani d'Orsey. Bardzo młoda.

– To ona? – wskazał na postać na zdjęciu. – Urocza – dodał. – To pani krewna?

Madame d'Orsey milczała przez chwilę.

– To bez znaczenia – odparła.

Nagle na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. Ból jakby zniknął.

– Przeszłość już minęła – powiedziała enigmatycznie. Brzmiało to dumnie i pewnie, jakby jakiś wielki ciężar spadł jej z serca. – Najważniejsze jest to, co Grace Munroe teraz wybierze.

---

# Podziękowania

---

Pragnę podziękować moim agentom Jonny'emu Gellerowi i Jennifer Joel, redaktorkom Katie Espiner, Mai Ziv i Lorissie Sengarze, a również Cassie Browne, Jaime'emu Frostowi, Louisie Joyner i Katherine Beitner.

Jestem szczególnie wdzięczna Jo Rodgers za uwagi i wyrazy zachęty, mojemu mężowi Gregory'emu Libieriemu za podporę oraz mojej przyjaciółce i mentorce Jill Robinson za pomoc redaktorską.

[1] *Lamb* (ang.) – owieczka lub jagnięcina; *mutton* (ang.) – baranina (przyp. red.).

[2] William Szekspir, sonet 129, tłum. Stanisław Barańczak (przyp. tłum.).

[3] Ang. *to come to one's senses* (przyp. tłum.).